ROK XXV. WARSZAWA. Og. zb. Tom XCVII.



Druk. i Litogr. JANA COTTY w Warszawie.
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 16.

Druk ukończono d. 24 stycznia 1900 r.



PRAWDA.

Za siedmiu borami, za siedmiu rzekami, za siedmiu górami mieszka podobno cud-dziewica królewna. Kryształowy jej pałac, w którego ścianach każda łza niebios załamuje się w tęczowe blaski, stoi na szarym granicie w przestworzu wiecznego lazuru, co nigdy nie przygasa. Białe róże i hyacynty wieńczą złomy góry, świecąc oku dalekiego wędrowca jakby lawinami wiecznych śniegów... Królewna jest niema, góra jest niema, nieme są kwiaty i lazur. Panuje tu spokój—wiekuistego życia.

Jęk chaosu nie dotarł tu nigdy. Załamał się po drodze na innych górach, przytulił do innych świątyń, tutaj nie było od wieków wieków innych drżeń, ponad ruchy eteru rytmiczne, jak fale oceanu, ukołysane przez ciszę.

A człowiek? Nie próbował li dotrzeć za siedem gór, za siedem mórz, za siedem borów do białej królewny? Nie wyrwał się li nigdy od dymu chat swoich, od kurzu ziemi i ryku chaosu na pielgrzymkę daleką, do której wzywała go przeczysta królewna, co w snach ludzkich staje przed oczyma, jak boginka w bieli, i niemym ruchem ręki wiedzie „pójdź za mną”.

Ale królewna jest niema, nie szczebiocze, jak nimfa, nie gędzie, jak syrena, więc mało ludzi poszło za nią. Ale byli tacy, co poszli, a wszystkich ich wiodła królewna, a pędziła tęsknica za lepszym

światem, smętek lub żar trawiący, z którego nie umieli zdać sobie sprawy.

Z tych pątników mało który dotarł do kresu pielgrzymki. Ten po drodze wstąpił do żelaznego chramu, którego kolumny obsiadły gniazda sępów i jastrzębi. Pozostał w świątyni władzy i jął ujarzmiać wszechstworzenie. W miarę, im więcej zdobywał niewolników, tem silniejszy stawał się niewolnik, którego miał w duszy swojej. W końcu niewolnik zwyciężył pana swego, i władca konał okropnie, a sępy i jastrzębie dziobały mu oczy.

Inny zboczył z drogi, zwabił go gmach wiedzy ogromny, niezmierzony. Wszedł tam i znalazł się w labiryncie. Chodził ciągle w kółko, aż zakręciło mu się w głowie i zwaryował.

Inny wstąpił do palmowego gaju, gdzie wprowadzono go na marmurowy ołtarz sławy. Woń myrrhy i balsamu odurzyła mózg jego. Zrazu było mu dobrze, potem w ciężkim dymie ociężała mu głowa, napróżno wołał: „powietrza". Zgłupiał.

Innego śpiew syreni zaprowadził nad brzegi wielkiego jeziora, różowego od ciał boginek, wonnego splotami rusałczanych włosów. W wężowych, okrętnych zwojach obwinął go huf topielic, a on piekł się w ukropie z ciał kobiecych. I spalił się do nagich piszczeli, aż go żywioł schował do lodowych katakumb.

Nieliczni doszli do świątyni prawdy. I ku zdziwieniu swemu zamiast prometejskich pochodni i doktryn, rytych na spiżu, ujrzeli tylko białość a ciszę i skromny napis na frontonie:

„Mieszkam w tobie".

Zadumali się i pojęli, a powróciwszy do dymnych chat i kurzu ziemskiego, opowiedzieli braciom swoim, że prawda mieszka w głębinie dusz naszych.

Nie gdzieindziej. I jest jedna tylko dla danego pokolenia. Ta, która ludzi wiąże w społeczeństwa, która dźwiga je i utrzymuje na swych niezwalczonych barach, ta, która jest tonem wspólnym milionów serc ludzkich. To jest prawda *ludzka*, wszystkie inne są przygodne, możemy je znać lub ich nie znać.

Prawda ta jest w ciągłym ruchu, jak w ciągłym ruchu są byty ludzkie. Może rozwijać się bujnie, szeroko, ujawniając się w coraz nowych formach zewnętrznych—zwyczajach, obyczajach, prawach: wtedy mówimy, że społeczeństwo tężeje; może uledz ciśnieniu form zewnętrznych: wtedy krzepnie w lód, pozbawiając społeczeństwo ciepła—duszy.

Każde nowe pokolenie, które posiada w sobie zaród płodnego

życia, musi do odziedziczonej prawdy dodać coś od ciebie. Stąd ostre napaści osobników młodych, o żywem tętnie serca i niewyschniętych mięśniach, na istniejące formy życia społecznego. To nie donkiszotyzm, lecz działanie instynktu samozachowawczego. Im silniejsze, większym talentem ukwiecone są te napaści, tem zazwyczaj bliższy jest wybuch prawdy przez nagromadzone masy skalne— form społecznych.

Tak więc jedyną prawdą, coś dla społeczeństw naprawdę wartą, jest ta, która zawiera się jednocześnie i współcześnie w milionach serc ludzkich. Prawda ta jest zarazem jedyną siłą czynną w znaczeniu zdolności tworzenia nowych form społecznych. Zadaniem ludzi, przodujących sercem i umysłem, jest budzenie, ośmielenie i uświadomienie tej prawdy, która częstokroć cicho drzemie w najtajniejszej głębi wielu dusz.

Naturalnym wrogiem nowej, a raczej uzupełnionej, prawdy są istniejące formy społeczne. Ponieważ ostatnie powstały, jako uzewnętrznienie prawdy innej, przeto do nowego wytworu ducha ludzkiego pasować nie mogą. Zdarzyć się może chwilowo, że siła rzutu nowej (a raczej uzupełnionej) prawdy jest tak małą, a opór czynników biernych tak silny, że najsilniejsze duchy w walce beznadziejnej się łamią, napozór, bez wydania skutku. Są to okresy zgnilizny etycznej, po których liczne przykłady łatwo sięgnąć do historyi.

Co się wtedy dzieje?

Myśl społeczna, owa nowa, uzupełniona prawda nurtująca w wielu jednostkach (w innych rodząca się dopiero), na każdym kroku potyka się o zakrzepłe i nie dające się ugnieść formy. Człowiek zaczyna myśleć inaczej, a czynić inaczej. Nazywa się to fałszem. Potem łatwy krok dalej. *Similia similibus!* Obłuda i fałsz stają się lekarstwem codziennem, używanem, kiedy potrzeba i kiedy niepotrzeba. Człowiek, zniechęcony do samego siebie, za cenę chwilowego spokoju zażywa kłamstwa, jak morfiny.

A niema mikrobu, którыby silniej i bezwzględniej toczył szczęście ludzkie nad kłamstwo. Ani miecz Tamerlanów i Attyl, ani śmiertelne tchnienie czarnego moru nie sprawiły człowiekowi tyle cierpień, ile codzienny system kłamstw, praktykowany przez nas, dziedziców cywilizacyi XIX wieku. Tortura staje się tak dalece nieznośną, że rzadko kto z współczesnych odważa się przebywać dłuższy czas sam na sam z sobą. Ludzie nienawidzą samych siebie tem więcej, im namiętniej kąpią się w zmysłowym szale.

Nie znam człowieka, którыby głębiej zrozumiał niebezpieczeństwo, grożące cywilizacyi europejskiej, niż Henryk Ibsen. Poma-

wiają go o przesadę, pesymizm, burzenie podstaw społecznych, i zapewne znalazłby się liczny poczet ludzi, którzy z całą przyjemnością spaliliby dzieła jego wraz z nim samym na stosie. Ale ataki jego są nieodparte, działa strzelają celnie, a huk ich głośnym echem odbija się w sercach ludzkich, zwiastując popęd do oczyszczenia życia z fałszu. To ponure dziecię północnych mórz i lodowych mgieł bije gromem w spiętrzone barykady przestarzałych pojęć i spodlonych uczuć ludzkich, starając się je spalić. Może jest zwiastunem zorzy?...

Druga połowa dogasającego stulecia pracowała przeważnie dla zmysłów człowieka. Rosnącej w ilość ludzkości starała się zapewnić kawałek materyalnego chleba. W tej pogoni za rozszerzeniem dóbr materyalnych, za wprzężeniem niewyzyskanych form energii sił przyrody do toczącego się wozu cywilizacyi zapomniano, że zadatki szczęścia człowieka, szczęścia, które jest jedynym celem życia, spoczywają we własnej jego duszy. Dusza ta, którą nikt nie miał czasu się zajmować, bo co minuta od pracy wewnętrznej odrywa nas gwizd pędzącego sznelcugu, zapuszczona ugorem, obrosła w chwasty. Siła psychiczna współczesnych wylewała się całkowicie w zmysłach, zmysły zaś nie dawały nic naszemu wnętrzu. Nawet ludzi myślących pochłonęła analiza, jako wymagająca mniejszego wydatku siły psychicznej. Odwyknięto od skupienia się, od syntezy.

Czy było to naturalnem ogniwem w rozwoju cywilizacyi? Mniejsza o to. Może to obchodzić historyka, nam chodzi o istniejący fakt.

Okres współczesny jest epoką kłamstw. I nigdy w historyi obłuda nie dosięgła takiego natężenia chociażby z tego powodu, że bardziej uświadomieni ludzie umieją lepiej kłamać innym i sobie. A jesteśmy niewątpliwie bardziej uświadomieni. Prawda wyrywa się z dusz naszych, a my bronimy się przeciwko niej całą siłą fałszu, bojąc się wypuścić niewolnika, aby nas nie zamordował! Proszę zwrócić uwagę na tego nieszczęśliwego chorego, który idzie do lekarza szukać porady na cierpienie. Lekarz pyta go o symptomaty, a on wykręca się, czyni wszystko, aby przedstawić chorobę pod jaknajłagodniejszą postacią. Kłamie przed tym, który ma go leczyć! Podobnież i my okłamujemy sumienie własne.

Im społeczeństwo w nieszczęśliwszych znajduje się warunkach zewnętrznych, tem prawdzie trudniej jest przemódz opór biernych sił. Strach przed prawdą dosięga niebywałych rozmiarów, a okłamywanie samych siebie staje się jakby cudownym eliksirem żywota, podczas, gdy w rzeczywistości jest wyniszczającą organizm morfiną.

Dla wielu powodów nasze społeczeństwo jest jednem z tych, które najbardziej lękają się prawdy. Może być szeptana po cichu przez tysiące ust, może tkwić w głębi licznych dusz ludzkich i to uświadomiona, ale wystawiać jej na forum publiczne nie wolno. Ci sami, którzy pokątnie przyznają się do niej, stając przed opinią publiczną, wkładają szaty augurów i karcą śmiałka, który odważył się był uderzyć w zwietszałą kolumnę. I prawda, że tak rzekę, staje się wrogiem instynktu samozachowawczego... Co za błąd!

Popełniono zbrodnię, na którą wzdryga się współczesna dusza społeczna. Milczenie! Hasło nasze—to „prać brudy w domu". Zgoda, ale jeżeli mam prać ją w brudnych mydlinach, to wolę ponieść ją do rzeki i publicznie w oczach wszystkich oczyścić. W płynącym potoku brud zniknie bez śladu, a bielizna będzie, jak śnieg.

Dla nikogo na świecie, jak dla nas, nie byłoby tak zbawienne spoglądanie w głębię swojego ja, spowiedź przed samym sobą, zajrzenie w oczy prawdzie. Niech będzie „naga" i „bezwstydna", ale kąpana w „Styksowym mule". Bo z mułu powstaliśmy, a „Styks", to nieśmiertelność. Nigdy poeta nie rzucił ludowi swemu cenniejszej myśli!

Prawda tworzy cnotę, instynkt—co najwyżej—dobroć. My posiadamy dużo ludzi dobrych, ale mało cnotliwych. Jeżeli w mowie potocznej częstokroć żartobliwie uważamy „dobry" za jednoznaczące z „głupi", nie jest to pozbawione trafności. Człowiek dobry to bierność — może być narzędziem w ręku anioła lub dyabła, rzecz to wypadku. Człowiek dobry nie jest twardą, wypaloną cegłą w gmachu społecznym.

Siła czynna, twórcza—to człowiek cnotliwy, z którego w ogniu prób sypią się tęczowe iskry. W życiu społecznem zatacza szerokie kręgi wpływu, budząc w głębi innych świadomość drzemiącej w nich prawdy. Ale cnotę posiąść może tylko ten, kto wydobył z głębi ducha swojego, skrysztalił i ukochał prawdę—szczerze—bez zastrzeżeń, bez granic...

Chodźmy więc jaknajczęściej za siedem mórz, za siedem lasów, za siedem borów do czystej królewny, aby przekonać się, jaki napis wyryła na frontonie swej świątyni. Pociągnijmy tam rzesze. Wtedy przestaniemy okłamywać samych siebie, stężejemy i odbierzemy berło panowania nad opinią publiczną handlarzom uczuć społecznych albo Hamletom, którzy wyostrzoną szpadą zabijają... szczury.

Ignacy Grabowski.

PONAD SIŁY.

POWIEŚĆ.

ROŹDZIAŁ I.

Ukochana!

„Na czarnem sklepieniu nieba gwiazdy, nieruchomo wpatrzone w wieczność, czekają. Cisza—gdyby aniołowie zlatywali na ziemię, słyszałbym szelest ich skrzydeł. Twój duch łagodniej, aniżeli szelest skrzydeł, idzie do mnie. Myśli twe wypełniają szałas, zbliżają się, płomień świecy chwieje się, chociaż odetchnąć nie śmiem.

„Zamykam oczy, głowę pochylam i czuję, jak dłoń twoja miękka, przejrzysta dotyka się pieszczotliwie mego czoła. Pod jej ciepłem pragnienia moje układają się do harmonii, nadzieje kołyszą je, wzrok duszy wgłębia się we mnie, uczuwam siłę, energia wstrząsa mi nerwy. A myśli twoje, dobre twoje myśli tulą się do mnie, wypełniają mój mózg, rozgrzewają serce.

„Staję na progu szałasu. Środkiem doliny płynie rzeczka i cicho rozmawia ze sobą, mgła delikatna, biała, przejrzysta, wychodzi trwożliwie z wody i szybko ucieka na błonia. Dalekie ogniska świecą

czerwonemi światełkami, a po obu stronach doliny góry, najeżone lasem, stoją na straży. Nademną niebo i gwiazdy z szeroko rozwartemi źrenicami, błyszczące, spokojne i mądre.

„Jesteś ze mną! Jakgdyby na progu wieczności, odczuwam twoją obecność, twój oddech i twoją płynącą myśl... O, moja trosko życia, gwiazdo promienna, siło mojej duszy!...

„W błyskawicach myśli, w twórczości mej, w natchnieniach i pragnieniach widzę twego ducha! Bądź błogosławiona!

„Kocham cię, jak dobrą myśl, spełnienie obowiązku, ciche zadowolenie uczciwego życia, jak ofiarę, dobry uczynek, świętość i miłość, westchnienie za niedościgłym ideałem!... Kocham cię, jak radość mego serca, szlachetną duszę, uczciwą pracę, pragnienie służenia dobrej sprawie!... Kocham cię, jak biedę i niedolę mego ludu, który dźwignąć pragnę. Kocham za myśli moje, lecące ku mnie, jak łańcuch żórawi, wiążący przeszłość z przyszłością!... I kocham twoją tajemniczość, siłę twego ducha, który prowadzi mnie naprzód wysoko i coraz to nowe słońca przedemną zapala.

„Kocham cię, jako wiosnę mego życia, jak samo życie, jako duszę mej duszy. Nieskończoność moją czuję tylko w tobie i z tobą!

„I nieraz myślę, że ty jesteś koniecznością i ideą mej istności, siłą mego życia, rozpędem mych pragnień i samą miłością! Ktoś ty?—jeśli ci oddaję młodość mą, życie, nawet myśl o rozkoszy, przyszłość moją, a nic w zamian nie żądam, nic nie śmiem żądać, nawet nie pragnę!

„Masz śliczne, wielkie, niebieskie oczy, uśmiech radosny i usta z koralu. Hebanowe twoje włosy spadają kaskadą na śnieżne ramiona, a na czole, prostem i równem, rozściela się zadumana dobroć, w myśli bogata. Z oczu twych idzie wola, z czoła moc.

„Kocham głębię twych oczu i blaski, płynące po promieniach twego wzroku. Kocham twój uśmiech dziecka, rozkosznie mówiący o nieświadomości czarów, jakie rozrzucasz, i kocham białe szeregi pereł, wyglądające z za korali ust.

„Powoli, powoli od ciągłego patrzenia zmieniasz się w mych oczach. Lecisz naprzód, drogę ścielesz „perłami jaśminu i maków koralami" i wiedziesz mnie—aż zawiodłaś tu, w tę dolinę.

„Głos parowej piszczałki przeciągły i długi wypełnia dolinę, za nią róż jutrzenki, wychylając się z poza ściany czarnych jodeł, zmienia się szybko w seledyn i białość przejrzystą. W tej jasności widzę cię, lecisz na zachód, rzucając perły jaśminy i maki korale.

„Wyciągam do ciebie ręce, słońce jasnym snopem rzuca się w dolinę, ty zsuwasz się za ciemną ścianę jodeł, oddzielającą świat, mnie dochodzi odgłos ludzi, idących do pracy.

„Tyle tu do zrobienia. Gdybym miał mózg dziesięciu geniuszów, rozum stu mędrców, energię tysiąca szatanów, czuję, wszystko byłoby za mało, a biedni ludzie się skarżą na brak zajęcia.

„Moi chłopcy już są, czekają na mnie u progu.

„Nie kończę, myśli nie można zrywać, jak pajęczyny. Noce majowe są schadzką kochanków lub ich duchów.

„Przyjdź znowu... Do widzenia. Twój. Tadeusz".

ROZDZIAŁ II.

Powstał, drzwi otworzył, na progu stała garstka Mazurów. Chłopi niezbyt rośli, lecz zgrabni, zbudowani, jak atlety. Śmiałe spojrzenia i uśmiechy szczere mówiły, że się nie boją samego dyabła, a cóż dopiero pracy i wysiłków energii.

Nieco w oddali od szałasu szarzeli Rusini. Baranie czapki sterczały na ich głowach, brunatne siermięgi okrywały plecy. Chudzi i czarniawi, za to smukli, w oczach przestrach, pokora i hodowana wiekami podejrzliwość. Pierwszeństwo oddawali Mazurom, jako panom i arystokratom, mądralom i zuchwalstwa pełnym. Ulegali im i bawili się z nimi, lecz ich nie lubili, zazdrościli im buty i energii, na które zdobyć się nie mogli.

Widać było wśród czarniawej gromadki młodzieńców pięknych i silnych o jasnych wąsikach, wielkich, niebieskich oczach, wypełnionych melancholią i zadumą...

Dwa bratnie narody. Jeden z zachodu niósł czyn i siłę, drugi spokojny, ociężały, zmagnetyzowany biedą, zadumany, nie wiedział jeszcze, co z ofiarowanymi darami robić. Wyciągnął ręce, aby wziąć, a strach go przejmował.

— Dyrektorze, rzekł najtęższy wiertacz z Mazurów w niebieskiej bluzie, grubych butach i skórzanych spodniach,—wszystko gotowe, w kotle wre, świder na łańcuchu, chce się urwać.

— Nie ucieknie,—dodali drudzy. Tylko ci piszczy, tak mu się chce kiwać.

— A wam co się dzieje? — zapytał wesoło Tadeusz, wychodząc poza próg.

— Nam jeszcze bardziej się chce, odpowiedział jeden z nich. Przyszliśmy aż tu, w samo serce Rusi, za tą czarną mazią, skrytą w ziemi, i jeszczebyśmy jej nie chcieli szukać? To jużby Bóg odwrócił się od nas.

— Znajdziemy, przyświadczyli inni głośnym szmerem!

Tadeusz zwrócił się do Rusinów, baranie czapki spadły, odkryte głowy pochyliły się.

— Sława Bohu!

— Na wiki wików—sława!

Mazurzy otoczyli dyrektora swojaka, stanowiąc przyboczną jego straż.

— Pragnę was prosić o pomoc, rzekł Tadeusz, wpatrując się w zamglone, rozmarzone oczy gromady.

Ręce Rusinów frasobliwie podniosły się do głów, paznogcie zaczęły drapać skórę pod włosami — Mazury w śmiech.

— Bracia, pan daje wam zarobek, dobry i stały, odezwał się wiertacz. Jeżeli nie jesteście durni, to zamiast drapać się w głowy podziękujcie panu i pokłońcie się.

Rusini spoglądali dobrotliwie na siebie...

— Gdyby tak gdzie, zawołał młody Mazur, w zapadłej naszej górskiej wiosce zjawił się pan i powiedział: „dzieci, nie chodźcie do Saksów, ani na Ruś, ja wam daję zarobek, tobyśmy go w górę, jak króla, dźwignęli! A wy? wy umiecie pazurami skrobać włosy i podrywki szukać.

— Wy inny naród, my nie tacy, jak wy—rzekł urażony Rusin z gromady.

Ręce od głów zsunęły się na dół.

— My bracia wasi, wołali Mazury.

— A czegóż to naprawdę panicz chcą — spytał najstarszy—wójt.

— Chcę węgla, żelaza, skór, zboża, drzewa...

— My toho nie majemo.

— Ale jest w Kołomyi, przywieźć możecie...

— U nas statki słabe, uprząż licha, konie biedne.

— To sobie sprawcie mocne.

— Horoszy niet!

— Dam zaliczkę na odpowiedzialność gromady.

— A potem za nią zabiorą chudobę.

— Braty, bójcie się Boga, wołał wiertacz, szczęście do was idzie, a wy je odpychacie.

— Łap je sam, kiedyś taki mudry.

Gromada w śmiech!

— Biery je sam, powtarzali za starszym.

Tadeusz magnetyzował wzrokiem Rusinów. Spuszczali oczy, lecz twardo stali w uporze.

— Namyślcie się, pogadajcie ze sobą i przyjdźcie mi powiedzieć, ale dziś, bo jutro kupię wozy i konie...

— A wiele to panycz daje?

— Płacę od cetnara lub za furmankę do Kołomyi dwa guldeny. Można dwa razy obrócić, to cztery guldeny dziennie, przez dziesięć dni czterdzieści, przez sto czterysta...

— Mało — rzekł cicho starszy.

— Jeszcze wam mało? zawołali oburzeni Mazury. Gdyby tak u nas!

— Wy inni, my inni!—Z tymi wyrazami pokłonili się i odeszli.

— Wrócą? spytał Tadeusz, idąc ku wieży, otoczony Mazurami.

— Pewno za nich przyjdzie Żyd, odpowiedział wiertacz.

— I pewno będzie ich chciał obedrzeć, lecz na to nie pozwolimy, dodał Tadeusz.

— A jak nie będzie innej rady?...

— Musi być,—obronimy głupich!

— A jak się na to nie zgodzą?

— Twardy to naród, zrobił uwagę jeden z Mazurów, ujrzy, a nie wierzy!

— Kładzie palec w ranę i jeszcze jucha nie wierzy.

— Wy nie potrzebujecie kłaść palca w ranę, wierzycie!...

— Mamy przecie rozum, panie dyrektorze, — rzekł z dumą wiertacz.

— A ponieważ oni go mają mniej, aniżeli wy, to powinniście być dla nich cierpliwsi.

— Prawda, ale my ich nie nauczymy.

— Róbmy swoje i nie pytajmy, co będzie. Zawsze będzie lepiej, niż było.

Mazury nie odpowiedzieli—stając w półkole przy otworze drewnianej wieży. Do środka wszedł Tadeusz, za nim wiertacz, jego

pomocnik, maszynista, chłopiec, podający z wieży sztangi. Na oparciu orurowania leżało wielkie, potężne dłuto, przymocowane łańcuchem do żórawia o potężnej belce.

— Miał ci ochotę sam ryć, aleśmy go łańcuchami przytrzymali, rzekł wiertacz, gładząc wyszlifowane dłuto, zwane świdrem w nafciarstwie.

— Jak głęboko ziemia? spytał Tadeusz.

— Na półtora metra—wodą naniesiona, dalej kamień.

Podał oderwany prostokątny sześcian.

— Gdybyś ty nam powiedział, zaczął Tadeusz, jakie źródło ropy okrywasz?

— Może cały staw, zawołał chłopak.

Wykrzyk chłopaka rozweselił gromadkę.

— Co będzie, to będzie, ale zawsze ropa musi być, rzekli Mazury. Wszędzie jej pełno!

Maszynista dał znać, że para gotowa.

— Jazda! szepnął cicho wiertacz, łaknący rozpoczęcia swej czynności.

Wszedł trzydziestoletni mężczyzna o łagodnem wejrzeniu i serdecznym uśmiechu.

— Przecie i ja chcę być, mówił, na uroczystości.

Mazury zdjęli czapki—za nimi poszli Tadeusz i jego zastępca. Zrobiło się cicho, uroczyście, serca biły głośno.

— Kasper, przeżegnaj, rzekł wzruszonym głosem Tadeusz.

Wiertacz podniósł w górę rękę.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

— Amen, zakończyli robotnicy.

Tadeusz położył rękę na świdrze.

— Przysięgam sobie i wam, że wydobyte bogactwa z ziemi oddam napowrót tej ziemi i ludziom, którzy na niej żyją. Tak mi Boże dopomóż.

— Amen — rzekł pomocnik. Amen, powtórzyli robotnicy.

— Zrozumieliście?—spytał Tadeusz otoczenia

— Ba! coby nie? rzekł Kasper. To znaczy, że nic la siebie, a wszystko la ludzi, co tę świętą ziemię obsiedli, la wszystkich na całą okoliczność!...

Tadeusz podał mu rękę—uściskali się.

— Wiwant! zawołał chłopak od sztang z wieży. Mazury za nim!

— A teraz niechaj ręce wszystkich dotkną świdra i powoli spuśćmy go w szyb, dał rozkaz Kasper.

Dłonie całej gromadki położyły się na świdrze, poczem sześciu najsilniejszych dźwignęło go w górę.

— Trzecią częścią pary — zakomenderował Tadeusz.

Żóraw się podnosił wolno, łańcuchy zaszeleściły, sztanga stanęła pionowo, młot zepchnięto w otwór, żóraw pochylił się na dół, wiertacz chwycił sztangę, świder spadł na kamień, ziemia jęknęła.

— Zdrowo,—odpowiedzieli jękowi ziemi Mazury.

— Pół pary, rzekł Tadeusz do maszynisty. Dźwigał się świder coraz prędzej i spadał gwałtowniej.

— Śmiało! całą parą!

Świder bił, że ziemia drżała, jak serca Mazurów radością i ochotą. Wiedzą, że, jeśli szybu nie zagwożdżą, a ropa przyjdzie, wszyscy dostaną gratyfikacye, kopalnia się powiększy, dochody się utrwalą...

Muzyka zaczęła grać ogniskami w piecach, wodą w kotle, jęczeć w transmisyach. Odczuwało się we wrzeniu tej muzyki cywilizacyę, jako zastępstwo sił ludzkich parą i kapitałem.

— Pierwsze ognisko, na tych wielkich obszarach stworzone, rzekł wesoło Tadeusz, biorąc pod ramię towarzysza.

— Cóż, kiedyśmy tu obcy, pracujemy obcymi kapitałami, obcymi ludźmi, wszystko obce.

— Ale ziemia nasza słowiańska. Każdy ruch cywilizacyjny wszędzie odbywał się obcym najazdem. Cywilizacya się narzuca, daje ciężkie troski, lecz i rozkosze daje — nagradza. Prymitywny lud czuje do niej wstręt, boi się jej, przeczuwa udręczenia i nie chce ich...

— Pocóż więc mu ją dajesz?

Stanęli. Tadeusz rozśmiał się cicho, serdecznie.

— Bo widzisz, kochany Felu, oni ją już mają na karku, gniecie ich, ponoszą ciężary, których nie mogą udźwignąć przy braku kultury i padają lub uciekają. Tak, tak, uciekają za morza przed cywilizacyą, która im dużo zabiera, a prawie nic lub bardzo mało dotąd daje, a tego, co daje, udźwignąć nie mogą. Austrya jest uboga i łagodna, to też powoli, cierpliwie, a długo zdziera z nas skórę.

Felowi białe zęby wyjrzały z poza płowych wąsów, a oczy niebieskie patrzały smutno.

— Prawda, rzekł. Jeżeli mybyśmy tu nie przyszli, to niezawodnie zlecieliby się Niemcy, Anglicy i szybko, jak błyskawica, wyssaliby bogactwo, zostawiając za sobą pustkę i ruinę.

— My nie okradniemy tej ziemi z jej bogactwa i nie uciekniemy. Bogactwo w postaci cywilizacyi wróci do tego ludu, a i on, zahartowany pracą, zacznie z niej brać, co udźwignąć może.

Świder stanął, ziemia przestała jęczeć. Zatrzymali się obaj i całą siłą młodych nóg pobiegli do wieży.

— Kasper, za prędko stanąłeś.

— Kamień twardy, jak opoka, jak granit!... Poruszam świder z całych sił, a on wciąż w miejscu. Dobry to znak! Pamiętam w Harklowej taką samiuśką mieliśmy twardziznę, a potem ropa buchnęła pod niebo!... Ot—za sucho jest—wody trzeba.

— Z kubłami po wodę wszyscy, róbmy łańcuch prędko. Kasper będzie lał i powie, kiedy dosyć.

Chłopak skoczył po kubły, łańcuch wyciągnął się niewielki, i dlatego do szeregu stanęli Tadeusz i Feliks. Chęć i ochota do pracy dyrektorów dobrze działały na robotników. Wspólność pracy bratała ich, wytwarzała się zażyłość, a z nią i obopólne przywiązanie.

Chłopak stanął w rzece u brzegu, nabierał wodę, podawał kubeł, który, idąc z rąk do rąk, dochodził do wieży.

— Dosyć—zawołał Kasper, gdy wodę widać było w szybie.

— W twardym kamieniu zrobiło się łożysko i woda siedzi sobie, jak w filiżance. Teraz niech idzie świder, będzie mu milej.

Mazury się zaśmiali, jako naród okrutnie do wesołości ochotny i z animuszem wrócili do roboty. Pasy warknęły, żóraw się podniósł, łańcuchy wyprężyły, świder spadł, aż woda z szybu wyprysnęła.

— Kąpże się, jucho, jak kaczka w błocie, zawołał wiertacz.

Tadeusz pochwycił za sztangę i zaczął świdrem kierować. Kasper poczuł w nim artystę i mimowoli pokochał go, jak swego.

— Panoczek świdrem obracają, jak pisarz piórem, a przecież to ciężkie rzemiosło. Niechże panicz mnie wyręczą, polecę do kowala po nożyce, niedługo będą potrzebne.

Wybiegł z całym rozmachem młodości. Chłopak, maszynista i pomocnik patrzeli zdumieni, jak świder pod silną dłonią, trzymającą sztangę, regulował swoje uderzenia.

Tadeusz, ubrany w bluzę i długie buty, przedstawiał typ dobrze zbudowanego młodzieńca. Zgrabny, ramiona szerokie, długa szyja,

oczy jasne, słowiańskie, osadzone głęboko, i czoło wypukłe, całość mówiła o energii, wielkiej fantazyi, niewyczerpanej miłości idei, optymizmie i marzycielstwie. Zarówno mógłby być apostołem, filozofem, prorokiem nowej religii, męczennikiem dobrej sprawy, jak dziś był inżynierem, mechanikiem, przemysłowcem.

Usta miał świeże o ładnym rysunku, uśmiechające się łagodnie i miło, jak kiedy kwiat otwiera swój kielich do słońca. Zwykle zamyślony i roztargniony, czuł potrzebę wypowiadania się przed ludźmi, których kochał i wierzył im. Ta chęć zmuszała go do jasnych określań zdań i do ich pięknej formy, wytwarzając z niego pierwszorzędnego mówcę. Szero` i umysł, głęboki, bystry przesycony był uczuciem miłości.

Wielka różnorodność wiedzy i łatwa zdolność zdobywania jej popychała go w różne kierunki, na wszelakie pola dociekań. Organizacya nerwowa, delikatna, nie lubiąca walk, potrzebująca wierzyć ludziom, szukała tych, którzy mu ślepo ufali i kochali go.

Kasper przyniósł nożyce, z kowalem pochwycił sztangę i rozśmiał się.

— Idzie prościutko, aż miło—już jabym uczuł w odbiciu świdra i drżeniu sztangi najmniejszą krzywiznę. Mnie w Jasielskiem miano za pierwszego wiertacza, lecz i paniczowi niema przygany. Znamy swoje rzemiosło!

— Dlatego powinniśmy razem iść.

— Już ja panoczka nie opuszczę, póki mnie sam nie odegna...

— Trzymajmy się i nie dajmy się, dodał Tadeusz.

— Nie dajmy się—abo padnę, abo się dorobię!...

— Dorobisz!

Kasper zacisnął pięść i podniósł ją w górę. Był to Mazur z krwi i kości, butny, zacięty, mocny, nie przebierający w środkach, wytrwały, pracowity, oszczędny, a gdy miał zapruszoną głowę, bitny zawadyaka.

— Całą siłą pary, krzyknął na maszynistę—jazda! Niech ziemia jęczy, a świat się raduje. Psiakrew, dodał pocichu, bo gdyby nie dodał, nie byłby Mazurem. Psiakrew, powtórzył głośniej, musimy dostać tej smoły, co ją dyabli z piekła pod ziemią rozlewają!... Jazda! ha! ha!

— Ha, ha! powtórzyli za nim maszynista, pomocnik i chłopak.

— Mazurska krew gorąca, i dlatego robota pali nam się w garści.

— My nie ruśniaki—dodał chłopak.

— Mam ochotę, zawołał Kasper, sprać ich na kwaśne jabłko!... Bo nie bydło to, taki zarobek odpychać!

— Nauczymy ich, na sposobną chwilę, tylo jej patrzeć,—rzekł pomocnik a chłopak za nim kończył:

— Niech się oni tylko w ręce majstra dostaną.

Wieża zawrzała radością.

— Otrzeźwimy ich, mówił dalej Kasper—łażą, jak ćmy, gęby rozdziawiają i patrzą na nas, jak na zbójów! My nie zbóje, my uczciwie pracujemy na chleb... A tańcujże, świdrze, i jęcz taką muzyką, żeby się dusza radowała. Wiecie, chłopcy, co wam powiem, czuję okrutną ropę.

— Daleko?

— Zaraz na drugiej stówce metra... Stój!

Maszynista ściągnął pas—świder stanął.

— Przebiliśmy twardą skałę, i świder włazi w potłuczoną warstwę kamyków. Będą ci się do otworu sypać. Ale i to przemożemy. Chłopak, dawaj nożyce.

Tadeusz chodził nerwowo po kancelaryi, skleconej z desek. Przy stoliku, umieszczonym pod wielkiem oknem, siedział Feliks, przed nim leżała rozwarta księga, karty jej zapisane cyframi.

— A zatem rachunek—zapytał Tadeusz, stając raptownie.

— Rozpoczęliśmy siedemdziesięcioma tysiącami. Dwadzieścia własnych, pięćdziesiąt kredytu, zostało do rozporządzenia trzy. Gdyby metr wiercenia w szybie kosztował dziesięć złr., to mamy czem wybić trzysta. Lecz kosztuje więcej—a i my musimy jeść, zalepiać braki, kupić węgla i drzewa.

— I rozszerzać się, zawołał Tadeusz. Co znaczy jeden szyb, gdy potrzeba pięćdziesiąt, pięćdziesiąt kotłów, pięćdziesiąt maszyn.

— I przyjdzie do tego, ale powoli, dziecko, powoli. Gdy ropa należycie wytryśnie z pierwszego szybu, znajdą się pieniądze na drugi, choćby za sprzedaną ropę—i tak dalej.

— I życie zmarnujemy na dwudziestu szybach, a tu robić trzeba. Robota nie czeka, społeczeństwo nie czeka, idee nie czekają.

— Czekały dotąd, Tadziuniu, poczekają i dłużej!... Pali ci się pod stopami.

— Pali, przerwał. Jakiż kraj dziki, żeby nie miał kredytu na roboty, które mu dadzą miliony!... Czuję tu—uderzył nogą—miliony, a tyle nowych robót do podjęcia na innych polach. Gdzie spojrzę, serce się krwawi, a głowa pęka!... Zdaje mi się, że sama natura, żywioły, ludzie wyciągają do mnie ręce i wołają—wydobądź nas

z nicości, my chcemy żyć—ratuj!... Cóż to jest ta jedna dolina, gdy cała Galicya woła ratunku.

— Tadziu, tu nie Anglia, a biedny, chory kraj bez mieszczaństwa, a więc bez handlu i przemysłu, wiekami gospodarowany przez uprzywilejowanych, a na końcu przez wrogą, zaciętą i ograniczoną biurokracyę austryacką.

— To też należy go czemprędzej leczyć, wydobyć, cucić, do zdrowia przyprowadzić, są lekarstwa! To kraina, która może być bogata, jak Belgia, gdyby rozum miała.

— Jesteśmy w domu, gdyby rozum miała. Stwórz rozum w społeczeństwie biednem, sterroryzowanem wychowanem w służalstwie i szukaniu łatwej karyery, łatwego kawałka chleba, nie mającem pojęcia o wysiłkach woli, energii, wytrwałości, samowiedzy, inicyatywie, pomysłowości. Robotników masz, bo masz Mazurów, lud zacięty, przemyślny, w którego żyłach płynie gorąca krew, w mózgach pragnienie zdobycia niezależnego bytu. Stań na pierwszej górze i zawołaj:—daję pracę, a stu Mazurów z pod ziemi wyskoczy i przed tobą stanie... Ale wołaj o ludzi, o mózgi—wołaj: pomocników pragnę, samodzielności szukam. Wiatr twoje słowa rozniesie i zrobi się cicho, jak na pustyni. Może się znajdą filuci, wietrzący łatwe geszefta, to jest naładowania prędko kieszeni i drapnięcia.

Tadeusz stanął, oczy mu zaszły melancholią.

— Więc jestem w tym kraju sam? szepnął.

— A ja, Tadziuniu, twój Felek? Przecież mógłbym mieć niezłą idyotyczną posadę przy idyotycznej kolei, a jestem przy tobie, a nasz przyjaciel w Podniebiu, a trzech moich kolegów, którzy, nie mogąc znaleźć pracy w kraju, pojechali do Argentyny!... A tylu młodych rośnie na politechnice dla ciebie. Wielkie zajęcia tworzą i wyrabiają ludzi. Mizeraki, słabi i karyerowicze pchają się do urzędu na biedę, ale spokojną i cichą, kramarze do kramów. Krewcy uciekają zagranicę. Zrobiłbym to samo, gdybyś się nie zjawił.

— Niema ludzi, wszystko się o brak ludzi rozbić może. Ludzi, ludzi—wołał Tadeusz. Nie kapitały, nie bogactwa ziemi, tylko ludzie robią!... Co znaczy siedmiu ludzi, na siedem milionów. Zawołaj kolegów z Argentyny.

— Dobrze, dziecko, lecz niech będzie do czego, dziś zaczęliśmy pierwszy szyb i do niego, jak widzę, mamy w Kasprze znakomitego wiertacza.

— Ludzi, ludzi—szeptał Tadeusz...

— Wodzów tworzy wojna, nie rozpaczaj!... Naprzód miejmy wojnę.

— Ależ o to najmniejsza—mamy ją już!

Do kancelaryi wsunął się Żyd, Feliks spojrzał znacząco na Tadeusza, porozumieli się wzrokiem!...

— Co pan powiesz?...

— Ja nic nie powiem, przyszedłem się pokłonić wielmożnym panom i popatrzeć na dziwa. Sama maszyna tak osobliwie dziurawi ziemię!...

— Byłeś pan w szybie.

— Byłem i dziwuję się. Bije, że się ziemia trzęsie, aż strach człowieka ogarnia, żeby się nie zapadła.

— A zatem?

— Czy wielmożni panowie czego nie potrzebują?

— Nie.

— Furmanki pod materyał z Kołomyi?

— Furmanka to zarobek okolicznej ludności, lecz ponieważ nie chce, sprawiam konie i wozy, Mazury wozić mi będą.

— Mazury, zawołał Żyd, te draby, oni ludzi zabijają, a nie zabijaliby biedne zwierzęta?

— Cóż mamy robić?

— Nie dawać Mazurom, to rozbójniki! Mnie spokojnemu człowiekowi kości na krzyżach nadwyrężyli! Ja będę woził, ja znajdę ludzi, dla mnie pojadą.

— Rusini mówią, że cena mała, jaką im podajemy, a gdy się będą musieli z panem dzielić, dopieroż to zaczną na nas narzekać. Nie przyszliśmy tu obdzierać, lecz zbogacać.

— Bardzo to pięknie ze strony panów.

— Kto pan jesteś?

— Propinator w Swobodzie, znają ludzie na całą okoliczność Arona Pinkasa.

— Panie Aronie Pinkas, racz powiedzieć gromadzie swobodzkiej, że, kiedy ona nie chce zarabiać i zbogacać się, to zrobią to z ochotą Mazury.

— Wiem, że oni umieją ludziom z gardła zarobek wyrywać, te braty psów.

Tadeusz zaczął rozmawiać z Feliksem po angielsku. Aron nadstawiał uszy, bo mu się zdawało, że po niemiecku, lecz nic zrozumieć nie mógł.

— To jakaś zamorska mowa, rzekł głośno, zdaje się, hamerycka.

— A zatem, panie Aronie, gromada albo Mazury. Jeśli masz w gminie wpływy, to pomagaj nam.

— Dla czego wielmożny pan mnie nie chce? Czy dlatego, że ja Żyd?

— Powiedziałem już, że to zarobek gromady. Żegnam pana. Skłonił się i wyszedł.

— A teraz co z nami? odezwał się Aron do Feliksa.

— Co z nami? Co to znaczy, panie Aron?

— To znaczy, że my, panie kasyer, moglibyśmy ze sobą pogadać mądre słowo.

— Proszę o mądre słowo pana Arona.

— Mnie się zdaje, że pan dyrektor umyślnie wyszedł, bo nie chce spuścić ze swego honoru, ale nam daje sposobność zrobienia interesu. Wiele mam odstąpić panu kasyerowi?...

— Nic, panie Aronie, nie jestem do odstąpienia.

— To wiele dostanę za namówienie gromady?...

— Nic, panie Aronie.

— Jakto nic?

— Dyrektor jest moim przyjacielem, bratem, ja jego wspólnikiem. Jeśli gromada nie chce—Mazurom kupujemy konie.

— Niech oni z piekła nie wychodzą!

Nie chcąc dłużej rozmawiać, Feliks wyszedł. Aron za nim — pożegnali się.

— Co to za przyjacielstwo?... Jakgdyby przyjacielstwo przeszkadzało interesowi. Dziwny jakiś naród,—kręcił głową. Ciężko —takiegom narodu jeszcze nie widział...

Zobaczył przelatującego Mazura, zaklął wściekle i, nie oglądając się, wracał do domu.

Mazury go dusiły. Gdyby nie Mazury, byłby panem położenia, dyktował warunki, panował, oparty na Rusinach. Mazury popsuli mu szyki, cały plan. Z władzy swej nad Rusinami nie może ciągnąć zysków, Mazury mu nie dają!... Przypomniał sobie nadwerężone krzyże i wstrząsnął się z oburzenia. Jemu, przed którym każdy Rusin na całą „okoliczność" czapkę zdejmował, a dziedzic i urzędnik był z nim za pan brat,—taki łajdak Mazur śmiał się dotykać jego arystokratycznych krzyży!...

— Szelmy, łajdaki, ja was jeszcze nauczę, ja wam pokażę. Zdechnę, a nie dam wam zarobku z furmanek.

— Panie Żyd, panie Żyd, wołał za nim Kasper, stojąc na progu wieży, dużo wyszło gęsiego szmalcu na wygojenie krzyży wielmożnego pana Żyda?...

Aron stanął, jedną rękę włożył z pańska za pas, drugą groził z zawziętością.

— Panie Żyd, dodał Kasper, czy i w bucie palcem grozisz—powiedz, Aronku.

Głośny śmiech wesołości zlewał się z hukiem świdra i jękiem ziemi. Aron, drażliwy na szyderstwo i śmiech, odchodził szybko, przeklinając z namiętnością wschodu psie Mazurów plemię. Dopadł do rzeczki, rozzuł się, wodę przeszedł, na drugiej stronie usiadł i odpoczywał, układając plany zemsty i możliwe zyski na Rusinach przy dostawach.

Do wieży wszedł Tadeusz.

— A nie mówiłem panu, że Żyd przysłał Rusinów, kazał im odejść i sam za nich przyszedł. Znam ja żydowskie prześpiegi, znam i drogi, którędy chodzą.

— Nie draźnijcie Żydów, bo może być z nami źle. Kołomyja blizko.

— Żebym miał stu takich, jak sam jestem, dziś idę na Kołomyję.

— My z tobą, zawołali pomocnik i maszynista.

— Po co?

— Uskromić Żydów.

— A jakby Żydzi chcieli was uskromić?!...

— My skromni, myśmy Chrystusa Pana nie wlekli na krzyż..

— Ale za duże buty macie, a Żydzi chcieliby, żebyście przed nimi czapki zdejmowali, i tu przyszli was mordować, jak wy chcecie iść na Kołomyję...

— Tobyśmy się spróbowali...

— Padlibyście pod razami tłuszczy żydowskiej.

— Ale nimby nas zmogli, wieleby ich padło?

— Kochaj bliźniego, jak siebie samego!

Mazury oczy rozwarli szeroko.

— Abo to Żyd bliźni, odezwał się cicho chłopak.

— A czemże jest—psem? Nie dość, że nas mało, do tego Niemcy nas gnębią i duszą, wszędzie mamy nieprzyjaciół, a wy jeszcze nowych tworzycie.

— My nie, zawołał Kasper, oni nas zdzierają.

— Wiecie wy dobrze, jak się najlepiej obronić Żydom? Nie dać się im oszukiwać, a wtedy Żydzi poszukają sobie innych zajęć, i będzie zgoda.

— Ba, gdyby to można!

— Dlaczego nie można?—Głupsi jesteście od Żydów! Gdybyś-

cie byli mądrzejsi, tobyście się nie dali—i stąd wasza nienawiść. Złapałem was.

Wyszedł. Mazury patrzeli na siebie.

— Kochaj Żyda, jak bliźniego — powtórzył Kasper. Abo to Żyd mój ziomek, brat albo swat? Żyd zesłany na naszą ziemię, jako kara boska, jako szarańcza.

— A może dla tego, żeby nas uczył rozumu?—odezwał się maszynista.

— My go mamy dosyć dla siebie, przerwał Kasper, i skóra u nas twarda i pięść, jak stal... Nie damy się i Żydom.

— A juści, dodał chłopak. Kiejśmy się nie dali biedzie i żyjem, to się i Żydom nie damy—dokończył.

— Jasiek, ty czasem i mądre słowo powiesz.

— Bo prawda! poświadczył chłopak z dumą.

— Prawda, prawda nie daliśmy się biedzie, jest nawet trochę uciułanego grosza, to Żydzi fracha.

Inaczej myślał Aron, wracając do domu.

— Wygryźć Mazurów i zastąpić ich moimi ludźmi, a wtedy ja będę rządził kopalnią.

Przyśpieszył kroku, na drodze spotkał jadącego Rusina, wsiadł na jego wóz, każąc się wieźć na propinacyę. Starszyzna, gwarząc i pijąc, czekała na swego dyplomatę, na swój rozum stanu.

Wszedł Aron, otoczyli go.

— Wiecie, nie gadali ze mną „zawołoki" końca świata—nie gadali do mnie, osiadłego na swoich śmieciach, od dziada pradziada! A dlaczego nie gadali ze mną?!...

— Bo z nami gadali, rzekł jeden z gospodarzy.

— Bo mają Mazurów! Słyszycie, mają Mazurów. Mazury chamy zaczną za was wozić.

— To my im sprychy u kół połamiemy, konie pozabijamy.

— Przyjdą żandary i skują.

Nastała cisza.

— To co robić?

— Samym wozić.

— Za durną zapłatę!...

— Dosyć na początek. Obrócicie dwa razy na dzień.

— Ale trza rano wstać.

— Wstaniecie.

— I konie słabe, owsa brak.

— Dam na owies, na bób, na kukurydzę, co chcecie, byle tych

bratów psich, tych szelmów, co wleźli do nas i ssą naszą krew, odpędzić od zarobku, a może ich wygnać na cztery wiatry.

Bure rękawy podniosły się, ukazując czarne pięście zaciśnięte.

— Wygnamy, zawołali!

— Potrzebujecie hroszy?

— Potrzebujemy, coby nie?

— Każdemu na głowę daję po pięć śrybła.

— Ale jak?

— Porachujemy się, krzywdy wam nie zrobię, bierzcie, macie, byle tym Mazurom nie dać, bo to wasze, zarobek wasz. Bierzcie, bo inaczej nie będziecie mogli wyjechać. Ja dla was dobry i dobrze wam życzę i chcę, żeby zarobek był wasz! Macie!...

Przed każdym kładł pięć sztuk srebrnych guldenów.

— Wypić, co który ma ochotę i dalej do kowala statki rychtować. Wiele chcecie, jakiej chcecie.

— Dawaj Żydzie, słodkiej a mocnej, powiedzieli z butą, czując grosze w kieszeniach.

— A wy, wójcie, po wypiciu lećcie na Sebastyanową łąkę i powiedźcie im, że wozicie.

— A możo dla hunoru potargować się?

— To wam odpowie, aż kolka w bok ukłuje, że Mazury będą wozić. Rzeknij, że po węgiel jedziecie jutro, i nic więcej, nie oglądaj się, nie patrzaj, do Mazurów ani pary z gęby i wracaj do mnie... Mazury psiakrwie, jeszczeście nie wygrali!...

— Daleko im do wygrania, huknęła gromada, częstując się słodką a mocną. My ich poszlemy, gdzie pieprz rośnie!

Rusini wychodzili ze słodką w zanadrzach.

— A zawołajcie do mnie Fedka, krzyknął Żyd przez okno.

— Po co?

— Nie wasza głowa, niech przychodzi!...

Karczma się wypróżniła.

Hrehory, stąpając cicho w krepciach, szedł bojaźliwie po Sebastyanowej łące ku kancelaryi. Omijał wieżę, spostrzegł go Kasper i zawołał:

— Brat, ojcze rodny, chodźcie zobaczyć, jak świder wierci w ziemi dziurę.

Hrehory stanął, lecz się nie ruszał. Żyd mu zakazał zbliżać się do Mazurów.

— Cóżto, boicie się przyjść do chrześcijańskich ludzi? My nie czarowniki, a braty. Nie boicie się Żyda, a nas się boicie?

— Cóżbym się miał bać?!...

Kasper pokazał mu flaszkę i kokieteryjnie go wzywał ręką.

Hrehory poczuł w zanadrzu kantówkę, duma w nim zagrała. Wyjął flaszkę i również wzywać ręką zaczął.

— My nie możemy się z wieży ruszać, wy, ojcze rodny, przyjdźdo nas.

Hrehory postawił jeden krok naprzód, i już same nogi poszły.

— Do was ojcze, przepił Kasper i podał flaszkę wójtowi.

Hrehory odkorkował swoją, z dumą przepił i podał ją Kasprowi. Flaszka przechodziła z rąk do rąk, wódka była słodka, duma wójta wielka. Policzki nabierały koloru szkarłatu, oczy ognia, zacięcie wesołości rosło.

— I nie wstyd wam Żyda słuchać?... Taki gospodarz, jak wójt, chrześcijański człowiek.

— Co mnie Żyd. Czort a Żyd, to wszystko jedno. To on mnie musi słuchać, wołał wójt. Ja mu dam do północy muzykę prowadzić!...

— On was odwodzi od furmanki!

— Nie odwiedzie, chcemy i będziemy furmanić.

— Chcecie zaliczki? Bierzcie od dyrektora.

— Nie chcemy.

— Żyd pewno dał i dopiero was złupi ze skóry.

Hrehory dziwił się rozumowi Mazurów i ich przenikliwości.

— Ojcze, wyście na chrześcijański naród nastawali, słuchali Żyda, a my przecie braty, tacy chrześcijanie, jak wy. Przyszliśmy do was zarabiać, ale i wam bogactwa przysporzyć. A wyście zezwolili, żeby Żyd między nami stawał i szczuł was na nas.

— My mu damy, rzekł dumnie wójt, już on nas więcej nie poszczuje. Do was piję—wy gorący naród i wesoły, macie czyste sumienia, bo się głośno śmiejecie.

— Mamy, bo się boimy Boga, a już dyabła nie—a Żyda uczymy moresu.

Pogrozili,—groził i wójt.

— My do was w gościnę z dobrem słowem przyszli, a wy, podjudzeni przez Żyda, patrzycie na nas, jak na wściekłych psów, ściskając w rękach kostury.

— Wiem żeście braty, aleście taki już naród harny i do bitki skory.

— Do wypitki i do wybitki. Do was, wójcie, rodny ojcze, za wasze zdrowie i braterstwo nasze.

Flaszka słodkiej nikła, braterstwo zawarte, wójt przyrzekł jutro przywieźć całą gromadą węgla, kazał pozdrowić starszyznę, uściskał się z Kasprem serdecznie i, chwiejąc się na nogach, wracał do domu.

— Chwacki naród, mówił do siebie, czorta się nie boi i roboty się nie boi, no i wódki się nie boi, a ja się nie boję Żyda.

Ominął jednak karczmę zdaleka, wygonami idąc do domu. Żyda się nie bał, ale nie chciał się z nim po pijanemu spotkać, żeby mu krzywdy nie zrobić.

— Jeszcze Żyda uśmiercę i będzie źle, powtarzał, a oglądał się, żeby go Żyd nie zobaczył i nie przywołał do siebie. Nadrabiał miną, w zuchwalstwie chciał być podobny do Mazurów. Odwagą, butą, siłą imponowali mu.

Tymczasem w karczmie Aron dawał rozkazy Fedkowi, najsilniejszemu parobkowi we wsi i największemu zawadyace.

— Oni wam wasze dziewczyny dla siebie zabierają, a wy co na to? Mołodyce wasze do nich lecą, jak ćmy do światła — a wy łapy liżecie.

Fedko zaklął, bielma oczów krwią mu zaszły. Żyd uczuł, że robi wrażenie.

— Nie widziałeś, jak twoja do nich leci? Niech się tylko pokażą w karczmie—już na was żadna nie patrzy. Ale będą patrzeć, jak wy im przy nich skórę wygarbujecie.

Fedko napluł w rękę i pięść zacisnął, Aron zniżył głos.

— W niedzielę będzie u mnie dobra muzyka. Mazury za muzyką przez ogień przylecą, ale ty z chłopakami swymi będziesz przygotowany. Mazury mocne szelmy, ale wy macie koły. Nie potrzebuję ci więcej gadać, napij się wódki i rób swoje. Mołodyce stawią się wszystkie, jak się dowiedzą o muzyce—przyjdzie i twoja.

— Ziandary—szepnął Fedko.

— Wyprawię ich na drugi koniec gminy. Mazury zaczną—wy się będziecie tylko bronić—rozumiesz?

— Rozumiem.

— My sami będziemy na Sebastyanowej łące rządzić, a Mazury wtedy będą nasze sługi.

Fedko wypił kielich wódki.

— Przybłędy te, oczajdusze nie będą wam waszych mołodyc kraść.

— Nie—szepnął.

— Nie będą wam zabierać zarobków. Ziemia i wszystko, co w niej jest—wasze!

— Nasze—powtórzył głucho.

— Fedku, ty masz rozum i wiesz, co robić, podał mu rękę, a był to wielki dla chłopaka zaszczyt.

— Kości kołami łamać, rzekł Fedko.

Chłop wyleciał z karczmy wściekły. Ziemia i wszystko, co w niej—jego. Podrażniony podszeptami i wódką, fantazyę pchał naprzód, że jej dogonić nie mógł.

— Ziemia i wszystko, co w niej jest, nasze, szeptał. Mazury kradną, wszystko nam kradną: ziemię, bogactwa w niej i nasze mołodyce... Kości im łamać i swoje odebrać...

Dopóki się nie zjawili Mazury, Fedko był pierwszy we wsi siłacz, pierwszy w tańcu, a mołodyce za nim latały. Mazury zepchnęli go na drugi plan, czuł, że z nimi nawet równać się nie może i nienawidził ich za to, zionął zemstą, którą podsycał zręcznie Aron.

Zebrał po drodze mołojców i poprowadził ich za stodoły.

— Mazury, mówił im, kradną bogactwa w ziemi naszej, nie dajmy im. Ziemia nasza i bogactwa w niej nasze.

— Jak nie dać, na pańskiem kopią?!...

— I pańskie nasze, krzyknął. Jak skopią pańskie, pójdą na nasze...

— Wara im! wrzasnęli.

Fedko na wzór Arona zniżył głos.

— W niedzielę w karczmie muzyka, przyjdziemy, przyjdą mołodyce, przyjdą i oni. Pomacamy ich wtedy po słabiznach, nie będą w tańcu przodować, nie będą odbijać naszych mołodyc...

— Mocni, szepnął jeden ze słuchaczy.

— Przysposobić się w dębczaki. Dębczaki im uradzą. W bitce starsi się rozpalą i przyjdą nam w pomoc. Ziemia nasza i wszystko, co w niej! A może w niej jest „zołoto"?... Chłopcy, i zołoto nasze!

— Nasze, nie damy go psubratom Mazurom.

— Bić!...

Aron, rad z nadziei poskromienia Mazurów rękami Fedka i mołojców, marzył, że z czasem zostanie przedsiębiorcą i sam prowadzić będzie roboty.

— Naprzód trza zepsuć, a potem radzić, stać się potrzebnym i dopiero powoli wziąć wszystko w swoje ręce... Na początek psujmy, a co dalej, to się pokaże...

ROŹDZIAŁ III.

Przyszła niedziela. Od samego rana wesoła nowina o muzyce w karczmie swobodzkiej leciała przez wieś, wpadła na Sebastyanową łąkę i rozradowała serca Mazurów.

Wystrojeni w granatowe żupaniki bez rękawów, koszule, u szyi związane czerwonemi wstążkami, buty wysokie, kapelusze na głowach, wyglądali, jak weselnicy z pod Krosna.

Przed samym zmierzchem stanęli na drodze w czternaście sztuk chłopa, piętnasty chłopak z wieży. Prowadził ich Kasper wiertniczy, najsilniejszy, zgrabny, zawołany tancerz. Drudzy mu prawie w niczem nie ustępowali.

Weszli do karczmy, w izbie było gorąco i parno, Aron spojrzał na Fedka, parobek się roześmiał, tańczył kołomyjkę z krasawicą wsi, przytupywał, dając znaki swoim. Krew go paliła, wściekłość łapała za gardło, wódka z głowy parowała.

— Sława Bohu, rzekł Kasper, podnosząc kapelusz.

— Na wiki wików, odpowiedzieli starsi.

— Sława jemu, a nie wam, zawołał Fedko, lecz muzyka i taniec zgłuszyły wykrzyknik.

Mazury zawołali o piętnaście wielkich kufli piwa, Aron pytał, dlaczego nie wódki. Odpowiedzieli wesoło, że od wódki rozum krótki. Zbici w gromadki rozmawiali ze sobą i śmieli się serdecznie, zwyczajnie, jak Mazury przy ochocie. Nie widzieli ani wściekłych spojrzeń mołojców, ani znaków Fedka.

Muzyka ustała, dziewczęta zajęły przeciwległy kąt karczmy, chichocząc się między sobą. Częstowane przez młodzież, upijały wódkę z kieliszków drobniutko i szybko. Kasper podał kufel z piwem krasawicy Fedka. Dziewczyna upiła, oddając go, odchyliła w uśmiechu usta, pokazując szereg zębów, wykutych z marmuru.

— Umiesz naszego? zapytał ją.

— Coby nie, wszystko umiem, ja uczona!

Zaśmiała się, dziewczęta za nią.

Kasper skinął na muzykę.

— Naszego, zawołał.

Muzyka ucięła krakowiaka, że aż serce chwytała. Mazury wybrali dziewczęta, Kasper pochwycił w pół krasawicę—Fedko stanął przed nim.

— A ty jakim prawem, krzyknął, bierzesz mi moją dziewkę.

— Mojem, zawołał i Fedka siłą odsunął, lecz Fedko wymierzył mu pięścią pod brodę silny raz i zamknął usta, że aż mu zęby szczęknęły.

Zawrzała krew w chłopie, byłby padł z wściekłości, lecz się odsadził i lunął w pysk Fedka tak, że go odrazu zwalił z nóg. Zbladł, oczy zamknął i runął na ziemię.

— Mord, wrzasnął przeraźliwym głosem Żyd.

Krasawica przypadła do zemdlonego, położyła głowę jego na swych kolanach, przeraźliwie zawodząc.

— Mord! powtórzył drugi raz Żyd. Mołojcy odpowiedzieli:

— Zbóje! śmierć wam!

Mazury dla animuszu duszkiem pili z kufli zapłacone piwo, czuli, że nie starczy im czasu.

Fedce wlano kieliszek wódki w usta, oczy otworzył, spojrzał po izbie, oprzytomniał, krew buchnęła mu do mózgu, zerwał się na równe nogi, mołojcy go otoczyli.

— Koły na zbójów, wołał, powrozy!

— Powrozy, powtórzył strasznym głosem Żyd.

Fedko wypadł z karczmy, drudzy za nim. Krasawice zbiły się w kłębek. Kasper spojrzał na swoich.

— Bracia, za mną, bo nas zduszą!

Drzwiami i przez otwarte okna wyskoczyli. Fedko wielkim drągiem chciał trzasnąć w łeb Kaspra, lecz wiertacz był majster i siłacz w rękach, pochwycił dębowy drąg, wydarł go Fedce i tak go pięścią zdzielił w dekę piersiową, że Fedko padł po raz drugi.

Żyd wściekłym głosem nieustannie wołał: mord. Chrapliwy głos jego rozlegał się po wsi, ludzie się zlatywali, mołojcy, uzbrojeni w dębczaki, natarli.

— Plecami do siebie, zakomenderował Kasper, Mazury, posłuszni, zabezpieczyli swe tyły. Drąg, trzymany przez Kaspra, świsnął im nad głowami, mołojcy odstąpili.

— Chłopcy, rzekł cicho do swoich, cofać się, bo nas otoczą i liczbą zduszą.

Odwrót zaczął się w porządku, nie rozrywając przytulonych do siebie pleców.

Ludność wioski spływała, jak wezbrana rzeka, Żyd wrzeszczał przeraźliwie.

— Mord! gwałt! rozbój!...

Drąg w rękach Kaspra świszczy w powietrzu, przekleństwa następujących mołojców, dostrajając się do wrzasków Żyda, rozpalają.

Coraz bardziej wzburzony tłum coraz silniej nacierał. Położenie stawało się straszne, życie Mazurów zagrożone.

Maszynista na wzgórzu dostrzegł kupę kamieni i, jako dobry taktyk, zawołał:

— Za mną bracia! wyrwał się naprzód i gnał, za nim drudzy, dopadając do kamieni.

— Brońmy się! dał rozkaz i, chwytając kamień, posłał w tłum. Za nim poszło czternaście pocisków. Tłum się cofnął, pozbawiony broni, nie było na drodze kamieni. Zaledwo wyrzucane przez Mazurów odrzucali mołojcy, lecz trafiać nie umieli, nie śmiejąc się zbliżać na odległość rzutów, rzuconych przez siłaczy.

Pozycya na górze przez Mazurów została utrzymana.

— Przybliż się, Żydzie, krzyknął Kasper, a buzię ci zamknę, aby więcej nie wrzeszczała.

— Czekaj, psie, przyjdą żandarmi i skują cię w łańcuchy.

— To twoja sprawka! Na ciebie przyjdą kajdany!

Na uboczu stał stary płot, osadzony na dębowych kołach; Kasper posłał pod osłoną kamieni swoich, aby płot rozebrali i koły dostarczyli. Na widok ten tłum zawrzał wściekłością, ruszył gwałtownie naprzód, lecz znowu wstrzymany kamieniami cofnął się.

Przyniesione koły rozdzielili między siebie Mazury.

— Każdy po trzy kamienie w ręce i naprzód, natrzyjmy na tłum, a gdy zacznie uciekać, my koły na ramię i co sił do rzeki! Za rzeką nic nam nie zrobią. W kopalni mamy żelazo i sztangi. Dalej naprzód!

Piętnastu Mazurów poskoczyło, kamienie zawarczały. Przerażony tłum w nogi, baby i dzieci w wrzask.

— Odwrót — zabrać koły i do rzeki! komenderował Kasper.

Pędzili siarczyście, tłum, zobaczywszy ucieczkę wrogów, zaczął wyć z wściekłości i zemsty. Naprzód opanował kupę kamieni, nimi rzucał na uciekających i gonił z całych sił.

Mazury w długich butach przelecieli rzekę i zatrzymali się.

— Chodźcie do nas do kopalni, przywitamy was żelazem i bronią, a Żyda powiesimy za brodę na wieży.

Nikt nie przestąpił rzeki, zmęczenie stłumiło wściekłość, groźba poskutkowała. Mazury wrócili do kopalni, przerażeni zaszłymi wypadkami. Intryga Żyda biła w oczy.

— Chce nas zgnieść, aby sam opanował kopalnię!...

W nocy przyjechali z Kołomyi panowie. Kasper zameldował się do dyrektora i opowiedział wszystko: wrzask Żyda „*mord*“ i nim zwołanie całej wsi.

— Gdyby nie nasza przytomność, a niezdarność Rusinów, zatłukliby nas na śmierć co do nogi.

Tadeusz i Feliks patrzeli sobie długo w oczy.

— Pójdziesz z nami do Kołomyi, rzekł Tadeusz do Kaspra.

— Panie dyrektorze, jak się Żyd dowie, że mnie niema, gotów na kopalnię sprowadzić czerń.

— Zabierz ze sobą maszynistę i pod osłoną nocy ścieżkami dotrzyjcie do miasta. W karczmie przy szlabanie czekajcie na nas. Rusini po zwycięstwie spici, śpią — nie przyjdą.

Kasper zasalutował, jako były kapral, i odszedł. Tadeusz położył rękę na ramieniu przyjaciela.

— Pierwszy wybuch nienawiści zwierząt, jeśli go nie zażegnamy, może być straszny, zmienić się w walkę ras i interesów. Żyd, odsunięty od zysków, szczuje lud na Mazurów, a może i nas zadusić. Jesteśmy maleńkiem, niecierpianem mrowiskiem, zazdroszczą nam siły, odwagi i wzbogacania się. Silniejszych pobudek nie znają... Zdaje im się, że są obdzierani i okradani przez Mazurów. Zdusić pożar, bo sama łuna jest dla nas groźną. Na świtaniu wyjeżdżam, zorganizujesz obronę w razie napaści, podmajstrzy niech prowadzi świder.

— Już się zaczyna, rzekł spokojnie Felek. To pierwszy objaw odporu społeczeństwa, któremu niesiesz kulturę i bogactwo.

— Walczyć! zawołał z entuzyazmem młodości Tadeusz.

— Rusinów i głupiego Żyda z karczmy pokonasz odrazu, jeśli ropa tryśnie, lecz wychylają się inne, potężniejsze hydry.

— Co ty nazywasz hydrą? zagadnął raptownie Tadeusz.

— Co ja nazywam hydrą? powtórzył spokojnie Feliks. Głupotę społeczeństwa, jego chciwość, zazdrość, złość, apatyę, nienawiść do dobra, które będziesz mu dawał.

— W takim razie łby hydry jeden po drugim będziemy ścinać. Walka ta rozpala mnie, daje mi rozmach, pobudza moją energię i fantazyę. Temperament mój potęguje, optymizm, wiarę w zwycięstwo dobrej sprawy.

— Walka ciężka, łby mogą mieć karki tak wielkie i twarde, że ich nie utniesz.

— To padnę, czyż ja jeden i czy pierwszy? Lecz to pewna, że upadkiem swoim stworzę następców, którzy lepiej odemnie sprawę poprowadzą... Ja swą działalnością stworzę przeszkody i nauczę je zwalczać.

— Wiesz, Tadziu, nie wiem, co mam w tobie podziwiać, twoje zdolności, czy twoją wymowę?

— Podziwiaj wszystkie rzeczy razem, jeśli ci się podobają, i kochaj mnie takiego, jaki stoi przed tobą.

— Kocham cię, jesteś szczery, fałszu w tobie niema — szczerością mnie ciągniesz: Teraz połóż się, odpocznij — za dwie godziny wyjedziesz.

— Ba! spać, to każdy potrafi. Na spanie mam czas — starość, wtedy się wyśpię należycie! Dziś, kiedy młodość we mniekipi i wre, ty mi mówisz o spaniu. Napiszę przez ten czas z dziesięć listów i rzucę je w Kołomyi.

— Nie myślisz wcale sypiać?

— Owszem, ale wtedy, gdy sen zwali mnie z nóg. Co to za rozkosz, gdy sen zdławi stojącego, chwyta go za gardło i rzuca nim na łóżko! Jak się wtedy śpi! co za przyjemność! My żyjemy także i dla rozkoszy, tylko nie umiemy sobie jej stwarzać. A wydobywać ją jedynie można energią życia, wtedy odpoczynek zmienia się w rozkosz.

— No to dla mnie, rzekł Felek, sen w tej chwili staje się tą rozkoszą. Dobranoc!

Działo się w wydziale karnym sądu powiatowego.

Przed sędzią śledczym Kasper skończył swoje zeznania. Sędzia zwrócił się do maszynisty.

— Wszystko, co powiedział wiertacz, jesteś gotów zaprzysiądz?

— Wszystko, panie sędzio.

— Podpiszcie protokół.

Podpisali, skłonili się i odeszli, sędzia zwrócił się do Tadeusza.

— Należy hydrze odrazu kark skręcić. Żydzi, zazdrośni o zarobki, mogą wzburzyć lud.

— Serdecznie się cieszę, że pan sędzia tak trafnie ocenił położenie rzeczy.

— Propinator działa z pewnością w porozumieniu z kapitalistami miejskimi.

— I mnie się tak zdaje.

— Trzeba tu mieszkać i prowadzić sprawy, aby ocenić siłę kapitalistyczną tutejszego żywiołu. Zaczekaj pan, rozmówię się z naczelnikiem sądów, wyprawię posłańca do żandarmów, aby osaczyli propinatora, zaaresztowali Fedka i nie dopuścili ich do porozumienia. Dla postrachu każę Fedka skuć. Wózkiem pańskim pojedziemy na komisyę i burzę zażegnamy.

— Panie sędzio, skąd tyle energii w austryackim urzędniku?

Sędzia się rozśmiał.

— Naprzód jestem polakiem i młodym, jak pan, widzę niebezpieczeństwo i pragnę również rozwoju naszego przemysłu. Oto powody mej niezwykłej w administracyi austryackiej energii.

— Kolego, rzekł Tadeusz, uścisnęli się serdecznie.

W dwie godziny później wprowadzono do karczmy skutego Fedka, bladego z wściekłości i bólu. Sędzia kazał go rozkuć, chłop wyciągnął ręce do góry i nieznacznie pogroził niemi.

— Kto ci kazał bić Mazura wiertacza?

— Ja sam.

— Za co?

— Odbił mi moją krasawicę.

— Nie prawda, sama poleciała do niego.

— Porwał ją siłą.

Sędzia wziął papier ze stołu i, udając że czyta, mówił:

— Żyd ci kazał bić Mazurów, bo oni wam kaleczą ziemię, a ziemia i wszystko, co w niej jest, to wasze, choćby nawet złoto. On ci to mówił i kazał, a tyś go usłuchał.

— Żyd sobaka zdradził, szepnął Fedko, wściekły na Żyda.

— Żyd was namawia, a potem was kują i pakują do więzienia.

— Prawda, poświadczył rozbrojony Fedko.

— I gdyby się Mazury wczoraj nie obronili, pozabijalibyście ich z rozkazu Żyda.

— Jakby padło, kto wie.

— I poszlibyście na piętnaście lat do kryminału.

— Pewno!

— Po co masz za Żyda cierpieć, kiedy Żyd cię nie żałuje?... Opowiedz mi wszystko, jak było?

Fedko, rozbrojony i przekonany o zdradzie Żyda, opowiedział.

— Jesteś w śledztwie, puszczony tymczasem na wolność. Nie możesz się ruszać z gminy. Wójt odpowiada za ciebie.

— Panie sędzio, zawołał wójt — a jak ucieknie?

— Pilnuj!

— Nie ucieknę od swoich, rzekł Fedko.

— Możesz odejść.

Chłopak nerwowo zwrócił się ku drzwiom.

— Jak sędzia mogłeś przeczuć wyrazy Żyda? rzekł Tadeusz po niemiecku.

— Praktyka i pewna wprawa. Żyd młodego junaka mógł tylko w ten sposób namawiać. Motyw ten powtarza się często. Żydzi i junaki są do siebie podobni.

Wprowadzono Żyda.

Protokulista przeczytał głośno zeznania Fedka, Żyd z rozmachem wszystkiemu zaprzeczał. Wołał: mord, bo wzywał pomocy, Mazury zabijali ludzi...

— Na głównej rozprawie staną świadkowie, rzekł sędzia.

— Niema świadków, a jeśli się znajdą, to zrobieni przez pana dyrektora.

— Zobaczymy! Ukartować zbrodnię zabójstwa piętnastu ludzi odrazu, to może za wiele i dlatego aresztuję cię.

— Panie sędzio, ja od swego majątku, od żony i dzieci nie ucieknę.

— Może sąd wypuści cię za kaucyą, lecz na to trzeba uchwały. Kazałeś Fedkowi i jego towarzyszom bić po łbie Mazurów, żeby im mózgi powychodziły. A wtedy, gdy mózgi wychodzą to śmierć, kazać ludzi zabijać to podług prawa być wspólnikiem zbrodni.

Żyd zbladł.

— Nie kazałem, zawołał strasznym głosem i padł na ławę.

— Przy rozprawie wszystko się wyświetli.

— Oni te wściekłe Mazury zdrowe, oni prali naszych, to wcielone dyabły...

Drzwi się rozwarły, wpadła żona i dzieci, powstał lament, krzyk, płacz, padanie do nóg.

— Iść do kryminału na moje stare lata to hańba...

Skończyło się na tem, że sędzia i Żyda oddał pod dozór wójtowi i żandarmom. Wójt podpisał, że na wezwanie odstawi obwinionych do sądu.

— Zdaje się, mówił do Tadeusza sędzia, że do rozprawy nie przyjdzie dla braku istoty czynu, lecz będziesz pan miał z tej strony spokój.

— Żeby wszystkie przeszkody tak łatwo się usuwały, jak ta, zawołał młody dyrektor.

— Życzę, lecz wątpię.

— Ostrzegam i radzę baczność. Ludzie grunt, ludzie tylko robią, tworzą, zdobywają. Ludzie to bogactwo, ludzie wszystko. Co znaczą miliony bez ludzi? Znajdź pan ludzi i bądź zdrów — zawsze na pańskie rozkazy...

Odjechał. Tadeusz wracał do siebie. Mazur go powoził, podnosił nieznacznie w górę bat, aby jak najprędzej dopaść do kopalni i dobrą nowinę udzielić swoim.

— Szukaj ludzi, powtarzał Tadeusz. Gdyby nie człowiek sędzia, zdusiliby nas Żydzi. Siła, przemysł, bogactwo, wszystko to ludzie.

Mimowoli obejrzał się dokoła, jak gdyby szukał ludzi.

— Felek, piętnastu Mazurów, sędzia, Urszula, Marynia, ja, trzech kolegów w Argentynie to dwudziestu trzech!... Lot, wstawiając się u Pana Boga za Sodomą, pytał się: — jeśli się znajdzie ośmdziesięciu mężów sprawiedliwych?... Jeśli znajdziesz ośmiu, odpowiedział Pan Bóg, miasta nie spalę. A nas jest już dwudziestu z okładem i to na pierwszy początek... „Naprzód wiara, iść przytomnie", zaśpiewał wesoło. Ludzie, jak do ogniska będą się garnąć, byleby tylko jak najprędzej wielkie ognisko powstało.

Konie weszły do wody, za nimi wózek — Tadeusz wstał, rozglądając się.

— Co tu roboty?!.. Wodę z rzeki pchać maszyną parową do kopalni, rury założyć do ściągania ropy na stacyę kolei...

Mazury zatrzymali robotę i co do jednego wybiegli na spotkanie swego dyrektora. Kasper zapytał:

— Będzie spokój panie dyrektorze?

— Udało się tym razem burzę zażegnać. Znalazłem sędziego człowieka. Tylko już więcej nie radzę wam odwiedzać karczmy. Kto wie, jakie Żyd sidła na was zastawi.

— Po co mamy chodzić do karczmy? zawołali.

— Żeby wam się w święta nie nudziło, zaprenumeruję wam pisma ludowe.

— To, to właśnie.

— A że i zabawić się należy. Kto z was gra na skrzypcach?

— Mamy skrzypków trzech.

— Sprawię dwoje skrzypiec i jedną basetlę.

— Niech żyje dyrektor!...

— Kto się będzie chciał z wami zabawić, niech przyjdzie tu.

— Do muzyki przylecą pierwsze dziewczęta.

— Poszlecie sobie po ćwiartówkę piwa, i już jest ochota.

Radość była wielka, praca napowrót z impetem zawrzała. Hura ha!

Felek uściskał Tadeusza.

— Nadzwyczajne odnieśliśmy dziś zwycięstwo. Bóg postawił na drodze naszej sędziego-człowieka... Gdyby to był jeden z tych, co sądzą przez swych faktorów?

— Dreszcze mi po skórze przechodzą, odparł Tadeusz i zawołał wiertacza.

— Słuchaj, Kasper, Rusinów musimy przeciągnąć na swoją stronę. Sprawę tę składam w twoje ręce.

— O la Boga! jeśli tylko przyjdą sami bez Żyda, to przy piwie i muzyce w piekło za nami polecą.

— Powodzenie nasze, majątek od tej zgody zawisło.

— Dyrektorze, nie upłynie dwa tygodnie, Rusini nasi. Fedka pocałuję w pysk i poproszę, aby mi pozwolił z mołodycą swoją raz przetańczyć naszego. Takiego chłopa jak, wiertacz majster, pocałuję przy wszystkich w gębę — ruśniaki z zazdrości oczy w słup postawią...

— A tyś nie chłop? — przerwał Tadeusz.

— Po prawdzie chłop, ale inakszy! Ho, ho Mazury inaksi, nie ma co i mówić.

— A więc Mazury niechaj na rękach przyniosą mi Rusinów i kochają ich...

— I położymy wszystkich przed progiem twego domu!

Tadeusz podał mu rękę. Wzruszony Mazur poniósł ją do ust na znak zgody i miłości.

W tym samym czasie Żyd w alkierzu karczmy zamknął się ze swym faktorem.

— Słuchaj, Icek, możesz zarobić.

— Mogę i muszę — czworo dzieci...

— Cicho, ja wiem, że ty musisz zarobić! Stary sędzia, dodał, zrobiłby z Mazurami porządek.

— Skutych prowadziliby żandarmi.

— Świat się psuje, rzekł Aron.

— Pan Bóg zsyła na dzieci Izraela plagi za ich grzechy.

— Bo są głupie.

— Prawda.

— Musimy mieć więcej rozumu.

— Największy rozum w Panu i w dzieciach Jego, w dzieciach Izraela...

— Polecisz do kopalni, odezwał się Aron, zmieniając ton rozmowy.

— Mazury?!..

— Nic ci nie zrobią. Przed dyrektorem wymyślaj na mnie.

— Ja to potrafię.

— I powiedz, że wójta do umowy na zwózkę sprowadzisz. I sprowadź go, niech podpisze, ceny daje dobre.

— Słyszałem.

Propinator wybuchł nerwowo.

— Aj waj, rozdałem wczoraj stówkę. Chłopy odrazu połowę przepili, a jeśli Mazury będą wozić materyał z kolei — stracę wszystko! Icek, leć, ratuj, ty masz głowę na karku, a pysk wyparzony, jak nikt w całej wsi.

— Ale wiele dostanę za ten wyparzony pysk!

— Papierka.

Icek się rozśmiał.

— Niech idzie Efraim za tę cenę.

— A wiele chcesz?

— Ja chcę udziału w zysku.

— Dobrze, dam ci szóstkę od dziesiątki.

— Guldena od dziesiątki zysku.

— Tyś się wściekł, ja mogę mieć tysiąc guldenów zarobku.

— To ja sto!

— Precz mi z oczu.

— Pójdę do kopalni sam na własną rękę.

— Zaskarżę cię do rabina.

— Nie kupiłeś u rabina kopalni.

— To kupię.

— Może i ja kupię.

Icek łypnął żółtemi ślepiami i ujął za klamkę.

— Pięćdziesiąt centów od dziesiątki i anicenta.

— To tak gadaj, panie propinator — idę i swoje zrobię.

— Mów, że chłopy przyjdą, tylko ich namówić.

— Niech mnie Aron nie uczy rozumu w faktorstwie!

Na odwieczerz stanął Icek w kopalni przed obliczem dyrektora i jego wspólnika. Miał minę tajemniczą, oglądając się, wygadywał straszne rzeczy na propinatora i w końcu oświadczył, że przyprowadzi do zgody Rusinów.

— Niech sami przyjdą, niech ich wójt przyprowadzi, rzekł Tadeusz.

— A co dla mnie, żem ich namówił?

Dyrektor podał mu piątkę. Icek westchnął, wziął pieniądze poszedł.

Zjawił się wójt z dwoma radnymi i po wygadaniu się podpisali umowę.

— Chcecie zaliczki? spytał ich Tadeusz.

— Żyd dał, odpowiedzieli.

— Macie odemnie, Żydowi oddać wszystko ce do grosza.

Zgodzili się, lecz w drodze zmiarkowali, że lepsze są dwie zaliczki, niż jedna. Wzmocnieni tem przekonaniem poszli do karczmy, natrząsali się z Żyda i pili do brzasku dnia, butni i pewni swego.

ROŹDZIAŁ IV.

Lwów 14 maja.

Dobry Panie mój!

List Twój odczytuję, jak muzykę. Zdaje mi się, że go wcieliłam w siebie, że myśli, w nim zawarte, przepływają mój mózg, zostają w nim, są jego treścią... a mimo to znowu wracam do niego, czytam głośno i upajam się jego czarem, jego siłą i natchnieniem...

Po upojeniach przychodzi trwoga. A może ty kochasz obcą, wymarzoną i tę wymarzoną ubrałeś w rysy i kształty moje?!

Bo któż ja jestem? dwudziestoletnią dziewczyną o kruczych włosach, niebieskich oczach i dobrym uśmiechu. To wszystko, co posiadam, a gdy się wgłębiam w siebie, cóż znajduję? Dużo próżności, bardzo dużo próżności i dumy. Dumną jestem, że jestem kochaną przez człowieka tej miary, co mój Pan. Dumną jestem, że i ja go umiałam ukochać. Wprawdzie urodą swoją budzi on zazdrość kobiet, więc to nie zbyt wielka sztuka... Lecz dumną jestem, że potrafiłam odczuć twoją duszę, ocenić twe szerokie horyzonty pragnień... Kocham głębię twej duszy, twoje ja, twoją istność całą, a zapominam, że masz rozmarzone jasne oczy i smutek, ciągnący ku tobie, co otacza twoje usta i myśli, płynące z twego gładkiego czoła. Zapominam, że twój głos kołysze, upaja i przekonywa, że myśli twoje... Za myśli twoje, które wypowiadasz, oddaję głębię twych oczu i cały czar smutku, okalający twe usta, a że to wszystko potrafię, to cała wartość moja, w stosunku do ciebie, panie i jedyny mój. A żeś ty mnie tego wszystkiego nauczył, to twoja tylko zasługa.

I jeszcze coś więcej mi dałeś: moc i zuchwałość kochać cię, walczyć za ciebie, wytrwać i pozostać twoją... Siła i energia twoja wstąpiły we mnie. Chcę być twoją i zostanę twoją. Niema siły,

którąby mnie od ciebie oderwała—chyba, gdybyś odszedł sam. Lecz czy to podobna?... Nie lubię myśleć o nieprawdopodobieństwach i o tem nie myślę!... Świat może paść, lecz ty nie odejdziesz odemnie. Taką jestem wobec ciebie, lecz i to twoje jest! Mam i moje kobiece uroki — naiwność, to cały mój wdzięk. I stroję się nią rada, chociaż nigdy nie wiem, kiedy ze mnie wychodzi i pokazuje się. Jestem szczera, lecz szczerości mej nie wyhodowałam w sobie, dostałam ją od dobrej wróżki, jako spuściznę po mojej matce. Za szczerością poszła otwartość, odwaga i ta pewność siebie, co może być zuchwałością w oczach kłamstwa i hipokryzyi...

Ojciec mój ma dużo z tego powodu kłopotu, damy z wielkiego świata mówią o mnie, że jestem dzika i że nie mam pojęcia o dobrym tonie. Co to jest dobry lub zły ton? Fortepian od Erarda ma zwykle dobry ton. Damy te radeby mnie nastroić do swego kamertonu, najnudniejszej powszedniości, potem wydać za jednego ze swych synów lub kuzynów, jako dobrą partyę.

Kuzynkowie ci są wzorem banalności i okazami kunsztu krawców wiedeńskich. Każdy wielki krawiec ma swój właściwy krój, nazwany przez tych panów po niemiecku „sznitem". Krawcy dają im swoją cechę. Sznity są ich jedyną oryginalnością. Zresztą są podobni do siebie, jak dwie krople wody. Jednakowo chodzą, jedzą, myślą, kłaniają się i zdobywają posażne panny. Jednakowo się żenią, mieszkają, mówią, oddają wizyty, jednakowe noszą grzywy i binokle na oczach... Ach ta jednakowość, cóż to za przerażająca nuda, co za niebotyczna nuda!... Zdaje mi się, że po skończeniu świata w chaosie wieczności większej być nie może!...

Mój ojciec, nie wiem dla czego i po co, wozi mnie po tych cmentarzyskach wesołości, żebym jeszcze większej odrazy do nich nabrała. Gdy go się pytam, odpowiada:

— Coby na to świat powiedział, gdybym cię marynował w domu?...

Coby na to świat powiedział, to także jeden z aksyomatów życia. Po prostu boją się ludzie tego niewidzialnego świata i drżą przed nim.

Mszczę się też nad tym światem, a ojcu memu nieraz robię niespodzianki i przerażam go .. Naprzykład wczoraj, ojciec rano przy herbacie podaje mi kartkę z zapisanemi sześcioma nazwiskami, z których pięć było hrabiowskich, i oświadcza, że dziś musimy zrobić te sześć wizyt. Przeszły mnie dreszcze, lecz ojciec zaczął głęboką dysputę z Koczalską o mej tualecie na ten występ. Biedna

Koczalska, która się boi ojca, była przerażona, przyszłam jej na pomoc i rzekłam:

— Jeżeli mnie ojczulek skazuje na sześciokrotne światowe tortury, to już zostaw nam, mnie i Koczalsi rodzaj ubrania. Zadziwię skromnością, elegancyą i dobrym smakiem.

— Ty to nazywasz torturami, a ja dawno pracuję, aby ci te salony otworzyć.

— I pocóż się tyle trudziłeś?

— Jakto po co? ojciec spojrzał na mnie przerażony.

— Przecie tego nie pragnę.

— Dzika jesteś. Czuć, że niema w domu matki, a zakazane przyjaciółki i profesorowie, którym się we łbach pali.

Łzy mi się w oczach zakręciły na wspomnienie braku matki z tak błahego powodu, wstałam i odeszłam. Koczalska za mną.

Ojciec, obrażony na moją niewdzięczność, nie widział się już ze mną, lecz przez służącą przysłał mi kartkę, że o trzeciej zajedzie powóz.

Ubrałam się tak, aby ojciec nie miał potrzeby gniewać się, Koczalska przeżegnała mnie i pobiegła patrzeć z balkonu, jak wyglądam w powozie. Ojciec rzekł woźnicy: ulica Trzeciego maja — pojechaliśmy.

Zaraz na wstępie przywitał nas kuzynek pani domu, jako upatrzony kandydat do mej ręki. Zaczęła się ożywiona rozmowa, kuzynek o kursach wyścigowych, ja o teatrze Kuzynek powiedział, że z zasady nie chodzi do teatru, ja, że kursa mnie nudzą, i nigdy na nich nie bywam. Hrabina i kuzynek byli zdumieni moją bezczelnością, a ja bawiłam się ich zdumieniem. Kuzynek zaczął mówić o ostatnim moralnym francuskim romansie, ja o ostatnim skandynawskim. Hrabina, chcąc się zemścić na mnie, powiedziała — że teraz młode osoby czytają bez wyboru, a ja odparłam, że literatura francuska jest tak niemoralną, że wybór trudny, dlatego przekładam młodą skandynawską, która jest wzorem moralności, a przytem głęboka w pomysłach i oryginalna w badaniu duszy ludzkiej...

Nic mi nie odpowiedziano, albowiem nie znają literatury skandynawskiej; hrabina jednak za zuchwalstwo moje przeszyła mnie wzrokiem.

Ojciec odezwał się w powozie:

— Nauczyłaś rozumu hrabinę, lecz niepotrzebnie, bo się mścić może.

— Ojczulku, odparłam, gdybyśmy się wszystkich zemst bali, nie mielibyśmy własnego zdania...

— Byłaś otwarta, szczera, elegancka, śmiała i w bardzo dobrym tonie!...

— Nastrojona?

— Jak chcesz, jestem kontent z ciebie, tylko bądź ostrożniejsza.

W drugim salonie znalazłam syna, różniącego się od kuzynka wiedeńskim sznitem i tę samą rozmowę: syn kursa, ja teatr, syn romans francuski, ja skandynawski. Matka wycina formułkę o czytaniu bez wyboru przez młode osoby, ja powtarzam z czarującym uśmiechem i swobodą swoją obronę — wychodzimy, ojciec zwraca się do mnie.

— No i cóż?

— Jak ojczulek widzi — to samo.

— Ale ja się pytam o syna, jaka różnica między pierwszym kuzynem a drugim synem?

— Nie dopatrzyłam jej, bo się nie znam na różnicach „sznitów” wiedeńskich.

Ojciec się zaśmiał, lecz dodał, udając przerażonego.

— Bój się Boga, to przecież kandydat na starostę, namiestnika i ministra, lub na profesora, posła i ministra.

— Tem się tylko można pocieszyć, rzekłam, że dużo jest kandydatów, a jeden tylko namiestnik i minister dla Galicyi.

— Przecież przed tobą nie mógł się popisywać zdolnościami administracyjnemi.

— Ale się mógł popisać oryginalnością sądów — i choćby oryginalnością rozmowy.

— Powoli, powoli, moje dziecko, mówił ojciec, widocznie rad ze mnie.

Następnie trzy wizyty z małemi zmianami te same w tonie i w toku. Szósta z synem podobna do pięciu poprzednich. Gdy przyszła kolej na ostatni romans francuski — mimowoli ziewnęłam serdecznie. Mama syna rzuciła we mnie piorunami z czarnych oczu, ojciec zbladł. Zarumieniłam się i, chcąc naprawić złe, mówię, przysłaniając rzęsami oczy: — przepraszam pana, lecz to samo słyszę dziś już szósty raz.

— Jakto? odezwał się urażony młodzieniec.

— Pomyśl pan, że to szósta dziś wizyta, i miej litość nademną.

Ojciec się zerwał, mama wstała również i jej syn — pożegnali nas lodowato.

— Jesteś zgubiona, szepnął mi ojciec na schodach.

— Odnajdę się, odrzekłam po francusku.

— Wątpię — odpowiedział ostro.

Siedliśmy do powozu.

— Do domu! zawołał, konie popędziły, jak wiatr.

— A więc fiasco, rzekł znowu smutno do mnie, zupełne fiasco.

— A mnie się zdaje, że tryumf.

— Ten ostatni mamin synek oddaje się dyplomacyi, kandydat na Gołuchowskiego. Jeżeli wobec niego ziewałaś?

— To powiedzą: —a to dopiero cięta panna, która wobec przyszłego Gołuchowskiego śmiała ziewać.

— Powiedzą, przerwał ojciec: a to dopiero gąsiątko, którego nawet wytworny dyplomata nie mógł ożywić.

— Ojczulku, wierzysz, że tego nie powiedzą, i po co się martwisz, bo dla mnie wszystko jedno, co powiedzą.

— Mogła cię przecież choć na chwilkę zająć wytworność przyszłego dyplomaty.

— Wytworność banalności.

— Zbyt często powtarzasz ten wyraz, a cały świat stoi na banalności.

— Ponieważ jest pospolita i powszechna, mimo to i dla tego wolno mieć do niej wstręt.

— Zastąp ją czem innem. Jak gdybyś ty sama nie była banalna, żyjąc na tym świecie — samem życiem.

— Rutyną życia, — to przynajmniej duchem, myślą bądźmy sobą tem, czem pragniemy.

— Widzę, że w dyalektyce miałaś dobrego nauczyciela, odrzekł spokojnie ojciec, patrząc na mnie. Nic nie odpowiedziałam, bo czułam, że się rumienię.

Powóz stanął przed naszym domem. W salonie ojciec rzucił mi pytanie.

— A teraz co będziemy dalej robić?

— Żyć, rzekłam, jeśli to możliwe. Ojciec będziesz pracował, a ja cię uszczęśliwiać swą przy tobie obecnością, skoro i mnie nie wolno pracować.

Chciał coś powiedzieć, brwi siłą na marsa zsuwał, lecz usta jego mimowoli układały się do uśmiechu.

— Matka dyplomaty, rzekł nareszcie, będzie się mścić, a zła baba.

— Przeżyjemy i zemstę matki przyszłego Gołuchowskiego... Tyle klęsk już Polska przebyła i żyje...

Rozśmiał się.

— No to ci powiem, że byłaś swobodna i prostotą urocza. Sądy twe o literaturze skandynawskiej olśniewały. Przygniatałaś przytomnością umysłu matki i ciotki siostrzeńców i synów.

— A więc nie potrzebujesz się rumienić za mnie!

— Nie! — pocałował mnie w czoło — i radbym zapracować parę milionów, aby ci życie umilić.

— Chciałam zawołać, że to, co mam, wystarczy na umilenie, lecz pomyślałam, że ci się miliony przydadzą, i milczałam.

Otóż tak się odbyło moje wejście w świat w wiosenny karnawał.

Muszę ci się wytłómaczyć, dlaczego nie mówiłam o polskim romansie, lecz o skandynawskim. Z próżności kobiecej i dyplomacyi. Z próżności, albowiem nasze miasteczko, jak go ktoś nazwał: ausszusem wiedeńskim, niema pojęcia o najnowszych wyrobach ducha ludzkiego, i mogłam je nieco upokorzyć, a dalej, że, gdybym mówiła o polskim romansie, to mamy synów, wychowywanych w Sacré coeur brukselskiem lub lwowskiem, trenowane są do lekceważenia tego, co polskie, a ich synowie, tresowani w Teresianum, nie wiedzą co polskie — i w tej chwili zarzuciliby mi szowinizm, zaściankowość, pozę, śmieszne męczeństwo i wiele innych rzeczy... Aby im nie dać broni przeciw sobie, wzięłam Skandynawię! Widzisz, jestem kobietą w każdym calu, jak mówi mój profesor. I nie chcę być ani boginią, ani czarodziejką, prorokinią lub mytem. Tyle miejsca na świecie ma kobieta, że być nią i swoje zrobić, to i życia zaledwie starczy.

Boję się pisać to, co piszę, bo gotów jesteś posądzić mnie o umyślne dla ciebie pochlebstwo. Lecz tylko bez uprzedzeń, z zimną krwią porównaj siebie z tymi sześcioma myśliwymi na ciężką pracę mego ojca. Jakże ty rośniesz w mych oczach, obejmując w ramiona Karpaty i Wisłę! A oni?... — Oni się nurzają w Pełtwi. Ty życie oddałeś idei, dla milionów szukasz zarobku i pracy. Ich ideą przeżywać posag żony, a tymczasem żyją z synekur, dostarczanych im przez krewnych u władzy.

Mogłabym litanię porównań napisać, lecz boję się ekstazy i sentymentalizmu, który niczem nie jest, jak tylko banalnością, Stój na wyżynach Podkarpacia, bez porównań, walcz i zwyciężaj!

Jakże pragnę być przy tobie i z tobą! Wyobrażam sobie zieloną kotlinę, którą przerzynają niebieskie wody rzeki, góry, zamykają dolinę najeżone ciemnymi lasami. Ciszę przerywa jęk świdra, walącego w głębokościach ziemię. Robotnicy snują się cicho, a wśród nich

mój jedyny w niebieskiej bluzie!.. Jego myśl porusza ręce robotników i koła maszyn, jego rozkaz wierci w głębokościach, szuka bogactw dla biednego kraju. Jego umysł to siła, energia, twórczość, przyszłość, byt tysięcy ludzi. Niechaj myśl twoja czynem i wolą obejmie całe Podkarpacie do źródeł Wisły i dalej i dalej!... Tyś mój jedyny!...

Widzisz, jestem kobietą i egoistką i pragnę cię posiadać dla siebie, bo nie tylko kocham Cię, lecz kocham twoją wielkość, twoją myśl, twoją energię, twój czyn!...

Najmilej mi, gdy z tobą rozmawiam. Czuję wtedy, że jestem blizko ciebie, że słyszysz bieg mych myśli, nic nie mam skrytego przed tobą, z rozkoszą pragnę, abyś mógł w lot chwytać myśli moje zawsze, kiedy ochota ci przyjdzie. Miłość to szczerość. Gardziłabym sobą, gdybym coś przed wzrokiem twej duszy ukrywała. Czuję, że i ty jesteś takim samym względem mnie... Jeśli nie możesz czytać lecących myśli moich, postanowiłam pisać dziennik dla ciebie i posyłać go. Będziesz chciał ze mną rozmawiać, rzucisz wzrokiem na zapisane kartki papieru i tęsknotę zażegnasz.

Pochlebiam sobie, że tęsknisz za mną tyle, co i ja, a przynajmniej o połowę ze względu, że jesteś pochłonięty pracą... Co innego ja, której nic robić nie dają, a więc mogę sobie pozwalać na zbytek tęsknot i marzeń!... Nieprawdaż, że zgadzasz się na dziennik i — i może prosisz .. Będzie szczery, jak gdybym pisała dla siebie. Szczerość jest dla mnie rozkoszą. Nie masz pojęcia, jakie męki przechodzę, kryjąc tajemnicę mego serca przed ojcem. Lecz ponieważ chcesz tego aż do wybuchu nafty — słucham!..

Dziś rano przy śniadaniu ojciec odebrał obszerne pismo twoje. Rad był, bo czytając, uśmiechał się, przytakiwał głową, a po skończeniu zdradzał wyborny humor.

— Trzeba mi będzie jechać, odezwał się.

— Dokąd? pytałam, robiąc zdziwioną minkę.

— Do Swobody, nowego przedsiębiorstwa, które gdy się uda, będziesz świetną partyą.

— Zabierz i mnie z sobą, zawołałam, nigdy nie widziałam kopalni nafty! Jedziemy razem — już postanowione.

— Opalisz się, jak cyganka.

— Któż jest tam twoim dyrektorem?...

— Mam wspólnika, niedawno wrócił z Anglii, znalazł teren, namówił mnie, Swobodę kupiłem.

— Wybornie, zaczęłam szukać pamięcią. Przypominam sobie, znam tego młodego człowieka.

Ojciec wpatrywał się we mnie zdziwiony.

— Poznałam go u ciotki Urszuli.

Ojciec zmarszczył brwi. Nie lubi ciotki i boi się jej.

— Wybornie, ciągnęłam dalej, mówi po angielsku, nagadałam się z nim. Dużo widział i dużo wie.

Ze względu na wyjazd ojca i nie chwaliłam cię dłużej.

— I cóż więcej?— rzekł.

— Nie pamiętam już, jak wygląda, ty, ojczulku, lepiej go znasz...

Czułam, że odetchnął głęboko.

— Nie wiem jeszcze, czy pojadę — dodał po chwili.

— Dobrze — odpowiedziałam — rób, jak ci sprawy twe każą, lecz daj mi słowo, że, gdy wyjedziesz, zabierzesz mnie. Mrugnęłam na Koczalską.

— Dobrzeby było, gdyby panna Marya pojechała i nałykała się świeżego powietrza. Mało sypia, światło gasi, gdy się dzień robi.

— Co? zapytał przerażony ojciec.

— Chudnie!

Ojciec się zerwał.

— Od zimy ubyło jej pięć funtów.

Gwałtownie zadzwonił, wpadł służący.

— Po doktora — sprowadzić Molickiego. Konie gotowe?

— Gotowe — odpowiedział.

— Niech jedzie i szuka go, póki nie znajdzie. Albo lepiej sam pojadę —- zerwał się.

—- Ojczulku — prosiłam składając ręce.

— Nie na to całe życie ciężko pracowałem, żebym potem na starość został sam, jak pies, w pustym domu!

-- Jestem zdrowa!...

— Chudniesz z bezsenności. Przyjdzie kaszel, gorączka i adje! Zmyję głowę Molickiemu. Nie na to mu płacę, żeby cię wysuszał.

Spojrzał na mnie.

— Schudłaś przerażająco.

Zwrócił się do wystraszonej Koczalskiej.

— Zawsze pani raportujesz w ostatniej godzinie.

—- Ależ to nie ostatnia godzina.

— Ostatnia, może już zapóźno — prosiłem o raporta codzień.

— Zajechał — zawołał od drzwi służący.

Ojciec zły nie pożegnał się z nami — wybiegł.

— Przesadziłyśmy, odezwałam się do Koczalskiej.

— Powiedziałam prawdę, jedno zataiłam, że zamiast leżeć

w łóżku i czytać, piszesz. A co cię nie naprosiłam. Schudłaś, przysięgam, brakuje ci pięć funtów — wiesz sama o tem.

Wpadł przerażony doktór. Ojciec zaalarmował wszystkich jego znajomych. Nastąpiło pukanie i słuchanie.

— Brak snu — wiosna, spadek wagi — wiosna, rzekł z uśmiechem.

— Co robić? pytał wystraszony ojciec.

— Powietrza naszych gór i świerkowych lasów, zieleni, szerokich horyzontów!... Ot czego pragnie młoda dusza na wiosnę, inaczej schnie!... Pracy, zajęcia, miłości — ot czego pragnie młoda dusza, a pan wierzysz tylko w doktora i recepty. Mikstury nie uzdrowią.

Wyjazd mój postanowiony. Jakże się cieszę, nabrałam apetytu, snu, rumieńce radości okraszają mi twarz, a z oczu wyglądają serdeczne blaski — czuję, że ojciec to widzi i zaciera ręce z radości...

— Co będzie, gdy naprawdę wchłoniesz w siebie kilka ton powietrza, przesyconego balsamem sosny i świerka.

Napisz, lub telegrafuj do ciotki Urszuli, jakich pragniesz książek — przywiozę! A więc za trzy doby.

Twoja jedyna Marya.

Jutro będę u ciotki, telegrafuj! Panu Feliksowi serdeczne uściśnienie ręki.

Uszczęśliwiona Marynia.

ROŹDZIAŁ V.

Ciotka Urszula chodziła po swoim pokoju z założonemi po za siebie rękoma. Na stole wśród masy książek i tygodników leżał rozpieczętowany telegram. Zatrzymała się przed nim, wlepiając w ciemne litery piwne oczy. Włosy gładko zaczesane, styl 1840 r., jaka obojętność na znikomości świata. Usta zamknięte to siła woli. Spojrzenie zuchwałe, odwaga i pewność siebie. Dobra budowa, ręka twarda...

— Niech się raz skończy, rzekła, bo już to wszystko gniewać mnie zaczyna.

Przerwał wstęp monologu ostry głos dzwonka.

— Marynia, szepnęła — w samą porę się zjawia.

Drzwi się rozwarły, na progu stanęło dziewczę o niebieskich oczach, szczerym uśmiechu, patrzące serdecznie na świat, słońce i lazurowe niebo...

— Cioteczko, nie witasz mnie?

— Witaj się z tem, do czegoś przyszła.

Podała jej telegram.

— Znowu ta nudna angielszczyzna, dodała.

— I jak poprzekręcana, mówiło dziewczę, czytając.

— Powiedz mu raz, aby w Polsce telegrafował po polsku.

— I cóżby ciocia powiedziała, gdyby przyszedł telegram do niej taki: „Ubóstwiana moja, dzielą cię odemnie dwadzieścia cztery godziny, to wieczność na zegarze mego życia"...

— A cóż mnie to obchodzi? Myślisz, że dbam o to, co o mnie pomyślą jeden telegrafista w Kołomyi, drugi we Lwowie? Nie cierpię odbierać wiadomości w języku, którego nie rozumiem. Oprócz wykrzykników miłości co dalej?

— Spodziewają się wybuchu ropy za dwa dni! Przygotowują się do jej przyjęcia.

— To mi wiadomość! — oddałam Tadeuszowi połowę mego majątku i nie chcę go stracić.

— A jeśli nafta da cioci dwakroć sto tysięcy, czy pójdzie ciocia za mąż?

Pannie Urszuli nozdrza się rozszerzyły, brwi ściągnęła, co zwiastowało wybuch gniewu. Marynia przypadła do niej i przytuliła się, obejmując ją w pół.

— Przebacz, cioteczko litości, łaski! — szeptała.

— Wy, kochane idyotki, nauczone patrzeć na stare panny z głupich romansów i starych komedyi, nie jesteście w stanie zrozumieć dzisiejszych kobiet, które nie zostały żonami. Wyjście za mąż stanowiło wszystko, gdy kobieta była niewolnicą. Lecz stało się niczem od chwili, gdy weszła na drogę samodzielności....

— Ależ prawda, my jesteśmy skończone idyotki, bo że ja, uczennica cioci, mogłam.....

— Żartować — dokończyła Urszula, ale ponieważ tylko z pustoty, to ci przebaczam.

— Ciociu, z idyotyzmu raczej...

— Prawda, bo wiesz, co tu do roboty, i jak pieniądze potrzebne! Miałabym je oddawać głupcowi lub oszustowi, któryby, zabezpieczony ślubem ze mną, wyciągał po nie ręce! Przebaczam ci trzpiotowactwo, boś młoda, szczęśliwa, zakochana...

— Nie jestem szczęśliwa, zawołała Marynia. Ojciec mnie obwozi po ciotkach i matkach, a te na łańcuszkach trzymają swoich brytanów, gotowych rzucić się na mój posag!.. Muszę manewrować, brytanów straszyć, matkom się narażać, aby mi dały spokój.

— To powiedz ojcu!

— Raz, że mnie Tadzio prosił o tajemnicę do wybuchu ropy, a następnie ojciec wpadłby w gniew.

— Do zdrowia mu potrzebny.

— Zrobiłby awanturę cioteczce.

— Niech przyjdzie, pogadamy!

— Otoczyłby mnie szpiegami, Koczalską oddalił, zakazał mi bywać u cioci...

— To jabym przychodziła do ciebie.

— Nie puściłby—wywiózłby mnie do Wiednia, Paryża, Włoch, i z tęsknoty, bólu, gniewu umarłabym. Dola moja nie do pozazdroszczenia.

— Przesadzasz, bo wiesz, że dasz sobie z ojcem radę, jeśli zechcesz.

— Nie, — nie przesadzam. Jest uparty, zręczny, nawet chytry, jak chce, i zawsze na swojem postawi. Walka z nim ciężka, niebezpieczna i grozi przegraną...

— To każ się Tadeuszowi wykraść!

— Do tego pewno przyjdzie, szepnęło smutno dziewczę. Mam wstręt do awantur, chociaż pochłaniają moją wyobraźnię...

— Atawizm niewolnictwa! Co za awantury?... Idziesz za potrzebą serca, za wskazówką twego rozumu, spełniasz obowiązek, odpowiadasz prawu natury, uszlachetniasz zadanie społeczne, zostajesz żoną dzielnego człowieka, chcesz z nim pracować!... I ty to nazywasz awanturą?

— Ciociu, przekonałaś mnie, boję się tylko, czy on się zgodzi?...

— On? dałabym mu! Cóż to, robisz go tchórzem?...

— Ależ nie, jest on subtelny, może za subtelny i ta subtelność.

— Podszyta tchórzostwem lub egoizmem.

— Nie wszyscy są tak stanowczy, jak droga ciocia — ani tak....

— Dokończ śmiało.

— Ani tak bezwzględni.

— Aha! więc ma względy, które wyżej kładzie nad swoją miłość do ciebie, nad twoją miłość do niego, nad obowiązek, nad prawo natury!... Niewolnik swej subtelności, niewolnik opinii, niewolnik względów... Tchórze, dajcie mi pokój!

Założyła ręce za siebie i wzburzona chodziła po pokoju.

— Nie umiecie żyć, wszędzie i zawsze stare formy przysypują, jak gruzami, prawdę życia i jego szczerość, wszędzie szabloni egoizm,

ukrywający się w fałdach rozmaitych wymysłów i form, które jeden nazywa subtelnością, drugi koniecznością, trzeci honorem, a to wszystko blaga wobec piękności życia i jego obowiązków...

— Ciociu! — dziewczę złożyło ręce, niech mnie wykradnie, ale wtedy, gdy oboje będziemy mieć tyle, że się obejdziemy: ja bez posagu, on bez wspólki z mym ojcem... Wykradać córkę wspólnikowi można, lecz nie uchodzi bez rozwiązania spółki...

— Róbcie, jak chcecie, — przerwała żywo ciotka, wy macie dziś inne pojęcia o miłości. Za moich czasów była ona mistrzynią.

— Dziękuję za absolutorium. Niechaj ciocia będzie spokojna, siew jej nie padł na opokę, zachodzą tylko pewne różnice, polegające na mojej indywidualności, którą ciocia ceni i szanuje.

— No, no, dobrze, co ci więcej Tadeusz w telegramie donosi?

— Że mu serce rozrywa radość, że, być bardzo może, będę świadkiem wybuchu ropy... i że, domyślasz się cిociu — że mnie kocha.

— Komik — czyż na to potrzeba telegraficznych zapewnień?

— Zakochani są zawsze jedni i zostaną niezmienieni do końca świata, cioteczko.

— Wybuch ropy mnie cieszy, i, gdy wy przyjedziecie, to ja pojadę przywrócić mu ład w głowie. Chwali się, że filozof — zobaczymy, jak to filozofia wyjdzie w praktyce życia...

— Cioteczko, delikatnie, bo pomyśli sobie, że ja przysyłam ciotunię.

Urszula się rozśmiała.

— Zawsze ta sama historya z zakochanymi! Kiedy jedziecie?

— Prawdopodobnie jutro.

— Ucałuj odemnie Tadzia.

— Ciociu, całować? kiedy on nie całuje!

— To naucz tego filistra, który się boi pocałować swą przyszłą żonę. Pewno mówi, że nie wypada?!! Wypadający z logiki głupiec odmawia sobie jeszcze jednej przyjemności życia!... Co to za rozkosz całować niewinne dziewczę, gdy się je kocha!...

— Napiszę mu prawdę...

— Nieprawdaż, ciociu?!

— Nie, ciotuniu droga, bo nie pojadę, zmiłuj się nademną!..

Objęła ją za szyję i całowała. Urszula spojrzała na zegar, stojący na wystawce kominka.

— Dosyć, biegnę na sesyę szkoły ludowej. Gdy wrócisz, przychodź lub pisz, powiedz Tadeuszowi, że muszę się z nim widzieć.

Włożyła kapelusz, torbę w rękę, w drugą parasolkę — wyszły.

— Odwiozę cioteczkę mym powozem.

— Nie, nie, bo jakby ojciec twój zobaczył nas razem, powiedziałby, że cię buntuję. Jedź sama, wezmę jednokonkę. Bądź zdrowa! Miej więcej rozumu... Nie, nie, rozum masz, tylko ci brak odwagi, biedna...

— Niewolnico, dokończyła Marynia, siadając do powozu...

Na przypuszczenie, że ciotka Urszula może rzucić dziś list do Tadeusza z zapytaniem, dlaczego jej nie całuje, występował róż na matową twarz dziewczęcia. Oczy przymykała, głowę opierała o poduszki, oddając się uczuciom nieokreślonej przez młodość błogości, wywołanej przyśpieszonem biciem serca i ciepłem krwi.

ROŹDZIAŁ VI.

Powóz, pożyczony od burmistrza miasta Kołomyi, zaprzężony parą fabrycznych koni, toczył się szybko po twardej drodze. W nocy deszcz zwilżył ziemię, nie było kurzu.

Mazur powoził i jechał z mazurska, to jest dziarsko. Oglądał się często na dziewczę i, uśmiechając się sam do siebie, kalkulował, że ludzie przez skórę przeczuli wybuch ropy, i już naszemu dyrektorowi zwożą pannę...

Znowu się obejrzał.

— Niema co mówić, ujdzie, ani słowa. Gładka na gębie i świarna jakaś, a rezolutna. Jeśli on ją ino zechce, będzie miał babę, jak się patrzy. Dobra nasza, kiej mu już „dziopy" zwożą. Skręcił na lewo, batem śmignął i gnał prosto na rzekę.

— Stój, czekaj, wołał przerażony pan Edward.

— A po co mitrężyć? odparł Mazur. Znam rzekę, jak swoją. Tędyśmy uciekali przed Rusniakami, co nas do nogi wybić chcieli, i woda nam się nie przelała za cholewy.

— Co, co? spytała wystraszona Marynia.

— Ej — długo o tem gadać, żyjemy i już...- Wio!...

Powóz stoczył się gwałtownie do rzeki. Marynia miała czas odetchnąć, pan Edward, zajęty niebezpieczeństwem i sobą, nie spojrzał na córkę. Woda dziś była głęboka, zdawało się, że wejdzie do powozu, przejechali szczęśliwie.

Umajona przez robotników wieża szybu wyglądała świątecznie, na szczycie powiewała chorągiew. Zatknął ją wiertacz. Na spotkanie wybiegł Tadeusz, za nim wolno szedł Feliks. Przywitanie odbyło się spokojnie i, jak na zakochanych, zimno.

— W szczęśliwą chwilę przyjechaliście państwo, po dwu mniejszych oczekujemy wielkiego wybuchu. Kazałem wyciągnąć świder, a kocioł parowy odsunąć...

— Stój, zawołał pan Edward.

— Niema strachu, odpowiedział powożący Mazur.

— O dziecko mi idzie!...

— Tylko niech ojczulek mną się nie zasłania.

— Cicho! stój — wysiadł — i, podając rękę córce, mówił — konie mogą unieść.

— Mamy, sądzę, jeszcze czas.

— Czy w waszej kancelaryi bezpiecznie?

— Najbezpieczniej — mogą tylko pęknąć szyby.

— I dom się zawalić! Dziękuję za ten bal, wolę czekać awantury w lesie.

— Myśl cudowna — odezwała się Marynia, odpoczynek i posiłek w lesie. Rozpalimy ogień, co za widok musi być zgóry.

Zwróciła się do Tadeusza.

— Czy pan uwierzysz, że taką sobie wyobrażałam tę miejscowość, dolina, wtłoczona w spadziste łańcuchy gór, najeżone ciemnymi świerkami. Dalej już mówiła po angielsku żywo, szybko i swobodnie, cała zarumieniona, w oczach miała blask, śmiała się serdecznie, głos jej drżał i stawał się melodyjny, jak śpiew. Ojciec nic nie rozumiał, lecz cieszył się, że język angielski ożywia i robi córkę jego piękną.

— Szkoda, pomyślał, że w naszych salonach nie mówią po angielsku. Jakaż byłaby w nich śliczna.

— A więc jestem, z radości całą drogę serce mi biło. Ach, jak się nudzę we Lwowie, jakbym tu rada zostać!... Przydałabym się, czuję to, chodziłabym na poziomki, czytywałabym ci co dzień, pisała, cobyś chciał, rachowała, gdyby było potrzeba, rysowała i śpiewała w tych ciemnych lasach nad rzeką, a woda głos mój niosłaby daleko, daleko...

— Gdybyś tu pani była, toby znaczyło, że dolina duszę odzyskała, uśmiech i pieśni....

— Pani? od kiedy? spytała, i w tej chwili przeleciała błyskawicą myśl po jej głowie, że może ciotka napisała do niego z zapytaniem, dlaczego nie całuje? Rumieńce oblały jej twarz, spojrzała na poważną i zamyśloną postać Tadeusza i rozśmiała się tak wesoło i serdecznie, że aż ojciec zawołał:

— Ależ ten język angielski musi być nadzwyczaj zabawny, kiedy cię tak rozśmiesza.

— Nie, ojczulku, lecz wiosna, krajobraz, lasy świerkowe, płacz rzeczki, nadzieje wybuchu... wszystko razem daje wyborny humor. Gdybym tu dłużej została, stracone pięć funtów odzyskałabym w tydzień.

Pan Edward się zadumał i mimowoli nasunęła mu się myśl, dlaczego jego córka nigdy nie jest tak ożywiona i urocza w salonach lwowskich. Z dumą i rozkoszą patrzał na nią, powtarzając w duchu:

— Co za szkoda, że jej nikt z naszych nie widzi, choćby matka dyplomaty! Tyle wdzięku stracone.

Świder, wydobyty z wnętrza ziemi, jak potwór, leżał na murawie obok wieży. Maszyna odciągnięta o sto kroków!... W podziemiach zaczęło huczeć, ogniska w kotle i kuźni zgaszono. Pan Edward pochwycił córkę i pomknął z nią ku górze.

Napróżno dziewczę się opierało.

— Chodźcie, panowie, do nas, wołała wystraszona, lecz jej nie słuchano. W tej chwili wszyscy gwałtownie pracowali, aby się przygotować do pochwycenia mogącej każdej chwili wybuchnąć ropy. Rury do ujęcia ropy układali na murawie, deski z wieży odbijano. Spadały z hukiem na ziemię.

— Teraz chodź, kumo, zawołał Kasper.

— Kumo, wyłaź z piekła, dodał chłopak wieżowy.

Mazury uderzają w śmiech, za ich śmiechem huk — reszta desek z wieży spada, i gruby strumień ropy na wysokość smigłego świerka bije w górę.

— Hura! Mazury podnoszą w górę czapki. Rusini, lecąc do wystraszonych koni, żegnają się.

— Czort leje smołę, szepczą.

Wiatr rozpryskuje fontannę ropy, zagłębienia ziemi wypełniają się brunatnym płynem.

— A teraz na nas pora, woła wiertacz, przybiegając po ostatnią radę do Tadeusza.

— Byle rurę do szybu założyć, jeden jedyny rozkaz...

— Wybuch mocny, ale i my nie plewy, odpowiada. Chłopcy za mną dalej, dźwigajmy rurę!

Mazury, wściekli, że tyle bogactwa leci marnie, pracowali zawzięcie... Kasper, zalewany buchającą ropą, stanął na otworze. Tadeusz przy nim.

— Podawać delikatnie, a mocno trzymać.

Żelazną długą rurę podnieśli, jak piórko, lecz, gdy ją chcieli na-

sadzić, gazy i gwałtowny pęd ropy odepchnęły. Wyrwała się z rąk Mazurów, jednego uderzyła w głowę, padł zemdlony na ziemię.

— Zawcześnie, rzekł zrozpaczony wiertacz.

Dziewczę, patrząc zdaleka, drżało z przerażenia i obawy o Tadeusza. Gdy ujrzała leżącego na trawie Mazura, myślała, że zabity, wyrwała się ojcu i pobiegła; pan Edward, przeklinając słabość swą, szedł za nią.

Nim nadbiegła, robotnicy odnieśli zemdlonego pod kancelaryę i tam zlewali go zimną wodą. Marynia uklękła przy nim.

— Koniaku, prosiła, parę kropli do ust, koniaku...

Feliks przyniósł kieliszek.

— Otwórzcie mu usta, zwróciła się do wiertacza.

— Rozdziawiaj gębę, bo ci panienka wleje takiego kordyału, że warto dostać w łeb żelaziwem.

Zemdlony leżał z zaciśniętymi zębami. Kasper ścisnął mu grdykę, Mazur otworzył usta i oczy.

— A gdzieżeś to bywał, Barteczku?!...

Nie odpowiedział, zamykając powtórnie powieki. Wlany kieliszek koniaku pokrzepił go, chciał się zerwać, lecz nie mógł, jęknął i znowu padł, zamykając oczy.

— Zanieść go do szopy na siano, dał rozkaz Tadeusz.

— Dać mu poduszkę, prześcieradło i kołdrę, dodała Marynia.

— Może go jeszcze borsuczem sadłem smarować. U nas całej parady dwie poduszek, na których śpią dyrektory. Mazur nie Żyd, żeby się na betach rozlegiwał. Panienka, żeby z nami została, wnetki zepsułaby robotników!... Ale niech ostanie, będzie świecić, jako słonko i pocieszenie...

— Widzisz i niepotrzebnie zmięłaś sobie sukienkę, przerwał pan Edward ze strachu, aby wiertacz nie powiedział głupstwa, którego nie chciał usłyszeć.

Na sztangach zanieśli robotnika do szopy. Wiatr zaczął się kręcić i rozpryskiwać ropę na wszystkie strony.

— Cofajmy się. Maryniu, chodź, wołał pan Edward.

Dziewczę spojrzało błagalnie na Tadeusza. Zobaczył prośbę w jej oczach wiertacz i odezwał się.

— Niech pan dyrektor idą, będzie nam samym raźniej. Musimy szelmę schwycić i do kadzi skierować. Antek poniesie samowar, koszyk, szkło, rozpali ogień.

Marynia po raz drugi spojrzała na Tadeusza, a pan Edward po raz trzeci przyzywał córkę do siebie.

— Jeszcze mnie pan nie widział w roli gospodyni, szepnęła.

— A więc oddaję ci władzę do ujarzmienia ropy, rzekł Tadeusz do wiertacza.

— Nim wrócicie, będzie spływać do kadzi!..

— Kasperku, dziękuję wam, zwróciła się do Mazura, wyciągając do niego rękę.

— Kiej powalam — rzekł.

Nachylił głowę i wyciągniętą pocałował.

— Obyś z nami, śliczności, ostała, powiedział.

— Maryniu! wołał niecierpliwie ojciec.

— Chodźmy! Cieszę się, że cię tu nie zostawiam, odezwała się do Tadeusza po angielsku.

Feliks obładował Antka koszykiem, przywiezionym ze Lwowa, i przyborami do herbaty.

— Uciekajmy z tego zaczarowanego miejsca — mówił pan Edward, które może dać miliony, lecz i śmierć. Uciekajmy przed śmiercią, miliony same przyjdą do nas. Cóż pan myślisz o tym wybuchu?

— Zadziwiający siłą i obfitością, odparł Tadeusz.

— Kiedy opanują ropę?

— Za godzinę; przed chwilą sprężystość gazów i ich siła była tak wielką, że rurę i ludzi odepchnęła, jak piórko. Sądzę, żeśmy natrafili na bardzo obfite źródło.

Pan Edward się uśmiechnął.

— Prowadź kochany pan!

— Tą ścieżką zajdziemy na maleńką polankę pierwszego podgórza.

— Wybornie — nie wysoko, nie daleko, a bezpiecznie. Tu gazy zaczynają dusić. Maryniu, nie czujesz bólu głowy?

— Ależ, ojczulku!

— Mnie moja nieco cięży...

— Może od milionów, które za godzinę będą się lać do kadzi!..

— Daleko jeszcze do nich, dziecko.

— To do tysiąców, — a to wszystko jedno, bo z tysięcy rosną miliony.

— Dobra sobie. Panie Tadeuszu, nie dziecko to?

— Życzę pani, abyś w stosunku do mamony zawsze została dzieckiem.

— I niezawodnie tak się stanie, bo mnie mamona obchodzi tyle, o ile pozbyć się jej mogę.

— Chcąc ją rozrzucać, trzeba ją mieć, rzekł zirytowany pan Edward.

— Dzięki ojcu będę ją miała. Jakże tu uroczo! — zawołała, zatrzymując się.

— Uroczość się skończy, rzekł Tadeusz, powstaną domy, fabryki, zlecą się przemysłowcy i kapitaliści. Ostatnie to chwile sielanki. Przemysł bierze okolicę w swe ramiona. Ale i w nim jest poezya pracy i energii ludzkiej.

— Jeżeli cała ta dolina, przerwał Edward, kryje we wnętrznościach swych ropę, kolej jest konieczna. Jutro robię kroki o koncesyę. Nie można czasu tracić!...

— Poezya pracy i energii ludzkiej musi być wspaniała, lecz zdaleka — żyć w samej walce, brać udział w namiętnościach ludzkich i samemu się szarpać: wydzierać lub bronić, to straszne.

— Walka!.. Życie jest walką! wygłosił sentencyę pan Edward...

— Życie jest, mówiła cicho Marya, i cierpieniem, tęsknotą, i miłością, upojeniem, twórczością....

— Możesz sobie, przerwał pan Edward, na te zbytki pozwalać, gdy masz wypchany pulares. Lecz ci, co go nie mają, muszą walczyć, żeby żyć.

Dziewczę nic nie odpowiedziało, zwróciło się do Tadeusza i zaczęło po angielsku:

— Ciebie jednego pojmuję, tworzysz, jesteś więc poetą, ujarzmiasz naturę siłą twego rozumu, wydobywasz bogactwa z ziemi. Lecz ty nie walczysz o byt i o posiadanie... Cobyś ty, biedaku, z pieniędzmi robił, gdyby ci nie wolno było użyć ich na szerokie cele? Uciekłbyś od bogactw, znudzony czczością i nędzą używania, skrępowany niemi. Mój los dlatego jest ciężki, że jestem bogata, a nic nie mam dla siebie. I nieraz ze złości krajałabym adamaszki na mych meblach, tłukła cacka i kosztowności.

— Przez sam wzgląd i grzeczność dla ojca powinnaś mówić językiem zrozumiałym dla niego.

Tadeusz spojrzał po za siebie.

— Zwycięstwo! — rura przytwierdzona, zawołał i pobiegł...

Ojciec i córka patrzeli ciekawie.

— Ci ludzie to bohaterzy — szepnęła Marynia.

— Widzisz, odczuwasz poezyę w sile i pracy.

— I kocham je, dodała.

— Ale z jaką mocą bije ropa w górę! Ma się ochotę wrócić i pomagać tym ludziom.

Tadeusz pędził z całych sił, widocznie szczęśliwa myśl zrodziła się w jego głowie i pognała do kopalni.

— Panie Tadeuszu, wołała za nim wystraszona Marynia.

Nie słyszał...

— I czegóż go zatrzymujesz? — czyż nie widzisz, że bogactwo twoje marnuje się? Powinien być na swem stanowisku i pełnić swe obowiązki!.. Obowiązki to największa poezya życia. Ja swoje spełniam.

Tadeusz dopadł do gromadki i zmieszał się z nią.

— Jakże się boję o niego — szepnęła po angielsku.

— Albo ta angielszczyzna wobec ojca, nie władającego tym śmiesznym językiem! Czyż to wypada na osobę tak dystyngowaną, jaką się mienisz?

— Ależ nie mam pojęcia o dystynkcyi, przerwała dziewczyna.

— Odkądże to, bo parę dni temu cieszyłaś się, że dystynkcyą upokarzałaś ciotki młodzieńców?

— Tylko przytomnością.

— Mniejsza o nazwę!... Patrz, budują rusztowanie, kadź na klockach przysuwają. Na rusztowaniu stoją obaj — widocznie byli potrzebni!

— A ja się boję, żeby rura nie wyrwała się i nie zabiła ich.

— Taak?

— Byłabym o wiele uboższa, bo lepszego wspólnika nie znajdziesz ojciec...

— Dziś, kiedy już jest ropa, mniejsza o wspólnika! Znajdę dziesięciu na jego miejsce...

Maryni serce się ścisnęło, lecz milczała, wpatrując się w rusztowanie i ludzi na niem. Za chwilę ruszyła naprzód.

— Gdzie? zawołał za nią ojciec.

— Do mego bogactwa.

— Stój, proszę cię na wszystko, bo cię zatrzymam siłą. Nie na to całe życie pracowałem!...

Dziewczę usiadło na wysokiem kretowisku.

— Cóż to za bieda z temi rozpieszczonemi jedynaczkami!

Olbrzymią kadź na okrąglakach przysunięto pod wieżę, na rusztowanie wciągnięto drugą rurę, załamanie przytwierdzono, rurę przymocowano, koniec jej oparto o krawędź kadzi.

— Bogactwo twoje i bez ciebie uratowane. Robotnicy rozbiegają się zbierać ropę po wklęsłościach pastwiska, drudzy dźwigają beczki. Widzisz tego zucha, leci na koniu na wieś po wozy. Odetchnął głęboko i mówił dalej:

— Kadź się niedługo napełni, i ropy nie będzie gdzie chować. Mam upatrzonych pięćset beczek, przyszlę im jutro. Zaczyna się przecie coś dziać, to lubię!... Nie mogłem patrzeć, jak się marnują dary Boże, teraz oddycham. Chodźmy, niebezpieczeństwo minęło, ciekawy jestem, jaki procent wody... No, no, moja dziedziczko, kto wie, czy czasem milionik do posagu od tej chwili nie zaczyna przybywać. Chodź, moja jedynaczko, dziękuj Bogu—że masz ojca szczęśliwego w interesach...

— Dziękuję ci, ojcze, że jesteś szczęśliwy w interesach.

— I Bogu podziękuj, bo mogło nie być w tem miejscu ropy. I, jeżeli Bóg zechce, tylko kurek w ziemi zakręci, i nic nie będzie.

— Bóg nie ma czasu robić figli ojcu. Bóg nie jest sąsiadem dobrodziejem, zatrzymującym lub puszczającym wodę na łąki ojcowskie. Nie godzi się w ten sposób Boga traktować.

— Wy, młodzi, nowożytni, traktujecie Go, jako jakiegoś filozofa, ale nam starym pozwólcie go mieć za Pana i surowego opiekuna, z którym się trzeba delikatnie obchodzić.

Marynia się rozśmiała.

— W tym śmiechu czuję wpływ Urszuli, chociaż katechizmu uczył cię najsilniejszy w dogmatyce jezuita. Wypraszam sobie wszelkie dysputy religijne.

— Z rozkoszą, ojczulku, bo i ja, mimo że mnie uczył katechizmu mistrz dogmatyki, jestem słaba w tych kwestyach i nie chcę się w nie zagłębiać.

— Ropa w więzieniu, zawołał pan Edward zdaleka.

— Pan dyrektor i ja, odparł Kasper, daliśmy jej radę! Gniewa się, hałasuje, huczy, burzy, ale leje się tam, gdzie potrzeba!

— Dużo wody?!

— Dziesięć najwyżej procentów, odpowiedział, zbliżając się, Tadeusz. Niedługo każę ją wypuszczać.

— Czy beczki na ropę wystarczą!?

— Mam trzysta, lecz Rusini obrócą tylko raz.

— Za mało. Wybuch wielki i tak prędko w głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Jesteś szczęśliwy!...

— Nigdy, nie skarżę się na los!

— Lecz dziś powinieneś się z niego cieszyć.

— Czekajmy końca.

— To prawda, koniec wieńczy dzieło. Jutro wyślę ci pięćset beczek.

— Jeśli tak pójdzie dalej, trzeba rurociągi przeciągnąć do Kołomyi.

— Nawet kolej zbudować, dodał pan Edward.

— Wielkie zbiorniki z blachy żelaznej.

— Rezerwoary! wszystko, mój drogi, wszystko, co tylko oszczędzi, uprości i powiększy nasz dochód!...

— Praca skończona, odezwała się Marynia, posag mój uratowany, leci do kadzi, i teraz wolno mi powiedzieć, że mi się chce jeść przerażająco. Gotowam z głodu zemdleć.

— Gotowaś suchot dostać i ja na starość... urwał. Musisz się zaraz napić koniaku i zjeść kawałek szynki, inaczej nie pojedziemy do lasu!...

Usłuchała. Antek z koszykiem i samowarem pomknął naprzód ognisko rozpalić i samowar nastawić. Tadeusz zmęczony ocierał czoło zroszone. Feliks nadszedł i uśmiechał się jak po zwycięstwie, rad z siebie. Cichy, dobry, łagodny, milczący, targał z zadowolenia brodę i poczciwie patrzące bladoniebieskie oczy mrużył.

— Suchoty zażegnane, nie zemdleję, pan Feliks nie będzie zmuszony mnie nieść, chodźmy — mówiło wesoło dziewczę. Panie Tadeuszu, podaj mi rękę Miło słabej kobiecie oprzeć się o ramię zwycięzcy. Pan Feliks będzie towarzyszył ojcu, — my z naszą angielszczyzną naprzód — ojciec jej nie lubi.

Pan Edward nie bardzo był rad temu postanowieniu, lecz poddać się musiał ze względu na wybuch ropy i ujęcie jej w okowy żelaznych rur... Czas wycieczki do lasu zużył na wypytywaniu Feliksa o stosunki i cyfry mu potrzebne.

Słońce z poza szarej chmury rzucało srebrną jasność, widzianą zaledwie w zimie. Srebro na zieleń kładło smutno i lękliwie zimne, blade promienie na drgającą życiem przyrodę. Ciemne świerki i stare dęby milczały ponuro, listek się na nich nie poruszył, ciche, cmentarne, stały, jak w czarodziejskiej bajce.

Smutek ten odczuło dziewczę i mimowoli przytuliło ramię do Tadeusza.

— Dlaczego w dzień tryumfu twego tak grobowo słońce świeci, ptaki umilkły, żaden listek szmerem nas nie powita, natura, zaczarowana grozą i strachem — czeka wyroku, czy zmiłowania?!...

— Wyroku Boga!... Są w naturze chwile oczekiwania i tęsknoty za lepszymi światami, bo i ona ma duszę, objawiającą się w tęsknocie. Tęsknota jest objawieniem każdej duszy...

— Tęsknisz? — szepnęło dziewczę.

— Tęsknię za twoją duszą i za tem wszystkiem, co nieujęte, wielkie, niedościgłe. Tęsknota łączy duszę moją z wiecznością i z pragnieniami nieuchwytnemi, zsyłanemi nam z innych światów...

— I mimo tej tęsknoty, co ci serce wypełnia, masz siły ciężko pracować, walczyć, zwyciężać, żyć na pustkowiu wśród zapasów z naturą?

— Cuci mnie i rozkosz sprawia ta walka. Boję się tylko ludzi. Naiwność moja w walce z ludźmi jest wielkim moim grzechem, a nie mogę się pozbyć wiary w ich uczciwość i prawość. Uczciwym być tak łatwo, oszukiwać tak ciężko i trudno. Gdyby ludzie energię swoją, potrzebną do oszukaństwa, zużywali na rzeczy proste i uczciwe, jakieżby olbrzymie rezultaty były z tego!.. Prawda, szepnął jakby do siebie, tyle sił zużyć na szkodę ludzi i własną — nikczemność... Czyż to więc wielka moja zbrodnia, że tego zrozumieć nie mogę i w każdym, kto wyciąga do mnie rękę, widzę brata, człowieka idei... Czyż ja mam czas śledzić, dociekać, podchwytywać duszę ludzką i badać ją, czy to jest nędzna dusza łotra, czy szlachetna uczciwego człowieka? A przecież i wielcy ludzie mają często podłe dusze. Natura mówi do mnie: znajdź klucz do mego serca i otwieraj. Jest to jeden wielki klucz mądrości, a do każdego serca i mózgu ludzkiego potrzeba innego klucza; najtrudniejszego do otwarcia mózgu nikczemnego głupca.

— Biedny pan jesteś. Czyż koniecznie musisz się stykać z ludźmi?

Zaśmiał się cicho i rzewnie, lecz ten śmiech jego krajał serce smutkiem, wydobytym z głębi serca.

— Do dziś wystarczył Feliks i piętnastu Mazurów. Od dziś przedsiębiorstwo nasze wymaga urzędników, kredytu, kapitałów, wielkiego aparatu...

— Cieszcie się tem, co macie, szepnęła.

— Szkoda życia i pracy. Mamy zaledwie troszkę dla siebie. Ludzie patrzą na nas i czekają. Jakże oni są biedni i niezaradni!... Szkoda życia, powtórzył cicho. Usłucham cię — i cóż dalej — pustka...

Dziewczę chciało zawołać: Masz mnie, moją miłość, rozkosz miłości, ciche szczęście, spokój, książki, które kochasz. Nie śmiało, czuło, żeby to był egoizm, i przelękło się...

— Życie to walka, rzekła smutno, a mnie się czasem zdaje, że życie to cisza, mądrość, panowanie duszy i myśli ludzkiej nad światem...

— Gdyby wszyscy mędrcy odcięli się od ludzi i szli do nirwany, ludzkość popadłaby, jak w Indyach, w apatyę, zbrodnię i dzikość. Ludzie potrzebują walki szamotań się, cierpień i pragnień.

— Czyż nie szkoda życia? jak echo, za Tadeuszem szepnęła Marya.

Tadeusz znowu się rozśmiał cicho, smutno, rzewnie, że aż się serce krajało.

— I tego szkoda, i tego szkoda, wszystkiego szkoda, a życie jedno, róbmy więc to, co nam los każe i udźwignąć możemy. Co do mnie, czuję się dopiero w pełni życia, gdy wytężam całą moją energię mózgu i muskułów, a szczęśliwy, gdy dusza po promieniach myśli wyrywa się poza światy.

Dreszcz przebiegł po ciele dziewczyny, ręka jej zadrżała, przylgnęła do towarzysza i powiedziała z siłą, płynącą wprost z duszy:

— Kocham cię!...

Słońce białe, zimne rzuciło srebrne promienie z poza liści dębu do ich stóp, zamigotało na twarzy Tadeusza, objęło postać dziewczęcia. Stali w tych świetlanych, smutnych blaskach na srebrzystej murawie zapatrzeni w siebie...

— Miłość twoja, mówił serdecznie i cicho, jest łaską, jest siłą moją, nagrodą, wiecznością, jest blaskiem moich dni i ciszą nocy gwiaździstych...

— Ulitowaliście się nad nami i zaczekali—odezwał się niespodzianie pan Edward.

Przebudzeni drgnęli i obejrzeli się.

— A możeś ty z kokieteryi stanęła, mówił dalej ojciec, aby błyszczeć w tem srebrnem świetle i zgubić pana Feliksa. Przyznaj się, dziewczyno.

Marynia spojrzała przed siebie.

— Widzisz, jaki suty ogieniaszek Antek zgotował, szyneczka będzie smakować, herbatka gorąca. Znajdzie się w koszyku i świeży pasztet, i butelka francuskiego wina, i masełko. Gospodyni nie wie nawet, co w jej koszyku się znajduje. Ojciec o wszystkiem musi pamiętać.

Nadbiegł Antek.

— Erbatę trza zaraziczko zasypać, bo się woda wygotuje i świeżej naleję.

Marynia, chcąc się uwolnić od żartów ojca, pobiegła do ognia, Antek za nią, za Antkiem Tadeusz.

— Podaj mi rękę, panie Feliksie, i chodźmy. Odchowaj dziecko, a odleci od ciebie, jako ptak. Taka nasza dola. Ale dobrze zrobiła, bo zaleje herbatę. W drodze znakomity napój... A wiesz, czem się dziś najwięcej zmęczyłem?

Feliks milczał.

— Oto tem, że nie można było tej buchającej ropy skierować

do kadzi... Patrzeć, jak bogactwo biednego kraju leci na marne, to się może serce krajać.

— Może, poświadczył uśmiechając się Feliks.

— I moje się, widzisz, krajało. A teraz jeść mi się chce i pragnę położyć się w chłodzie i nogi wyciągnąć. Dolegliwości krajowe najwięcej bolą!... Wielka zasługa Tadeusza, że odkrył w biedzie naszej nowe źródło...

— Jesteśmy stworzeni dla siebie, dlaczego nie możemy być razem?... Wiecznie razem—co za rozkosz! Szkoda każdej godziny, straconej osobno. Pustka mnie obejmuje i samotność straszy, gdy nie jestem przy tobie. Trzeba to raz skończyć, bo mi serce pęknie!... Szkoda życia! mówiło szeptem dziewczę, łapiąc powietrze, tamowane wzruszeniem i biegiem.

— A widzisz, nie mogliście uciec daleko! Papu was zatrzymało. Papu zarówno zatrzymuje filozofa i króla, jak i chudopachołka... Marzenia marzeniami, a przy żłobku trzeba stanąć i z drugimi papać—i to radzi praktyka życia. W imię tej praktyki obejmuję dowództwo i, jeżeli nie mogę waszemi myślami, to pokieruję waszemi żołądkami uczciwie, to jest higienicznie Naprzód koniak. Panie Feliksie, dawaj butelkę i kieliszek. Maniu, pij do mnie—musisz wchłonąć pół kieliszka... Tak, dobrze. Teraz chlebuś, masło, pasztet, potem sardynki i piwko, potem szynusia i wino francuskie, a na to wszystko herbatka!—A jak będzie smakować?!... Jestem w wybornym humorze, bogactwo narodowe odkryte, wydarte z ziemi i ujarzmione, my jego administratorami. Nie prawda, panie Tadeuszu?

— Bez wątpienia—tylko...

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć. Tylko, jak będziemy administrować?... Odpowiem ci—iść naprzód do celu i bez odetchnienia! Naród potrzebuje środków do życia, inaczej umrze na suchoty. Widzisz!... Panie Feliksie, sardynki i piwo. Ja i Marynia, jedno pudełko — wy drugie. Na czem stanąłem?...

— Na suchotach, powiedział Feliks

— Acha, na suchotach. A za tem panowie, wznoszę toast: poświęćmy wszystkie siły, aby narodowi nie dać umrzeć na suchoty. Ot, do czego ja dążę, do czego dążyć powinniśmy wszyscy... Antek, odkorkuj wino, Maryniu, podaj szynkę... A nie damy narodowi umrzeć na suchoty, gdy mu oddamy wszystko, nasze siły, zdrowie, przyszłość.

— I pieniądze—dodał spokojnie Feliks.

— Tak, pieniądze,—oszczędzone pieniądze stanowią właśnie bogactwo narodowe. Oszczędzać to znaczy zbierać, tworzyć. Gdybym nie oszczędzał od młodości, nie byłbym kupił Swobody, nie zetknął się z Tadeuszem, i dziś nie płynęłaby obfitym strumieniem cywilizacya.

Podniósł kieliszek w górę, wypełniony winem.

— Zdrowie cywilizacyi—niech płynie.

— Ojczulek dziś bardzo wymowny, zrobiła uwagę Marynia.

— Ta cywilizacya i ten obfity jej strumień rozwiązuje mi usta. To są rezultaty mej oszczędności, mej odwagi i mych szczęśliwych kombinacyi... Panie Tadeuszu, należałoby ufetować Mazurów, posłać do Kołomyi po piwo, kiełbasy!... Beczek więcej sprowadzić, bo może ich zabraknąć i gotowe nieszczęście.

— Już posłane, odparł Feliks.

Tadeusz siedział na uboczu, pochłonięty przez własne mysli. Twarz mu zbladła i wydłużyła się, w oczach głęboko świeciły zaklęte ognie. Milczał, nie brał udziału w uczcie, nie odpowiadał na pytania... Pierwszy to jego tryumf na rodzinnej ziemi. Nie mógł jeszcze objąć całego ogromu przyszłych powodzeń, myśli jego nurzały się w chaosie wielkich projektów... Tworzył przyszłość, szeroko piersi rozszerzał.

Cicho przy nim usiadła Marynia.

— Mam prośbę do pana, rzekła po polsku. Czy mogę mówić?

— Mów, zawołał ojciec, dziś wszystko dla ciebie!

— Czekam na pozwolenie pana Tadeusza, prośba wyłącznie do niego.

— Słucham, odpowiedział, cucąc się z zadumy...

— Dzisiejszy dzień jest wielkim dniem przyszłości pańskiej i może przyszłości przemysłu w tych stronach. Pragnę go upamiętnić.

— Dobrze, dobrze, słuchamy, zawołał wesoło pan Edward.

— I na szczycie tej góry postawić krzyż, u stóp jego kamień, na nim wyryta data dzisiejszego dnia.

— Zły to prognostyk krzyże w dzień wesela budować, rzekł ojciec.

— Proszę przeciąć w dwu kierunkach od krzyża las, niech go widzą, niech ramiona swoje rozciąga nad kopalnią. Koszta poniosę ze swych oszczędności...

— Ależ dobrze, dziecko, kiedy koniecznie tego chcesz. Co do mnie, nie lubię krzyży... Całe życie dźwigam krzyż...

Zwrócił się do Feliksa.

— Drzewo z wycinek sprzedam wam do kopalni.

— Byle nie drogo?..

— Drzewo do mnie należy, rzekła Marynia, i otrzymana za nie suma niech będzie zacząłkiem zapomogowej kasy dla robotników.

— To się nazywa mówić uczciwie, rzekł spokojnie Feliks.

— Panie dyrektorze, wprowadź mnie na szczyt, naznaczymy miejsce, w którem ma stanąć krzyż, rzekła stanowczo Marya.

Tadeusz, jakby przebudzony z letargu, zerwał się automatycznie, podał ramię dziewczęciu—poszli. Ojciec i Feliks wpatrywali się w nich w milczeniu. Feliks miał ochotę zawołać: jakaż dobrana para! lecz się bał przed czasem zdradzać tajemnicę.

Ojcu przesunęło się przez myśl przypuszczenie, czy czasem projekt postawienia krzyża nie był pretekstem do pójścia samym do lasu. Czoło zmarszczył, lecz złą myśl odepchnął, zwłasza po obfitym posiłku.

— Przecież to moja córka, powtarzał w duchu. Wracajcie, zawołał za nimi.

Nie obejrzeli się nawet.

— Nadto zajęci sobą, aby słyszeć mogli, zrobił uwagę Feliks.

W ojcu krew zawrzała, miał ochotę krzyknąć i wrócić ich z drogi, lecz się przeląkł tego zamiaru.

— Nie można się hazardować przed układem, rozumował. Znam moją córkę i wierzę jej, muszę jej wierzyć. Dlaczego nie mam jej wierzyć!?... Ma ona rozum i wielką godność! Moją godność ma moja córka.

Tymczasem córka, wzruszona, szła szybko na górę, oddychając gwałtownie. Tuliła się nerwowo do towarzysza. Obejrzała się...

— Nareszcie jesteśmy sami, dziś po raz ostatni. Mam tyle do powiedzenia, a brak mi słów,—ze wzruszenia myśli nie mogę skojarzyć... Zwycięzco mój!

Stanęła na wystający kamień, obróciła się i pociągnęła Tadeusza ku sobie. Zrównali się wzrostem, oparła ręce na jego ramionach.

— „Ktoś ty" pytałeś się mnie w swym liście. Kto ja? — szeptała. Jestem tylko biedną dziewczyną, która ci oddaje całe swe istnienie. Bierz je, jak własność i prowadź. Kto ja?... Nie wiem, lecz chcę być promieniem twej źrenicy, gorącym oddechem twej miłości i samą miłością,—siłą twych pragnień i energią twych czynów.. Wszystkiem być pragnę, o czem marzysz...

Patrzeli na siebie długo. w ekstazie objął ją ręką wpół, pochy-

liła głowę na jego ramieniu, rozpłakała się cicho i rzewnie. Łzy wzruszają, tulił ją, i mimowiednie usta ich złączył Bóg.

— Na wieczność, na całą wieczność, szeptała i poza wiecznością tyś mój!—Z tobą chcę przejść przez życie, przy tobie. W walkach potrzebujesz mocy, będziesz ją brał ze mnie!...

— Cokolwiek nam los zgotuje, odparł wzruszony, wykujemy pochód naszego życia na drogach tego kraju...

— Choćbyśmy mieli krwią i łzami naszemi wycisnąć niestarte piętno na nim—rozkazuj, jam twoja!... Tylko się spiesz zabrać mnie do siebie, szkoda życia, szkoda młodych lat.

— Jak pragnę, jak pragnę! Bez ciebie tęsknota szarpie mi nerwy, myśl się błąka, bez oparcia, bez wyrazu...

— Rozkazuj, jam twoja, powtórzyła z siłą.

— Nie mogę się stąd ruszyć, a tu domu niema, trzeba go postawić. Z ojcem twym nie spisana umowa...

— Po umowie i wybudowaniu domu pragnę tu zostać, być u ciebie, z tobą; nie w uroczystych chwilach uniesień, lecz w długim biegu życia. Nie od święta, lecz zawsze, być twoich pragnień wyrazem, a pracować dla ludzi.

I znowu głowę oparła na jego ramieniu, i znowu ciche łzy wzruszenia przyszły, i znowu usta się ich spotkały i piły słodycz upojenia.

Pierwsza oprzytomniała.

— A teraz na szczyt, na szczyt, spieszmy się!... Kiedyż przestanę się bać, kryć—i na te błahostki czas tracić...

Stanęli na samym cyplu góry. W utworzonej szparce z gałęzi zobaczyli ojca z Feliksem. Zawołali, odpowiedzieli im głośno, wzywając do powrotu. Miejsce, gdzie miał stanąć krzyż, oznaczyli kamieniami i, ująwszy się pod ręce, popychani spadkiem i miłością zbiegali szybko z góry.

— Miejsce przewyborne, mówiła zdyszana, wspaniały dębowy krzyż, szerokie przecięcie na pierwszy szyb kopalni! Przyjeżdżam na poświęcenie.

— Dobrze, moje dziecko, tylko trzeba najprzód jakieś schronisko zbudować, bo nie zawsze w górach pogoda sprzyja. Wtedy będziemy często przyjeżdżać. Zobaczysz, jakie to drożdże ta nafta i jak na tych drożdżach wszystko rosnąć będzie.

— Schronisko, ojczulku, proszę o schronisko miłe i wygodne,— dziewczę złożyło ręce.

— Dobrze, lecz pierwej musimy z panem Tadeuszem zawrzeć układ. Daliśmy sobie słowo zrobić to w pierwszym dniu ukazania

się ropy... Wracajmy, tylko proszę pani od nas nie uciekać... Być może, panie Feliksie, że jesteśmy tak banalni, że trudno z nami wytrzymać, lecz od czegóż poświęcenie? Maryniu, poświęcać się lubisz?...

— Po projekcie schroniska jesteś, ojczulku, najoryginalniejszym z ludzi i najwięcej pomysłowym.

Pana Edwarda znowu coś ukłuło pod sercem.

— Wybadam Urszulę, pomyślał, a udając wesołego, robił przypuszczenia, wiele beczek ropy może dać dziennie pierwszy szyb; pomagał mu w obliczeniach Feliks. Młodzi milczeli.

Od połowy drogi Tadeusz pomknął naprzód.

— Wiele się spodziewasz dziennie beczek, panie Tadeuszu, rzucił pytanie w kancelaryi pan Edward, zapalając cygaro.

— Obecnie do trzystu, odparł Tadeusz, siadając przy stoliku.

— O to świetnie! Obecnie cena beczki sześć papierków—to 1,800 guldenów dziennie,—winszuję ci!—Jeśli tu stanie dziesięć szybów i wszystkie dadzą tyle, w parę lat jesteś milionerem.

— A jeśli nie będą dawać? Pomyśl pan, jakie mnie czekają nakłady i straty...

— To też ze względu na nakłady żądam tylko za grunt, na którym kopiesz, za tę moją naftę, którą znalazłeś, tylko 40 procentów brutto.

Tadeusz zerwał się na równe nogi.

— Ależ to niepodobna, gruntu nie zabieram.

— Lecz zabierasz, co w gruncie jest! Zresztą to moje ostatnie słowo i nie wymagam dużo! Pomyśl sobie, z jednego szybu masz dziś 1800 złr. na dwadzieścia cztery godziny, a ja żądamy tylko czterdzieści procentów dla siebie za naftę, która jest moją. Albowiem, kupując ten majątek, kupiłem go, jak Żydzi, z powietrzem aż pod niebo i z głębokością aż do piekła.

Tadeusz siadł i zaczął liczyć. Pisał szybko cyfry i powtarzał: niepodobna, pan mnie u progu mych prac zabijasz.

— Jeśli ci się zdaje, że cię krzywdzę, możemy się rozstać. Oddaję ci nakłady, nawet dam coś na odszkodowanie, kopalnię będę prowadził sam.

— Panna Urszula bierze dziesięć procentów.

— Jakto, za co aż tyle?

— Dała mi na ryzyko trzydzieści tysięcy, połowę swego majątku, za to przyrzekłem jej dziesięć procentów od wszystkich szybów. Ryzykowała—łaskawy pan nic, dając grunt bez żadnej prawie wartości.

— Jeżeliś się tak ułożył, to ci jeszcze zostaje 900 guldenów dziennie. Nie chcę mieć więcej całe życie.

— Z tych trzysta zabierają koszta.

— Daj mi dziennie sześćset, to także cię skwituję z reszty!... No, no, kochany Tadziuniu, nie grymaś. Akcik ułożymy, podpiszesz go, a pojutrze przyszlę ci do podpisu akt notaryusza.

— Może lepiej będzie oddać kopalnię.

— Zostawiam ci do woli. Masz taką głowę i takie szczęście, że zaczniesz kopać, gdzie ropa wytryśnie...

Tadeusz wyszedł, pan Edward chodził po kancelaryi i rozważał.

— Jeżeli się zgodzi, to dlatego, że mu Marynia powie: jestem jedynaczką, a więc wszystko twoje!... Będę miał dowód niezbity. Lecz, gdy Marynia będzie milionerką, nie głupim oddawać ją dyrektorowi mej kopalni, bez nazwiska i znaczenia. Córka moja będzie wtedy pierwszą partyą w kraju. A wybić jej z głowy głupią miłość—może na to rozum mój wystarczy.

Marynia rozmawiała z Feliksem, przybiegł do nich Tadeusz.

— Pan Edward żąda czterdzieści procentów brutto za grunt, na którym kopiemy naftę. Jeśli się nie zgodzę, bierze kopalnię na siebie.

— Niech ją bierze, inaczej ruina. Sąd polubowny oznaczy przypadającą dla ciebie sumę i dalej w świat!

Marynia zbladła.

— Ostrzegałem cię, mówił dalej Feliks, aby odrazu przed rozpoczęciem robót zrobić układ, napisać kontrakt. Właściciel gruntu może żądać najwyżej dziesięć do piętnastu procentów... Ale cóż, ty masz wstręt do układów i walki w tym kierunku, przezwyciężyć się nie potrafisz. W tem tkwi zarodek twego upadku!

— Byłem pewny, tłómaczył się Tadeusz, że więcej nad dziesięć nie zażąda...

— Czterdzieści to śmierć! zawołał Feliks. Jutro we Lwowie zwołasz sąd polubowny...

Marynia odeszła, pociągając za sobą wzrokiem Tadeusza.

Pan Edward patrzał przez szybę okna.

— Boję się i drżę cała, mówiła nerwowo. Boję się, bo mi się zdaje, że, jeśli porzucisz Swobodę, stracę cię. Zaklinam, zgódź się na czterdzieści procentów. Wiesz, że jestem jedynaczką i jedyną spadkobierczynią ojca, a twoją na wieki. W imię naszej miłości zgódź się!

Przywołała ruchem głowy Feliksa.

— Już powiedziała, mówił półgłosem pan Edward, sakramentalne wyrazy! Jestem jedyną spadkobierczynią ojca i twoją na wieki! Ten głupiec uwierzył, przyjdzie tu i da głowę pod ewangelię.

— Panie Feliksie, pan wiesz wszystko, mówiło dziewczę.

— Wiem i boję się łączyć miłość z interesami.

— Właśnie łączmy, przerwała z pewną namiętnością. Miłość powinna być mistrzynią w interesach. Teraz niema już żadnej siły, którąby mnie rozłączyła z Tadeuszem, bo w tę sprawę zaangażowana jest miłość moja. Idź do ojca i powiedz, że się zgadzasz.

Jakaś moc z niej szła i prawda, że Feliks uchylił przed nią głowę.

Tadeusz poszedł. Pan Edward patrzał przez szybę i uśmiechał się, mówiąc w duchu:

— Chodź, chodź, moja owieczko, będziesz pamiętała na przyszłość, że kobiety i miłość to fatalne motory w interesach.

Cofnął się w głąb—wszedł Tadeusz.

— Jakiż rezultat narady z przyjacielem?

— Zostaję!

— Dajesz prawemu właścicielowi czterdzieści procentów?...

— Daję!

— Widzisz, przyjaciel ma głowę na karku i rozumie, że grzechem byłoby rzucać złoty interes.

— Piszmy szkic kontraktu, rzekł stanowczo Tadeusz.

— Natychmiast! Proszę tylko o zwyczajne zobowiązanie przy świadkach, a ja ci przyszlę ze Lwowa akt notaryalny do podpisu.

Tadeusz napisał, świadkami byli Feliks i maszynista.

— Na pamiątkę mego tu pobytu zostawiam dla robotników—kwestya robotnicza piekącą—pięćdziesiąt guldenów.

— A ja sto, dodała Marya—a zatem, ojczulku, proszę cię daj sto pięćdziesiąt.

— Na rzecz kasy, o której mówiła panna Marya, i drzewo z wycinki w lesie, dodał Feliks.

Ojciec spojrzał się na córkę, jakgdyby notował w pamięci.

-- Tak, tak, właśnie na kasę, powtórzył...

— Ja ze swej strony dodaję pięćset, odezwał się Tadeusz.

— Boś ty milioner, mówił z ukrytym uśmiechem pan Edward.

— Do księgi tymczasem zapisuję sześćset pięćdziesiąt i robotnikom dziś to obwieszczę.

Ścieżką od rzeki biły w powietrze tony muzyki, wrzawa, jak wiatr halny, przygłuszała ją. Spojrzano w okno, Marya otworzyła drzwi... Muzyka, śmiechy, ochocze wykrzykniki buchnęły. Na wo-

zie siedział Żyd na beczce piwa i kłaniał się czapką futrzaną Mazurom. Lud otaczał wóz, mołodyce i junaki. Za nimi ciągnął się długi szereg wozów, jadących po beczki, na których siedziała starszyzna i kobiety. Mołodyce zawodziły, muzyka jęczała...

Tadeusz przywołał Kaspra.

— Leć i zapowiedz, aby nikt nie śmiał w obrębie szybu palić.

— Bobyśmy wszyscy się udusili lub z dymem poszli, dokończył Kasper, i pomknął do gromady.

— Maryniu, śmierć nam grozi, bo chłopu nie wytłómaczysz, aby ognia nie niecił—cofajmy się.

— Ależ, ojcze, wypadku nie będzie.

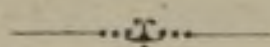
— Nie na to pracowałem dwadzieścia pięć lat, żeby marnie u progu fortuny padać. A i ty!... Chodź natychmiast, chwycił ją za rękę i uprowadził.

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ.



WSTĘP.

Obecny stan kwestyi.

. . . . uprzedzenie polityczne, najwięcej po uprzedzeniu stanowem, wpływa na spaczenie poglądów socyologicznych.

H. Spencer. Wstęp do socyologii str. 305.

„W ciągu ostatnich 30 do 40 lat" — czytamy w najpoddańszym raporcie Ministra Finansów, złożonym u stóp tronu, przy budżecie na 1899 rok [1]), „urodzaje bywały złe i dobre, ceny bywały „i wysokie i nizkie, — i, cokolwiekbyśmy sądzili o wpływie tych lub „tamtych na gospodarstwo naszych włościan, to jedno wątpliwości „nie ulega, że lata dobre nie dały im środków poprawienia stanu eko„nomicznego i nabrania sił do walki w latach niekorzystnych". Fakt pogarszania się stosunków ekonomicznych we wsi ruskiej jest bezsporny, — a jeśli ani przesilenie rolne ostatniej ćwierci bieżącego stulecia, ani system podatkowy, ani względnie nizki stan oświaty włościanina, nie mogą być uważane za wyłączne przyczyny tego faktu, — to, zdaniem raportu, przyczyny tej szukać należy w nieokreślonym charakterze stosunków społecznych i prawnych ruskiej

[1]) „Ateneum" 1899 r. tom I str. 374 i nast. Budżet Państwa na 1899 r.

gminy włościańskiej. „Proste dopełnienia i zmiany prawa” — mówi dalej raport — „nie byłyby w stanie zapełnić braków i poprawić niedostatków praw, rządzących stosunkami włościańskimi. „Aby poprawić stan obecny, trzeba tej wielkiej kwestyi zasad organizacyi gminy włościańskiej spojrzeć prosto w oczy. Od rozwiązania danego na te pytania, zależy dalszy postęp prac prawodawczych, tak, że bez poprzedniego zreformowania warunków ogólnych bytu włościańskiego niemożliwem jest przedsiębranie zasadniczej reformy podatków bezpośrednich, przypadających od „włościan”.

Prawo o organizacyi gmin włościańskich w państwie rosyjskiem z d. 19 lutego (3 marca 1861) miało w zasadzie charakter ustawy tymczasowej. Już w r. 1872 ustanowioną została komisya dla zbadania jej braków, — a w latach 1886 i 1893 wydano nowe rozporządzenia, dotyczące działów familijnych, i uwolnienia się pojedynczych członków gminy od związku gminnego; organizacya władz lokalnych kontrolujących samorząd włościański, uległa dwukrotnej radykalnej reformie.

Nieurodzaje lat 1891/2 i 1898/9 zaostrzyły położenie rzeczy i były bezpośrednią przyczyną; dla której dziś kwestya włościańska, jak się zdaje, stanowić będzie najpierwszy punkt w programie przyszłych prac prawodawczych.

Doniosłość organizacyi gminy włościańskiej w Rosyi, nie wymaga szczegółowych objaśnień.

Mimo niezwykłego wzrostu przemysłu w Państwie w latach ostatnich, ludność rolna stanowi około 85% mieszkańców; w ogólnej sumie wartości towarów, wywiezionych za granicę w 1895 r., przetwory przemysłu stanowiły około 0,5%, produkty górnictwa (nafta, ruda) 4,5%, rybołówstwa 0,6%, produkty leśne 6,4%, przetwory przemysłów rolnych (cukier, alkohol) niecałe 2%; całą zaś resztę — około 86% — stanowiły produkty rolnictwa, w czem samo ziarno około 48%.

Rolnictwo w Rosyi jest i na długie jeszcze lata pozostanie podstawą jej ekonomicznego bytu, — interes też, jaki obudzają kwestye, z rolnictwem połączone, muszą w najwyższym stopniu zaprzątać opinię publiczną.

Poza tymi względami życia rzeczywistego kwestya własności ziemi w Rosyi ma jeszcze drugą czysto teoretyczną, naukową stronę. Jestto jedno z najciemniejszych, najzawilszych, a tem samem i najciekawszych zagadnień ekonomicznych naszej epoki. Gmina włościańska w Wielkorosyi — „*mir*” — jest właścicielem

gruntu, włościanin — indywiduum — jest tylko jego użytkownikiem na czas nieokreślony, mniej lub więcej długi. Jestto organizacya, przekazana przez historyę, zabytek mniej lub więcej odległej przeszłości. W szeregu argumentów, któremi Laveleye dowodził, że w pierwotnym ustroju społeczeństw, ziemia nie była własnością osobistą, rosyjski *mir* zajmuje pierwsze miejsce, a jednocześnie, gdziekolwiek poszukiwanymi są dowody, że wspólna własność ziemi nie jest przeciwną naturze ludzkiej, że t. zw. własność indywidualna ziemi jest tylko historyczną kategoryą, pozbawioną charakteru wieczności, której kiedyś nie było i której w przyszłości może nie być, tam niezawodnie w szeregu argumentów „*mir*" stoi także na pierwszem miejscu.

W ten sposób kwestya „*miru*" wiąże się z kwestyą ogólną rozwoju organizacyi własności ziemskiej, z kwestyą której nikt za wyjaśnioną w przeszłości i rozwiązaną na przyszłość uważać się nie ośmiela. Do niedawna jeszcze każdy poważny ekonomista, pisząc o ogólnych zasadach ekonomii politycznej, czuł się obowiązanym poświęcić mniej lub więcej obszerny rożdział filozoficznemu ugruntowaniu prawa własności. W tych jednak usiłowaniach własność ziemi stanowiła zawsze orzech specyalnie twardy, dla którego trzeba było odszukiwać zasad i podstaw wyjątkowych: własność ziemi nie dawała się dedukować z prawa własności człowieka do produktu pracy.

Nakoniec nie bez wpływu na poglądy naukowe w kwestyi „*miru*" było i to, że t. zw. „wynalazca miru" baron Haxthausen odrazu postawił ją w oświetleniu teoryi St. Simona i tem samem związał z kwestyą proletaryatu wogóle, a z kwestyą proletaryatu rolnego w szczególności. Takie rozpatrywanie organizacyi gminy włościańskiej z jednego wyłącznego, polityczno-ekonomicznego punktu widzenia, wprowadziło do niej niemało jednostronnych poglądów, doktrynerskich fantazyi i w ogóle — niemałe zamieszanie.

Dla Laveleya „*mir*" jest zabytkiem powszechnego niegdyś, na całej kuli ziemskiej pierwotnego sposobu władania ziemią, który gdzie indziej zaginął, a przechował się tylko w jednej Rosyi, dzięki pewnym geograficznym i historycznym warunkom. Dla księcia Wasilczykowa *mir* jest wytworem specyalnym szczepu słowiańskiego, który w innych państwach słowiańskich zanikł z biegiem historyi. Dla Cziczerina zaś i dla Milukowa, *mir* jest wytworem polityki finansowej Państwa Moskiewskiego w XVI i XVII wieku.

Dla jednych *mir* jest tą formą władania ziemią, przy której żaden poważny postęp rolnictwa nie jest możliwy; — dla drugich

twierdzenie powyższe jest pozbawionem wszelkiej faktycznej podstawy. *Mir*, mówią jedni, jest instytucyą, która krępuje indywidualność jednostki, krępuje jej przedsiębiorczość i opóźnia zarówno postęp rolnictwa, jak i wogóle naturalną ewolucyę społeczeństwa —; *mir*, mówi strona przeciwna, jest ideałem stosunków agrarnych: daje on pracującemu na roli środki produkcyi, zabezpiecza go od losu irlandzkiego farmera, nie dopuszcza tworzenia się proletaryatu.

*
* *

W literaturze naszej oprócz artykułu W. Spasowicza, streszczającego klasyczne dzieło ks. A. Wasilczykowa, pomieszczonego w Ateneum w r. 1877 [1]), — nie znamy żadnej pracy naukowej, dotyczącej *miru*. Już to samo tłómaczy zamiar poznajomienia czytelników „Ateneum" z tą pierwszorzędną (zarówno z praktycznego, jak i teoretycznego punktu widzenia) kwestyą. Jest jeszcze druga przyczyna, skłaniająca nas do zajęcia się „*mirem*".

Co raz to dokładniejsze i pełniejsze badania statystyczne dotyczące stanu rolnictwa w Rosyi, wydane czy to przez władze centralne, czy też przez ziemstwa rossyjskie, — prace p. Brzeskiego, będące streszczeniem opinii władz miejscowych o gminie włościańskiej, bogata w materyały praca Czuprowa o wpływie cen i urodzajów na byt ruskiego włościanina, pozwalają dziś z większą, niż dotychczas, dokładnością ocenić ekonomiczne skutki organizacyi gminy wielkorosyjskiej.

Badania Jefimenki, Łuczyckiego i Kaufmana nad historyą zasiedlenia Rosyi, badania Milukowa nad historyą finansów państwa moskiewskiego, rzucają nowe także światło na historyczną genezę *miru* i zmuszają do ponownego krytycznego opracowania historyi jego powstania.

Nakoniec i teoretyczna strona kwestyi nie może być dziś rozpatrywana tak, jak rozpatrywano ją lat temu 40, a nawet 20. W nauce ekonomicznej lat ostatnich powstały nowe poglądy i nowe kierunki, które nie pozwalają rozbierać tej kwestyi ze stanowiska ściśle i wyłącznie ekonomicznego, t. j. ze stanowiska bezpośredniego wpływu *miru* na produkcyę wyłącznie bogactw materyalnych lub tworzenie się proletaryatu rolnego i całą tę kwestyę przenoszą na inny grunt — na grunt ogólnie społeczny.

---

[1]) T. II str. 1 i 377, t. III str. 179. Ks. A. Wasilczykow. „Ziemlewładienie i ziemledielje w Rossii i drugich jewropiejskich gosudarstwach".

Literatura, dotycząca naszego przedmiotu, jest niezwykle bogatą. Urzędowe materyały statystyczne, wydane czy to przez władze centralne, czy też przez zarządy ziemstw, stanowią całą bibliotekę. Wydawnictwa ziemstw, dotyczące statystyki, stanowiły już w 1891 roku 450 tomów. Nie pomylimy się bardzo, jeśli twierdzić będziemy, że od lat 40 niebyło żadnego ekonomisty rosyjskiego, któryby w sprawie *miru* zdania swego drukiem nie ogłosił. Nakoniec i w literaturze zagranicznej francuskiej i niemieckiej spotykamy cenne prace, kwestyi wspólnego władania ziemią dotyczące, śród których autorów spotykamy Laveleya, A. Leroy-Beaulieu, Keussler'a, v. Kohl'a. Wspominamy o tem dla tej samej przyczyny, dla której staraliśmy się na wstępie zestawić wszystkie trudności, jakie się w badaniu naszego przedmiotu nastręczają. Nim przystąpimy do historycznego zestawienia poglądów na kwestyę wspólnego władania ziemią rosyjskiego „*miru*", uważamy za właściwe poznajomić czytelnika najprzód z prawodawstwem, w Rossyi obowiązującem, dotyczącem organizacyi własności ziemi włościańskiej i organizacyi gminy wiejskiej w Wielkorosyi.

CZĘŚĆ I.

Przepisy prawa obowiązującego.

(Zbiór Praw Ces. Rosyjskiego, tom IX).

I.

Dziewiąty tom Zbioru Praw Cesarstwa Rosyjskiego (Swod Zakonow Rossijskoj Imperii) zawiera w sobie tak zwane Prawa Stanowe (*Zakony o sostojaniach*). Obejmuje on przepisy, dotyczące praw osobistych, czterech przez prawodawcę uznanych w Rossyi stanów: szlacheckiego, duchownego, mieszczańskiego i włościańskiego; a także prawa o „inorodcach" i o aktach stanu cywilnego.

Podstawą całego prawodawstwa o włościanach są zawarte w dodatkach wiekopomne ustawy z d. 19 lutego (3 marca) 1861 r.. zatytułowane: „Ogólne przepisy o włościanach, uwolnionych od poddaństwa". „Przepisy o wykupie włościan". „Przepisy miejscowe urządzenia własności ziemskiej włościan prywatnych w guberniach Wielkorosyjskich, Białoruskich i Noworosyjskich" i takież przepisy dla gubernii Małoruskich oraz „Przepisy dotyczące zniesienia poddaństwa w dziewięciu zachodnich guberniach Cesarstwa". —

Późniejszymi są: dodatek VII „Przepisy o byłych włościanach skarbowych (z r. 1866) i cały szereg praw specyalnych, dotyczących reformy włościańskiej, czy to w pewnych geograficznych okręgach, czy też przy pewnych specyalnych stosunkach poddańczych."

Znacznie późniejszym jest dodatek III[1], obejmujący organizacyę władz włościańskich prowincyonalnych: powiatowych i gubernialnych, które od r. 1861 już dwukrotnej reformie uległy. Ustawa r. 1861 ustanowiła honorowe, wybieralne urzędy „*Mirowych Posredników*" (Komisarzy do spraw włościańskich), mających przedewszystkiem czuwać nad wprowadzeniem w życie reformy r. 1861, łagodzić spory pomiędzy byłymi poddanymi a ich panami, kierować pierwszymi krokami nowopowstających władz gminnych, być raczej ich doradcami, niż władzą zwierzchnią, i decydować w wielu szczegółach czy to osobiście, czy też na zjazdach powiatowych — kolegialnie. Kwestye najważniejsze rozstrzygały się w specyalnie utworzonych Urzędach Gubernialnych, w których zasiadali, oprócz urzędników koronnych, delegaci szlachty osiadłej w gubernii. W miarę urzeczywistniania się reformy najważniejsze zadania Pośredników ustawały, i w r. 1874 organizacyę Pośredników zniesiono w całem państwie, za wyjątkiem dziewięciu gubernii zachodnich — ustanawiając — urzędy powiatowe do spraw włościańskich, które po większej części przejęły atrybucye i Pośredników i *ich Zjazdów*. — Policya miejscowa i świeżo wprowadzone nowe ogólne władze sądowe przejęły pewną część atrybucyi Pośredników. Czynności zaś, które wymagały osobistej, doraźnej interwencyi władzy powierzono t. z. Członkom stałym (*Niepremiennyj czlen*) Urzędów Powiatowych. Urzędy jednak powiatowe do spraw włościańskich nie miały długiego istnienia: jak każda instytucya kolegialna spełniały one swe czynności bardzo wolno, powiększyły formalizm korespondencyi i nie mające końca spory jurysdykcyjne. To też już w r. 1889 r. zniesiono je i zaprowadzono t. z. Okręgowych Naczelników Ziemskich z władzą o wiele większą, niż była władza Pośredników — i Zjazdy Naczelników Ziemskich, które objęły obowiązki Urzędów Powiatowych, przyczem autonomia władz gminnych uległa ograniczeniu. Wskutek tych reform dodatki III i III[1] obejmują przepisy o obowiązkach i prawach *a*) Mirowych Pośredników (istniejących dotąd w 9-ciu Zach. Guberniach), *b*) Urzędów Powiatowych do spraw włościańskich, które jeszcze istnieją w niektórych odleglejszych guberniach i *c*) Naczelników Ziemskich i ich Zjazdów. Atrybucye i skład Urzędów Gubernialnych do spraw włościańskich nie są też jednakowe w całem Państwie, a reprezentacya stanu szlacheckiego

w tym urzędzie obecnie jest słabszą, niżli była początkowo wedle Ustawy 1861 roku.

II.

Zasadnicze rysy całego prawodawstwa o włościanach znajdujemy streszczone w Najwyższym Manifeście z d. 19 lutego 1861 r. Z dniem jego ogłoszenia poddani, mieszkający w dobrach prywatnych, zostali zwolnieni z poddaństwa i otrzymali: prawa osobiste wolnych włościan i prawo użytkowania — za odpowiedniem wynagrodzeniem z osady — t. j. domu z ogrodem *(usad'by)*. — Prócz tego mają oni otrzymać grunta — w ilości potrzebnej dla zabezpieczenia ich bytu i zapewnienia regularnej wypłaty podatków — według norm, w prawie określonych. Za użytkowanie z tych gruntów obowiązani są pełnić określone w prawie powinności — pieniężne i naturalne — czynsze *(obrok)* i pańszczyznę na rzecz właściciela *(pomieszczyka)*.

Wolno im jednak zawrzeć z właścicielem dobrowolną umowę co do wykupu gruntów — przyczem rząd przyjdzie im z pomocą — i wtedy z włościan „czasowo obowiązanych" (*wremienno obiazannych*) przejdą do stanu „wolnych posiadaczy ziemi." Poddani, nie osiedli na ziemi — pozostający w służbie prywatnej pana — t. z. *„dworowyje ludi"* — po 2-ch lat od ogłoszenia manifestu otrzymują wolność zupełną.

Zawieranie umów o wykup gruntów nie postępowało zbyt spiesznie. Ilość umów, zawartych w ciągu pierwszych trzech lat działania prawa, wzrastała stale (945—4095—7343), ale od r. 1865 zaczęła stale się zmniejszać. Wobec tego wydanem zostało w 1881 r. (28 Czerwca) nowe prawo, stanowiące obowiązkowy wykup gruntów włościańskich i obowiązkowe zwolnienie włościan od danin i pańszczyzn na rzecz właściciela z dniem 1 stycznia 1883 roku, za wynagrodzeniem, ustanowionem przez władze do spraw włościańskich, obliczonem według norm, wskazanych w prawie z 1861 r. Jak to wyżej już powiedzieliśmy, wykup gruntów włościan skarbowych uregulowało prawo z d. 24 listopada 1866, a włościan w dobrach rodziny panującej prawo z d. 26 czerwca 1863.

Według zasady ogólnej tych praw — w całem Cesarstwie Rosyjskiem po za miejscowościami, uważanemi za miasta — na obszarach wiejskich — istnieją dwie równoległe organizacye gminne: ekonomiczno-finansowa, nazwana w prawie gminą wiejską *(sielskaja obszczina)*, i polityczno-administracyjna zwana włością (*wołost'*). Obie korzy-

stają z samorządu, obie mają właściwe władze, — z których najwyższą: w gminie wiejskiej jest zebranie gminne, złożone z wszystkich głów rodziny — gospodarzy — we wsi (*sielskij schod*), we włości zaś zebranie delegatów gmin wiejskich i włościan, zapisanych do włości (po 1 z 10 dworów). W prawie wyraz *„mir"*, *„mirom"* *„mirski"* odnosi się do obu zebrań ogólnych, zarówno do zebrania gospodarzy w gminie wiejskiej, jak do zebrania delegatów włości. Przepis prawa, że pewna decyzya musi być powzięta *„mirom"*, oznacza zatem, że sprawa ta należy do kompetencyi ogólnego zebrania gminy wiejskiej — lub włości. Główne zasady organizacyi obu gmin zawierają się w t. z. Przepisach Ogólnych (dod. I); — § 17 tych przepisów opiewa: włościanie, uwolnieni z zależności poddańczej, „stanowią w sprawach gospodarczych gminy wiejskie (*sielskija obszczestwa*), a dla bliższego zarządu i sądu włości. W każdej gminie wiejskiej i w każdej włości zarząd sprawami ogólnemi należy do *„miru"* (ogólnego zebrania) i osób, przez *mir* wybranych."

Gmina wiejska obejmuje wszystkich włościan, należących poprzednio do jednego właściciela. (§ 40 Ogólnych przepisów). Może się ona składać albo z jednej wsi, albo z pewnej części jednej wsi, jeżeli ta wieś miała kilku właścicieli, albo też z kilku wsi sąsiednich lub blizkich siebie, posiadających czy to wszystkie grunta, czy też niektóre rodzaje gruntów we wspólnem używaniu. Wsie małe — mające mniej niż 10 dusz rewizyjnych (męskich, pełnoletnich robotników) — mogą być łączone w jedną gminę, lub przyłączone do gminy najbliższej nie inaczej jednak, jak za zgodą mieszkańców.

„Włość" (§ 42) tworzy się z kilku wsi, leżących w jednym powiecie, o ile można graniczących ze sobą, tak, aby ilość dusz rewizyjnych była (§ 43) nie mniejszą od 300, a nie większą od 2000, przyczem powinien być uwzględniony podział wsi na parafie, i wieś jedna, choćby najliczniejsza i z kilku parafii złożona, nie może być podzielona na dwie lub więcej włości (§ 45).

W gminie wiejskiej reprezentantem władzy gminnej jest *Starosta*, któremu pomagać mogą specyalnie wybrani poborcy podatków (*Sborszczyki* — § 46). Zebranie gminne składa się że wszystkich włościan gospodarzy. Nieobecnego czasowo gospodarza może zastępować inny członek rodziny (ewentualnie żona); gospodarstwa, stanowiące więcej, niż jedną jednostkę podatkową (*tiagło — mnogotiagolnyja*), mogą, jeśli jest taki zwyczaj w gminie, być przedstawianemi na zebraniu przez dwie lub więcej osoby.

Jeśli w gminie, posiadającej ziemię we wspólnem użytkowaniu, są i gospodarze, posiadający ziemię na prawach indywidualnej (dziedzicznej) własności, — to oni biorą udział w zebraniach gmin-

nych, ale bez prawa głosu w kwestyach, odnoszących się do użytkowania gruntów i do stosunków z b. właścicielem majątku (pomieszczykiem), a głosują tylko w sprawach podziału (repartycyi) podatków i powinności: skarbowych, ziemskich i gminnych, — przy decyzyach, dotyczących potrzeb ziemstwa i gminy, i przy wyborach władz gminnych.

Do atrybucyi ogólnych zebrań gminy wiejskiej należą: 1) wybory władz w gminie wiejskiej i delegatów na zebrania włości; 2) decyzya o wydaleniu z gminy członków szkodliwych i występnych (*porocznych*); 3) uwolnienie z gminy i przyjmowanie nowych członków do gminy; 4) wybór opiekunów i kuratorów małoletnich oraz kontrola ich czynności; 5) udzielanie zezwoleń na podział majątku rodzinnego; 6) wszystkie sprawy, dotyczące użytkowania wspólnie posiadaną ziemią gminną, nowy jej podział (*pieredieł*), zwiększenie i zmniejszenie udziału (*tiagła*) i ostateczny podział gruntów wspólnych na użytkowanie osobiste (dziedziczne), a także kwestya podziału jednej gminy na dwie lub więcej; 7) w gminach, w których ziemia jest w użytkowaniu osobistem gospodarzy, decyzya co do sposobu użytkowania z gruntów pozostałych bez właściciela; 8) decyzye w kwestyach przedstawień do władzy wyższej w sprawach, dotyczących potrzeb gminy, porządku ogólnego w gminie, zapewnienia bytu ubogich i nauki czytania; 9) podawanie skarg i protestów w sprawach gminy przez osobnych delegatów; 10) ustanowienie składek (podatków) na potrzeby gminne; 11) rozkład (repartycya) wszystkich leżących na gminie podatków i powinności skarbowych, ziemskich i gminnych i sposób prowadzenia rachunkowości w tym przedmiocie; 12) kontrola rachunkowa nad władzami gminnemi i wyznaczenie im wynagrodzenia; 13) sprawy, dotyczące powinności wojskowej; 14) repartycya czynszów i robocizny na rzecz obywatela, — o ile te jeszcze trwają i leżą na solidarnej odpowiedzialności całej gminy (t. j. przy wspólnem użytkowaniu ziemią); 15) przedsiębranie środków celem niedopuszczenia lub usunięcia istniejących niedoborów (podatkowych); 16) sprawy, dotyczące zamiany zapasów ziarna na kapitały pieniężne lub naodwrót; 17) wydanie pełnomocnictw w sprawach gminnych; 18) wszystkie sprawy, w których, według brzmienia prawa, wymaganą jest zgoda lub decyzya gminy wiejskiej.

Punkty 14 i 16 nie należą do atrybucyi zebrań gminnych w gminach, w których istnieje dziedziczne, osobiste użytkowanie gruntów. W gminach, użytkujących grunta wspólnie, gospodarze, użytkujący osobiście (dziedzicznie), nie mają głosu przy decydowaniu tych spraw.

Przy tem (Uwaga 3) prawo stanowi: że zebranie gminne może naradzać się i decydować tylko w sprawach, objętych wyżej wymienionymi 18 punktami; gdyby zaś zebranie naradzało się i wydawało postanowienia w sprawach, nienależących do jego atrybucyi, to decyzye takie uważają się za nieważne, a osoby, które brały udział w decyzyi i w zwołaniu samowolnem zebrania, ulegają — stosownie do ważności sprawy — albo karze z mocy decyzyi Mirowego Pośrednika (obecnie naczelnika ziemskiego), albo też oddają się pod sąd.

Decyzye zebrań gminnych wiejskich są ważne, jeśli zapadły w obecności starosty, większością więcej, niż połowy, głosów gospodarzy, mających prawo głosowania na zebraniu gminy. W następujących jednak kwestyach (§ 54) wymaganą jest większość ²/₃ głosów włościan, mających głos na zebraniu: 1) zamiana wspólnego użytkowania ziemią na użytkowanie osobiste, dziedziczne (*podwornoje*); 2) podział gruntów wspólnych między pojedyncze dwory; 3) nowy podział gruntów wspólnych; 4) ustanowienie nowych składek — podatków gminnych, wspólne nabycie ziemi, wydatki z kapitałów gminnych i solidarne poręczenie gminy przy licytacyach (zamiast kaucyi); 5) wyłączenie członków gminy i oddanie ich w rozporządzenie rządu (dla wysłania na Syberyę). Decyzye № 5 ulegają zatwierdzeniu ich przez zebrania włości, jeśli gmina wiejska ma mniej, niż 300 dusz, — i zawsze zatwierdzeniu przez władze gubernialne do spraw włościańskich. Tylko decyzye w sprawach wymienionych w § 54, t. j. wymagających większości ²/₃, zapisują się do księgi postanowień gminnych; — inne zaś mogą być zapisane, jeśli tego zebranie zażąda, przyczem prawo żadnej formy dla protokołów tych nie przepisuje. Dodane później do tego § Uwagi żądają wniesienia do księgi protokołów wszystkich decyzyi zebrań gminnych wiejskich dotyczących: 1) podziałów rodzinnych; 2) sprzedaży majątku małoletnich; 3) usynowienia i 4) w ogóle wszystkich takich decyzyi, które według prawa powinny być zatwierdzone przez naczelnika ziemskiego lub Zjazd naczelników ziemskich.

Starosta wiejski jest przedstawicielem władzy we wsi; on zwołuje i rozwiązuje zebrania gminne i czuwa nad porządkiem w czasie ich trwania; on przedstawia zebraniu kwestye, mające być zdecydowanemi, i wykonywa postanowienia tak zebrań gminy wiejskiej, jak i zarządu włości, i władz do spraw włościańskich; on strzeże całości granic, dróg, mostów, grobel, przewozów etc. na ziemiach włościańskich; on ma nadzór nad pełnieniem przez włościan powinności i wnoszeniem podatków skarbowych, ziemskich i gminnych; a tam, gdzie gmina nie wybrała specyalnego poborcy, on sam ściąga podatki pie-

niędzmi i w naturze; on pilnuje, aby włościanie wykonywali ściśle umowy, między sobą zawarte, a także umowy, zawarte z właścicielem ziemi i osobami trzeciemi, jeśli treść umowy sporowi nie ulega; on pilnuje porządku w szkołach, szpitalach, przytułkach i innych zakładach gminnych, dogląda sporządzenia spisów ludności, dostarcza Zarządowi włości wiadomości potrzebnych przy wystawiania przez tenże zarząd paszportów i świadectw o uwolnieniu włościan z gminy; zarządza zgodnie z postanowieniami gminy kapitałami, gospodarstwem i zapasami zbożowymi gminy; on pilnuje oddanego sobie pod dozór majątku, zasekwestrowanego za niedobory podatkowe.

Władzy jego ulegają wszyscy włościanie, żyjący na gruntach gminy, z wyjątkiem służby dworskiej, „*pomieszczyka*", którą, jeśli naruszyła porządek publiczny na gruntach wiejskich, starosta winien odstawić do naczelnika włości. Paragraf 63 opiewa, że Starosta obowiązany jest wypełniać bez protestu (*bezprekosłowno*), wszystkie prawne żądania mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego), Sędziego śledczego, policyi miejscowej i wszystkich w ogóle władz w kwestyach, odnoszących się do ich kompetencyi.

Starosta sam ma prawo karać oddaniem na roboty gminne do 2 dni i karą pieniężną do 1 rubla, albo aresztem do 2-ch dni. W czynnościach ważniejszych (rewizye, aresztowanie, odbiór pieniędzy od poborcy), winien on wzywać 2-ch świadków z pomiędzy starszych włościan. W dużych gminach do pomocy staroście może być wybranym pomocnik, a do poboru podatków osobny poborca (§ 67), który pobiera i wnosi podatki do kasy skarbowej, — pilnuje, aby podatki wpływały w całości, składa zebraniu gminy sprawozdanie i donosi, kto z członków gminy zalega w wypłacie podatków.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły organizacyi gminy policyjno-administracyjnej, t. j. włości. Zebrania włości mają ściśle, oznaczony zakres kompetencyi, z tem samem zastrzeżeniem (§ 78), że, jeśli będą rozprawiać (*imieť suždienje*) i decydować w sprawach, nieulegających ich kompetencyi, to winni, stosownie do ważności postanowienia, — ulegną karze policyjnej lub będą oddani pod sąd, a decyzya uważaną będzie za niebyłą (*nicztożnaja*). Prawo ustanawia jeszcze Radę gminą — (*Wołostnaje Prawlenje*), złożone z Naczelnika, Starostów gmin wiejskich i poborców podatkowych. Kompetencya tej rady ogranicza się tylko do spraw ekonomiczno-finansowych włości, a w pozostałych ma ona tylko głos doradczy. Na obowiązku Naczelnika włości leży także (§ 84 p. 6) pilnowanie regularnego wypełnienia przez gminy wiejskie powin-

ności skarbowych i ziemskich, pieniężnych i naturalnych, a także powinności wojskowej. Przy włości istnieją też i Sądy Gminne, złożone z 4 do 12 członków; w zakres ich władzy, organizacyę i procedurę wchodzić tu nie będziemy.

Do zajęcia urzędu gminnego z wyboru wymagane są pewne warunki co do wieku, reputacyi etc. (§ 114). Wybrani na urzędy gmine mogą się od ich przyjęcia wymówić tylko wtedy, jeśli mają więcej, niż lat 60, jeśli już przez trzy lata pełnili obowiązki gminne lub są chorzy. Starszy włości obejmuje urząd po zatwierdzenie go przez mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego), i złożeniu przed nim przysięgi. Starszy włości, starosta wiejski i mniejsi urzędnicy gminni, winni zaniedbania w wypełnianiu obowiązków lub wyraźnych nadużyć, mogą być usunięci z urzędu przez postanowienie Zjazdu mirowych pośredników (naczelników ziemskich), na zasadzie przedstawienia mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego). Decyzya co do uwolnienia Starszego włości ulega potwierdzeniu przez Gubernatora. Dla przyczyn wyjątkowo ważnych mirowy pośrednik (naczelnik ziemski) ma prawo zawieszać w czynności urzędników gmin i mianować na ich miejsce chwilowych zastępców, a nawet zgodnie z § 153, na żądanie b. obywatela (*pomieszczika*), ostatecznie usunąć Starostę wiejskiego.

Na zakończenie tego przeglądu przepisów o wewnętrznej organizacyi gminy zauważymy jeszcze, że w epoce pomiędzy zniesieniem poddaństwa a ostatecznym układem pomiędzy obywatelem a włościanami o wykup gruntów — t. j. w epoce, kiedy ci ostatni obowiązani byli do płacenia czynszów i pełnienia robocizny — i byli, jak ich prawo nazywa — czasowo obowiązanymi — (*wremienno obiazannymi*), obywatel (*pomieszczik*) miał dość obszerne prawo interweniowania w sprawy wewnętrzne gminy wiejskiej i włości, których określeniem zajmuje się Rożdział VI przepisów ogólnych (§ 148 — 163). Obelga, wyrządzona obywatelowi lub osobie, do jego rodziny należącej, karaną była z art. 394 i 395 K. K. G. (o obelgach, wyrządzonych przez podwładnych zwierzchności), musiał on być zapytanym o zdanie przy wyłączeniu włościanina z gminy i w ciągu lat 9 od daty reformy, t. j. do 1870 r., mógł żądać, za pośrednictwem mirowego pośrednika, usunięcia z gminy osób szkodliwych i niebezpiecznych, t. j. zesłania ich na Syberyę. Mógł żądać komunikowania sobie postanowień gminnych i, za pośrednictwem mirowego pośrednika, żądać ich unieważnienia, jeśli je uważał za niezgodne z prawem lub szkodliwe dla gminy. Paragraf 149 wprost przyznawał mu prawo nadzoru nad bezpieczeństwem i spokojem

publicznym i wskazywał wypadki, w których starosta wiejski był obowiązany do wykonywania natychmiastowego zgodnych z prawem żądań obywatela. Uwaga I do § 115 stanowi, że b. obywatel ziemski ma prawo niedopuścić do zajęcia urzędu pisarza włości — osoby niezasługującej na zaufanie (*niebłagonadiożnyj*).

III.

Paragraf 718, tom IX, przyznaje gminie wiejskiej charakter osoby prawnej. „Gmina wiejska może na zasadzie praw ogólnych nabywać na własność majątki ruchome i nieruchome. Ziemią, nabytą na własność po za *nadziałem* (ziemią otrzymaną przy uwłaszczenia), może rozporządzać wedle własnego uznania, dzielić ją pomiędzy pojedyńczych gospodarzy i oddawać te działy na ich osobistą własność albo też zachować tę ziemię we wspólnem użytkowaniu wszystkich gospodarzy". Ziemia, nabyta przez gminę drogą wykupu przy uwłaszczeniu „nadział", stanowi własność gminy niezbywalną, ulegającą (nawet przy sprzedaży drogą wywłaszczenia pod drogi żelazne i pocztowe), osobnym przepisom, zawartym w dodatkach do tomu IX, — a przedewszystkiem w dodatkach № IV i V, obejmujących „przepisy urządzenia własności ziemi włościan osiadłych na gruntach prywatnych, (*pomieszczyczich ziemlach)*, przyczem prawodawca rozróżnił gubernie Wielkorosyjskie, Noworosyjskie i Białoruskie — od gubernii Małoruskich [1]). Ziemia Wojska Dońskiego, gubernia Stawropolska, kraj Zakaukaski i wsie Baszkirów otrzymały przepisy specyalne.

---

[1]) Do gubernii Wielkorosyjskich prawo zalicza gubernie:

a) z rajonu północnego: Ołonecką. Wołogodzką, St. Petersburską, Nowogrodzką i Smoleńską; (brak. Archangielskiej).

b) rajon przemysłowy: Twerską. Moskiewską. Włodzimierską, Jarosławską: Kałuską. Kostromską i Tulską;

c) rajon centralnego czarnoziemu: Woroneską, Kurską, Orłowską, Tambowską. Penzeńską, Riazańską i Symbirską:

d) rajon przyuralski: Permską, Wiatską, Kazańską i Niżnie-Nowogrodzką,

e) z rajonu stepowego: Astrachańską, Ufimską, Orenburską, Samarską, Saratowską — i część Charkowskiej.

Do gubernii białoruskich zaliczono gubernie: Mohilewską i część Mińskiej. Do gubernii Noworosyjskich: Ekaterinosławską, Taurydzką i Chersońską.

W Gub. Archangielskiej majątków prywatnych z osiadłymi w nich włościanami w 1861 r. było trzy.

Przepisy organizacyi własności we wsiach skarbowych (dod. VII) powoływały się na już obowiązujące przepisy dodatków IV i V.

Uwaga 1 do § 1 przepisów miejscowych (dod. IV), mówiąca o podziale gub. Charkowskiej na 2 części, z których jedna ulega przepisom dodatku № IV (organizacya wielkorosyjska), w drugiej zaś organizacya własności ziemskiej włościańskiej ma ulegać przepisom dodatku № V (małorosyjska), odnoszącego się do gub. Małoruskich (Połtawskiej, Czernichowskiej i części Charkowskiej) objaśnia nas, czem kierował się prawodawca, dzieląc gubernie Cesarstwa na 2 typy organizacyi własności ziemskiej: wielko — i małorosyjską. Wielkorosyjską organizacyą gospodarstwa wiejskiego nazywa prawo tę organizacyę, przy której ziemia, oddana w użytkowanie włościanom, dzieli się na *tiagła* — t. j. równe sobie części — małorosyjską zaś taką organizacyę, przy której włościanie w jednej wsi dzielą się na ciągłych i pieszych (odbywających pańszczyznę sprzężajem i pieszo) i posiadają na użytkowanie nierówne części ziemi. Ta czysto zewnętrzna cecha charakterystyczna, była podstawą podziału Państwa na dwie wielkie typowe działy, do których wprowadzono użytkowanie ziemi: gminne, wspólne — i osobiste, lub, jak je prawo nazywa, „dziedziczne” „podworne”.

W zasadnicznem prawie o prawach stanu włościańskiego (§ 700, tom IX) prawo nazywa wszystkich tych włościan, którzy drogą wykupu ziemię nabyli i wszystkie powinności czasowe względem dworu (czynsze i pańszczyzny) zamienili na wykup, włościanami — właścicielami. W zasadzie jednak tytuł własności ziemi, nabytej przy uwłaszczeniu, przy obu typach własności, zarówno wielkorosyjskiej, jak i małorosyjskiej, nie należy do pojedynczych włościan, ale do gminy wiejskiej (*sielskawo obszczestwa*), i różnica między typami leży w sposobie użytkowania z ziemi. Ziemia jest osobistą, dziedziczną własnością włościanina tylko wtedy, jeśli ją nabył po uwłaszczeniu, czy to sam, czy wspólnie z innemi. Nie wchodząc w naturę własności ziemi, należącej do włościan przez uwłaszczenie w gminach małoruskich, zauważymy tylko, że w gminach tych, jeśli ziemia włościańska okazuje się „bez spadkobiercy”, przechodzi na własność nie skarbu, ale gminy, w której jest położona, tak samo jak w granicach wiejskiej gminy wielkorosyjskiej osada, posiadana na prawie wyłącznej własności dziedzicznej, przechodzi na własność tej gminy, jeśli po śmierci właściciela okaże się zupełny brak spadkobierców.

Rożdział III przepisów miejscowych dla Gub. Wielko—, Nowo- i Białoruskich (dod. IV) zajmuje się specyalnie określeniem sposobu użytkowania z ziemi. „Ziemia, oddana [1]) włościanom przy uwłaszczeniu" (*w nadieł*), mówi § 98, na zasadzie listu nadawczego (*ustawnoj gramoty*), zostaje oddaną pod nazwą ziemi gminnej (*mirskoj*) w stałe użytkowanie gminy wiejskiej za określone powinności [2])". Przy przejściu do innego stanu lub do innej gminy, włościanin traci prawo do użytkowania ziemi w tej gminie, do której należał (§ 99). Sposób użytkowania ziemi zależy od uznania gminy, z zastrzeżeniem zachowania dróg istniejących i praw obywatela do gruntów, pozostałych we wspólności (wygony, pastwiska) lub zastrzeżonych w liście nadawczym (§ 100—105). W granicach swej osady każdy włościanin ma nieograniczone prawo budowania i przebudowywania — zaś poza granicami osady, tylko za zezwoleniem gminy (106/7), i nie ma prawa ustępować swego udziału, zarówno drugiemu włościaninowi z tej samej gminy wiejskiej, jak i osobie trzeciej — bez zezwolenia gminy.

Najważniejsze przepisy zawiera Oddział II tego Rożdziału. Ziemia pod osadą każdego włościańskiego gospodarstwa (*usadiebnaja ziemla*) przechodzi na dziedziczne używanie tej rodziny (*siemiejstwa*) — więc nie osoby włościanina —, która w niej mieszka dnia 19 lutego 1861 r. v. s., i przechodzi drogą spadku do sukcesorów, stosownie do istniejących, w każdej miejscowości praw zwyczajowych spadkobrania (§ 110). Grunta pod osadami pozostałemi bez właściciela, czy to w skutek opuszczenia gminy przez rodzinę, czy też wymarcia rodziny bez pozostawienia sukcesorów, przechodzą na własność gminy, która może albo wziąć je na użytek gminy albo oddać jakiejś rodzinie z gminy w stałe użytkowanie dziedziczne. Grunta położone we wsi, a nieoddane nikomu pod osadę, pozostają we wspólnem użytkowaniu. „Pola gminne" — t. j. ziemia po za wsią (*mirskaja polewaja ziemla*), grunta orne, łąki i inne użytki — (*ugodja*), „pozostają we wspólnem użytkowaniu tych włościan, którym były oddane". — „Użytkowaniem gminnem" objaśnia prawo w uwadze — „nazywa się to użytkowanie, oparte

---

[1]) Odpowiedni (92) paragraf przepisów miejscowych dla gub. małoruskich brzmi dosłownie tak samo, z tą tylko różnicą, że zamiast „ziemia oddana" użyto wyrażenia „ziemie oddane".

[2]) Czynsz — (*obrok*) — i pańszczyznę (*izdielnaju powinnost' — barszczyny*), które „Przepisami o wykupie", dod. II zamieniano na kapitał pieniężny.

na zwyczaju, przy którem grunta na podstawie postanowień zebrania gminnego dzielą się i rozdzielają na nowo (*pieredielajutsia i raspredielajutsia*) między włościanami na ilość dusz (głów męskich dorosłych), osad (*tiagoł*) lub *w inny sposób*, a powinności, ciążące na ziemi wypełniają się pod solidarną odpowiedzialnością wszystkich członków gminy, użytkujących z gruntu.

Postanowienia Og. Zebrań gminy, dotyczące nowego podziału ziemi, powinny zapaść większością ²/₃ głosów wszystkich gospodarzy we wsi. Każda gmina ma prawo zamienić użytkowanie gminne pól na użytkowanie dziedziczne, t. j., znieść działy i repartycyę (*pieredieły i razwiorstku mirskoj ziemli*) — dzieląc ją raz na zawsze na części między osadami (*podwornyje uczastki*), i oddać te części w dziedziczne użytkowanie gospodarzy, przy zachowaniu dwu tylko warunków: 1) aby postanowienie to zapadło zgodnie z § 54 Og. Przepisów (t. j. ²/₃ głosami wszystkich gospodarzy we wsi); 2) ażeby zmiana ta odbyła się zawsze za zgodą b. właściciela (*pomieszczyka*). Ten drugi warunek dziś nie istnieje; miał on wagę dopóty, dopóki włościanie nie ułożyli się o wykup — pozostawali w epoce t. z. „czasowo obowiązanych”, płacili czynsze i odbywali pańszczyznę. Zwolnienie z solidarnej odpowiedzialności wymagało wtedy zezwolenia obywatela — z zamianą czynszów i pańszczyzny na wykup; — z chwilą, w której rząd stał się tym wyłącznym wierzycielem, na rzecz którego solidarna odpowiedzialność istnieje, wymaganem jest tylko zgoda Naczelnika Ziemskiego i zatwierdzenie rozkładu podatków, powinności i sum wykupowych przez gubernialny urząd do spraw włościańskich. Odpowiedni przepis znajdujemy w § 163 przepisów o wykupie (dod. II) i § 15 przepisów o b. włościanach skarbowych (dod. № VII). Paragraf 416 stanowi, że przy zamianie użytkowania gminnego ziemią na użytkowanie dziedziczne — gmina może (ale nie jest obowiązaną) działy pojedynczych gospodarzy wyznaczyć na jednem miejscu.

Jedną z najmniej jasnych kwestyi w prawodawstwie 1861 roku jest kwestya zwrotu byłemu właścicielowi (*pomieszczykowi*) gruntów, wydzielonych włościanom. Oddział III Rozdziału III-go Przepisów, poświęcony specyalnie tej materyi, stanowi osobne przepisy na peryod czasu pierwszych 9-ciu lat od daty uwłaszczania (1861—1870), i na peryod po upływie lat 9-ciu, i rozróżnia zrzeczenia się dobrowolne włościan — od odebrania gruntów włościanom przez właściciela. W zasadzie (§ 120) włościanie nie mogą żądać zmniejszenia wydzielanych im gruntów poniżej minimum, ani żądać zwiększenia po za maximum, przez prawo wyznaczone, nie mają też prawa

usuwać się z gminy bez wypełnienia warunków, przez prawo ściśle opisanych. O wyjściu włościan z gminy będziemy mówić potem; w tem miejscu musimy poświęcić słów kilka kwestyi zrzeczenia się udziału w gruntach gminnych bez wyjścia z gminy — przyczem zmuszeni będziemy zająć się i kwestyą tego zrzeczenia się w ciągu lat 1861—70, gdyż kwestya ta ściśle jest związaną z faktycznym obszarem gruntów, wydzielonych włościanom na użytkowania przy reformie 1861 roku.

W ciągu 1861—1870 r. włościanie nie mieli prawa, zatrzymawszy osadę (chałupę, budynki i grunt we wsi), zrzec się reszty nadziału; mogli tylko, za zgodą byłego swojego pana i za zezwoleniem właściwej władzy (Urzędu Gubernialnego do spraw włościańskich), zmniejszać obszar gruntów, nadanych do $^1/_2$ *maximum* nadziału prawem określonego. (§ 121 P. M.) *Maximum* wynosiło, stosownie do miejscowości, od 3 do 7 dziesięcin [1]) — zwykle 3 razy wzięty obszar minimalny — z wyj. gubernii stepowych, które miały tylko obszar obowiązkowy (*ukazny*), stały, zmieniający się stosownie do miejscowości od 3 do 12 dziesięcin. Mogli też w porozumieniu się z obywatelem i z zatwierdzenia władzy właściwej *nabyć na własność* przestrzeń *minimum* — t. j. $^1/_3$ nadziału maksymalnego (resp. w gub. stepowych obowiązkowego), (§ 122 P. M.) Nakoniec § 123 zwany „paragrafem Gagarińskim" stanowi, jak następuje.

„W razie, gdyby obywatel (*pomieszczyk*), na skutek dobrowolnej umowy, z włościanami zawartej i zatwierdzonej we właściwym porządku przez Urząd Gubernialny, darował gminie włościańskiej część ich nadziału, i jeśli ta część zawierać będzie w sobie osadę włościańską i razem z nią stanowi na każdą duszę rewizyjną (męzką, dorosłą głowę), nie mniej jak $^1/_4$ obszaru maksymalnego lub — w rajonie stepowym — obowiązkowego — przepisa-

---

1) W aneksie do § 15 Przepisów miejscowych dla gub. Wielko, Biało- i Noworosyjskich, oznaczono *maximum* i *minimum* nadziału stosownie do okręgów, gubernii i miejscowości. Dla gubernii nieczarnoziemnych rozróżniono 9 miejscowości, dla których *minimum* wynosi od 1—$2^1/_3$ dziesięcin, *maximum* od 3 do 7 dz. W guberniach czarnoziemnych rozróżniono 8 miejscowości *minimum* 2200 □ saż. do 2 dziesięcin — *maximum* od $2^3/_4$ do 6 dziesięcin. Dla gubernii stepowych wyznaczono jeden rozmiar obowiązkowy (*ukazny*), stanowiący w gub. Wielkorosyjskich, (Saratowska, Samarska i Orenburska), od 6 do 12 dziesięcin, a w gub. Noworosyjskich (Chersońska, Jekaterinoslawska i Taurydzka) od 3 do $6^1/_2$ dziesięcin stosownie do miejscowości.

nego dla tej miejscowości, w której wieś jest położona, to włościanie tak obdarowani, mogą się zrzec reszty obowiązkowego dla nich obszaru gruntów, która w tym wypadku, przechodzi w zupełne rozporządzenie obywatela". Paragraf ten oprócz nazwy „gagaryńskiego" nosi jeszcze nazwę paragrafu nędzarzy (*niszczeńskij*), jako ostateczne *minimum* obszaru gruntów włościańskich, dopuszczone przez prawo 1861 r. Własność ziemska włościan, uwłaszczonych na podstawie § 123, mogła zatem w niektórych miejscowościach [1]), wynosić — wraz z osadą, 3/4 dziesięciny. Żadnych jednak czynszów, pańszczyzn ani wykupu w tym wypadku włościanin nie ponosił.

Wciągu lat 9-ciu gmina mogła zwrócić właścicielowi część gruntów, jeśli wskutek wypadków nieprzewidzianych (nie wskutek zwolnienia z gminy) ilość dusz w gminie zmniejszyła się o 1/5 lub więcej. Każdy zaś włościanin miał prawo zrzec się gruntów, zatrzymując osadę, jeśli nabył — po za uwłaszczeniem, i w odległości nie większej od gminy, jak 15 wiorst, przestrzeń ziemi nie mniejszą od dwa razy wziętego nadziału maksymalnego, obowiązkowego dla jego gminy. (§ 125 Przep. Miejsc.).

Po upływie lat 9-ciu każdy, wychodzący z gminy, może, wypełniwszy wymagania §§ 130—140 przepisów ogólnych [2]), zrzec się swego udziału w ziemi, a jeśli z gminy nie wychodzi, może się go zrzec, zakupując w promieniu 15 wiorstowym ilość gruntu, wyrównywającą dwa razy wziętemu *maximum* nadziału obowiązującego w jego gminie. Przed r. 1870 gmina musiała brać na siebie grunta, których zrzekali się jej członkowie, od 1870 r. obowiązek ten ustawał (§ 131), ale prawo nie mówi nic o zmniejszeniu w tym wypadku ani podatków, ani sum wykupowych, co czyni ten § pozbawionym realnej treści. Nie mówi też nic o tem, kto wchodzi w posiadanie porzuconego gruntu, b. właściciel, czy też skarb państwa.

Zwrot gruntów, nadanych właścicielowi między r. 1861 a 1870 r., następował obowiązkowo, tylko przy przemianowaniu wsi na osadę i miasto lub w wypadkach, przewidzianych § 121—124, (za porozu-

---

[1]) Powiaty Moskiewski, Kołomeński, Bronnicki i Bogorodzki w gub. Moskiewskiej — pow. Krasnosłobodzki, gub. Penzeńskiej, część p-tu Zarajskiego w gub. Riazańskiej, i powiaty Jełatomski, Spaski, Tiemnikowski i Szacki, gub. Tambowskiej.

[2]) Według brzmienia § 130 p. t. Ogólnych przepisów, *musi* raz na zawsze zrzec się tego udziału i oddać go gminie.

mieniem się z właścicielem i przy zmniejszeniu się ilości dusz w gminie o 1/5 lub więcej). Działy ziemi, odbierane włościanom za niespełnianie pańszczyzny i niepłacenie czynszu, przechodziły tylko czasowo w ręce obywatela i dopiero po upływie lat 9-ciu, jeśli gmina zrzekła się ich na zawsze, przechodziły ostatecznie na własność obywatela. Od 1883 roku, t. j. od daty obowiązkowego ustania czynszów i pańszczyzn, przepisy te straciły moc obowiązującą.

W ostatnich latach prawo gminy rozporządzania się ziemią gminną zostało jeszcze ograniczone prawem z d. 14 grudnia 1893 r. Mocą tego prawa, sprzedaż gruntów gminnych wymaga zezwolenia 2/3 głosujących na zebraniu gminnem i zatwierdzenia sprzedaży przez Urząd Gubernialny do spraw włościańskich, jeśli wartość sprzedawanej ziemi wynosi rs. 500 lub mniej — a zatwierdzenia przez Ministrów Spraw wewnętrznych i Finansów, jeśli tę sumę przenosi. W wypadkach zaś, kiedy sprzedawane grunty mają być eksploatowane w celach górniczych, wymaganą jest jeszcze zgoda Ministra Dóbr Państwa.

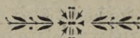
Zauważymy jeszcze, że § 2 tegoż prawa z 1893 r. stanowi, że grunty, będące własnością prywatną włościan, zarówno jak i grunty, będące w dziedzicznem ich używaniu, nie mogą być ani darowane, ani sprzedane (nawet drogą przymusowej sprzedaży), jak tylko osobom, do gminy należącym, albo takim, które zobowiążą się do gminy zapisać. Zaś § 3 zabrania zarówno całym gminom, jak i pojedyńczym włościanom, zaciągania pożyczek hypotecznych na grunty włościańskie, nawet wtedy, kiedy sumy wykupowe w zupełności zostały spłacone.

Stanisław Piotrowski.



Józef Szujski

jako teoretyk i jako twórca dramatyczny.



I.

„Na portrecie Matejki oblicze Szujskiego tchnie takim duchem rycerskim, wymowne oczy takim płoną ogniem, dumna i harda głowa tak silnie i energicznie osadzona na karku, iż nie zdziwiłbyś się, gdyby naraz postać ta wyskoczyła z ram obrazu i z proporcem w jednej, a mieczem w drugiej dłoni rzuciła się w tłum i powiodła za sobą na boje." A dalej pisze Chmielowski: [1] „Jeżeli jaka cecha, uwydatniona przez artystę-poetę, nie odpowiadała fizyognomii cielesnej pisarza, to niewątpliwie wiernym była wyrazem duchowej. Miał on moc wpływania na umysły, miał niezmożoną energię i wytrwałość w przeprowadzeniu pewnej idei w czyn, zamienieniu jej w rzeczywistość. Wszystkie potęgi swej bogatej natury skupił w jednem ognisku: w dążeniu do działania; to też na niejednem polu pracy był istotnie chorążym duchowym. Czuł on nieodpartą potrzebę przelania w całe społeczeństwo tego przekonania,

---

[1]) Nasza literatura dramatyczna. Tom I, 411.

iż należy wyrabiać w sobie hart woli, władnący myślami i uczuciami, siłę charakteru, którąby się pod brzemieniem nieszczęść nie ugięła, lecz spokojnie pracowała na lepsze jutro. Widząc miękkość i chwiejność wkoło siebie, radby był wyrwać z korzeniem ten chwast podły, a na jego miejsce zasiać ziarna stałości i tęgości charakteru.” Że to określenie indywidualności Szujskiego jest doskonałe i prawdziwe, tego dowodzi zarówno jego życie, jak twórczość literacka. Nie tu miejsce wdawać się w ocenę jego działalności politycznej, i, jeśli mimochodem wspominamy o niej, to dlatego tylko, że charakter, wyciśnięty na jego życiu publicznem, odnajdujemy wyciśnięty na jego twórczości artystycznej. Tęgość myśli i pojmowania, krytycyzm w szczegółach i całości, cel, jasno określony, i siła woli, która przelewała w czyn to, co rozum wybrał sobie za zadanie, jest tak tu, jak i tam, nieodłączną cechą jego natury.

Potężna indywidualność Szyjskiego tłómaczy nam to rzadkie, bądź co bądź, zjawisko, że człowiek ten, w młodości wytknąwszy sobie jasno cel, do którego ma dążyć, wytrwał do końca na raz obranej drodze, ulegając wprawdzie odwiecznym prawom naturalnego rozwoju talentu, wzbogacając swe środki artystyczne i doświadczenie, lecz pozostając zawsze wiernym pierwotnemu założeniu. Jest to rzadki typ, z rodzaju tych indywidualności, u których krytyczna świadomość w danej chwili wybucha z taką siłą i taką jasnością, iż w mocy są stworzyć własny program życia, a mają zarazem dość sił, aby swe zamiary wcielić w czyn. Takich jednostek najmniej może jest w naszym narodzie. Mamy olbrzymią skalę talentów najróżnorodniejszych — od bezkrytycznych, silnych jedynie bogactwem swej natury, aż do przeczulonych. Lecz do wyjątków należą u nas talenty, w których krytycyzm nie tylko, że nie zabija twórczość, lecz przeciwnie popiera ją. A takich właśnie talentów potrzebuje twórczość dramatyczna. Słusznie zaliczono ją do najświetniejszych objawów produkcyi artystycznej. Już choćby to znane zjawisko, że dramat ukazuje się dopiero po okresach epiki i liryki w chwili, kiedy naród nabiera poczucia swej siły i wartości, a więc, kiedy dochodzi do wieku dojrzałego, jest dowodem, że powstanie dramatu uwarunkowane jest głębszemi przyczynami, niż każdy inny rodzaj twórczości. Z drugiej strony analiza twórczości indywidualnej wykazuje, że żaden inny rodzaj poezyi nie wymaga od artysty takiej świadomości swej własnej twórczości, takiego krytycyzmu, jak dramat.

Nie zastanawiając się nad dramatam z życia współczesnego, bo ten nas tu nie obchodzi ze względu na przedmiot naszej pracy,

przyznać musimy, że tragedya historyczna nastręcza twórcy najwięcej trudności do pokonania. Historya daje wprawdzie gotowy materyał; lecz jak wyzyskać ten materyał? jaki punkt obrać za punkt wyjścia, a jaki za punkt zwrotny? W temacie historycznym można łatwo upatrzyć fałszywą jedność dramatyczną. Idąc w ślady historyka, który wszelkie czyny objaśnia charakterem działających osób, zwraca poeta przedewszystkiem uwagę na historyczny charakter bohatera; nie spostrzega jednak, jak wielka jest różnica między historykiem a twórcą dramatycznym pod względem rozporządzania środkami. Historyk każdy czyn lub wypadek może objaśniać, udowodnić cytatami; tymczasem dramaturg nie może posługiwać się środkami, że się tak wyrażę, dowodowymi, — musi charakter bohatera pogłębić. W przeciwnym razie spostrzeże ze zdumieniem, że to, co u historyka nabierze cech wypukłości skutkiem zużytkowania ogromnego nieraz materyału historycznego, że ten charakter, który u historyka ma wszelkie cechy prawdziwości, bo składa się z całego szeregu drobnych i wielkich rysów, zaczerpniętych czy to z życia codziennego, czy też życia politycznego jednostki, że to wszystko, że ten właśnie charakter w jego dramacie jest wyblakły, martwy, a często niezrozumiały dla widza. Dramat bowiem budzi zainteresowanie słuchacza nie tyle przez charakter bohatera, ile przez rozwój akcyi.

Tymczasem twórca zapomina niejednokrotnie o tej najgłówniejszej podstawie dramatu. Rozporządzając danym materyałem historycznym, obawia się sfałszować prawdę historyczną, a nie mogąc być nigdy nadto ścisłym historykiem, usiłuje skupić na przestrzeni pięciu aktów wszystkie fakty, pozostające w związku z chwilą życia bohatera. Obciąża wskutek tego dramat — historycznie prawdziwymi, lecz ze względu na sztukę fałszywymi wypadkami. Nigdy prawie nie zdarza się, aby temat historyczny był sam w sobie typowym dramatem, aby miał odpowiednie zaczepienie, rozwój, przesilenie i rozwiązanie. Trzeba z niego zawsze coś ująć lub coś dodać, aby go nagiąć do wymagań sztuki.

Dajmy na to, że dana osobistość historyczna walczyła, uzyskała poklask społeczeństwa, doszła do dostojeństw, zdradziła ogólne zaufanie, upadła i znowu podniosła się, aby znowu upaść („*Cola Rienzi*" Asnyka): to mogą być wszystko fakta historyczne, które przemawiają do nas językiem zrozumiałym, jako historya, bo opowiadają nam o życiu człowieka niezwykłego, a charakterem bohatera wyjaśniają jego powodzenia i klęski. Z chwilą jednak, kiedy

te fakta przeniesiemy na widownię, znika nam z oczu jednostka, której charakter ma nam je wyjaśniać, której charakter jest ich spójnią wewnętrzną, ich jednością, mamy natomiast jednostkę, postawioną w zupełnie odmiennych warunkach, jednostkę, której charakter ma być objaśniony, a raczej ma być wypływem tychże samych faktów. Jeżeli w historyi charakter łączy z sobą w jedność organiczną fakta na przestrzeni lat kilku i kilkunastu, jeśli on jest podstawą, na której gromadziły się wypadki różnorodne, a jednak jednorodne ze względu na jednostkę; innemi słowy, jeśli w historyi człowiek ze swemi wadami i zaletami, przekonaniami i wiarą jest wyłączną spójnią faktów, dokonanych przez siebie, to w dramacie ginie człowiek, a pozostają narazie fakta z jego życia, z których trzeba wybrać najbardziej doniosłe, i to doniosłe pod względem nie historycznym, lecz dramatycznym. Im za danym wypadkiem, historycznie nawet błahym, kryje się więcej duchowej walki bohatera, im dany fakt nasuwa fantazyi potężniejszą kolizyę uczuć i obowiązków, tem bardziej ów fakt nadaje się do dramatu. Już z tego wynika, że twórca z szeregu faktów historycznych zużytkowuje przedewszystkiem te, które są następstwem — przynajmniej w fantazyi dramaturga — najsilniejszej walki duchowej, pomija zaś te, które jego wyobraźni nie podniecają, a w skutek tego są dla sztuki martwymi. A te wybrane fakta musi tak ugrupować, aby nadać im wyraz zamkniętej w sobie całości — a więc musi obrać punkt wyjścia akcyi, szereg faktów, które są jej rozwojem, punkt kulminacyjny, zwrot i rozwiązanie. Co było martwe, już twórca wyrzucił, co się okaże za szczupłem do budowy dramatu, to musi uzupełnić własną fantazyą. Nie dziw, że do tak zużytkowanego tła historycznego musi się stosować charakter jednostki, że charakter, który w historyi jest jednością faktów, tu będzie wypływem jedności faktów; nie dziw, że rysy, które w historycznym człowieku były górujące lub nieznaczne, twórca odpowiednio do swego założenia będzie zmniejszał lub rozwijał, że np. ambicyę historycznego Wallensteina posunie Schiller do możliwych granic namiętności i potęgi demonicznej, że Goethe przekuje szlachetność historycznego Egmonta na bohaterskie poświęcenie się dla sprawy ludu; nie dziw wreszcie, że charakter postaci historycznej wskutek tych przemian i pogłębienia nie jest w dramacie ściśle historycznym.

Wogóle umiejętność tworzenia dobrych dramatów historycznych jest najlepszym, najwyższym dowodem uzdolnienia do twórczości dramatycznej. Olbrzymie trudności ma do zwalczenia

poeta, chcący stworzyć tragedyę historyczną; ale za to wrażenie, jakie wywrzeć może na widzach genialna tragedya historyczna, nie może się równać z żadnem innem. Podniosły czyn historyczny — osoby, na których przeszłość wycisnęła już swoje piętno legendowe, a więc osoby wyższe, wyszlachetnione idealizmem pokoleń i bardziej tragiczne swym upadkiem, wreszcie atmosfera, wolna od przemijających haseł, stronniczych zapatrywań, wolna od tego wszystkiego, co musi wcisnąć się do dramatu współczesnego, — to wszystko przemawia za tem, że dramat historyczny jest najtrudniejszym w wykonaniu, lecz zarazem najwyższym szczeblem w twórczości dramatycznej.

Z powyższego wywodu płynie ten wniosek, że tylko przy wysoko rozwiniętym krytycyzmie i wielkim artyzmie można mówić o stworzeniu dramatu historycznego. I to jest przyczyna, dla której, mimo twórczości na tem polu, tak późno ukazują się u nas studya krytyczne, rozstrząsające istotę dramatu historycznego. Wielkie zasługi na tem polu położył Józef Szujski. Dopókiby nie znalazł się człowiek, któryby rzucił snop światła w przeszłość i przyszłość i postawił drogowskaz, póty twórczość nie mogłaby się rozwijać, jak należy. Jakiekolwiek miejsce w literaturze dramatycznej krytyka wyznaczy dziełom Szujskiego, o jednem zapomnieć nie może i nie powinna, że on jest pierwszym u nas, który wzniósł się do wysokości programu w zakresie dramatu historycznego, co na tem większą uwagę zasługuje, że twórca wiedział, czego niedostaje jego własnym pracom, i że to właśnie przeświadczenie, jakie wyniósł z krytycznego poglądu na prace dramatyczne innych i swoje, wyraził jasno i z wielką siłą.

Dwie przedmowy Szujskiego biorę tu pod uwagę: jedna z r. 1857, druga z r. 1867. Wartość ich jest niejednakowa. Pierwsza przedmowa wyszła z pod pióra autora, który dopiero co wychodził z lat młodzieńczych, druga z pod pióra człowieka, którego wsparły w wywodach doświadczenie, zaostrzony pracami historycznemi krytycyzm i przeświadczenie o wartości własnych dzieł. Pierwsza krytykuje wszystko i wszystkich, lecz nie daje jeszcze żadnej głębszej myśli programowej, druga nie potrzebuje już krytykować, bo wznosi się ponad wszelkie nasze ówczesne pojęcia estetyczne siłą wypowiedzianych prawd i poglądów. Wskazując, jakim ma być dramat polski, tem samem przechodzi Szujski do porządku dziennego nad tem wszystkiem, co dotychczas stworzono u nas w zakresie dramatu. Pierwsza przedmowa ma wszelkie cechy śmiałości i bezwzględności młodzieńczej, która nie uznaje

i nie chce nic uznawiać, bo ma już pewne własne ideały, choć one są jeszcze niepochwytne, a tem samem nie mają jeszcze istotnej dla drugich wartości; druga przedmowa ma wszelkie znamiona szerokiego lotu krytyka-twórcy, a swoją tężyzną i głębokością wyrażonych poglądów góruje nad tem wszystkiem, co do dziś dnia estetyka powiedziała u nas o dramacie historycznym. Pierwsza przedmowa niema nawet cech oryginalności. To, co autor wypowiada, nie wznosi się nad poziom tu i owdzie głoszonych analogicznych zapatrywań.

II.

Pierwszą przedmowę dołączył Szujski do „Samuela Zborowskiego", pracy, którą nazywa „studyum dramatycznem". Co przedewszystkiem nas w niej uderza to, że mimo, iż dzieli nas lat 40 od zdań, wypowiedzianych przez młodego krytyka, nie mamy nic więcej do powiedzenia nad to, co on powiedział. Cztery dziesiątki lat, które upłynęły, tak mało wzbogaciły naszą literaturę w dzieła dramatyczne prawdziwego natchnienia, iż sąd, wówczas wypowiedziany, może być i dzisiaj powtórzonym bez żadnych prawie zmian. Trafność tego sądu, aczkolwiek nie przyznajemy mu, jak to już zaznaczyliśmy, zupełnej oryginalności (wartość bowiem polega przedewszystkiem na dobrem stopieniu rozproszonych przez innych myśli), potwierdzają badania krytyczne, jakie podjęto w ostatnich latach nad naszą literaturą. Uderza również i to w tej przedmowie, że autor sam zdaje sobie dobrze sprawę z tego, jaką wartość ma jego własna twórczość dramatyczna.

Lecz przejdźmy do treści przedmowy: „W ostatnich czasach — czytamy — pojawiło się u nas wielkie zwątpienie co się tyczy stworzenia historycznego dramatu polskiego. Najznakomitsi ludzie ruszali ramionami na tę formę poezyi, zarzucano naszej przeszłości, że wręcz nie jest usposobioną do obrobienia dramatycznego, że epiczna natura w niej przeważa". I rzeczywiście, w chwili, kiedy Szujski występował na widownię publiczną, budziła się u nas świadomość krytyczna, która poczęła zwracać baczniejszą uwagę na stosunek naszego dramatu do dramatów obcych. Nie wspominając o Corneilles'u, Racine'ie, ani o Wolterze, Delavigne'm, Wiktorze Hugo i Dumasie, — zapoznano się już u nas bliżej z „wielkim Will'em" i z płodami muzy niemieckiej. Porównywanie wzbudziło niezadowolenie z tego, co u nas dotychczas na tem polu zrobiono.

Nie mówiąc już ogółem o twórczości dramatycznej, bo ta, bądź co bądź miała piszących, utyskiwano na brak polskiego dramatu historycznego. Powątpiewania, czy da się co na tem polu stworzyć, i czy nasza przeszłość może dostarczyć wątku dramaturgom, stały się chronicznemi. Nie były to wcale głębsze refleksye, nie przybrały one postaci jakiegoś studyum, — były to wzmianki lub myśli, rzucane przy każdej nadarzającej się sposobności. Ogółem była to atmosfera zniechęcenia i zwątpienia. Byli jednak i przeciwnicy tych pesymistycznych zapatrywań. „Do niedawnych czasów — pisał Estreicher w swoim artykule „Dramat historyczny polski, uważany pod względem scenicznym" — zdawało się, że historya nasza tak jest ubogą w postacie i sceny dramatyczne, w sceny, mogące być zawiązkiem dramatu intrygowego, iż niemal za pewnik uważać można było, że ani powieść ściśle dziejowa, ani dramat ściśle historyczny nie zajaśnieją w literaturze naszej". Estreicher wyszedł z tego samego stanowiska negacyjnego, z jakiego wyszedł Szujski, który tak dalej pisze: „Naród, który walczył, kłócił się, cierpiał i politycznie upadał, już przez to samo ma dramatyczną przeszłość". Nie zastanawiając się nad tem, ani nie chcąc dowodzić, że Szujski powtarzał cudze zdania, lecz jedynie ze względu na to, żeby wykazać, iż głos jego nie był samotny, przeciwnie, iż był wyrazem zbiorowym, o co nam przedewszystkiem chodzi, poglądów, które już miały licznych wyznawców, i ze względu na to, że przy tej sposobności pośrednio przynajmniej będziemy mogli dać choć słaby obraz poglądów pewnej części ogółu, odnoszących się do dramatu historycznego, — przytoczymy i przytaczać będziemy analogiczne myśli do podniesionych przez Szujskiego.

Przekonanie, które powoli wyrabiało się w naszem społeczeństwie i odpychało na bok pesymistyczne zapatrywania, jakoby przeszłość nasza dziejowa nie nadawała się do dramatu, powstawało w miarę postępów historyi. Im studya historyczne wydobywały coraz więcej materyałów z mgły niepamięci, tem nabierano coraz lepszego i prostszego zdania o dramacie, tem mocniej poczęto wierzyć w to, że dramat historyczny polski może być stworzony i że będzie kiedyś stworzony. Historya dokonywała przewrotu w zagnieżdzonych dotychczas pojęciach, jak dokonywała przewrotu i na wielu innych polach. Podobne zapatrywania, jak Szujski, wypowiedzieli przed nim Wójcicki, Przeździecki, Kraszewski, Estreicher. „Nasza przeszłość cała — powiada Wójcicki (w „Bibliotece Warsz." r. 1843, t. II), — cała gotowa dla poezyi. W naszych oczach prysły te ostatnie ogniwa, które nasze pokolenia w łańcuchu wieków

wiązały, tak blizkie przypodobnieniem oblicza z przeszłością; odcięci od niej stargaliśmy wszelki związek; a przesz łość narodu w poważnej postawie, ubielona starością blizko lat tysiąca, strawiwszy w sobie miliony pokoleń, spogląda na nas, jak duch matki, czy pomnimy o niej za jej grobem. Słyszymyż ten gwar przy ogniskach domowych, wrzawy tej dziatwy, co migają w wielkim obrazie starodawnego świata? Słyszymyż ten okrzyk, lecący na skrzydłach chwały, za rozwianemi Tatarów i Turków chorągwiami? Na tej ziemi, co jeżyła się warownymi grody, wspaniałymi zamkami, gdzie wzrastały puszcze, w wielu miejscach nie znające słońca, na tych miejscach, teraz nagich, żyły pokolenia naszych ojców, którzy w czynach i charakterach swoich dali nam najwznioślejszą poezyę. Ich żywot, pełen ruchu gwarnego rycerskiego, czy ujęci w żelazny pancerz, przyłbicą zbrojni — czy w kniei z oszczepem myśliwskim na ramieniu, czy przy domowem ognisku, wszystkiem już do nas mówią poezyą, bo ta rzeczywistość, w której żyli, znikła. W tej grobowej przeszłości spoczywa sztuka dramatyczna polska, tam jej pierwiastek, tam jej treść cała, bogactwo przedmiotów nie do przebrania, jak rozmaitość wielkich i osobliwych charakterów".

To samo krótko i dobitnie wyraził Szujski. Aby tę przeszłość oddać, czytamy dalej w przedmowie: „aby ją widzieć, trzeba naturalnie wyzuć się z fałszywie zrozumianego uszanowania dla tej przeszłości, z idealnego i jednostronnego o niej sądu, z obawy nieobrażenia jej wielkich cieniów wykryciem ich strony złej i brzydkiej, która bynajmniej nie zmiejsza ich kolosalności wobec dzisiejszej generacyi". Tu trafił Szujski w najdraźliwszą stronę narodową. To samo pojęcie, któremu hołdował w dziejopisarstwie, przenosi do dramatu. Stwierdza zarazem przez nie Szujski silną łączność, jaka istnieje między historycznym dramatem a dziejami narodu. Myśl ta, przez niego wypowiedziana, jako taka, i w tej formie, w jakiej ją podał, jest jego własną.

W innej formie wyraził to samo Kraszewski, w artykule „o dramacie polskim". [1]) „Dramat i komedya były w Polsce niepodobieństwem, zwłaszcza zaś dramat narodowy własny i komedya rodzima. Tknąć świętości arki domowej niktby się nie ośmielił,

---

[1]) Dziennik literacki, 1856, nr. 44—52.

bo szanowano tajniki dramatu tego, odgrywającego się między człowiekiem a Bogiem, i nie pojmowano, by z niego ręka zimna świętokradzka zdejmować mogła zasłonę." Szujski posuwa się o jeden krok naprzód. To, co Kraszewski stwierdza, on potępia i stawia niejako antytezę tych pojęć, jakie dawniej obowiązywały i krępowały twórców.

„Dramat — pisze dalej Szujski — wymaga innej miłości dla drogich cieniów, które wywołuje. Liryczny poeta czerpie z przeszłości entuzyazm i źródła indywidualnego podniesienia się, epiczny—patrzy w nią, zapominając siebie i świata, rozkochany w niej, nic prócz niej nie widzi, teraźniejszość mierzy piędzią lat minionych. Dramatyk ma inną miłość. Blask i krasa nie łudzi go, plastyczne kształty nie poruszają do wzorowania — ale miłość jego z świętem uszanowaniem zbliża się do trumien i słucha wyznania zmarłych — aby im z duszy zdjąć ciężar, że synowie nie wiedzą o nich prawdy, że synowie patrzą na nich jak na świętych, a oni nie byli świętymi, że synowie nie wyciągnęli z ich trumny morału, który przymarł w chwili zgonu do ich czoła. Dramatyk w środku swych postaci stawia Boga dziejów, kroczącego tajemniczo pośród zmarłych i upadłych i piszącego na ich twarzach wyroki swoje święte. Bóg mu jest jedynym, niewidzialnym bohaterem, a osoby szatą, przez którą przezierają kształty jego myśli i wyroków". W tych słowach Szujski rozwija myśl, poprzednio wypowiedzianą, a dalej wypowiada swoje charakterystyczne zapatrywanie na zadanie dramatu. Poświęcimy tej sprawie trochę więcej słów, lecz wpierw omówimy część pierwszą przytoczonego ustępu.

Doskonale określa poeta różnicę między poezyą liryczną a dramatem. Liryk pomija wszystko to, co nie dostraja się do zasadniczego tonu jego uniesienia. Liryk, opiewając przeszłość, widzi uwypuklone tylko pewne części całości. Zrzekając się przedmiotowości, musi być podmiotowym, a tem samem jednostronnym. Dramaturg rozszerza ramy swego obrazu, nie tylko jasne ma strony ukazać, lecz i czarne. Prawda, jaką ona jest, jest jedynie dla niego obowiązującą. Bez malowania objawów ujemnych życia dziejowego obraz jego byłby niezupełny, byłby nawet fałszywy. W tem schodzi się Szujski ze zdaniem Wójcickiego.

„Kiedy chwytasz, artysto, przedmiot—pisze 14 lat przed Szujskim —poznaj właściwą mu dobę, poznaj niebo i ziemię, na której działał pomyślany dramat, poznaj ludzi i ich serca. Prawda histo-

ryczna niech cię wiedzie, ona nie katem dla sztuki. Zostaw w głowach ich myśli, jak w sercu uczucie, w ustach język, w ręku siłę, co żelazo łamała". A dalej zachęca: „Słowem, gdy w świat staropolski się wpatrzysz, poświecając pochodnią prawdy, odkryjesz oblicze jego wierne, widome, czy zapłakane łzami, krwią sposoczone, czy ubarwione śmiechem rubasznym wesela i radości sercowej: wtedy poczujesz i atmosferę, co oblekała czas i ludzi wybranych do dramatu; wtedy chwytaj pióro".

Jak na rok 1843, ogromnie śmiało i pewnie powiedziane!

Ale bo też Wójcicki zdawał sobie dobrze sprawę z postępów historyi i z jej wpływu na literaturę, jak to na innem miejscu udowodnimy. Szujski, mówiąc to samo, akcentuje silniej wszystko, co w jakiejkolwiek łączności pozostaje z dziejopisarstwem. Nie waha się powiedzieć, że postacie naszej przeszłości nie są święte,— śmiało to zaznacza wbrew wszelkim pojęciom, jakie romantyzm zaszczepił u nas.

Lecz duch historyi, który pod niejednym względem tak bardzo dobrze wpłynął na zmianę pojęć u Szujskiego i u współczesnych, wprowadził w obręb sztuki niewłaściwe pojęcia, a raczej pojęcia, właściwe jedynie historyi. Szujski wszędzie i zawsze podkreśla to, że z dramatu powinna płynąć nauka. Błąd to zasadniczy pojmowania zadania sztuki. Historya jest doświadczeniem ludzkości, a jako taka, wszędzie i zawsze uczy, dając nam możność porównywania wypadków analogicznych. Zaznajamiając nas szczegółowo z tłem, na którem coś się rozegrało, i wykazując ekonomiczne, społeczne i polityczne warunki, wśród których dany naród się rozwijał, pozwala nam badać wzajemny stosunek klas i jednostek i przeciwieństwo ich interesów , a tem samem wyciągać wnioski *a posteriori*; jej wysokie posłannictwo tkwi w tem, że, nie tając nic, — ani błędów, ani zbrodni, analizując przyczyny i skutki czynów i objawów, oświecając wszystko właściwem światłem, sądzi tak, jak jej nakazuje sprawiedliwość. Celem jej jest odbudowywać przeszłość, oceniać czyny i ludzi, a tem samem wzbogacać doświadczeniem zbiorowem młode pokolenia. Jej to zadaniem jest, aby „synowie wyciągali z trumny zmarłych morał",jej celem odkrywać i wykazywać odwieczne prawa, rządzące państwami i ludami, przechodzić od analizy pojedyńczych objawów do ich syntezy, uchylać zasłony, kryjące owego „Boga dziejów, kroczącego tajemniczo pośród zmarłych i upadłych". Przeniesienie tych samych pojęć i wymagań do sztuki jest błędne i fałszywe. Rozstrząsając środki, którymi posługuje się dramat, i określając zasadę, z której wychodzi,

postaramy się odpowiedzieć na pytanie, czy można utożsamiać sztukę z historyą i czy można podsuwać sztuce, jako główne, te cele, które są istotą historyi.

Dramat wszędzie i zawsze ten miał wyższą wartość, który lepiej stwarzał ludzi, który wywoływał złudzenie, że kreacye, jakie widzimy na scenie, są żyjącemi, są prawdziwemi. Wszystko, co z dramatem mogło się łączyć lub łączyło,—myśli filozoficzne, tendencya, morał — stało zawsze na dalszym planie. Nie one warunkowały istnienie dramatu, lecz te żywioły, które wywoływały złudzenie prawdy. Najgłębsza prawda, najszlachetniejsza tendencya, najmoralniejszy morał, zaklęty w sztukę, która złudzenia prawdy nie dawała, nie ratował dramatu, ani nie tchnął w niego życia. Jeżeli tak jest, to za zasadę, z której sztuka wychodzi, nie można przyjąć żadnego z wyżej pomienionych etycznych i filozoficznych względów, lecz jedynie — prawo wywoływania złudzenia rzeczywistego życia. To bowiem, co warunkuje byt lub niebyt danej rzeczy, jest jej zasadą główną i bezwzględną! Wszystko inne może wchodzić w jej istnienie w dowolnym charakterze, lecz nigdy w charakterze zasady. Jeśli przyjmujemy, jako zasadę w sztuce, wywoływanie złudzenia rzeczywistego życia, to zgodzić się musimy na to, że twórca wszelkimi sposobami powinien dążyć do tego, aby wywiązać się chlubnie z tego zadania.

Będzie zatem dobierał takie sytuacye i takie namiętności, będzie tworzył takie charaktery i będzie je tak przeprowadzał, tworzyć będzie taką osnowę, takie kolizye i tak je będzie rozwiązywał, żeby wywołać złudzenie prawdy życia. Twórca, który dla postronnych względów zrzeka się tego zadania lub je nagina i przekształca, sprzeciwia się swemu założeniu, przestaje być dobrym twórcą. Wszędzie i zawsze musi być dla niego pierwszem, nieubłaganem prawem — tworzenie łudząco prawdziwych obrazów życia. Jeśli to jest zasadą, z której twórca wyjść musi, to czyż może być mowa o tem, żeby górowała nad tą inna zasada? Nigdy! Żaden wzgląd nie może ograniczać zasady czyjegoś bytu, pod grozą zamarcia lub skarlenia tworu. Żadna tendencya, żaden morał, żadna filozoficzna prawda nie może w sztuce ograniczać zasady jej istnienia, może jedynie być jej przypadkowym wynikiem. Jeśli będzie nim, to bardzo dobrze, to nadspodziewanie dobrze. Ta mimowolność, ta przypadkowość prawd, złączonych z jej zasadą, jest właśnie najgłębszą filozofią sztuki. Życie nie broni tez, nie broni morałów, nie daje nauk — my je z niego wy-

ciągamy. Sztuka, która, jak życie, pozwala nam wyłuszczać z siebie prawdy, — jest najwyższą.

I w tem jej całe przeciwieństwo do historyi. Historya dlatego zajmuje się przeszłością, aby oceniać, aby krytykować, aby uczyć. Sztuka dlatego odtwarza życie, aby je odtwarzać do złudzenia podobne, odtwarza je dla niego samego. Dla historyi życie jest środkiem do celu — dla dramatu jest celem. Mieszanie tych dwu pojęć, określających istotę historyi i sztuki, jest błędne. Cała olbrzymia przeszłość literatury dramatycznej potwierdza to dowodnie. Najrozmaitsze, co prawda, względy mogą twórcą powodować, że narzuca swej sztuce inną zasadę, jak tę, którą powinien mieć przedewszystkiem na oku: mogą one wypływać z dążności religijnych, filozoficznych, społecznych, politycznych lub mistycznych. Wiek XIX jest tego świadkiem aż nazbyt częstym. Mieliśmy i mamy mistyków, którzy poświęcali swe pióra na usługi wyższym duchom i „braciom". Wszak Słowacki dał nam „Sen Srebrny Salomei", „Księdza Marka", dramaty, które miały nawracać naród. Wszak Dumas i Augier moralizowali ze sceny. A iluż innych tworzyło tendencyjne sztuki! Jeśli pomimo to niektóre z ich dzieł są wielkie, to nigdy dla ich „wyższej" zasady, lecz dla tego, że pierwsza zasada uposażyła je w niepospolite zalety i piękności. Szujski podkreślił jako zadanie dramaturga pouczanie społeczeństwa. Lecz każdy krytyk objektywny musi przyznać, że dramaty twórcy „Wallasa", jeśli mają niemałą wartość dramatyczną, to nie dla ich tendencyi, lecz mimo niej.

Tak więc Szujski przesunął granice historyi na pole sztuki i w tem pobłądził. Niemniej jednak słusznie stwierdza w dalszym ciągu bezwzględną łączność historyi i dramatu narodowego. Zdaje sobie jasno z tego sprawę, jak bardzo zależnym jest dramat historyczny od wartości prac historycznych. Myśl jego z łatwością obejmuje współczesną mu literaturę i charakteryzuje ją dobrze, „jako „fazę odczuwania", po której musi nadejść czas dramatu.

Podobnego zdania jest i Wójcicki: „Trudno było poetom przy szczupłych zapasach materyałów dziejowych myśleć o dramacie historycznym, aby z całym urokiem wybrany z przeszłości obraz wysnuli. Dziś, kiedy więcej ją poznali — przy zgromadzonym zasobie wiadomości życia domowego, literatury, sposobu myślenia, pomnikach języka i ducha — te wymagania są słuszne i niezbędne. Zamknięta księga obrazów przeszłości już się otwarła: w niej i domowy żywot, i wizerunki zmarłych pokoleń wiernie dochowano.

Bohaterowie, dotąd milczący, przemawiają do nas swoim językiem i odkrywają uczucia. Czyny dzielnej ręki, jak myśli głowy, nie są tajnikiem. Badacze dziejów, domowego żywota, literatury i dawnych pomników, już przełamawszy żelazne zapory, zdarli zasłonę, co kryła krainę duchów przeszłości. Poetom zostało teraz zakląć te duchy, by przybrały żywot ludzki, ciało i mowę: a formułą po temu, jak niegdyś na widma, są — talent i praca."

Postępy historyi, która zaczęła nabierać coraz większych sił, umacniały szersze koła w tem przekonaniu, że dzieje nasze będą miały swych dramaturgów. Zapewne Wójcicki, jak i Przeździecki, podzielający te same zapatrywania na stosunek dramatu do historyi, opierali swoje sądy na licznie ukazających się koło r. 1840 publikacyach. Były to prace Maciejowskiego, Wiszniewskiego, Kraszewskiego, Muczkowskiego, Łukaszewicza, Stronczyńskiego, Rzewuskiego i Mich. Grabowskiego, odnoszące się do literatury wieków przeszłych, — a dalej z zakresu historyi wydania rękopisów Raczyńskiego, St. Przyłęckiego, Lachowicza i T. Dzieduszyckiego. Przewrót pojęć już na tem polu dokonywał się na lat 20 przed przedmową Szujskiego.

„Nieliczną jest nasza literatura dramatyczna — czytamy dalej —; oprócz nieśmiertelnego Fredry, który komedyę naszą zrobił najpierwszą w Europie, nie mamy żadnego dramatyka w całem tego słowa znaczeniu. Pomijając francusko-polskie dramata klasyczne, wspomnieć nam tu wypada o dwu drogach rozmaitych, któremi dążono do stworzenia dramatu polskiego".

Zatrzymajmy się chwilę przy dramatach francusko-polskich. Rzecz wymaga trochę wyjaśnienia i rozwinięcia. Autor poświęca zbyt mało stosunkowo uwagi teatrowi francusko-polskiemu, którego tradycyom hołdowano u nas długo, a przesadza, mówiąc o dwu nowych drogach, stworzonych przez dwu naszych wielkich poetów. Literatura francuska była niewątpliwie najbardziej wpływową mistrzynią dramatu polskiego. Morsztynowie w w. XVII pierwsi usiłowali stworzyć u nas tragedyę na modłę francuską. Lecz kierunek ten nie przyjął się. W sto lat dopiero po nich Wacław Rzewuski daje „Władysława pod Warną" i „Żółkiewskiego pod Cecorą". Po tych mamy do zanotowania w w. XVIII „Zygmunta Augusta" Wybickiego, „Bolesława" Karpińskiego. To były pierwsze pikiety klasycznej szkoły francuskiej, która wszechwładnie opanowała sceny polskie i literaturę na długie lata. Fr. Wężyk, buntujący się w swojej rozprawie z r. 1811 przeciw smakowi francuskiemu, hołduje mu jednak w swoich dramatach: „Gliński", „Barbara",

„Bolesław Śmiały". To samo powiedzieć trzeba o Hoffmana „Bolesławie Śmiałym", Humnickiego „Żółkiewskim", o dramatach Niemcewicza, jak „Zbigniew", „Władysław Warneńczyk", „Jadwiga", „Kazimierz Wielki" i o „Barbarze Radziwiłłównie" Felińskiego, która tego kierunku jest koroną.

Smak francuski, za którym szła ślepo cała publiczność polska i krytycy, owi przeróżni Iksowie, miał już jednak w czasie swego największego powodzenia przeciwników, którzy, zaprawieni na teatrze niemieckim i angielskim, płynęli śmiało przeciw wodzie. Dał temu wyraz Fr. Wężyk w swojej rozprawie o literaturze dramatycznej, którą Towarzystwo Przyjaciół Nauk odrzuciło ze względu na jej zapędy reformatorskie.

Walkę owych dwu prądów dobrze charakteryzuje Brodziński (Pisma 1873, t. V, str 62), narzekając na to, że za rządów pruskich teatr zupełnie zmienił postać, że zniknęły dawne sztuki, a na nowe nikt się nie odważył; a dalej: „W takim spoczynku wysługiwali się cudzoziemcy, których sztuki tłómaczono. Zjawiły się więc dwa smaki, wprost sobie przeciwne: smak francuski i niemiecki. Jeden miał wyższą klasę społeczności, drugi niższą po sobie. Dla jednych tłómaczono sztuki francuskie, dla drugich niemieckie. Dramy i tragedye niemieckie nie mogły silnie przemawiać do Polaków z tego szczególnego powodu, że nie zajął się nikt przekładem sztuk lepszych, ale owych błahych utworów, które dziś, jak na niemieckiej, tak i na polskiej scenie już zupełnie zaginęły". „W tej walce cudzoziemszczyzny smak narodowy był w zupełnem zawieszeniu, aż powoli wzory francuskie pierwszeństwo otrzymały. Tragedye francuskie tłómaczyli wierszem najlepsi pisarze; dramata niemieckie dostały się tłómaczom częstokroć jeszcze niegodniejszym, niżeli sami ich autorowie. Od niemczyzny odstraszała zawsze jakowaś wrodzona niechęć; do francuszczyzny, jeżeli nie smak, to moda przywiązywała. Piękności jednego smaku przyjęliśmy niewolniczo z wszystkiemi wadami; wady drugiego odrzuciliśmy przesądnie z wszystkiemi pięknościami. Tak obcą monetę w obieg puszczając, deptaliśmy po kruszcach własnej ziemi, nie śmiejąc wybić na niej stempla narodowego".

Lecz kierunek, któremu hołdowano bezgranicznie, a któremu wkrótce na pomoc przyszedł Augier i Scribe, nie wydawał bujnych owoców. Społeczeństwo otrząsać się zaczęło powoli z mody, zaczęto próbować własnych sił lub dążyć do stworzenia dramatu na wzór teatru angielskiego i niemieckiego. Wprawdzie Szujski po-

dnosi w swej przedmowie, jako odrębny prąd w dramatyce polskiej: „Irydyona”, „Nieboską”, lecz odrębnym prądem trudno nazwać utwory, które jedynie ze względu na swą formę zewnętrzną dałyby się zaliczyć do dramatu teatralnego. Odrębny prąd stanowiły dramaty, oparte na studyach Szekspira i historyi, jak słusznie zaznacza Szujski: „Magnuszewski, Korzeniowski i kilku innych chodzili tą drogą”. I ten jednak kierunek nie wydawał widać dobrych rzeczy, skoro Al. Przeździecki w artykule swoim „O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce” [1]) surowo mówi o scenie polskiej. Oddając pewne pochwały Korzeniowskiemu, pisze: „Dlaczego z tych żywiołów mistrzowskich powstała całość mierna? Dlatego, że nie powiązała ich ta sztuczna budowa dramatyczna (a więc artyzm), którą Fredro tylko u nas odgadł, ale tajemnicę przy sobie zatrzymał. Dlatego, że, wracając do założenia naszego, wielkości pomysłu nie odpowiadało wykonanie”. To, co mamy, „będą to albo kroniki dyalogowane w miejsce dramatów historycznych, albo dyalogi z domów gry i jarmarków zamiast komedyi, albo romanse francuskie, podzielone na sceny, w rozmiarze, odpowiadającym kilku tomom, które w jeden zbić chciano”. „Będą to deklamacye stronnictwa politycznego, podzielone na odsłony (akta) i sprawy (sceny), albo melodramata efektowne, w których strzały pistoletowe, ataki kataleptyczne, piękne dekoracye i przesadzone wykrzykniki więcej uderzają, jak po mistrzowsku pojęte i doskonale oddane charaktery”. W tym krótkim ustępie scharakteryzował Przęździecki dosadnie trzy kierunki, dające się rozróżnić w naszej ówczesnej twórczości scenicznej: wpływ francuski w sztukach, przeładowanych treścią, nieudolny dramat historyczny, oparty na jednostronnem naśladownictwie Szekspira, i wpływ rozczochranej romantyki niemieckiej, widoczny w bombach efektownych. Szujski, przechodząc z lekkiem sercem do porządku dziennego nad tem wszystkiem, co stworzono u nas w zakresie dramatu, nie był śmielszym pod tym względem od swych poprzedników.

Jak szkoła francuska, tak i czasy romantyki nie przyniosły scenie bogatego plonu. Aby mieć jednak choćby blady obraz tego, co stworzono u nas po epoce francuskiego smaku z zakresu dramatu historycznego, i aby, przywodząc obraz ten na pamięć, stwierdzić w dalszym ciągu słuszność zdania Szujskiego, że „nie mamy żadnego dramatyka w całem słowa tego znaczeniu” — zestawimy to wszystko, co zapisało się w rocznikach naszej literatury po „Barbarze” Felińskiego.

---

[1]) Biblioteka Warszawska. 1844, II.

Trzeba więc wymienić „Barbarę jeszcze Gasztołdową żonę”, dramat Magnuszewskiego, stanowiący środkową część jego „Niewiasty polskiej w trzech wiekach”. Oprócz tego dramatu miał Magnuszewski napisać „Hieronima Radziejowskiego” i „Władysława Białego”. Na podstawie jednak fragmentów, które pozostały, nie możemy wyrobić sobie żadnego zdania o ich wartości. Ten cały dramat, który się zachował, nie przekracza granic mierności. Korzeniowski w r. 1826 pisze „Mnicha”, w 1828 — „Dymitra i Maryę”, nakoniec „Andrzeja Batorego”. Oprócz powyższych dramatów wymienić należy jeszcze prace Olizarowskiego, jak „Wincenty z Szamotuł” i „Rognieda”, i „List żelazny” Małeckiego. Wymienione nazwiska i prace są jedynymi szczątkami, uratowanymi z potopu niepamięci, który pochłonął na zawsze wiele, wiele sztuk z zakresu historycznego dramatu. A i to, co weszło do historyi literatury, nie posiada wyższej wartości artystycznej, prócz dzieł Słowackiego.

Lecz wróćmy do przedmowy. Szujski, nie przyznając przedstawicielom nowego kierunku, zaprawionym na teatrze angielskim, wybitniejszego znaczenia, uznaje jednakowoż drogę, na którą weszli, za jedynie właściwą dla dramatu polskiego. „Cokolwiek bądź zrobiono na tem polu, nie sądzę i nie krytykuję, to pewna, że, choć do celu jeszcze daleko, droga ta jest jedyną; Szekspir jest i będzie zawsze mistrzem chrześcijańskiego dramatu, dramatu, gdzie każda osobistość ma w sobie całą skalę niebios i ziemi; gdzie indywidualizm gra najwyższą rolę. Nim do tego dramatu (wzorowanego na Szekspirze) przyszły jaki poeta zdąży, dużo może jeszcze wody upłynie. Łatwo sobie wystawić, że do tego potrzeba tyle twórczości, aby nikt, kto czytał Szekspira, nie poznał, że autor na angielskim wykarmiony chlebie, że się uczył u wielkiego Willa, a natomiast każdy szlachcic stary poszedł chętnie na teatr, zbeczał się i powiedział: Mój Boże! co się to z nami stało? Bo niezaprzeczoną jest rzeczą, że im więcej się zbliżamy do prawdziwego polskiego dramatu, tem mniej potrzebować będziemy fikcyi, a tem więcej zgodzimy się z rzeczywistością historyczną, przedstawiając ją pomimo tego nie jako rupieciarnię archeologiczną, ale przez szkło chromatyczne piękności”.

Jak wnosić możemy z przytoczonego ustępu, Szujski widzi jedyny warunek stworzenia wielkiego dramatu polskiego w kroczeniu po tej samej drodze, którą kroczył Szekspir. Wprawdzie mówi, że ten, ktoby miał dać prawdziwie wielki dramat, musiałby, co najmniej, tak być potężnym, jak Szekspir, aby nie poznano, że jest

uczniem jego, lecz nie kładzie najmniejszej granicy między twórczością pierwszego a drugiego. Przyszłego twórcę utożsamia z Szekspirem. Nie żąda od niego nic więcej nad to, co dał Szekspir, to tylko kładzie mu za warunek, by współzawodnik mógł się równać z mistrzem potęgą geniuszu. Że Szujski w dwudziestym drugim roku życia nie marzył jeszcze o nowej, odrębnej formie dramatu polskiego, co w dziesięć lat później tak silnie zaznaczył w swej drugiej przedmowie, że, co najwyżej, pragnął pogłębienia ideowego dramatu, wypływa to z następujących jego słów: „charakterowy dramat Szekspira może u nas nabrać barwy wyższej, wspanialszej, jako w narodzie katolickim, a więc daleko bliżej patrzącym na potęgę niebieską, niż Anglicy". Wszystko, co Szekspir dał, jest doskonałe, nowej formy szukać nie potrzebujemy, w tę samą przeleje przyszły twórca przeszłość naszą, a tylko „Boga dziejów" lepiej oświeci, co będzie mógł łatwiej zrobić dzięki swemu charakterowi religijnemu.

Zastanawiając się teraz nad pierwszą przedmową, jako całością — musimy jeszcze raz zaznaczyć, że myśli krytyczne, w niej zawarte, wypowiedziano już przed Szujskim szerzej i równie trafnie, że, co najważniejsza, już na 15 lat przed nim Wójcicki wybornie ocenił znaczenie wzmagającego się u nas na siłach dziejopisarstwa i doniosłe tego następstwa ze względu na dramat historyczny. Co do poglądu Szujskiego na ówczesną twórczość dramatyczną, to pogląd ten jest trafny, wyjąwszy zdania o ujemnej wartości dzieł scenicznych Słowackiego. Błędom genialnego poety nadaje Szujski zbyt wielkie rozmiary. Ogółem przedmowa pierwsza ma charakter ściśle krytyczny. Z jej materyału krytycznego da się wydzielić wiele myśli, które są czemś więcej, niż tylko negacyą, bo są wyrazem ówczesnych jego poglądów na istotę dramatu. Dramat, jego zdaniem, ma pouczać naród, jak ma żyć, ma być sądem jego przeszłości, a dalej ma być wzorowanym na teatrze angielskim, ma dążyć do doskonałości w duchu Szekspira. Zapewne, przedmowa pierwsza nie ma jeszcze znaczenia programowego, autor nie wznosi się nad poziom poglądów, które wyrazili jemu współcześni. Jest on jednak pierwszym, który zebrał rozproszone myśli w jedną całość i z siłą i przekonaniem je wyraził. Jest on dalej doskonałym wyrazem tych przemian w poglądach na dramat polski, jakie dokonywały się w naszem społeczeństwie pod wpływem nabierającej coraz większego znaczenia historyi. W stosunku do drugiej przedmowy pierwsza może być uważana za wstęp do programu, który tam Szujski wyłuszczył.

III.

Nim tę drugą przedmowę Szujski napisał, upłynęło lat dziesięć.

Dziesięć lat życia to okres olbrzymi rozwoju duchowego, jeśli początek jego przypada na wiek młodzieńczy. Tych dziesięć lat — to doświadczenie, które sprowadza górne myśli młodości do poziomu rzeczywistości, które odkrywa nam naszą własną wartość i dalsze widnokręgi ducha. Tych dziesięć lat w życiu Szujskiego — to okres pracy i łamania się, okres szukania nowych dróg na polu twórczem. Jeśli dzieła, przy których tworzeniu „spędził niejedną chwilę natchnienia i pewności siebie, aby je odpokutować niewiarą i smutkiem", nie były tem, czem chciał je mieć, to zdawał sobie również sprawę, dlaczego tak było. „Synowi przejściowej epoki, przyszło nam walczyć z wybujałością form dawnych, marząc o przyszłej, dramatycznej; przyszło nam puszczać się śladami obcych mistrzów, nie zapominając o polskim ideale; przyszło nam dzieje ojczyste wdrażać w nową formę przedstawienia, w której tak mało się pojawiały". „Lecz usiłowania nasze pojmujemy tylko za szczere i sumienne szukanie drogi ku dramatowi polskiemu; pojmujemy je jako szereg budowli, torujących drogę nowemu stylowi poezyi. Śmielsza przyszłość wystrzeli może gmachem, który je w cieniu pozostawi: nam pozostanie zasługa, żeśmy chwile natchnień naszych spożytkować chcieli nie w daremnem naśladownictwie mistrzów naszych liry i epopei, ale w walce o n o w ą f o r m ę ideału".

Tych dziesięć lat usilnej pracy nad dramatem rozszerzyły poglądy poety. Zaznajomienie się głębsze z innymi mistrzami formy dramatycznej oprócz Szekspira i tychże naśladowanie dawało mu możność kształcenia smaku artystycznego, wzbogacało jego środki artystyczne, tworzyło w jego wyobraźni obraz przyszłego dramatu, szerszy i bardziej wielostronny. Szekspir ustąpił ze swego uprzywilejowanego stanowiska. Pozostał wprawdzie wielkim, lecz już to, co w dziedzinę dramatu inni mistrze poszekspirowscy wnieśli, jako zdobycz, to, co było ich doświadczeniem i ich zasługą, nie jest już dla poety zasługującem na pominięcie. Przeciwnie, staje on na stanowisku ogólno estetycznem. Każda szkoła, każda forma jest dla niego dobrą, jeżeli czemś nowem wzbogaca dawną świadomość artystyczną. To też nie marzy już o dramacie szekspirowskim, pogłębionym znaczeniem ideowem, — nowa forma, którą przeczuwa,

jest więcej ogólną, jest wynikiem zbiorowego doświadczenia pokoleń. Dziesięć lat pracy, dzielących pierwszą przedmowę od drugiej, to okres czasu, w którym Szujski wzniósł się w swych estetycznych poglądach o całą skalę wyżej, wzniósł się do wysokości programu. W tem jego zasługa, w tem również wyższość drugiej przedmowy nad pierwszą. Wszystko, co było jego własnem i innych doświadczeniem, wszystko, co było mu ideałem w twórczości artystycznej, i całą swoją głęboką samowiedzę artystyczną złożył w tej drugiej przedmowie. To też przedmowa ta dla jej wysokiej wartości estetycznej i dla jej wyjątkowości w naszej literaturze, niepomiernie ubogiej we własne poglądy estetyczne, będzie łączyć zawsze nazwisko Szujskiego z epoką choćby najświetniejszego rozwoju dramatu.

Epopea i lira według Szujskiego, odpadły, spełniły swoje zadanie. Pokolenie przechodzi w okres pracy wewnętrznej, smutnej trzeźwości i analizowania minionego życia. „Oddalającą się od nas przeszłość—czytamy—zatrzymujemy w biegu i pytamy o tajemnicze cienie jej — zabieramy się skrzętnie do bolesnej dyagnozy; a jakkolwiek rezultaty naszych badań sprzecznymi być mogą, odpychają one na zawsze czasy poetycznych marzeń i teoretycznych ogólników, a zbliżają czas owego o p a r c i a się o p r z e s z ł o ś ć, owego pojęcia się w logicznej z nią konsekwencyi".

„Znajdzie się w duszy pokolenia — czytamy dalej — forma, odpowiednia nowemu zwrotowi jego myśli i ideałów, nie sięgająca wyżyn lirycznych, ani rozkoszująca się w zblakłych obrazach minionych epopei, nie szermująca uczuciem, zamkniętem w piersi, ale dźwigająca się z jego głębin, nakształt dłoni, gotowej do ustawnego czynu pracy. Urodziny tej nowej formy ani tak śmiałe i niespodziewane, jak poprzedniczek, ani tak łatwo uznane i z zapałem przyjęte. Jak wszędzie, długie walki o doskonałość, o stworzenie arcydzieła, walki, w których niepostrzeżone niejedno zginie usiłowanie, niejedna natchniona złamie się dusza, poprzedzić muszą wspaniały d r a m a t u n a r o d o w e g o owoc, potrzebujący zbiegu licznych przyjaznych okoliczności, nadewszystko zaś n o w e g o g r u n t u w społeczeństwie".

Te zapatrywania różnią się bardzo od tych, które wypowiedział przed laty dziesięciu. Tam nie było mowy ani o formie nowej, ani o głębszej analizie właściwości narodowych. Tam widział Szujski wytworzenie dramatu polskiego, zależne od wykształcenia się na Szekspirze i od wielkości talentu twórcy. Jakżeż odmienne

obecnie wypowiada zdanie, o ileż głębsze i świetniejsze!) Zaostrzony studyami historycznemi zmysł krytyczny i wyborna obserwacya indywidualizmu narodowego odkryły przed nim te tajemnice, z których przedtem nie zdawał sobie sprawy. Już nie od przejęcia się tradycyami Szekspirowskiego teatru czyni zależnem powstanie dramatu, lecz nadewszystko od nowej formacyi społeczeństwa.

Ten grunt, na którym wybujała tak wspaniale epika i liryka, nie dawał dobrej karmi twórczości dramatycznej. W wiekach, kiedy Rzeczpospolita była jeszcze mocarstwem, w wiekach, w których już chyliła się ku upadkowi, warunki były najmniej odpowiednie do wytworzenia dramatu. Zbyt młodą była jeszcze literatura swojska, aby mógł się rozwinąć tak misterny kwiat. Powstrzymał również jego rozwój zupełny brak teatrów. Można było mówić o sztuce teatralnej i pielęgnować ją w Anglii, w Niemczech, we Francyi, gdzie liczne teatry popierały jej rozrost, lecz w Polsce stan miejski nie był ani tak możny, jak za granicą, ani dość polski, by miał utrzymywać teatry i ofiarowywać ich deski sztuce — obcej. Warunki, jakie wytworzyły się w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku—aczkolwiek mieliśmy już teatra, w których dramat doznawał gościnnego przyjęcia — nie dawały atmosfery korzystnej dla jego rozkwitu. Burze wojenne, przeciągające co lat kilkanaście nad królestwem, sprzyjały jedynie nadmiernemu wzrostowi indywidualizmu. Gorączka, niepokój, wybuchy energii i lata całe otrętwienia, a wszędzie i zawsze uczucie, górujące nad wszystkimi objawami życia społecznego i politycznego, oto główne cechy, znamionujące ówczesne lata. Za bardzo żyły pokolenia chwilą, za wielkich klęsk były świadkami i uczestnikami, by miał wśród nich powstać dramat, który wszelkiemi właściwościami swej istoty, potrzebą samowiedzy artystycznej, refleksyi i objektywizmu w sprzeczności stał z charakterem narodu.

I oto tem dowiódł Szujski ogromnej bystrości umysłu, że zszedł do głębin twórczości i, szukając przyczyn karłowatego wzrostu dramatu, znalazł ich wytłómaczenie w stanie psychicznym społeczeństwa. Lecz stan ten psychiczny zmieni się. Czem jednak będą różnić te pokolenia, które mają stworzyć nową formę, od dawnych? Czy nastąpi wewnętrzna zmiana podścieliska? Tak. Nowe pokolenia muszą dojść do zupełnej samowiedzy, muszą dojść do tej wewnętrznej harmonii, w której uczucie i rozum pozostają w najściślejszej ze sobą jedności, muszą opanować swój niepomierny indywidualizm i uczynić go posłusznym woli, jeśli mają rozwijać się na wzór innych społeczeństw. Wtenczas i forma się znajdzie,

która będzie wyrazem tej przemiany duchowej. Tą formą, odpowiadającą nowemu stanowi psychicznemu narodu, będzie „wspaniały dramatu narodowego owoc”. Wszystkie złożą się na to warunki, aby zapewnić mu bujny rozrost. Społeczeństwo przeszło już twardą szkołę życia. Uczucie jego nabrało własności lutni o tysiącznych strunach. Biły po nich nawałnice i wojny, rozpacz i śmierć, ból i natchnienie, biły wszystkie nastroje tłumów i jednostek. Uczuciu temu przyjdzie w pomoc rozum i siła męska, pewna swego uderzenia. Przyjdzie mu w pomoc doświadczenie innych narodów i swoje własne.

Szujski, przepowiadając pojawienie się nowej formy, oparł się już nie na ubocznych względach, jak w pierwszej przedmowie, lecz na szerokiej podstawie ewolucyi społecznej, która zdaniem jego będzie musiała nastąpić.

Jakim ten dramat będzie? „Walczyć mu przychodzi z poprzedniczkami jego w dziedzinie poezyi, lirą i epopeą. nęcącemi tyloma wdziękami, nęcącemi ścisłym związkiem swoim z narodową duszą. Tylko abnegacyą od ich powabów, tylko panowaniem nad uczuciem i obrazowością stanąć on może, nakładając, jak mąż, wędzidła woli — polotowi fantazyi i uczucia, przenikając każdą postać okiem sędziego, grotem sumienia/ Obejść mu się przychodzi bez malowniczego tła natury, bez przepychu i wystawności historycznego obrazu -- rzecz to reżysera i dekoratora, aby go w przyzwoitą ubrano sukienkę — poprzestać on musi na charakterach, wolnych od amplifikacyi i zewnętrzności epopei, chwyconych w najkrytyczniejszych chwilach żywota, odsłoniętych do najgłębszych tajników duszy. I oto, jeżeli je weźmie z przeszłości naszej, ciężką przeszkodą stanie się dlań liryzm narodowy, skłonny zarówno do apoteozy, jak potępienia, niechętny łamaniu pieczęci grobowych, a skłonny do wywoływania pięknych, ale często złudnych, fantazmatów przeszłości...”

Wyciągając wnioski ze sposobu pisania dramatów przez Szujskiego, wielu zarzuca powyższemu ustępowi błędne teoretyczne pojmowanie twórczości dramatycznej. Zarzut jest niesłuszny. Twórczość dramatyczną Szujskiego trzeba oddzielić od jego poglądów estetycznych. Tem więcej zarzut ten jest niesłuszny, iż Szujski zostawił cały szereg dramatów, pojętych i wykonanych w najróżnorodniejszy sposób.

Przez abnegacyę od powabów liryki i epopei nie można rozumieć wyrzeczenia się zupełnego tych wszystkich piękności, któremi podbija nas liryka i epopea. Szujski, pisząc te słowa, miał na myśli,

i to zupełnie słusznie, wyrzeczenie się dążności lirycznych i epicznych. Każdy rodzaj sztuki ma swoją zasadę, którą twórca, świadomie czy nieświadomie, jeśli jest tylko dobrym twórcą, usiłuje rozwinąć do możliwych granic doskonałości. Liryk, choćby miał pogiąć ramy obrazu, będzie się starał wydobyć w swym utworze możliwie największą siłę uczucia. Chce wzruszać do głębi. Aby to osiągnąć, nie będzie się liczył ani z rozmiarami swego wybuchu, ani z prawdą bezwzględną, ani z plastyką. Przeciwnie, będzie zacierał wszystko to, co rzuca cień na jego jasne barwy lub obniża ich stopień jasności, będzie idealizował, będzie uświęcał wszystko, co opiewa. Wzruszać kosztem wszelkich innych wrażeń jest jego zadaniem. Epik natomiast będzie się starał wszystko widzieć. Silne wzruszenia, gwałtowne namiętności, wypadki pełne grozy zakłócałyby mu możność wszechstronnej obserwacyi. Następstwem bowiem każdego potężniejszego wybuchu, z jakiejkolwiek ten wybuch będzie dziedziny, jest przyciąganie uwagi naszej do tego miejsca, gdzie wybuch nastąpił, na tę osobę, która była jego powodem. Słuchacz, raz gwałtownie wzruszony, nie uspokoi się tak prędko. Choćby następnie nie wiedzieć jak spokojne i pogodne obrazy roztoczono przed jego oczami, będzie ciągle rzucał okiem tam, gdzie spodziewać się może, iż znowu coś wybuchnie. Dlatego to epik unika tych rzeczy, które mu mogą zbytnio wzruszyć widza. Będzie go wodził po lasach i łąkach, wprowadzi go do karczmy, kościoła, chaty i zamku, pokaże mu, jak ludzie się cieszą, kłócą, bawią i pracują, będzie mu ukazywał środowisko, w które go wprowadził, ze wszystkich stron złych i dobrych — a zawsze i wszędzie będzie miał ogromną swadę. Nie gorszy będzie dla niego krzak przy drodze lub zając pod główką kapusty od pana włości lub żołnierza. Wszystko go ogromnie zaciekawia i o wszystkiem lubi mówić, bo chce dać szeroki, różnobarwny obraz życia tego społeczeństwa, które obrał sobie za temat, łącznie z naturą, która go otacza. Wyzyskać jaknajlepiej i wszechstronnie teren, na którym się porusza, dać możliwie najbardziej plastyczny obraz i zapewnić sobie na długi czas uwagę słuchacza, potrzebną ze względu na rozmiary utworu, — jest zadaniem epika.

Jeśli prze to zasadą liryki jest „wzruszać kosztem wszelkich innych wrażeń,“ a zasadą epiki dać „obraz wszechstronny życia kosztem zrzeczenia się gwałtownych uczuć“ — to Szujski miał prawo wymagać od dramaturga, aby wyrzekł się powabów liryki i epiki, to jest wyrzekł się rozwijania ich zasad do możliwych granic doskonałości. Dramat ma swoją własną zasadę, i twórca, jeśli jest dobrym

dramaturgiem, musi tę zasadę przeprowadzić w szczegółach i całości swej sztuki. Odtwarzać ludzi w ich najpotężniejszych i najgłębszych objawach życia — jest jego zadaniem. Musi on być lirykiem — aby tam, gdzie tego będzie trzeba, miał i ból prawdziwy na zawołanie — musi on być epikiem duszy ludzkiej, którego oku nie ujdzie najdrobniejszy szczegół i który wszystko i wszędzie wszechstronnie widzi, lecz który zarazem zużytkowuje to tylko, co mu jest niezbędnie potrzebnem, i co jest w jego oczach najgłębszym rysem lub najbardziej charakterystycznym jednostki. Nad tem wszystkiem jednak musi on stać jeszcze wyżej, musi ukazywać namiętność, uczucia i charaktery w ich czynach. Aby tę zasadę znakomicie rozwinąć, twórca musi zrzec się zasad liryki i epiki — musi być jedynie wypadkową tych dwu sił i tej trzeciej górującej, która jest synonizmem działania.

Zarzut, jakoby Szujski wykreślał ze środków dramatycznych pierwiastki liryki i epiki, jest niesłusznym i nieuzasadnionym. Pojmowanie przez niego istoty dramatu jest doskonałem i zupełnie czystem. W literaturze polskiej nikt przed nim tak trafnie nie określił dramatu, jak on to zrobił. Wyrzec się tych wszystkich pokus, któremi pociągały do siebie genialne twory naszych poetów, i raz na zawsze wykreślić granicę, dzielącą dramat od innych rodzajów twórczości, było to zdaniem sobie sprawy wszechstronnem i jasnem z całej naszej literackiej przeszłości dramatycznej, wyznaniem, że prawdziwego wielkiego dramatu nie mamy, i wskazaniem, jakim ten dramat być powinien.

Tyle co do zasadniczych pojęć dramatu. Lecz Szujski poszedł dalej. Nie poprzestał na teoretycznych określeniach. Dramatowi przyszłości stawia jeszcze dalsze warunki.

„Z drugiej strony — pisze — wypada dramatowi narodowemu stanąć na wyżynie dzisiejszej sztuki, odpowiedzieć wymaganiu, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo. Wypada mu stanąć w gotowości scenicznego przedstawienia, którego próbę przejść winien każdy utwór dramatyczny. Winien on posiąść te wszystkie tajemnice, które sprawiają pożądane na widzu wrażenie, które go przenoszą odrazu w świat złudzeń, każą mu zapomnieć, że deski nie są sceną... W posiadaniu tych wszystkich warunków wprowadzony na scenę odróżni on dopiero tryumf i skutek zupełny, okazuje się najdoskonalszą poezyi formą, stojącą na szczycie poetycznego tworzenia. Już nie w postaci oddalonego od słuchaczy wieszcza aureolą liryka, już nie w postaci śpiewającego na grobku bajarza staje poeta dramatyczny przed

społeczeństwem swojem; nie ma on przywileju, nie ma szaty czarodzieja na sobie; każdy patrzy i sądzi, każdy mierzy jego postacie własnem ludzkiem poczuciem i doświadczeniem: aby zwyciężył, potrzeba mu zadość uczynić warunkom rzeczywistości, zadosyć czyniąc warunkom piękna i sztuki; potrzeba mu zapanować wszechwładnie nad umysłem widza i słuchacza nie potęgą indywidualizmu, ale potęgą zwalczonych i przetrawionych wrażeń, nie bogactwem obrazów, ale trafnością w ich wyborze."

Ten ustęp jest dalszym dowodem, jak szeroko pojmował Szujski zadanie przyszłego dramaturga. Nie dał zacieśnić swych poglądów rzekomym względom narodowego indywidualizmu. Był głęboko przeświadczony ot em, że, jeśli jaki rodzaj sztuki, to dramat nie będzie mógł się nigdy oprzeć na siłach swego jedynie narodu. Zbyt wiele genialnych umysłów pracowało nad jego techniką i jej udoskonaleniem, zbyt wiele weszło w dramat różnorodnych żywiołów i zbyt wiele doświadczenia obcych, aby twórca, pogardzając też, co już zdobyto, miał zaufać swojemu tylko talentowi. „Dramat ten, ma stanąć na wyżynie dzisiejszej sztuki, ma odpowiedzieć wymogom, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo." Wszystko zatem, co obcy dramaturdzy wnieśli nowego do dramatu, co ulepsza jego technikę, bliższem prawdy i doskonałości czyni, polski dramaturg powinien sobie przyswoić.

Niesłusznym byłby zarzut, jakoby przez to sztuka wynaradawiała się. Kosmopolityczną w znaczeniu pozbycia się wszelkich cech odrębności może być tylko rzecz płytka i licha. Wszystko natomiast to, co jest wykwitem głębokiego talentu przedziera powłokę kosmopolityczną i, jak wulkan, wyrzuca na wierzch lawę, w której stopione są wszystkie metale, tworzące najniższe pokłady indywidualizmu twórcy. Twórca ten powinien starać się jedynie o to, aby forma jego dzieła nie była gorszą, a wysokość tonu jego myśli nie była niższą od tych, do których obce narody nawykły.

Na tem wyczerpujemy treść drugiej przedmowy. W literaturze naszej jest ona wyjątkową. Nikt przed Szujskim ani nikt po nim nie wyraził tak śmiałych, ani tak głębokich poglądów, jakie on wypowiedział w r. 1867. Stojąc na stanowisku ewolucyjnem i wyciągnąwszy wnioski z przeszłości narodowej sztuki, rzucił silny snop światła w jej przyszłość.

Dramat polski nie mógł się rozrość, bo nie miał odpowiedniego gruntu, na którymby mógł zejść i rozwinąć się potężnie. Wybujać mogła tylko epika i liryka. Lecz naród wchodzi na drogę przekształceń duchowych. Refleksya zastąpi dawną porywczość, świa-

domość sił — dawny zapał. Wśród tak zmienionych warunków znajdzie się nowa forma, istotą swą pokrewna tej psychicznej przemianie społeczeństwa. Tą formą będzie dramat, oparty na świadomości artystycznej, dramat, odpowiadający wymaganiom europejskim.

Przedmowa druga jest dziełem niepospolitej intuicyi, która, licząc się ze wszystkimi warunkami i uwzględniając je, wybiegła śmiało w przyszłość i wyznaczyła drogę jasną i wielką polskiej sztuce. Jest ona dziełem krytycznego i zarazem wysoce twórczego umysłu.

Stosunek wzajemny dwu omówionych przedmów jest ścisły. Pierwsza jest krytyką tego wszystkiego, co zrobiono u nas na niwie dramatycznej, druga, pogłębiając motywy krytyczne pierwszej, tworzy program na przyszłość.

IV.

Omawiając dwie przedmowy Szujskiego rozwinęliśmy jego pogląd teoretyczny na dramat, staraliśmy się wykazać, jak ten pogląd początkowo nie odbiegał od pojęć powszechnie przyjętych, jak pogłębiał się i w czem się pogłębiał, jak wreszcie nabrał siły i pewności siebie i rozrósł się do wysokości programu. Jako estetyk i teoretyk, wybiegł Szujski myślą daleko przed siebie. Uważając literaturę za zupełnie nierozerwalną z życiem narodowem, bardzo bystro i subtelnie wejrzał w jej przyszłość i prawa jej rozwoju. Co się tyczy jego własnej twórczości dramatycznej, to sam określił doskonale jej zadanie i cel. Duszą całą, jako artysta, pragnął stworzyć dramat wielki, którybу siłą słów i idealną myślą, górującą nad wszystkiem, co się w nim dzieje — dotrzymywał kroku, a może przodował w pochodzie swemu społeczeństwu. Jako jednak chłodny i głęboki krytyk, nie mógł nie widzieć, że rezultaty jego pracy nie są takie, jakimi chciał je mieć. Gorzkiem jest przeświadczenie, jeśli się na nie twórca zdobędzie, że nie jest tem, czemby chciał być, i gorzkie chwile własnego rozczarowania; lecz tem większą jego zasługą, jeśli wytrwa na raz obranej drodze i, zrzekając się laurów, a nawet własnego zadowolenia, pracuje dalej w tej myśli, że toruje drogę komuś, co może przyjdzie.

„Nie jestem zarozumiałym — pisze Szujski — do Bohdana Bolesławity przed zamknięciem Rachunków za rok 1869, ugodzony do żywego zarzutem zarozumiałości i pozowania, — a pracę swoją piśmienniczą pojmuję, jako prostą służbę dla narodu, której wykonywanie żąda tylko warunków zwyczajnych każdej służby publicznej, jako to do-

brej wiary, wprawy, zdolności, miłości prawdy i pewnej abnegacyi z miłości własnej; posiadam, przyznaję się otwarcie, pewną dumę, aby, nie powtarzając pacierza za panią matką, w artystycznym zawodzie szukać nowych form, a w naukowym — nowych zdobyczy prawdy".

Wierzy, że powstanie kiedyś dramat historyczny polski, kochający przeszłość naszą „nie, jako bolejące pacholę, ale jako mąż kocha lata burzliwej a pięknej młodości". „Przed tym dramatem mojego marzenia — pisze dalej — pozwól mi, B. Bolesławito, być skromnym Tespisem lub Frinichosem, próbującym form Kalderona, Rasyna, Szekspira bez obawy zarzutu, że się posiągam po wieńce ich sławy. Pozwól tem chętniej, że sam jeden puszczam się dzisiaj tą drogą wśród pokolenia, rozkochanego w Offenbachu i realistycznej komedyi V. Sardou, a uczęszczającego na historyczne sztuki polskie tylko z uczucia obowiązku..." „Dramatowi narodowemu toruje drogę walka, często długa, z ujęciem przedmiotu, z formą jego, a nawet gustem publiczności".

Szermierzem tej walki, na blizką metę mierząc, bezowocnej może, lecz na daleką, niewątpliwie potrzebnej i pełnej zasługi — był Szujski przez całe życie. Wszystkie chwile, wolne od badań historycznych, poświęcał ulubionej, acz niewdzięcznej dla niego, twórczości dramatycznej. Każdy inny na miejscu Szujskiego, mniej twardy wolą, a tak krytyczny, jak on, byłby połamał pióro lub zmienił drogę. On nie ustąpił, bo był przeświadczony o tem, że pracuje dla przyszłości.

Jako teoretyk, wzniósł się wysoko, jako twórca, mimo, że talent miał wielki, nie dotrzymał kroku własnym wymaganiom. W spuściźnie literackiej, jaką nam zostawił, jest cały szereg dzieł, które różne są techniką i różne formą, lecz jednorodne myślą, przez którą i dla której powstały. Są w nich koloryty i namiętności, są sceny i akty, które dorosły wyżyn wielkiego dramatu. Atoli, jako całości artystyczne, nie spełniają wszystkich warunków dramatu teatralnego, a nawet nie odpowiadają pod niejednym względem wymaganiom ogólnym sztuki. W czem trzeba szukać powodów tej nierówności, jaką widzimy między własnem Szujskiego wyobrażeniem o dramacie a jego urzeczywistnieniem, postaramy się wykazać poniżej. Teraz poprzestajemy na zaznaczeniu, że w talencie jego można wyróżnić wszystko, co potrzebnem jest niezbędnie do stworzenia harmonijnego dzieła sztuki. Jeśli zarzucimy Szujskiemu, że nie umie operować materyałem dramatycznym czy historycznym i że mu zbyt daje się opanować, skutkiem czego powstawały utwory, przeła-

dowane treścią, w następstwie zaś rozmazane w rysunku,— to wskazać możemy „Królowę Jadwigę“, jako dramat, w którym jednolitość akcyi i czystość kompozycyi są zachowane w wysokiej mierze. Jeśli za suchym i za mało umiejącym wyzyskiwać nagromadzony przez siebie materyał wyda nam się w innych dramatach — to zaprzecza temu „Halszka z Ostroga“, w której efekty teatralne i kolizye dramatyczne przeprowadzone są z ogromną znajomością rzeczy. Jeśli wreszcie w niejednym dramacie zbyt porwany historyczną stroną swoich sztuk zapomina Szujski o uczuciu lub ogranicza jego prawa, to możemy znowu przytoczyć „Wallasa”, jako dramat, w którym, jak w żadnym innym, wybucha nagromadzony liryzm w przepysznych słowach, i który zadziwia swoim polotem poetycznym. Ogółem — na wszelkie zarzuty można odpowiedzieć dowodami, czerpanymi z własnych dzieł Szujskiego, że talent twórcy „Wallasa” nie był pozbawiony żadnego z warunków, niezbędnych do stworzenia dzieła dramatycznego. Niemniej to jednak jest prawdą, że niema dramatu, w którymby przymioty jego talentu harmonijnie się złączyły, tworząc dzieło bez zarzutu.

Nie będziemy rozbierać wszystkich dzieł Szujskiego. Rozbierzemy natomiast dramaty, na których najlepiej będzie można dowieść, jak i o ile Szujski teoretyczne swoje poglądy na dramat wcielał we własne dzieła. Omówimy „Samuela Zborowskiego,” „Halszkę z Ostroga“, „Królowę Jadwigę,“ „Zborowskich“ i „Wallasa“. Każdy z wymienionych dramatów pozwala nam poznać twórczość Szujskiego z coraz to innej strony. „Samuel Zborowski“ jest jednym z najbardziej charakterystycznych utworów, okazujących, jak bardzo materyał historyczny może opanować twórcę, i jak twórca, nie mogąc czy nie umiejąc wydzielić niepotrzebnych wiązań ze swej osnowy, mimowoli tworzy obrazy, już nie dramatyczne, ale epiczne, o ile suchość ich treści nie rozwiewała nawet tego wrażenia i nie przypominała historycznych kronik. „Halszka z Ostroga“ jest technicznie bardzo dobrze napisana, jest dowodem, że scena i jej wymogi nie były obce Szujskiemu. „Królowa Jadwiga“ wyróżnia się ogromną jednolitością akcyi i pokrojem prawdziwie klasycznym. „Zborowscy“ są ciekawym dowodem, jak ten sam temat w różnych czasach różnie opracował Szujski i jak i w czem się podniósł. „Wallas“ wreszcie polotem poetycznym i silnem lirycznem zabarwieniem góruje nad innemi dziełami i dzięki tym przymiotom bywa uważany za najlepszy dramat Szujskiego.

Dok. nast. *Tadeusz Konczyński.*

RZYM I ODRODZENIE.

(Julian Klaczko. Rome et la renaissance, essais et esquissses. Jules II. Paris; 1898; str. 451).

W drugiej połowie bieżącego wieku kilku Polaków wybitne zajęło stanowisko na niwie piśmiennictwa francuskiego; nestorem i mistrzem ich był i dotąd niezaprzeczenie jest Julian Klaczko. Pióro jego to jedno z najwykwintniejszych, jakiemi się dzisiejsza Francya poszczycić może: owładnęło najskrytszymi tajnikami, najsubtelniejszymi odcieniami mowy, łączy w sobie jasność z wytwornością formy, trafność ze ścisłością wyrażenia, przejrzystość myśli z potoczystością stylu; zdumiewającą naprawdę jest rzeczą to przyswojenie sobie przez cudzoziemca owego *ésprit français*, którego brak tylu nawet współziomkom Kornela, Pascala, Wiktora Hugo. Analityk na podobieństwo Taine'a, barwnością i świetnością obrazów nie ustępujący Renanowi, lekką, a jednak tak głęboko sięgającą, ironią przypominający Anatola France'a, ściślejszy od Bourget'a — posiada Klaczko zacięcie, siłę sarmacką. I to połączenie dosadności słowiańskiej z pierwiastkami starożytnej, rzymskiej kultury stanowi właśnie jego odrębność i wyższość. Nie chcę bynajmniej przez to twierdzić, aby dzieła Klaczki cieszyły się szeroką popularnością. Przeciwnie, pisze on tylko dla garstki wybranych. Nie jest aposto-

łem i wulgaryzatorem sztuki *à la* Ruskin. Na nim stwierdza się znane przysłowie: *nul n'est prophète en son pays.* Może się mylę, ale tak mi się zdaje, że, jako pisarz i esteta, najmniej jest on znany we własnym kraju. Przyczyna zaś tego nieporozumienia, czyli raczej niezrozumienia, jest dwojaka. Po pierwsze — nasza pobieżna, niedostateczna znajomość języka francuskiego, co sprawia, że niewieluby się wśród nas znalazło, którzyby należycie poznać się umieli, ile jest w stylu Klaczki oprócz wrodzonego talentu — pracy, wiedzy, nauki, artyzmu, wniknięcia we wszelkie tajniki myśli. Po drugie, jesteśmy jednym z najwięcej zacofanych narodów na świecie pod względem estetycznym. U nas zmysł artystyczny dopiero się rozbudza z zamętu pojęć, z chaosu nieświadomości. Potrzeba nam jeszcze długich lat kultury; ani dyletantyzm, ani moda nie zastąpią cierpliwej, wiekowej pracy: przez nią dopiero dojdziemy do poznania i do wchłonięcia w siebie praw, zasad i reguł, bez których sztuka istnieć nie może. Otóż ścisłość naukową obok wrodzonej intuicyi posiada u nas Klaczko, a społeczeństwo nasze, mówiąc naogół, nie zdolne jest dostatecznie ani pojąć, ani ocenić tych dwu przymiotów.

* * *

Pamiętam (było to przed kilkoma laty) wrażenie, jakie na mnie wywarły ukazujące się naówczas w *Revue des deux Mondes* artykuły pod tytułem *Causeries florentines.* Czytywaliśmy je na głos w jednej z tych arystokratycznych siedzib, które się wznoszą nad brzegami Loary na pograniczu Andegawii i Bretanii. Wszystko składało się na spotęgowanie nastroju duszy: i żywe wspomnienia, świeżo wywiezione z dawnej Medyceuszów stolicy, i grono dobrane, gdzie zarówno beletrystyka, jak sztuki piękne, miały swych przedstawicieli. Pamiętam roztaczający się z tarasu widok na dolinę, tonącą w zieleni, na wiotkie, szumiące topole, na wzgórza, ginące w niebieskawej mgle, na niebo, owiane miękkiem tchnieniem zachodu, o którem bawiący ongi w Rzymie andegaweński poeta odzywał się w utęsknieniu:

Plus me plaist le séjour qu'ont basti mes aïeux,
Que des palais romains le front audacieux.
Plus le Loyre gaulois, que le Tybre latin...

. . .

Es plus que l'air marin la doulceur angevine.

Okryte gęsto rozrosłym bluszczem wznosiły się właśnie przed oczami naszemi wieżyce zameczku Joachima du Bellay. O miłe, drogie chwile! Dziś, gdy mam pisać o nowem dziele Klaczki, stanowiącem niejako dalszy ciąg „Wieczorów Florenckich", daremnie szukam naokoło siebie tego czaru... uleciał niepowrotnie, — może dlatego, że każde z góry powzięte zobowiązanie krępuje swobodę myśli, czy też, że minęły piękne dni młodości, czy wreszcie, że zmieniły się ramy, wśród których odbijają się wrażenia... Bo nie pagórki, obrosłe winem, nie białe pałace i wille, nie lazury zachodniego nieba nęcą oko moje grą światła i barw; nie aforyzmy akademickie, nie uśmiech wdzięcznych ust kobiecych podnieca wyobraźnię; ale... kujawskie niziny widzę przed sobą i słyszę brzęk kos, turkot drabiastych wozów, nawoływania roboczej czeladzi. Jakież to wszystko dalekie od Rzymu i *rinascimento!*

To też nie wystąpię tutaj w roli krytyka, — raz, że wobec osobistości tej miary, co Klaczko, nam, młodszym, przystoi zachować skromną postawę uczniów względem mistrza, powtóre, że wszelkie nasze komentarze i wywody najczęściej przypisują autorowi myśli, poglądy, dążności, których on albo nie miał wcale na celu, lub które są mu wręcz obce. Często ostremi barwami zacieramy pierwotne farby dzieła. Wolę z góry wypowiedzieć jedyny mój zarzut. Oto zdaje mi się, iż dwoisty tytuł książki („Rzym i odrodzenie. — Juliusz II") nie odpowiada jej treści. Spodziewamy się po tytule więcej, niż nam książka daje. Autor bowiem nie napisał ani wyczerpującego studyum o Juliuszu II, ani też historyi Rzymu w czasie odrodzenia. Uchwycił on tylko jedną z najświetniejszych chwil tego długiego, bo przeszło dwa wieki trwającego umysłowego przewrotu, najdonioślejszego może, przez jaki przechodziła ludzkość, i tę chwilę pokazał nam w całym jej blasku, w jej niezrównanej okazałości, — w kilkunastu rozdziałach, złączonych z sobą cienką bardzo nicią przewodnią; bez tego kłębka Aryadny zginąćby nam przyszło w tym prawdziwym labiryncie.

„Freski Melozza", „Historya grobowca", „Dawna bazylika", „U progu kaplicy sykstyńskiej", „W Camera della Segnatura", „Ostatni karnawał" i t. d., oto napisy główne przepysznych stanc, w których progu wznoszą się postacie Juliusza II, Michała Anioła, Rafaela, Bramanta. Z tych dwaj pierwsi, papież i rzeźbiarz, swą wielkością, swą grozą *(terribilità)*, nieprzepartym urokiem pociągają pisarza; przerastają oni świat i współczesnych sobie o głowę; rzekłbyś, rozpierają mury Watykanu, rozgłosem sławy napełniają wieczne

miasto i świat cały. Na nich też, na tych dwu mężach, ześrodkował Klaczko promienie.

A więc najprzód—papież Juliusz II, stargany latami, trawiony żądzą władzy, wątły ciałem, ale wielki duchem, oporny, dumny, silny, jak ten dąb *Rovere*, który mu był przydomkiem, herbem i nazwiskiem. Wyszedł z ludu — z rodziny rolników liguryjskich, w pocie czoła uprawiających ziemię. Już stryj jego, mnich Franciszkanin, zasiadał na stolicy św. Piotra pod imieniem Syxtusa IV; odtąd rozpoczyna się wielkość rodu.

Papież otacza się swoją rodziną. Nie darmo oskarżają go o nepotyzm. Z trzech jego bratanków, których nam przedstawia fresk Melozza da Forli, najbliższy mu krwią, jeżeli nie najdroższy sercu, kardynał Juliusz Rovere, odziedziczył zalety i wady swego rodu. O nim słuszniej jeszcze, niż o stryju, powiedzieć można, iż stał się odnowicielem wiecznego miasta, wznosząc świątynie, gmachy, dzielnice, mury, mosty.

Jakby w przeczuciu wielkich jego przeznaczeń, na nim to skupił Melozzo siłę i wyrazistość pędzla. Twarz młoda, już poorana bruzdami; maluje się na niej trawiąca żądza wyniesienia się, lecz jest także cierpliwość, spokój, niespożyta energia; oczy płoną, w blasku ich jednak przebija się jakaś smętność, a zarazem pewność siebie i swojej przyszłości. Stryj trzyma go zdala od spraw państwowych i kościelnych, natomiast zasięga jego rad, ilekroć ma poprowadzić jeden z tych śmiałych pomysłów, które chciały przetworzyć i upiększyć miasto. Ci dwaj ludzie są bowiem bezlitosnymi burzycielami zabytków zamierzchłych wieków. Za panowania Innocentego VIII wpływ Rovery wzmaga się, lecz na krótko; po wstąpieniu bowiem na tron Aleksandra VI-go zaczyna się zaciekła, uporczywa dziesięcioletnia walka. Juliusz, przyszły oswodziciel Włoch, ten, którego hasłem będzie później „*fuori i barbari*", szuka schronienia na dworze Karola VIII-go i pod osłoną francuskich sztandarów powraca do Rzymu. Pozostaje mu tylko, zdaje się, wyciągnąć dłoń po tyarę. Aleksander VI, znienawidzony i zohydzony wróg, zamyka powieki, między tronem a nim przesuwa się jeszcze znikomy cień Piusa III-go. Dopiero 1 listopada r. 1503 *conclave* obiera go papieżem. Kościół znajdzie w nim nie tylko najwyższego kapłana, ale obrońcę, zdobywcę, władzcę i pana. Żołnierz to więcej, niż ksiądz i apostoł. Pamiętnym pozostanie jego wjazd tryumfalny do Peruzyi i Bononii; tak wkraczali niegdyś do miast konsulowie i cezarowie: jest coś pogańskiego w tym wjeździe. A jednak nie wszyscy zrazu poznają

się na tej *terribilità*, na tej potędze i niezłomności ducha. Sam Machiavelli nie odgadł, że bije chwila dziejowa, że ten papież o chłopskiej mowie i chłopskich nawyknieniach na długi czas utrwali władzę świecką Chrystusowych następców na tej ziemi. Lepiej wniknął w jego naturę Michał Anioł Buonarotti. Obaj są szermierzami na drodze życia, obaj mają tę żywiołową niemal siłę, która działa, jak magnes, odpycha i przyciąga. Wytrwają jednak do końca w tej często zakłócanej zgodzie, podobnej do ciężkiej, burzliwej, lecz często opromienionej słońcem, letniej upalnej doby.

Zaraz po wyniesieniu swojem powierza papież artyście wykonanie dzieła, mającego świadczyć przyszłym pokoleniom o nieśmiertelnej sławie Roverów. Dziełem tem nie będzie świątynia, ani gmach, godny Rzymu i papieżów, lecz grobowiec — *Sepoltora*. Wszak od grobu dopiero rozpoczyna się dla nas nieśmiertelność! W olbrzymiej projektowanej postaci, unoszącej się nad marmurowem mauzoleum, a przedstawiającej Juliusza II w szatach pontyfikalnych, nie będzie ani prostoty, ani pokory „sługi sług", nie będzie miłosierdzia „pasterza dusz", lecz duma zwycięzcy, przemoc zdobywcy. Prawdziwy to *pontifex maximus* czasów pogańskich. Daremnie otoczenie całe usiłuje go odwieść od olbrzymiego przedsięwzięcia—*malum omen!* Co? stawiać grobowiec w pierwszym dniu ziszszenia oczekiwanych wspaniałych przeznaczeń? Lecz nikt ani nic nie złamie woli Rovery i Buonarotti'ego. Zrozumieli się: pierwszy odrazu pojął i ocenił myśl drugiego. Papież wie, że Michał Anioł wleje w grobowiec całą swą siłę, cały ogrom natchnienia, całą potęgę twórczości, jednem słowem — cały geniusz. Nada mu nowe, wieczne życie. Lecz — o ironio życia, o znikomości ludzkich zamiarów i marzeń — to dzieło pychy nigdy wykończonem nie będzie. Michał Anioł nazwie je tragedyą i męką swego życia. Ogrom miłości własnej, *primum mobile humanum*, odwoływanie się już za życia do wyroków potomności, cześć samochwalcza, o której Dante powiedział *lo gran disio del eccelenza* — to wszystko Bóg obrócił w nicość i proch. Jak marnymi są wobec Jego wyroków — faraonów i mocarzów zamysły! ...

A jednak z współpracownictwa duchowego tych dwu wyjątkowych istot wyłoni się wytyczna chwila w historyi świata i ideału, promieniejąca najwspanialszym blaskiem rozkwitu odrodzenia. Bo gdzież stanie *sepoltora*, jeżeli nie w najstarszej i najpierwszej bazylice, poświęconej pamięci Piotra, głowie wszystkich kościołów? Lecz jak pomieścić w świątyni świątynię — pomnik, ozdobiony kilkudziesięciu posągami nadnaturalnej wielkości? Prastara bazylika,

znacznie rozszerzona za rządów Mikołaja II, nieobejmie go w swych murach! Wtedy to w umyśle papieża powstaje plan olbrzymi: katedra ulegnie stopniowej zagładzie; na jej gruzach będzie stopniowo powstawała nowa, stokroć wspanialsza, okazalsza— *e più bella, e più magnifica.* Co? zwalić dom Boży, kolebkę wiary, zburzyć bazylikę Konstantyna Wielkiego, Sylwestra papieża; w proch obrócić mury i sklepienia, dźwigające na sobie brzemię dziesięciu wieków? zakłócić spokój Leona Wielkiego, Grzegorza Wielkiego, Mikołaja I, tylu męczenników, wyznawców, bohaterów? poruszyć szczątki pierwszego apostoła i papieża? Tak! nic nie wskórają przedstawienia kardynałów ani żałość ludu rzymskiego. Wprawdzie Bramante obiecuje cuda: nad panteonem Agryppy zawiesi świątynię pokoju. Budowa trwać będzie wiek cały. Nie ujrzy Juliusz wymarzonego dzieła. Ale wobec wznoszących się fundamentów kolosalnego domu modlitwy całego świata jakże marną wydawała mu się teraz owa *sepoltora* — poświęcona pysze i samochwalstwu! Czyż pamięć jego i tak nie przetrwa wieków? I poczuł papież wyrzuty sumienia, coś, jakby upokorzenie i wstyd. Raziły go już te głazy marmurowe, ogromem swym zawalające plac św. Piotra. Bo tam, w pobliżu kościoła świętej Katarzyny, mistrz Michał założył pracownię (*studio*). Odwiedzał go Ojciec Święty, przechodząc wiszącym mostem, który łączył apartamenta watykańskie z pracownią.

Ale stosunek ich się naprężał. Zobojętnienie papieża dla grobowca, któremu się był Buonarotti poświęcił z całym zapałem, stało się pierwszym powodem nieporozumienia. Oburzała go także zbytnia gorliwość w niszczeniu prastarej bazaliki. I rzeczywiście trudno pojąć, aby papież, znawca i miłośnik sztuk pięknych, opiekun i mecenas, lekceważył sobie świętą, wielką spuściznę artystyczną, sięgającą pierwszej doby chrześcijaństwa. Dopiero za panowania Sykstusa V rozciągnięto troskliwą opiekę nad świetnymi jeszcze szczątkami odwiecznej bazyliki. Ołtarze, płyty, mozajki, posągi, płaskorzeźby przez osiemdziesiąt lat z górą rozsypywały się w gruzy, gniły pod zwaliskami, rozpraszały się na cztery strony świata. Sam Bramante dawał zadziwiający przykład nieposzanowania przeszłości. Rzymianie, patrząc na spustoszone dzielnice, na Watykan roztwarty, na gruzy i zwaliska, a nie umiejąc sobie zdać sprawy z całości podjętych planów, z wspaniałości przyszłych gmachów — Belwederu, portyków, galeryi, przezwali Bramanta burzycielem, *il Rovinante.* A kardynał Sforza Pallavicini w pół wieku później odzywa się z goryczą: „By zebrać niezliczone miliony, potrzebne na wykończenie tak olbrzymiej budowy, trzeba było jąć się środków, które wywo-

łały herezyę Lutra i które w swem następstwie przyprawiły kościół o utratę tylu milionów dusz".

Nic nie mogło jednak powstrzymać papieża: w trzy lata po swem wyniesieniu, w sobotę 18 kwietnia r. 1506, położył własnoręcznie kamień węgielny nowej budowy. Odprawiwszy mszę, zbliżył się do fosy i po drabinie zstąpił w „przepaść". Z głębi usłyszano jego głos, ostrzegający, by nikt się nie ważył zbyt zbliżać do lochu, z uwagi, że ziemia może się obsunąć. „Chcę umrzeć na słońcu", wołał rozweselony, wydostawszy się na światło dzienne...

A właśnie miało mu teraz świecić słońce sławy. Dnia 26 sierpnia tego samego roku dosiadł rumaka i popędził, jak wicher, jak burza, uderzył, jak piorun. Wszystko się przed nim rozsypuje. Na samą wieść o zbliżaniu się wojsk papieskich Giampolo Baglione, ciemięzca Perugii, który dotąd nie cofał się przed żadnem niebezpieczeństwem, przed żadną zbrodnią, ogarnięty jakimś niepojętym lękiem biegnie na spotkanie Juliusza aż pod Orvietto, pada przed nim na kolana, poddaje mu twierdze i grody, nic dla siebie nie żądając prócz... możności służenia nadal ojcu świętemu. Podobną zjęty trwogą, stary Giovanni Bentivoglio opuszcza Bononię, rodzinę, władzę, bogactwa, umyka i zatrzymuje się dopiero w obozie króla Francyi. Juliusz II wjeżdża do miasta na olbrzymim złocistym rydwanie, pod purpurowym baldachimem. Jeszcze okazalej przyjmuje go Rzym. Złocisty dąb rodziny Rovere wznosi się dumnie aż pod sam szczyt kościoła Santa Maria; z wozu, zaprzężonego w białe, jak śnieg, rumaki, skrzydlate geniusze sypią palmy, wawrzyny i róże. Rzełbyś, pochód tryumfalny... pogański. Wtedy to Erazm z Roterdamu wzdycha za świętą prostotą pierwszych wieków apostolskich. Wśród gromów wojennych, wspaniałych obchodów i pompy, w gorączkowym nastroju wyobraźni i ducha nie bierze papież do serca .. nagłej ucieczki rzeźbiarza z Rzymu. Michał-Anioł bowiem opuścił niespodziewanie swoje *studio*; bo Juliusz nie tylko przestał zajmować się grobowcem, lecz odmawia nawet artyście należności... Tak przynajmniej żali się Buonarotti w liście do przyjaciela San Galla: „Donosisz mi, pisze, że Jego Świątobliwość źle przyjęła wieść o moim wyjeździe: dodajesz, że gotów, bądź co bądź, wypłacić mi należność moją: jeżeli tak, to nie powinienbym się ociągać z powrotem. Niestety! prawdą jest niezbitą, że wręcz inaczej postąpił sobie papież ze mną: w wielką sobotę, przy stole, rozmawiając z mistrzem ceremonii i jubilerem, zaklinał się, że ani jednego solda już nie wyda na kamienie wielkie, czy małe. Zrozumiałem go dobrze, mimo to ośmieliłem się upomnieć o zaliczkę. Papież kazał mi się stawić w ponie-

działek. Stawiłem się w poniedziałek, we wtorek, potem we środę i we czwartek — on wiedział o tem doskonale. Wreszcie w piątek rano kazano mnie odprawić,—co mówię — odprawić, wypędzić..."

Dziwny to zaprawdę stosunek tych dwu nadzwyczajnych ludzi! Klaczko przedstawia go zupełnie przedmiotowo, nie przechylając się ani na tę, ani na ową stronę. Mnie się jednak zdaje, iż papież tu góruje nad artystą, że jemu szlachetniejsza przypada rola. Potężny duch mistrza, miotany niepokojem, trapiony zgryźliwością, poddawał się łatwo podejrzeniu oraz wynikającym stąd niesłusznym urazom. Nie zaznał wprawdzie nigdy szczęścia, geniusz jego, niewyczerpana potęga twórczości ściągnęły nań zawiść współzawodników; odpłacał jednak zawistnym sowicie i w każdym niemal z nich upatrywał wroga, czyhającego na jego życie. „Pieniądze — pisze dalej w wyżej wspomnianym liście— to nie jedyny powód mej ucieczki. Było tam coś gorszego, o czem rozpisywać się nawet nie chcę i nie mogę. Wiedz tylko, że, gdybym dłużej pozostał w Rzymie, grób mój niezawodnie byłby o wiele wcześniej tam stanął, niż owa sławna *sepoltora*. Grożące memu życiu niebezpieczeństwo zniewoliło mnie do tak nagłej ucieczki". Czyste przywidzenie, zarzut nieusprawiedliwiony! Nikt nie spiskował przeciwko niemu; doczekał się późnej starości, i to w tym samym Rzymie. Lecz owa niczem niewytłómaczona panika owłada nim jeszcze nieraz. Ucieka z Florencyi, bo we śnie widział się na marach. Nie dosyć na tem: w czasie oblężenia rodzinnego miasta powierzono mu obronę pewnej dzielnicy, a on opuszcza posterunek, słuchając jakiegoś głosu nieznanego, który, jak sam mówi, „zabiegł mu niespodziewanie drogę, od Boga, a może też od dyabła, zesłany".

Te dwie główne postacie — papieża i rzeźbiarza — tak zespolił i uwypuklił Klaczko, że, kiedy się czyta charakterystykę jednego, staje przed oczami jednocześnie postać drugiego; widać ich wciąż na jednem tle, zawsze z sobą złączonych, w zgodzie czy rozterce, w powodzeniu czy nieszczęściu. W powrocie ze zwycięskiej wojny powierzył Julius II Florentyńczykowi ozdobienie *al fresco* kaplicy Sykstyńskiej. Ten wszakże posądza Bramanta o jakieś zawistne, skryte zamiary. Wszak nigdy nie był malarzem? Zapomniał jednak, że z Leonardem da Vinci walczył o palmę pierwszeństwa w olbrzymiej kompozycyi „Wojny pizańskiej". Papież swoją wspaniałomyślnością, łatwością przebaczania przewyższa artystę; wobec jego skarg, niczem nie usprawiedliwionych podejrzeń, niesłowności stara się złagodzić rozdźwięk. Za pośrednika służyć im będzie Soderini, chorąży florencki. Lecz Michał-Anioł jest zacięty, zamyśla

opuścić Włochy raz na zewsze i udać się... do Turcyi: tam, nad Bosforem, budować będzie mosty, wznosić grody, ku większej chwale i potędze padyszacha. Żale swoje wywodzi w sonecie, znalezionym wśród jego rękopismów z roku 1506 [1]). Soderini jednak nie zwątpił o nawróceniu artysty. Jakoż udaje mu się przełamać jego upór. Buonarotti podąży do Bononii i tam przeprosi papieża. Ale jakże mu pycha przygniata serce! Zastaje Juliusza, biesiadującego w pałacu Bentivogli'ch. „Długo kazałeś na siebie czekać, aż sami wyszliśmy na twoje spotkanie", woła na wstępie papież. Łaskawe słowa kruszą zawziętość. Rzeźbiarz pada na kolana. Owocem pojednania będzie nowy posąg Juliusza, ulany ze spiżu: papież siedzi na tronie, potrójna tyara zdobi jego skronie; prawą rękę wznosi ku niebu — błogosławi, czy przeklina? taka popędliwość, taka gwałtowność w ruchu! „Ojcze święty, mówi rzeźbiarz, upominasz Bonończyków, by w wierności i posłuszeństwie wytrwali, lecz jakie godło dźwigać będzie twoja lewica? czy księgę?" — „Księgę? co mi po niej? albož to ja uczony? Daj mi miecz!" Rzeźbiarz przypomniał sobie w porę słowa Crystusowe, do Piotra wyrzeczone; więc zamiast miecza dał klucze.

I stanął posąg na samym szczycie fasady św. Petroniusza w roku 1508 przy odgłosie trąb, przy biciu dzwonów, przy huku dział. Astrologowie, których wróżb papież rad słuchał, wybrali dzień pomyślny. Niestety, zawiodły ich rachuby! Grożąca czyli też upominająca dłoń papieża nie utrzymała Bonończyków w wierności. Lud powstał, i posąg, ściągnięty przez motłoch na ziemię za pomocą grubej liny, runął... nie pozostało po nim śladu. W trzysta lat później motłoch paryski tego samego użył sposobu, by zwalić kolumnę Vendôme. *Nil novi sub sole!...*

Teraz ulega Michał Anioł wszechpotężnej woli swego pana. Mimo wstrętu i niechęci, „nie będąc malarzem", jak mówi, rozpoczyna nieśmiertelne dzieło — w kaplicy Sykstyńskiej. „Gdym powrócił do Rzymu, zniewolił mnie Ojciec Święty, abym, porzuciwszy dłuto, wziął się do farb i pędzla. Zawarliśmy ugodę. Otrzymam 3000 dukatów wynagrodzenia. Podług pierwotnego projektu papieża, otwory sklepienia musiały zdobić postacie dwunastu apostołów; ja jednak powiedziałem, iż będzie to „ubóstwo". Zapytała mnie jego Świątobliwość, dlaczego tak myślę; odpowiedziałem: Wiadomo przecież, że apostołowie w ubóstwie żyli. Uśmiechnął się papież

[1]) Zresztą data tych rękopismów nie jest napewno ustaloną. (Przyp. Red.)

i rzekł: Zróbże więc tak, jak ci się wydawać będzie najlepiej". Przez całe tedy cztery lata chory, trawiony gorączką, zaledwie na chwilę przerywając pracę, by się lichą strawą — kawałkiem suchego chleba, pożywić, spędza mistrz na rusztowaniu tak wysokiem, że się nabawia zawrotów głowy i ciężkiej choroby oczu. Tam, na tych wiszących deskach, często go nawiedza papież. Siedemdziesięcioletni starzec wchodzi po wązkich szczeblach drabiny, siada na belce obok rzeźbiarza, i pod sklepieniem dziwna się toczy rozmowa. „Kiedyż skończysz?" — „Jak będę mógł". — „Chcesz, abym cię zrzucił na flizy?" — „W takim razie nie skończyłbym nigdy". I ci dwaj *terribili uomi* rozstają się w gniewie i milczeniu. Krótkie to atoli burze, podobne do marcowej zawieruchy. Wnet z pod groźnych chmur ukazuje się lazur nieba, wnet słońce łaski na nowo świeci. Ze swych komnat papież wysyła niebawem posła ze słowami zachęty i uznania.

Zachodzi teraz pytanie: dlaczego Michał Anioł obwinia papieża o skąpstwo i złą wiarę? dlaczego ani Rafael, mimo swej rozrzutności, ani Bramante, ani żaden z pośród licznych synów Apollina, których Rovere stale otacza swą opieką, nigdy tak dotkliwych nie uczynił mu zarzutów? Dla tego, że tak Rafael, jak Bramante, tłómaczy Klaczko, pozostają zawsze w roli i uniżoności artystów względem chlebodawcy; wiedzą, że nie należy mu się naprzykrzać, że we właściwej chwili szczodrobliwość pańska stokrotnie ich wynagrodzić potrafi. Przeciwnie, Michał Anioł na wspaniałomyślność nie liczy. Żąda tyle tylko, ile mu się prawnie z umowy należy, ale żąda z natarczywością, bez wybiegów, nie, jak sługa, lecz raczej, jak wierzyciel, ba! „z całą dumą szlachcica". Bo dumę rodowę posiada Buonarotti w najwyższym stopniu rozwiniętą. Dla niego Rovere to parweniusz, „gbur syn gbura", jak się w chwilach rozdrażnienia Ludwik XII o papieżu wyrażał, a Michał Anioł to potomek sławnej rodziny hrabiów na Canossie: wspólne to pochodzenie przyznał mu uroczyście hrabia Aleksander Canossa z Bianello: obydwaj pieczętują się tym samym herbem: na niebieskiem polu pies, obgryzujący kości. Jedyny jego cel w życiu to wyrwanie rodziny z nędzy; niezmordowaną pracą pragnął nie tyle dojść do sławy, ile dorobić się bogactwa, nie dla siebie wszakże, lecz dla rodu; więc piędź po piędzi skupuje dawno dziedzictwo Buonarottich. Dążąc do tego celu, nie cofnie się przed żadną ofiarą. W chwili, gdy zamyka sam siebie w kaplicy Sykstyńskiej, liczy dopiero lat trzydzieści cztery.

Oto jaki portret rzeźbiarza z owych czasów kreśli nam Klaczko. Nizkiego wzrostu, krępy, olbrzymia głowa na krótkim tuło-

wiu; mańkut od urodzenia; włosy gęste, kędzierzawe, policzki, mocno wystające, nos przypłaszczony (skutkiem brutalnego niegdyś zajścia z zawistnym kolegą, Torrigiano), co nadawało fizyognomii wyraz dzikości; ale czoło piękne, wyniosłe, spojrzenie zarazem smętne i głębokie, wnikające do głębi duszy; w obejściu z ludźmi często nieprzystępny, obraźliwy, ponury, podejrzliwy, rozdrażniony i rozdrażniający; w uprzedzeniach swych równie, jak we współczuciu, krańcowy; skarżył się wiecznie na świat i ludzi; wstrzemięźliwy, jak anachoreta, wyjątkowo rzetelny, mający jednak ciągle jakieś zatargi pieniężne; fantastyk, tetryk, neurastenik przywiązywał zabobonną wiarę do snów, widzeń cudownych, znaków, cierpiał halucynacye; ogarniały go ni stąd, ni zowąd niczem nie wytłómaczone trwogi; pod ich wpływem tracił równowagę umysłową, chwytał się nieraz środków, uwłaczających jego czci i dobrej sławie; ale serce pozostało do końca życia wrażliwe. Liczne jego listy świadczą o głębokiej miłości kraju, rodziny; troskliwość swą rozciągał nad domownikami; przygarniał ich wdowy i sieroty, jałmużny udzielał sowicie, w pokorze i skrytości; lecz pierwszy grosz, zarobiony dłutem, poświęcił na nabycie dla ojca posiadłości ziemskiej, aby mógł rodzic na stare lata żyć, „jak przystoi szlachcicowi".

Synowca swego, którego zrobił swym generalnym spadkobiercą, nagli do ożenku: „Nie oglądaj się na posag, dbaj tylko o przymioty duszy; sądzę, że łatwo znajdziesz we Florencyi rodzinę, może ubogą, ale z zacnego gniazda. Nikt cię nie posądzi, że przez ożenek chcesz dojść do szlachectwa, boć przecież ogólnie wiadomo, że urodzeniem nikomu chyba nie ustępujemy we Florencyi". A jest ta duma rodowa tak wielką, że dla niej wyrzekłby się swego zawodu: „Powiedz, proszę, aby nadal nie adresowano do mnie listów: do „Michała Anioła, rzeźbiarza", lecz „do Michała Anioła Buonarotti": nigdy bowiem nie byłem rzeźbiarzem ani malarzem na podobieństwo tych, którzy swem rzemiosłem frymarczą (*come chi ne fà bottega*); wystrzegałem się zawsze pilnie handlu i kramarstwa; służyłem wprawdzie trzem papieżom — bo byłem do tego zmuszony". Nie hołduje także lekkim obyczajom swego czasu: nie wiemy o żadnej jego Fornarinie. Zeszpeconemu za młodu, jak sam się uskarża, *privo piangendo d'un bel volto umano*, nigdy nie splotły się u szyi białe kochanki ramiona. W jego sonetach, skreślonych już w latach dojrzałych, *negli anni assai*, niema erotyki ani tej żądzy rozkoszy, która cechuje utwory Pulci'ego, Ariosta, Boccaccia; wzorami jego — *Poema sacro* Danta, Biblia oraz kazania Savonaroli, którego głos potężny jeszcze nie przebrzmiał. Stroni od dworów książęcych, od dworaków,

od biesiad, igrzysk, od wszelkich uciech. Ma dwie miłości, dwie kochanki, którym pozostanie wiernym do śmierci: kocha namiętnie Rzym i Florencyę — miasto wieczne, stolicę świata, *Urbs*, i miasto rodzinne; sztuka, ojczyzna, wolność, rodzina — to wszystko skupia się dla niego w tych dwu imionach: *Firenze* i *Roma*. Głęboko religijny łaknie on nieskończoności tem pragnieniem, które jest siłą, lecz zarazem męką dusz wybranych. Wzniosłe i wielkie zagadnienia ludzkości, sprawiedliwość, prawda, zbawienie — oto przedmioty ciągłych jego rozmyślań. On, rzec można, jest *Pensieroso* odrodzenia.

W zawodzie swoim sumienny posiada niespożyte siły energii, posiada tę boską grozę — znamię geniuszu — *terribilità*. Naturalizm czy też realizm, tę główną dążność *quattrocenta*, pojmuje inaczej, jak taki np. Donatello, Uccello, Andrea del Sarto, Castagno, Pollajuolo. Bada przyrodę i ludzkość w ich najskrytszych, prawie że niedościgłych tajnikach, bada je po za granicami życia doczesnego, w ciemnych czeluściach śmierci, w szpitalach i na trupach. Odtwarza wzory starożytne, lecz w pełnej niezależności i odrębności potężnego ducha. Spostrzegł i przyswoił sobie istotną zasadę plastyki, że wyraz, ekspresya, piękność rysów, nie są głównem zadaniem, owem *omne tulit punctum* rzeźby, ale że ten wyraz musi także owionąć i ożywić inne części ciała. Stąd, jak słusznie powiada Klaczko, wszelki mistycyzm był mu obcy; jego świat empirejski nie rozwieje się nigdy w marzeniach, nie wcieli się w eteryczne formy i widziadła, podobne do anielskich figur Orcagna i Fra Angelico. Rzeźbiarz bierze tu górę nad chrześcijaninem, uczniem słynnego Dominikanina. To znamię jego twórczości jaśnieje w jednym z najwcześniejszych jego utworów młodzieńczych, w wypukło-rzeźbie centaurów, zdobiącej do dziś dnia odrzwie głównego wejścia *casa Buonarotti*.

Innym zupełnie jest Chrystus w grupie *Pietà*. Nigdzie i nigdy nie odtworzono lepiej piękności ludzkiej w jej wielkości i prostocie, nigdzie nie połączył mistrz tyle rzewności i wdzięku z doskonałością formy. Czyż Syn Boży nie przypomina nam Apollina watykańskiego? Co za miękkie, wytworne linie i zgięcie, jaki misterny połysk wykończenia! Promienna, świetlista atmosfera otacza Zbawiciela. Ten Chrystus, zdjęty z krzyża, nagi, martwy, ukazuje się nam, jakonajpiękniejszy z synów ziemi. Takie dzieło mógł jeden tylko Michał Anioł pojąć i wykonać. Poprzednicy jego dawali nam w Męce Chrystusa boleść, cierpienie, grozę śmierci: tu śmierć jest zwycięstwem i zbawieniem; tu znikła trupia sztywność ciała, rany—

zaledwie zaznaczone. Z głową, lekko w tył pochyloną, z twarzą gładką, z rękami i nogami, wyciągniętemi, jak do spoczynku, Chrystus wydaje nam się dzieckiem, śpiącem na łonie matki. A w rysach Niepokalanej Dziewicy jest także miłość, nie cierpienie; Ona jest także młodą, słodką, piękną; i tylko w ruchu lewej ręki jest jakby nieme pytanie: „Czyż może być boleść, do mojej boleści podobna"? W całym utworze rozlany przedziwny spokój, harmonia...

Później groza tylko targać będzie jego duszę, później on pójdzie już wyłącznie za przykładem starych mistrzów, którzy ciosali postacie nadnaturalnej wielkości, nagość, patetyczność, kolosalność—oto zasady, które kierują rzeźbą i malarstwem. Takim jest jego Herkules, takim także nawet i Dawid. Olbrzym, goły od stóp do głów; muskuły wyprężone, czoło, troską zmarszczone, oczy złowrogie, posępne; na ustach wyraz pogardy, wyzywającej dumy. Czyż to pastuszek, który uśmiechem i grą na harfie poskramiał Saula? Nie omylił się lud florencki w swym bezwiednym zmyśle krytycznym, gdy nazwał go *Il Gigante;* Rzymianin nazwałby go gladyatorem lub atletą.

Streściwszy karty, które Klaczko poświęcił Michałowi Aniołowi, jako rzeźbiarzowi, kilka słów powiedzieć jeszcze należy o nim, jako o malarzu. Widzieliśmy już, jak niechętnie brał się do powierzonego sobie dzieła, *non essendo pittere*, nie czując się zupełnie malarzem: drwił z siebie i ze swej pracy: „Już nabawiłem się strumu, a brzuch dochodzi mi do podbródka; gdy podnoszę głowę, mózg wysuwa mi się aż w plecy; farby, ociekające z pędzla, zamieniły mi twarz w pstrą mozajkę; oczy nie widzą, dokąd kroczę; umysł mój może się zdobyć tylko na fałszywe lub dziwaczne sądy. Strzelba z wykręconą lufą prosto strzelać nie może; o! przyjacielu, broń dobrej mej sławy, bo dłużej nie wytrzymam; nie! nigdy się z malarstwem nie pogodzę". A jednak po trzech latach niezmordowanej pracy z pod pędzla jego wyszło niezrównane dotąd arcydzieło: sufit kaplicy Sykstyńskiej zajaśniał wreszcie w całej swej nadludzkiej, zdumiewającej wspaniałości. Dnia 15 sierpnia 1511 r., w uroczystość Wniebowzięcia, na rozkaz papieża usunięto na kilka dni olbrzymie rusztowanie. Co tylko żyło w Rzymie, cisnęło się do kaplicy. Podziwiano w osłupieniu. Był to nowy świat, a w nim jedno tylko królestwo, jedno panowanie: panowanie i królestwo ludzkiej istoty: człowiek królem i panem stworzenia; ani nieba, ani natury, ani ozdób architektonicznych — nic, tylko postać ludzka w najrozmaitszych objawach, kształtach, tu, jako uosobienie najwyższych zagadnień religijnych i filozoficznych, tam znów, jako przedmiot ornamentacyi w podstawach, arabeskach, czło-

wiek-duch w postaci proroków i sybilli, człowiek-bohater, uprzytomniony w wojownikach biblijnych, człowiek-roślina w olbrzymich kwiatach i zwojach, pnących się po łukach i oknach, człowiek-głaz w ogromnych *putti i ignudi*. Druga cecha charakterystyczna tego arcydzieła to wyswobodzenie się z wszelkich dotąd uświęconych tradycyi, używanych powszechnie emblematów: aniołowie — pozbawieni skrzydeł, święci pańscy — bez aureoli; Bóg-ojciec w dłoni nie piastuje kuli świata. Buonarotti wyrzekł się dziedzictwa przeszłości, otrząsł się z więzów wierzeń i legend wiekowych. Natchnienie czerpie po za obrębem granic, wśród których wzbija się w sfery, dotąd nieznane, niedoścignięte, niedostępne. Artyzm wzniosły, samowolny, nie troszczący się o wrażenie, jakie wywrze, a jednak tak potężny, tak porywający, że serca truchleją z podziwu i grozy! Sam młody mistrz z Urbino, Rafael Santi, który dopiero co był wykończył *stanze* w kamerze segnatury, przejrzyste, jak zorza, wonne, jak wiosna, — naśladować odtąd będzie tytana. Z tego sufitu, jak niegdyś z gorejącego krzewu, wiał i odzywał się duch Boży. Jak z góry Horeb wśród grzmotów i błyskawic, dawał się słyszeć głos Pana: *Sum, qui sum*. Historya, czyli raczej poemat stworzenia — jako punkt środkowy; po bokach, zamiast dwunastu apostołów, o których mistrz był powiedział *povere cose*, — prorocy oraz przodkowie Chrystusa wedle „Księgi Rodzajów". *Misteryum*, roztoczone przed nami, obejmuje niebo i ziemię, koleje ludzkości, od pierwszej chwili istnienia *fiat lux* do wcielenia. Słowa żywego, od Jehowy do Jezusa. A jak nam Klaczko opisuje te wspaniałości! co za obrazowość słowa, godna naprawdę wielkich, nieśmiertelnych obrazów pędzla! Oto pierwszy akt boskiej twórczości. Ciemność i nicość. Ani czas, ani przestrzeń nie istnieją. W zmroku, w mgle tajemniczej rysuje się postać, czuć w niej ogrom potęgi, lecz zarazem coś, jakby zdumienie; głowa, ręka wyciągnięta — i tyle! To Bóg wszechpotężny, przedwieczny, wyłaniający się z chaosu. Powstał z głębin nieskończoności, przepłynął przez fale milczenia, wydobywa się na powierzchnie cieniów. Wyrzeknie cudowne słowo: „Niechaj stanie się światło". Wyciąga ramię — na niebie zapalają się zorze, dwie ogniste kule, spuszcza dłoń— ziemia okrywa się kwieciem i zielenią. Jest wszechmocny, i zarazem blizki, daleki; wykończył dzieło, błogosławi mu, mówiąc: *Crescite et multiplicamini.* Unosi się w powietrzu, dąży wprost ku nam; ręce, szeroko rozwarte w nieskończonej szczodrobliwości ojcowskiej; oblicze, rozjaśnione promieniem łaski, miłosierdzia. Aniołowie, truchlejący ze strachu w pierwszej dobie stworzenia, teraz swobodnie bujają po przestworzu, tuląc się pod fałdy szaty bożej,

podobni do białych gołębi, przyczepionych do żaglu. Spokój, niczem niezamącony, zupełny, ani jednej chmurki na świeżym lazurze niebios; świat cały, skupiony, zdaje się wstrzymywać oddech, pod wezbraniem niezmierzonych fal szczęścia, uwielbienia, nadziei, podziwu, miłości. Jest to, mówi Klaczko, melodyjne *andante* i *finale* symfonii stworzenia. Lecz jakaż smętność rozlana w olbrzymiej kompozycyi, w tej przedziwnej trylogii — stworzenia świata, Raju i Potopu. Bolesne, tęskne uczucie przejmuje do głębi duszę. Litość, troska zasiadły na obliczu Pana, tłumione, a jednak ogromne, bezmierne współczucie. Bo świadom On jest nędzy i łez, i cierpień, które nękać będą tę marną glinę ludzką, ożywioną wszechwładnem Jego tchnieniem. I człowiek, zdaje się, przeczuwa, jak ciężkim będzie jego los na ziemi. Płomień nadziei i wiary nie rozświecił źrenic jego, raczej w przygnębieniu, w strachu, z niemym wyrzutem zwraca się do Stwórcy: „Na coś mnie wydobył z nicości?" W przeciwieństwie do Adama stoi przy nim Ewa, przepiękna, czerstwa, jaśniejąca urodą i zdrowiem, żądna rozkoszy życia; włosy rozpuszczone, niby płaszcz złocisty, okrywają białe, twarde ciało; to nie tylko kobieta, lecz małżonka, matka przyszłego rodzaju ludzkiego, płodna, stworzona do miłości... Wdzięczność ze strony potomnych należy się papieżowi, iż, odgadłszy uniwersalny geniusz mistrza, zniewolił go prawie gwałtem do pozostawienia światu niezrównanego arcydzieła.

Natenczas stał Juliusz II u szczytu chwały. „Papież, mawiał o nim Domenico Trevisano, poseł wenecki, chce być panem gry tego świata". „Strącę wasze miasto, groził Rovere, z wysokości jego pychy i uczynię z niego lichą rybacką wioszczynę". — „A my, ojcze święty, odpowiadał Trevisano, zrobimy z ciebie plebana wiejskiego". Próżne groźby! Papież zawiera przymierze z Francyą, Austryą, Hiszpanią, książętami Mantui i Ferrary. Zwycięstwo, odniesione przez Francuzów pod Agnadel, rozbiło potęgę dumnej królowej Adryatyku, — zdaje się na łaskę i niełaskę Juliusza, pisząc: *Sanabit, qui percussit.* Papież, czuły na pochlebstwa, zwłaszcza, gdy odnoszą się do jego wspaniałomyślności i potęgi, przebacza: „Gdyby wasza rzeczpospolita nie istniała, wartoby ją stworzyć" — tak się odzywa, błogosławiąc klęczących przed jego tronem patrycyuszów weneckich. I teraz stanie na czele ruchu narodowego, by wyswobodzić ojczyznę od najazdu cudzoziemców. „Ci Francuzi, woła, chcieliby, aby papież był kapelanem arcy-chrześcijańskiego króla!" Odbiera Ferrarę, rzuca klątwę na popleczników ligi, a więc pośrednio i na króla arcy-chrześcijańskiego.

Ludwik XII zemści się nad tym „gburem, którego warto kijem rozumu nauczyć”. Powolne władzy monarszej duchowieństwo, zebrane na synodzie w Tours, upoważnia króla do walki z papieżem. Na to wyzwanie odpowiada Juliusz II hasłem: *Fuori i aarbari!* Rozpoczyna się długa, zacięta kilkoletnia walka. Bononia jest główną kwaterą papieża. Najwyższy pasterz zamienił się w bożka wojny. Trawiony gorączką, chory o mało nie wpada w ręce nieprzyjaciół. Chaumont, wódz francuski, przybiega marszem forsownym z Modeny do Bononii. „Na Boga! nie weźmie mnie żywego”, zaklina się papież, a jednocześnie tak zręcznych używa wybiegów, tak długo wroga trzyma w zawieszeniu, tak zręcznie mami go i łudzi, póki wreszcie nie nadchodzą posiłki. Chaumont ustępuje z pola i wkrótce umiera, dręczony wyrzutami sumienia: orężem walczył przeciwko namiestnikowi Chrystusa na ziemi; taka to jeszcze wiara ożywiała skądinąd pozbawione wszelkich skrupułów dusze żołnierskie. Niewyleczony jeszcze, wśród straszliwych, niebywałych we Włoszech śniegów i mrozów, oblega papież Mirandolę; nadstawia piersi, u nóg jego pękają kartacze, on sam walczy, sam morduje, wytrzymałością, odwagą, hartem duszy przewyższa każdego żołnierza, a nie ustępuje żadnemu w rubaszności. Zapuścił brodę — podobny do niedźwiedzia, *con la barba, che pare un orso*, sukmana, podbita futrem, szczelnie zakrywa wątłe ciało; na głowie kaptur wełniany, wyraz twarzy twardy i zacięty. Niema w tej postaci tych szlachetnych, wyidealizowanych rysów, jakie mu nadał w portretach owego czasu boski Santi. Nareszcie poddaje się twierdza; Juliusz pierwszy w szeregu po drabinie wdziera się wewnątrz murów. Przelotny to jeszcze uśmiech fortuny, która później dopiero cudowną ręką zawiedzie go do bram ostatecznego tryumfu, do utrwalenia władzy doczesnej następców św. Piotra. Tymczasem zaś dozna jeszcze papież zmienności losów. Oto w samym Rzymie, w gronie kardynałów, knują odszczepieństwo i zdradę. Liga zwołuje sobór, mający na celu poprawę kościoła, mówią głośno o przyszłej, niechybnej detronizacyi papieża; a że z tragizmem chwili dziejowej zawsze łączy się komizm, więc i cesarz Maksymilian stawia swą kandydaturę na wakującą stolicę apostolską... Listy do córki Małgorzaty, wielkorządczyni Niderlandów, podpisuje stale *Maximilianus futur pape.*

Lecz ciężka to sprawa wojować z kościołem, — *et portae inferi non praevalebunt adversus eam:* to też król francuski gotów do ustępstw. Juliusz układów nie zrywa, ale jednocześnie zbroi się: sprowadza zaciągi szwajcarskie, zastawia słynną tyarę Pawła II-go *il regno*, zdobną w kamienie najczystszej wody. W czasie układów

zapada na zdrowiu, roznosi się już pogłoska o jego śmierci. Rzym powstaje, na czele ruchu stoją najprzedniejsze rodziny wiecznego miasta: czas zrzucić z siebie znienawidzone jarzmo. Wtem Rabbi, żyd, przyboczny lekarz Jego świątobliwości, wraca papieżowi zdrowie. Spisek pryska, jak bańka mydlana; patrycyusze truchleją, i ci sami ludzie, którzy niedawno sprzysięgli się na tron papieża, teraz spieszą z przysięgą na wierność *pontefice terribile*. Ale papież zaniecha zemsty: posiada dar najwyższy—łatwość przebaczania osobistych uraz; jedyną troską, jedynem zadaniem jego jest wyswobodzenie Włoch z najazdu. Lidze nieprzyjacielskiej przeciwstawia „ligę świętą" — z cesarzem, Hiszpanią, Wenecyą. I toczy się wojna *ancipiti fortuna*. Młody Gaston de Foix pobija na głowę wojska papieskie pod Rawenną, lecz zdobyte wawrzyny opłaca życiem „Król wygrał batalię, woła Bayard, ale zginęła szlachta francuska!" Nie było komu poprowadzić zwycięskich hufców; kilka tygodni zaledwie minęło od pogromu, a ziemia włoska była wyzwoloną z najazdu barbarzyńców. „Zstąpił anioł z nieba, mówi Paris de Grassis, a Jerozolima zrzuciła z siebie jarzmo Asyryjczyków". Dnia 3 grudnia roku 1512 odśpiewano uroczyste *Te Deum* w bazylice laterańskiej. Dziedzictwo świętego Piotra było utrwalone na trzy wieki przeszło. Papież stał się rzeczywiście „panem gry świata". Tak się rozpoczął rok 1513. Nigdy jeszcze karnawału rzymskiego nie obchodzono huczniej i gwarniej. Po ulicach snuły się tłumy, niesione żądzą życia i rozkoszy: wolna Italia sławiła swego pana pląsami, ucztami, śpiewem i wesołością. Lecz papież.... dogorywał. „Zaraz w pierwszych dniach stycznia, nazajutrz po wspaniałym korowodzie masek, wydał ostatnie rozporządzenia Ojciec Święty, pisze Grassis w swym pamiętniku, raczył mnie przywołać do siebie. Zastałem go w łóżku. Z wielkiem poddaniem się, z prawdziwą pokorą chrześcijańską oznajmił mi, że nie widzi już dla siebie ratunku; dzięki składa jednak Wszechmocnemu, iż mu dozwolił umrzeć po chrześcijańsku, a tej łaski doznali, niestety, nie wszyscy jego poprzednicy. Polecił mi, mówił dalej Grassis, abym po jego zgonie zajął się oddaniem należnej posługi jego zwłokom; nie żądał wspaniałego obchodu, pragnął tylko, aby ciało jego bezwstydnie wystawionem nie zostało tak, jak się przytrafiło Aleksandrowi VI; nakazał, abym mu na palce włożył dwa pierścienie; spoczywać będzie w kaplicy Sykstusa IV — aż do wykończenia zamówionego już za życia olbrzymiego mauzoleum. Do ostatniej chwili zajmował się sprawami kościoła i państwa, udzielał posłuchania posłom, podpisywał *breve*, ustanawiał przepisy, dotyczące uroczystego otwarcia przyszłego soboru. Dnia 20 stycznia przy-

jął ostatnie namaszczenia w obecności zgromadzonych w komplecie kardynałów. Żegnał się kolejno z każdym z nich z osobna, napominając, aby nie przestawali żyć w bojaźni bożej, aby słuchali przykazań świętych i obrali przyszłego dusz pasterza zgodnie z uświęconymi przez kościół przepisami i prawami. Mówił po łacinie, głosem pewnym, dobitnym, takim, jakim wygłaszał zazwyczaj alokucye. Kardynałowie, którzy wśród nieustannych walk, burzliwego pontyfikatu kryli w sercach niechęć i zawiść, teraz, wobec majestatu zbliżającej się śmierci, ze łzami i skruchą przystępowali do ucałowania ręki pańskiej. Zapóźno oddali sprawiedliwość wielkiemu papieżowi, zrozumieli po niewczasie, że on jeden stanął na wysokości swego zadania, że, aby podźwignąć kościół ze wstydu i poniżenia, w jakie go był pogrążył Borgia, trzeba było światu chrześcijańskiemu nieugiętego męża, trzeba było owej *terribilità*, która cuchnące rany paliła i goiła zarazem, *percussit et sanavit*. A jednak, pomimo tej *terribilità* nigdy się papież nie splamił okrucieństwem, nigdy nie mścił się krwawo osobistej urazy, nigdy nie miał innej chwały, innej wielkości na celu, jak wielkość i chwałę papiestwa i kościoła.

Oto, w jaki sposób odmalował nam Klaczko swym mistrzowskim pędzlem tę wielką postać, a tak ją zespolił z pokrewną jej duchem postacią Michała Anioła, że mamy złudzenie, iż przed nami na jednym piedestale wznoszą się wspaniałe posągi tych dwu nadzwyczajnych mężów.

Teraz należałoby jeszcze chociaż naszkicować wdzięczne postacie Rafaela i Bramanta; ale o nich pomówimy może innym razem. Kończymy sprawozdanie ogólnym poglądem Klaczki na sztukę.

Przesuwają się nam przed oczyma wspaniałe obrazy, ginące w niebieskawej mgle oddalenia. Sam autor zdaje się marzyć. W kaplicy sykstyńskiej o zmroku zatopił się w myślach. Przed nim majaczy olbrzymi cień Michała Anioła, a głos niewidzialny w następujące odzywa się słowa:

„Twój błąd, Buonarotti, był wspólnym błędem świetnych umysłów, zaznaczających we Włoszech powrót do klasycyzmu, do nieśmiertelnych wzorów piękna i harmonii, do spuścizny po mistrzach starożytności. Zwrot ten, w zaczątku porywczy i bezładny, nie zdążył się rozpatrzeć w wielorakich, najprzeróżniejszych objawach i odmianach, we wspaniałej ewolucyi, która miała swoją młodość, swój wiek męski i starość. Przykładano się głównie do odtwarzania dzieł z doby upadku, z epoki aleksandryjskiej i rzymskiej, jako

każdemu przystępniejszych, więcej rozpowszechnionych, łatwiejszych do zrozumienia i naśladowania: Wirgiliusz, przewodnik Danta, długo jeszcze górować będzie nad Homerem, Horacy nad Pindarem, Seneka nad wielkimi tragikami greckimi. W rysunku, w malarstwie, zamęt ten będzie tem ogólniejszy i głębszy, o ile rzadsze są dzieła, przechowane ze złotego wieku. Gdy przypadkiem odkrywano takie zabytki, nie wywierały one wrażenia na mistrzach, kształcących się na poślednich wzorach, które w ich oczach uchodziły za najdoskonalsze utwory klasycyzmu. Ten miraż przetrwał wieki, złudził świat cały, a rozproszył się aż pod naciskiem nowych prądów, walk, współzawodnictw narodowych, odkryć nadzwyczajnych, które wywołały ogólny przewrót pojęć. Zajęcie się coraz żywsze poezyą ludową, badanie legend oraz tradycyi miejscowych prowadzi do coraz to bardziej świadomego upodobania w naturalności i prostocie, w wiosennym wdzięku, czerstwości, świeżości epoki jońskiej. Namiętne dysputy nad wyższością teatru welfickiego lub romańskiego wywołają wszechstronny rozbiór dramatu starożytności, wyniesienie ponad wszystkie rodzaje nieśmiertelnych utworów Eschylosa i Sofoklesa. Wycieczka nieznanego skądinąd malarza w okolice Salerno odsłoni światu niezrównane szczątki świątyń, cały niedościgły majestat architektoniki greckiej. Dwa miasta, przeszło przez dwa tysiące lat leżące w ciemnościach ziemi, powstaną z grobu, a świetność odgrzebanych pamiątek, bronzów, obrazów, malowideł ściennych, najprostszych wreszcie narzędzi domowych, dadzą w zmniejszonym, lecz nader wyrazistym stopniu miarę rozkwitu wielkiej sztuki. Dotychczasowe pojęcia o ideale i klasycyzmie ulegną zasadniczej zmianie. Nastąpi wiek, niezrównany w zapale i sumienności poszukiwań, w uniwersalności rozumowania i poglądów. Wiek ten zbada język, wiarę, sztukę, ducha wszystkich narodów, począwszy od najwcześniejszych zaczątków. Ten wiek uprzytomni nam i odtworzy w najdrobniejszych szczegółach ideał klasyczny w epopeach, dramatach, świątyniach, pomnikach, posągach; oświetli ruiny Aten, Pergamu, spoi ogniwa przerwanego łańcucha, marmurowe arcydzieła Eginy i Selinuntu z płaskorzeźbami łuku Konstantyna, ze zdumiewającą przenikliwością odbuduje wszelkie pomniki starożytności, skreśli ich styl i szkołę, czas, w którym powstały. Lecz przez ową wieczną ironię doli ziemskiej wiek ten przy wszechstronności swych poszukiwań, przy rozległości wiedzy, ścisłości nauki nic z siebie nie wyda, nic nie stworzy, a jego niczem i ni-

gdy niezaspokojona ciekawość będzie zarazem piętnem nieuleczalnej niemocy. Po raz setny człowiek doświadczy na sobie tej prawdy, którą poznał już ojciec rodu ludzkiego, że drzewo wiedzy nie jest drzewem żywota"....

Czyż inną drogą do podobnych wniosków nie doszedł Brunetière, gdy w słynnej rozprawie ogłosił niedawno bankructwo wiedzy? Jeden i drugi się myli: wiedza nie zbankrutowała, a drzewo wiedzy jest zarazem drzewem żywota, wiedza bowiem jest cząstką Bóstwa i Prawdy.

A. W.



Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769 — 1793).

Alexandrowi Rembowskiemu
na pamiątkę poświęcam.

Od czasu ogłoszenia w roku 1837 przez Klementynę z Tańskich Hoffmanową w poznańskim „Przyjacielu ludu" (NN. 50, 51 i 52) „Wiadomości o Józefie Miączyńskim, marszałku bełzkim, jenerale wojsk francuskich", obejmującej luźną wiązankę faktów z żywota i spraw rycerskich głośnego bojownika konfederacyi barskiej, a następnie walecznego dowódcy armii ochotniczej ardeńskiej z czasów pierwszego najazdu koalicyi na rzeczpospolitą francuską,—zadowalniano się we wzmiankach o Miączyńskim, powtarzaniem jednych i tychże samych szczegółów, niesprawdzonych po większej części błędnych lub niezupełnych, i nie podejmowano żadnych usiłowań w kierunku dokładniejszego scharakteryzowania roli dziejowej Miączyńskiego, odegranej przezeń na tle wypadków krajowych z lat: 1769 -1771, jakoteż na szerszej arenie bojowej we Francyi, roli, zakończonej dnia 22 maja 1793 r., w szeregu pierwszych ofiar teroryzmu rewolucyjnego, pod nożem gilotyny paryskiej.

Julian Bartoszewicz w uzupełnieniu „Pamiątek historycznych" Święckiego, (T. I. 366) oraz F. M. Sobieszczański w „Encyklopedyi Orgelbranda" (T. XVIII. 459), w jednobrzmiących prawie artykułach poprzestali na danych, przytoczonych przez Hoffmanową, które, pod względem dokładności i zupełności obrazu działań b. marszałka bełzkiego, wiele do życzenia pozostawiają.

Hoffmanowa, opierając się na relacyi żony Miączyńskiego, cudzoziemki, którą, jako staruszkę już zgrzybiałą, w r. 1837 w Paryżu osobiście poznała była, pozwala Miączyńskiemu walczyć w szeregach konfederacyi aż do sierpnia 1772 roku i dopiero po zdobyciu Częstochowy przez wojska generała Suworowa każe bohaterowi swemu szukać schronienia w Niemczech.

Tymczasem wobec źródeł niewątpliwych, archiwalnych, okazuje się, że Miączyński, dostawszy się w maju 1771 roku wskutek porażki konfederatów pod Lanckoroną do niewoli, podał był w dniu 13 sierpnia 1771 r. do ksiąg grodu warszawskiego reces swój od konfederacyi, że nadto, podpisawszy na żądanie posła rosyjskiego, Salderna, rewers, iż nadal żadnych stosunków z barszczanami utrzymywać nie będzie, wypuszczonym został za kaucyą pieniężną na wolność, a jakkolwiek następnie od swej deklaracyi odstąpił i walkę piórem i orężem prowadził dalej, to jednak po uśmierzeniu ruchów konfederackich spotykamy go znowu w najbliższem otoczeniu króla Stanisława Augusta, w Warszawie, w roku 1774, w stopniu fligel, adjutanta („Akta kanclerskie" 1774. T. 52 str. 11), a później w charakterze posła sejmowego, nawołującego stany do ograniczenia władzy Rady nieustającej.

Jako rotmistrz chorągwi pancernej jazdy narodowej wojska koronnego, ustępuje Miączyński dobrowolnie dopiero w roku 1778 ze swego stanowiska („Kanclerskie" r. 1778, T. 36, str. 301) i w roku 1780 wyjeżdża na zawsze z kraju do Francyi, gdzie zbliża się do otoczenia Maryi Antoniny i do osoby Ludwika XVI, przerzuca się następnie do stronnictwa dawnego swego towarzystwa broni, Dumourieza, domaga się uchwały Zgromadzenia Narodowego w przedmiocie zwrotu funduszów, imieniem Francyi na konfederacyę barską poświęconych, snuje awanturnicze plany odzyskania utraconej fortuny, aż do chwili wstąpienia do szeregów armii ochotniczej ardeńskiej, z którą dzieli zmienne losy w krwawych bitwach pod Longwy, Sedanem, lasem Argońskim, Valmy, Jemappes i Neerwinden.

Opętany wreszcie w sieć intryg Dumorieza szuka ratunku Francyi w zamachu na wszechwładzę konwentu paryskiego i wcią-

gnięty w zasadzkę pod Lille ginie, jako ofiara posłuszeństwa naczelnemu wodzowi—na rusztowaniu...

Okres działalności Miączyńskiego w Polsce wyjaśniają dokładnie dokumenta, zaczerpnięte z rękopisów „Biblioteki Ossolińskich", z „Gazet pisanych" (1769–1771) i z urywku rękopisu kanclerza Andrzeja Zamoyskiego p. t. „Dzieje Polski za Stanisława Augusta", (w Bibl. Ordynackiej) obejmującego sporo ważnych i ciekawych z życia marszałka bełzkiego epizodów.

Dalszy przebieg spraw rycerskich Miączyńskiego w Polsce wyjaśniają „Pamiętniki Dumourieza", wydane w roku 1794 w Londynie, oraz w roku 1795 w Hamburgu. Najdokładniej wszakże udział Miączyńskiego w konfederacyi barskiej opisuje odnaleziony niedawno w bibliotece Mazaryńskiej w Paryżu rękopis (N. 1899) „memoryału Dumourieza o misyi w Polsce", przedrukowany w czasopiśmie „*Souvenirs et memoires*" (Rocznik pierwszy, z r. 1898), a nadto poświęcają mu wiele wzmianek dzieła: Petrowa, „Wojna Rosyi z Turcyą i polskimi konfederatami" (po ros.) w trzech tomach, (Petersburg, 1874) i Szmitta: „Dzieje panowania Stanisława Augusta" (wyciągi archiwalne w tomie III, Lwów, 1880 r.).

Obfite relacye z działań rycerskich Miączyńskiego we Francyi i z udziału jego w nieudanym zamachu Dumourieza obejmują:— raporty, buletyny i protokuły Trybunału rewolucyjnego z roku 1793, przechowywane w „Archiwum narodowem" paryskiem

— niektóre ważne dokumenta Tomu 321 (*Pologne*), Archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu.

— roczniki „Monitora francuskiego" z lat 1792 i 1793.

— Pamiętniki źródłowe p. t. „Mémoires polit. et milit. pour servir à l'histoire secrète de la révol. française". (Paryż, 1797).

— Pamiętniki barona Karola Henr. Heykinga (1752—1796). „Aus Polens und Kurlands letzten Tagen. (Berlin 1897).

— Studya A. Chuqueta: „Guerres de la révolution", głównie tomy: „Valmy, Jemappes, Trahison de Dumouriez" (1880—1891).

— Thiersa: „Hist. de la rév. française" (pierwsze 4 tomy).

— Barante'a: „Hist. de la convention nationale" (Tomy 1 i 2).

– Bertranda de Mollevilla: „Mémoires" (Londyn, 1797) i wiele innych źródeł, które w odpowiednich miejscach wskazanemi zostaną.

Materyały, w pomienionych źródłach zawarte, jak dotąd — nieznane, lub nie zużytkowane, pozwolą wszechstronniej przedstawić romantyczny żywot męża niepospolitych zalet umysłu i energii żołnierskiej i wypełnią tem samem lukę w galeryi ciekawszych osobistości ze schyłku XVIII wieku.

I.

Ród Miączyńskich. — Nauki we Francyi. — Powrót do kraju. — Konfederacya barska. — Marszałek bełzki. — W roku 1770. — Utarczki pod Zamościem, Lwowem, Żmigrodem. — Misya Dumourieza. — Jego plany.

Gniazdem rodziny Miączyńskich, herbu Suche Komnaty, był Miączyn, w Płockiem. Dobra tej rodziny znajdowały się w Lubelskiem i na Wołyniu.

Najzasłużeńszy z antenatów owego rodu, Atanazy Miączyński (ur. w 1639 r.), poświęciwszy się służbie rycerskiej, walczył pod znakiem Stanisława Potockiego, w. hetmana koronnego, a po śmierci tegoż przeszedł pod dowództwo jego następcy, Jana Sobieskiego (1673 r.). W bitwie pod Chocimem pierwszy uderzył na hufce nieprzyjacielskie, poraził je i utorował armii polskiej drogę do zdobycia obozu wezyrskiego. Podczas oblężenia Lwowa sprawił się dzielnie i zapędził za hordą tatarską do Mołdawii, gdzie pomógł do zdobycia Suczawy. Walczył z Sobieskim pod Żórawnem i w nagrodę zasług, wymienionych w dyplomie Jana III [1]) z d. 17 czerwca 1684 r., mianowanym został łowczym koronnym, a nadto otrzymał starostwa: Krzepickie, Łuckie i Łosickie. Podczas wyprawy wiedeńskiej miał udział w słynnym ataku jazdy polskiej, który zdecydował zwycięstwo i, jak pisał król Jan do Marysieńki z Schönau: „słał trupem drogi i niewolników trzodami zabierał". (List X).

Nie odstąpił króla Miączyński po bitwie pod Parkanami i był jednym z siedmiu, którzy wśród ogólnego popłochu podtrzymywali ducha i siły nieszczęśliwego wodza.

W roku 1690 został Atanazy podskarbim nadwornym koronnym, a za Augusta II w r. 1713—wojewodą wołyńskim.

Z trzech synów wojewody: Józef był kanonikiem warszawskim, Antoni zaś, wojewoda podlaski, z żoną, księżniczką Woroniecką, spłodził oprócz Józefa, bohatera niniejszego opowiadania, i córkę, późniejszą żonę Mikołaja Józefa ks. Radziwiłła, wojewody mińskiego [2]). Z córek Atanazego starsza, Katarzyna, poślubiła Maksymiliana na Tęczynie Ossolińskiego, młodsza, Elżbieta,—Józefa Sierakowskiego, strażnika koronnego.

---

[1]) Metr. Kor. Ks. 239, str. 12.

[2]) Kotłubaj: „Gal. port. Radziw.", str. 356.

Był to więc, jak widzimy, ród, skoligacony z najpotężniejszemi familiami w rzeczypospolitej, i sam posiadał olbrzymie znaczenie i fortunę magnacką, pisząc się panami na Miączynie, Maciejowie, Połajowie etc. [1]).

Rycerskie owego rodu cnoty przeszły w dziedzictwie na Józefa Miączyńskiego.

Źródła obce wskazują rok 1750, jako datę urodzenia Józefa, Warszawę zaś, jako gniazdo jego rodzinne [2]). W akcie małżeństwa jego z Francuzką, Maryą Chaboteaux, sporządzonym w dniu 8 kwietnia 1780 r. w kościele parafii Ś. Eustachego w Paryżu, Józef hrabia Miączyński zatytułowany szumnie, jako „*haut et puissant seigneur*", podał wiek życia swego na lat trzydzieści siedm; urodziłby się zatem w roku 1743, nie zaś w roku 1750, jak twierdzono.

Obyczajem większości rodzin arystokratycznych polskich Józef Miączyński, prawdopodobnie w młodym bardzo wieku, wysłanym został na naukę do Francyi, której język dokładnie sobie przyswoiwszy, jak własną ukochał ojczyznę [3]), i gdzie zawiązał stosunki, które mu następnie posłużyły do zbliżenia się nie tylko do dworu Ludwika XVI, lecz po upadku monarchii i do sfer rządzących i wojskowych Francyi republikańskiej.

Niewiadomo, w którym roku powrócił był Miączyński do kraju. To tylko pewna, że nazwisko jego wynurza się po raz pierwszy na widownię dziejową dopiero w roku 1769, w epoce konfederacyi barskiej.

Już wówczas akt pierwszy owej konfederayci, zawiązanej w miasteczku Barze, na Podolu, pod przewodem Józefa Pułaskiego, starosty wareckiego, Michała Krasińskiego, podkomorzego rożańskiego, i księdza Marka, ukończonym został—zdobyciem dnia 30 czerwca 1768 r. warowni barskiej przez wojska generała Apraksina i łowczego koronnego Branickiego.

Rozproszone zastępy konfederatów zaczęły się w rozmaitych zakątkach kraju wiązać w konfederacye pomniejsze, w Zatorze, Sie-

---

[1]) O rodowodzie Miączyńskich podał szczegóły ciekawe Łoski w „Kłosach" z r. 1883 T. II. str. 230 przy wizerunku Atanazego.

[2]) „Biogr. univers." T. XXVIII, 516. (Paris, 1821).

[3]) „Dès sa tendre jeunesse il avait montré beaucoup d'attachement pour la France", „Mém. polit. et milit. pour servir à l'hist. de la révol. fran." z r. 1797. T. I. 221 (Ed. Buisson)

radzu, Wieluniu, Gostyninie, których środowiskiem głównem było woj. krakowskie pod laską Michała Czarnockiego, stolnika stężyckiego.

Dopuszczony do zamku Krakowskiego szturm generałów Prozorowskiego i Suworowa zakończył się nową klęską konfederatów, lecz już w następnym roku 1769 odnowili oni w obozie pod Muszyną swój związek, którego generalność przeniosła się do Preszowa na Węgrzech, a następnie do Cieszyna i Białej na Ślązku.

Zdobycie Lanckorony przez zastępy Beniowskiego ożywiło męstwo konfederatów, lecz słabe ich siły nie mogły się oprzeć przewadze przeciwników. Rozbicie oddziału Beniowskiego pod Suchą i księcia Marcina Lubomirskiego pod Makowem zdawało się zapowiadać kres walki, gdy pojawienie się na scenie bojowej braci Pułaskich i kilka pomyślniejszych potyczek, przez nich stoczonych, pobudziło konfederatów do zdwojenia usiłowań i do żądzy powetowania klęsk poniesionych.

Wtedy też wystąpił na widownię bojową i Józef Miączyński.

Liczył on podówczas lat 26 wieku i widocznie niepośledniej między ziemianami zażywał wziętości, skoro jednomyślnością zebranej w sierpniu 1769 r. szlachty województwa bełzkiego powołanym został do objęcia laski marszałkowskiej skonfederowanego województwa.

Wówczas też, przybrawszy sobie Mikołaja księcia Radziwiłła, podkomorzego litewskiego, jako regimentarza, polecił uniwersał o poborze podatków od ziemian oblatować po grodach dnia 30 sierpnia 1769 r. [1]).

Drobne utarczki jego hufca z zastępami hetmana Branickiego trwały do końca tegoż roku. Ważniejsza bitwa zaszła dopiero pod Przemyślem, gdzie w pień wycięto załogę. Po tej rozprawie, widząc nadciągające zewsząd siły przeciwników i obawiając się osaczenia, cofnął się Miączyński pod Lwów, skąd wysyłał drobne oddziały w różne okolice, dla tamowania dowozu zasiłków przeciwnikom.

Wogóle wszakże, przez ciąg drugiej połowy roku 1769, nie wiodło się konfederatom. Pobito ich pod Kaliszem i Dobrą, przecięto im odwrót pod Piotrkowem, gdzie wielu się dostało do niewoli, między innymi i waleczny Francuz, pułkownik Belcour, autor relacyi o pobycie konfederatów na Syberyi [2]).

---

[1]) Rękop. „Bibl. Ossol.“ ks. 572, N. 11.

[2]) A. „Konfeder. na Syberyi“. Kraków 1896.

O pomyślniejszych utarczkach oddziału Miączyńskiego podaje niektóre szczegóły Szmitt, opisując bitwę pod Przemyślem. Zmuszonym był następnie marszałek bełzki cofnąć się na bezpieczniejsze stanowisko, z którego mógł trzymać w szachu komendy rosyjskie i przeszkadzać wysyłaniu posiłków w strony zachodnie [1]).

Donioślejszego znaczenia bitwa oddziału Miączyńskiego miała miejsce w początkach roku 1770 pod Lwowem.

Zgromadziły się były tam zastępy Pułaskich, wyparte ze Żwańca i Okopów S. Trójcy, w zamiarze zdobycia miasta, bronionego przez wiernych królowi generałów Korytowskiego i Jana Kickiego, starostę lwowskiego. Pod osłoną wojsk rosyjskich, dowodzonych przez pułkownika Trautenberga, konfederaci Miączyńskiego i pułkownika Szyca rozlokowali się pod bramami Krakowską i Halicką, pozostawiwszy część oddziału w blizkości katedry ruskiej Ś-go Jerzego. Jazda konfederacka w dwieście koni uderzyła na dworek panien Brygitek i tak dobrze się tam sprawiła, że, zanim oddział rosyjski do broni porwać się zdołał, pałaszami zarąbała odwach, złożony z czterdziestu żołnierzy, pięciu oficerów wzięła do niewoli, zdobyła trzy chorągwie, kilka armatek, kilkadziesiąt koni i kasę wojskową.

W zamieszaniu tem pułkownik Trautenberg salwował się ucieczką przez ogrody. Żonę jego, przebraną po męsku, w płaszczu i kapuzie, w chwili, gdy wzywała oddział na pomoc, zastrzelono.

„Konfederatów — notuje współczesny świadek — zginęło w tej okazyi tylko siedmiu, kilkunastu zaś było pleyzerowanych... To zrobiwszy, w dobrym porządku odstąpili od miasta, postrzeliwszy w bramie Halickiej majora i kilkunastu żołnierzy, a o wschodzie poszli z tą wszystką zdobyczą ku miasteczku Nawaryi. W dwie godziny poszło za nimi Rosyan 2000 w pogoń, lecz i ci, między Szczerekiem i Nawaryą, znacznie zostali porażeni" [2]).

Stwierdzają powodzenie konfederatów w tej potrzebie i bezstronne, źródłowe relacye historyków rosyjskich.

Petrow w „Wojnie Rosyan z konfederatami" (Tom II, str. 231) opisuje wtargnięcie oddziałów Miączyńskiego i Szyca do miasta, spowodowane nierozwagą pułk. Trautenberga, który za to oddanym był pod sąd wojenny i skazany wyrokiem na uwolnienie ze służby i na zwrócenie odszkodowania skarbowi w sumie 11,618 rubli [3]).

„Nieznajomy autor" w pamiętnikach, wydanych w r. 1840 przez

---

[1]) H. Szmitt: „Dzieje panow. St. Aug." T. III. 382.

[2]) Rękop. kancl. Zamoyskiego: „Dzieje Polski" w bibliot. Ordyn. N. 1189.

[3]) Sprawa audytoryatu w „aktach archiwum woj. topogr." Loco cit.

Edw. Raczyńskiego, wzmiankując o tej bitwie pod Lwowem, zarzuca Szycowi, że, nie rzuciwszy się na Korytowskiego, poprzestał na łupach, zdobytych na przedmieściach, i cofnął się do Pułaskiego w Krakowskie [1]).

Spotykamy się następnie w źródłach z ordynansem Miączyńskiego, podpisanego wszystkimi tytułami: „hrabiego na Miączynie, Połajowie, Siemieniu i Sielcu, starosty Łosickiego, rotmistrza znaku pancernego, marszałka konfederackiego i komendanta generalnego wojska komputowego”, datowanym z obozu pod Żmigrodem, w dniu 20 grudnia 1770 roku, zalecającym panu Malinowskiemu, towarzyszowi znaku pancernego, komputowego, by, udawszy się do Biecza, zwołał tamecznych obywateli i ściągnął według taryfy prowiant, który przez najbliższe parafie do obozu miał być dostawiony „przy użyciu egzekucyi przeciw opieszałym, lub sprzecznym co do tego ułożenia” [2]).

Od tej epoki datują się ściślejsze, nieszczęściem dla Miączyńskiego - na życie całe zawiązane, stosunki z emisaryuszem francuskim, pułkownikiem Klaudyuszem Franciszkiem Dumouriezem, który, w połowie roku 1770 wyprawiony do Polski przez Choiseul'a, z misyą zorganizowania konfederatów barskich, usiłował zająć stanowisko naczelnego dowódzcy i instruktora niesfornych oddziałów partyzantki narodowej.

Okazuje się, że wcześniej już bawił Dumouriez w Polsce, w charakterze tajnego agenta polityki „osobistej” Ludwika XV, która, jako „*Secret du roi*”, miała na widoku ratować i podtrzymywać tradycyjne stosunki Francyi z Północą i Wschodem, wbrew ustalonym traktatem wersalskim w tej mierze układom z Austryą [3]).

---

[1]) Tom. II. str. 57.

[2]) Bibl. Ossolińs. Rękop. 570 N. 8.

[3]) Charakterystyczne szczegóły pierwszej, tajnej misyi Dumourieza do Warszawy, w zaczątkach ruchu barskiego, podaje nam nieznany, lecz widocznie dobrze poinformowany autor „Mémoires polit. et milit.” wyd. w roku 1797. (T. I. 96). Godzi się je tu przytoczyć w przekładzie:

„Dumouriez—czytamy w owych pamiętnikach—otrzymał od księcia Choiseul'a tajną do Warszawy misyę. Rosyanie, którzy podówczas w stolicy byli wszechwładnymi panami, byliby go niewątpliwie kazali powiesić, gdyby wiedzieli byli, w jakim celu do Polski przybył. Misya ta pomyślnie załatwioną została, mimo to minister Choiseul postanowił wysłać na miejsce Dumourieza innego agenta, bardziej wybitnego, któremu miano nadać charakter jawny posła dworu francuskiego. Wybrano tego następcę w osobie koligata możnego rodu de Boofflers. Po przyjeździe tegoż do Warszawy zawiadomionym został Dumouriez o celu tego poselstwa.

Jako już obeznanego ze stosunkami polskimi wyprawiło Dumourieza ministeryum Choiseula powtórnie do Polski w połowie roku 1770, tym razem w charakterze emisaryusza wojskowego, do pomocy barszczanom, wyznaczywszy mu na podróż 12,000 liwrów i płacę miesięczną po 3,000 liwrów.

Liczył sobie podówczas Dumouriez lat trzydzieści kilka wieku i miał za sobą, oprócz renomy zręcznego wywiadowcy, sławę walecznego żołnierza z czasów wojny siedmioletniej, okrytego ranami, otrzymanemi w nieszczęśliwej dla Francyi bitwie pod Rosbach (1757 r.).

Trudno wymiarkować, jakiemi pobudkami kierował się Dumouriez, przyjmując ponowną misyę do Polski, on, który sam mianuje się, w odnalezionym niedawno w bibliotece Mazaryńskiej rękopiśmiennym memoryale, „*un simple colonel, intrus dane le dédale politique*", nie sympatyzującym przytem ze sprawą i narodem, którym oręż swój miał poświęcić.

Oto wysoce charakterystyczne wynurzenia Dumourieza, świadczące o nastroju jego poglądów w tym kierunku, zaczerpniętych z pierwszego w Polsce pobytu:

„Zrażony złą wiarą, nieświadomością i lekkomyślnością tych wszystkich, którzy byli kierownikami sprawy, szukałem w uczuciu ludzkości podniety i odwagi w zniechęceniu. Naród, walczący o swój byt, prawa i wiarę, winien był we własnym interesie szukać środków do podźwignięcia się z niedoli, od czego jego zbawienie zależało.

„Tych pobudek wszakże nie znalazłem w duszach, zniewieścia-

— Słuszne to—odrzekł Dumouriez—lecz, zanim wydam w ręce Pańskie moją tekę dyplomatyczną, pozwolisz, że sam na sam spożyjemy obiad ze sobą".

„Propozycya ta przyjętą została. Na każdem z nakryć w sali gościnnej znalazł się pistolet nabity. Wobec zdziwienia, jakie okazał nowy agent, ujrzawszy tak dziwne do obiadu przybory, rzekł Dumouriez.

— „Racz mnie wysłuchać. Książę de Choiseul wysłał mnie tutaj z misyą na moje risico. Wiesz zapewne, że szpiegów, schwytanych na gorącym uczynku, wieszają. Otóż mnie się udało spełnić niebezpieczne posłannictwo, a obecnie Pan tu przybywasz w zamiarze pozbawienia mnie owoców moich trudów. Osądź sam, czy to ścierpieć mogę? Pochodzisz Pan z rodu możnego i wpływowego, możesz zatem obejść się snadnie bez takiego stanowiska, które mnie się należy. Otóż żądam jednego z dwojga: albo mi tu na miejscu palniesz w łeb, albo pozostawisz mi możność pójścia na szubienicę...

— *A la bonne heure!* odrzekł, śmiejąc się nowy ambasador. Żądanie Pańskie jest słuszne. Ustępuję z placu".

łych skutkiem zamiłowania w zbytku, intrydze i przedajności demokracyi arystokratycznej (? *par les intrigues et la venalité d'une démocratie aristocratique...*)

„Widziałem 15 tysięcy Rosyan, trzymających w szachu 8 milionów mieszkańców, na przestrzeni, o trzecią część od Francyi większej. Widziałem króla jeńca, osaczonego w Warszawie przez potężnego posła rosyjskiego, owego króla, a raczej cień jego, drwiącego z narodu własnego, komedyanta skończonego w gronie nędznych histryonów, muzyków i artystek, intrygującego na dworach sąsiedzkich, celem zachowania strzępków królewskości, poświęcającego swe państwo i wolność obywateli, wzgardzonego przez tych ostatnich.

„Nie korzystając z wolności republikańskiej, Polacy skutkiem formy swego rządu, pozbawieni są rękojmi, jakie daje władza monarchiczna, pozbawieni są praw, hamujących namiętności, a nadto poczucia obowiązku dla spraw ogólnych. Przyzwyczajeni do sejmikowych intryg, do czczych rozpraw, zniewieściali skutkiem sześćdziesięcioletniego pokoju, pogardzając służbą wojskową, i otoczeni rojem dworaków i poddanymi, mało ukształceni, bez znajomości sztuk i nauk, stali się Polacy zarozumiałymi, pysznymi, rozmiłowanymi w zbytkach, nadskakującymi kobietom, lekkomyślnymi i przesądnymi... „*Ils passent leur vie* — kończy Dumouriez — *à faire l'amour, boire, se donner des festins, jouer gros jeu et arranger des complots les uns contre les autres*".

Z takiem wyobrażeniem o wadach narodu, któremu poświęcić się pragnął, zabrał się Dumouriez wraz ze współtowarzyszem przyszłej kampanii, kawalerem de Taulès, do przedrabowania w archiwum księcia de Broglie wszelkich dokumentów, odnoszących się do spraw polskich od roku 1764. Obeznał się dokładnie z mapą Polski Zannoniego i po naradzie z przybyłym do Paryża imieniem generalności barskiej b kuchmistrzem litewskim, Wielhorskim, osnuł projekt zjednoczenia wszystkich oddzielnych partyi konfederackich w jednolitą armię, celem skombinowania jej działań z ruchami armii tureckiej, podówczas się broniącej energicznie przeciw zastępom rosyjskim w Mołdawii.

W trakcie podróży do Polski zatrzymał się Dumouriez w Strasburgu i stamtąd wystosował do księcia Karola Kurlandzkiego (żonatego z Franciszką Krasińską i uważanego powszechnie z tytułu koligacyi z ks. biskupem Krasińskim za ogniwo duchowe, łączące wszystkich wodzów konfederacyi) list, wzywający go na naradę do Monachium na dzień 1 sierpnia 1770 roku.

Przedmiotem tej narady miała być obietnica, iż w razie pomyślnego obrotu spraw w Polsce tron kurlandzki przywróconym będzie ks. Karolowi, w zamian za co—zobowiązać się miał ks. Karol do sformowania w Saksonii oddziału wojsk, pod dowództwem własnem i kosztem skarbu francuskiego.

Przybywszy do Monachium, zakupił Dumouriez 22,000 sztuk broni, pod warunkiem, że, jeżeli minister Choiseul zakupu owego nie zatwierdzi, broń będzie Dunajem odesłaną do Pesztu i sprzedaną Austryi.

We Wiedniu zastał Dumouriez dwu wysłańców konfederacyi: Sarnackiego z Korony i Domańskiego z Litwy.

Ambasador francuski, Durand, przedstawił go księciu Kaunitzowi i cesarzowej Maryi Teresie, poczem wyjednał dlań posłuchanie u Józefa II.

W końcu sierpnia, kupiwszy po drodze nową partyę broni, przybył Dumouriez z Sarnackim i Domańskim, z którymi zaledwie słabo w języku łacińskim mógł się porozumiewać, do Eperies, gdzie było siedlisko czasowe generalności, i tutaj nastąpiło bliższe poznanie się między nim a przywódzcami ruchu.

Wynurzenia Dumourieza o ówczesnym stanie konfederacyi i o uzdolnieniu jej przywódców charakteryzują dokładniej jeszcze, niż przywiedzione powyżej uwagi jego, brak wiary w powodzenie akcyi, którą kierować zamierzył.

„Hrabia Pac – pisał Dumouriez—był człowiekiem towarzyskim, uprzejmym, lecz bardzo lekkomyślnym. Miał więcej ambicyi, aniżeli środków, więcej rzutkości, niż stanowczości. Był wymownym, co wobec natury rządów polskich jest zjawiskiem naturalnem. Jedynym mężem rozważnym w Eperies był Litwin Bohusz, sekretarz generalności. Książę Radziwiłł była to osobistość nieokrzesana... („*une bête brute*"), lecz jedną z najpotężniejszych między magnatami. Hrabia Zamoyski, brat kanclerza, budził szacunek swą prostotą i zacnością. Znajdowało się tam również kilku Potockich. Obyczaje wszystkich owych przywódców były azyatyckimi. Zbytek nadmierny i rozrzutność, długie biesiady, gry hazardowne w faraona i tańce, wypełniały prawie całkowicie ich zajęcia dzienne. Siły konfederatów podawane na 40 tysięcy żołnierza, w rzeczywistości nie dochodziły w Koronie w połowie 1770 r. tej cyfry. Składały się one w Wielkopolsce z 4 do 5 tysięcy ludzi, dobrze uzbrojonych pod dowództwem Zaremby, z 1000 jezdnych, dowodzonych przez Kozaka Sawę, z 3 lub 4 tysięcy jezdnych Pułaskiego, który generalności nie uznawał, z 3 tysięcy konfederatów pod wodzą Miączyńskiego, z 1500

ludzi w oddziale Walewskiego, z oddziałów drobniejszych, pod wodzą Szymona Zielińskiego, Czernichowskiego, Dobrzyńskiego i Orzeszki zostających [1]).

„Ogół zatem wynosił kilkanaście tysięcy żołnierzy, prowadzonych przez marszałków niezależnych, działających na własną rękę, po większej części opornych rozkazom generalności.

„W takiem to niefortunnem położeniu sprawy przybyła do Eperies Aniela Mniszchowa, żona Wandalina hr. Mniszcha, córka b. ministra Brühla, zapamiętała nieprzyjaciółka króla Stanisława Augusta, posiadająca na dworze saskim liczne koło sprzymierzeńców. Ona to użyła wszelkich środków perswazyi dla pojednania Pułaskiego z generalnością i dla uśmierzenia niechęci, jaka istniała między biskupem Krasińskim a Teodorem Wesslem, b. podskarbim koronnym. Rywalizujący ze sobą w miłości do córki owej „Armidy polskiej", Urszuli Mniszchówny młody ks. Sapieha i Miączyński, poddali się jej wpływom" [2]).

Ogół marszałków konfederackich przyjął wypracowany przez Dumourieza plan dalszego działania, który, zdaniem jego, miał wreszcie wprowadzić porządek do ruchawki bezładnej [3]).

Pozostawiając generalność w charakterze władzy zwierzchniej nad konfederacyą, zamierzył Dumouriez przelać władzę jej wykonawczą na cztery wydziały: sprawiedliwości, skarbu, spraw zewnętrznych i wojny. Każda rada, dla której nakreślił statuta, składać się miała z sześciu członków i sekretarza. Marszałek generalny konfederacyi miał być prezesem z urzędu każdej z owych rad wydziałowych i co dni piętnaście obowiązanym był zdawać sprawę przed generalnością z załatwionych czynności i powziętych uchwał.

Po zamianowaniu posłów imieniem konfederacyi do państw, pozornie ruchowi sprzyjających, oraz po wprowadzeniu reform do wewnętrznego zarządu konfederacyi i odparowaniu przy pomocy hra-

---

[1]) Urzędowy historyk ros. Fr. v. Szmitt oddaje zasłużone pochwały tylko Miączyńskiemu, Walewskiemu i Puławskiemu w dziele; „Suworow und Polens Untergang". Lipsk 1858. T. I. 56. „Miączyński und Walewski, junge Männer von erprobter Tapferkeit, für die der Krieg eine Lust war: vor allen aber Kaz. Pulawski.

[2]) Piękny portret hr. Mniszchowej widziałem w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, w zbiorze rycin po Stanisławie Auguście („Femmes" vol." 38 N. 74). Nagrobek tej damy istnieje w kościele OO. Reformatów. Bartoszewicz „Kościoły warsz." str. 277.

[3]) „Wojna w Polsce 1770 i 1771". Z pam. Dumourieza. Poznań 1865. str. 25.

biny Mniszchowej intrygi generała Mokronowskiego, który, przybywszy do Eperies w celu rzekomego ogłoszenia króla głową konfederacyi, nie tylko że celu tego nie dopiął, lecz wywołał ogłoszenie detronizacyi Stanisława Augusta—wyjednał Dumouriez od ministra Choiseula zasiłek pieniężny na dalszą akcyę w Polsce.

Upadek ministeryum Choiseula, do czego przyczyniła się kochanica królewska, pani Dubarry (grudzień 1770), zniweczył nadzieje konfederatów. Następca Choiseula, książę d'Aiguillon, postanowił zerwać z dotychczasową polityką Francyi, odnośnie do spraw polskich. Przyczyniły się do tego listy agentów francuskich, nawołujące do porzucenia sprawy konfederatów barskich, grożącej losom Francyi powikłaniami dyplomatycznemi. Jakoż, ks. d'Aiguillon zaraz po objęciu steru gabinetu wersalskiego odwołał z Drezna posła Zuckmantla, który współdziałał z księciem Karolem w tworzeniu oddziału wojsk najemnych pomocniczych i przesłał do Monachium rozkaz wstrzymania dostawy 22,000 sztuk broni, przeznaczonej dla konfederatów [1]).

W Marcu 1771 r. odbyła się w Bielsku narada generalności. Postanowiono na niej połączonemi siłami oddziałów konfederackich rozbić nadciągające siły wojsk rosyjskich w okolice Krakowa [2]).

---

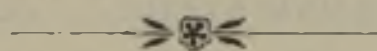
1) Petrow. T. III. 107.
2) Fr. v. Szmitt. T. I. 71.

(*d. c. n.*). *Alexander Kraushar.*



Nauka Ekonomii Politycznej

według Henryka George'a.



Każda epoka rozwoju kulturalnego ludzkości ma swoje piekące zagadnienie, narzucające się powszechnej uwadze i domagające się szybkiego rozstrzygnięcia. Żyjemy w czasach, kiedy kwestye ekonomiczno-społeczne zaprzątają wszystkie czynne umysły, gdyż siłą rzeczy wysunęły się na pierwszy plan i nadają zabarwienie myślom naszym. Sprawy natury ściśle ekonomicznej stały się podkładem polityki w najszerszem tego słowa znaczeniu, i najtęższe głowy zajmują się ich załatwieniem.

Nim społeczeństwa zdołają wejść w nową fazę gospodarczą, muszą wpierw rozstrzygnąć rzecz teoretycznie, aby zdobyte prawdy w praktyce zastosować. A rozstrzygnięcie to wcale nie jest łatwe, ponieważ rozumowaniu ludzkiemu stają w poprzek z jednej strony odziedziczone po dawnych epokach uprzedzenia, a z drugiej cała masa interesów osobistych i klasowych.

Wskutek bankructwa klasycznej ekonomii politycznej, której Adam Smith dał początek, potworzyły się różne nowe prądy i szkoły, które, krytykując i obalając stare teorye, wprowadzają nowe,

oparte na nowych pojęciach lub nowych odkryciach starych faktów. Wynikiem tego jest zamieszanie i chaos, które utrudniają zoryentowanie się i oświadczenie się za tym lub owym kierunkiem. Zresztą wobec nieustalenia się rzeczy jest to nawet wprost niemożliwe. Jeszcze kapitalizm nie ustąpil całkiem z pola, gdy już wystąpiły z sobą do walki dwa wrogie kapitalizmowi, a sobie przeciwne, obozy: kollektywistów oraz indywidualistów. Obok nich zaś wyłaniają się inni ludzie, którzy mają też od siebie coś w tej sprawie do powiedzenienia. Ludzie ci znajdują posłuch większy lub mniejszy i zyskują zwolenników. Do takich ludzi należał w Ameryce niedawno zmarły Henry George, a w Europie nad grobem stojący John Ruskin. Dzieła tych myślicieli wywarły ogromny wpływ na współczesnych i przyczyniły się do przekształcenia wielu przestarzałych pojęć z zakresu nauk ekonomiczno-społecznych.

Odkładając na później omówienie nauki Ruskina, postaramy się obecnie dać czytelnikowi dokładne pojęcie o systemie George'a, zawartym w dziele „*The Science of Political Economy*". Jest to dzieło, nie zupełnie skończone i po nagłej śmierci autora przez jego syna wydane.

Wpływ Henryka George'a we wszystkich krajach, mówiących po angielsku (english—speeking countries), był ogromny; wszystkie jego nauki były chciwie przyswajane. A gdyby nie to, że uczonemu zabrakło w ostatniej chwili sił do skończenia nużącej kampanii wyborczej, byłby prawdopodobnie zasiadł na krześle majora Nowego-Yorku i na tem stanowisku wiele dla spopularyzowania swych teoryi uczynił.

Gdy atoli śmierć przedwcześnie pasmo dni życia przerwała, George przemawia już tylko z za grobu w pozostawionej przez siebie pracy, która o tyle na pilną zasługuje uwagę, że otwiera przed czytelnikiem nowe horyzonty i pozwala mu spojrzeć krytycznie na wiele ujemnych objawów współczesnego życia ekonomiczno-społecznego.

Jednym z głównych błędów, popełnianych przez klasyczną ekonomię polityczną, było (i jeszcze jest) oparcie się na fałszywych zasadach. Przez długi szereg lat ludzie albo nie widzieli przyrodzonych, powszechnie obowiązujących praw ekonomicznych, albo też pod wpływem Adama Smitha przyjmowali, jako prawo ekonomiczne, to, co niem nie było i nie jest. Prawo ludzkie, będące wielokrotnie błędnem, a zawsze tylko przejściowem, nie mogło i nie może służyć za jedynie pewną podstawę systemu ekonomii politycznej, która nie opiera się w części na prawach ludzkich, a w części na prawach natury, ale w całej rozciągłości na tych ostatnich, niezmien-

nych, stałych i niezawodzących. Pierwszym zatem krokiem do racyonalnej reformy jest zrozumienie faktu, że w badaniach ekonomicznych musimy dojść do poznania praw natury.

Zanim atoli zabierzemy się do ich odkrycia i poznania, wypadnie nam odpowiedzieć na pytanie, co to jest wogóle ekonomia i jakie jej zadanie. Opierając się na etymologii słowa, powiemy, że ekonomia równa się unikaniu marnotrawstwa. Oczywiście, w tem ogólnem znaczeniu mamy ekonomię pojedyńczego człowieka, ekonomię grupy ludzkiej albo grup ludzkich. Ekonomia polityczna, jako specyalna gałąź wiedzy, zajmuje się stosunkami w gminie lub społeczeństwie. Ogromną ostrożność należy zachować w używaniu przymiotnika „polityczny". Ze zwykłego znaczenia tego słowa wnioskując, łatwo możnaby przypuszczać, że ekonomia polityczna stoi w ścisłym i bezpośrednim związku z organizmem politycznym, z państwem, które posiada swoje własne prawa, tylko na danem terytoryum obowiązujące. Tymczasem ekonomia polityczna ma do czynienia z organizmem społecznym, ekonomicznym, a prawa jej, obowiązujące wszędzie, nie mogą podlegać uchwałom parlamentów lub edyktom panujących. Ekonomia polityczna ma do czynienia z prawami organizmu, którego każdy człowiek jest członkiem nie przez fakt posiadania takiego lub innnego obywatelstwa, ale przez fakt społecznego pożycia ze swymi współobywatelami, przez fakt, że nie stara się zaspokoić swych pragnień i potrzeb sam, lecz drogą kooperacyi. To sprawia, że jednostką dla ekonomii politycznej jest nie indywiduum, ale grupa indywiduów, dążących wspólnie do osiągnięcia zamierzonego celu, to jest do jak najłatwiejszego zaspokojenia swych materyalnych potrzeb. Jakkolwiek więc sprawa staje się bardziej skomplikowaną, to jednak w ten sposób dopiero nauka staje na właściwym gruncie. Tą drogą dochodzimy do poznania faktu, że ludzie (to znaczy wszyscy ludzie) mogą osiągnąć zaspokojenie swych materyalnych potrzeb tylko przez pracę, to jest przez oddawanie sobie wzajemnych usług. Ekonomia polityczna zajmuje się prawami kooperacyi bez względu na jej cel lub wartość moralną: ta bowiem strona całego procesu należy do etyki.

Jeżeli przyjmiemy, że ekonomia polityczna wskazuje nam prawa natury, według których człowiek dąży do zaspokojenia swych materyalnych potrzeb przy pomocy najmniejszego wysiłku, to musimy także przyjąć, iż elementami naszej nauki będą czynności ludzkie, świadomie w pewnym celu skierowane, czynności, wypływające z natury ludzkiej, która podlega niezmiennym prawom przyrody. Zatem pamiętajmy, że elementami ekonomii politycznej nie są

ani surowy materyał, ani prawa, jakim on podlega, ale człowiek i te jego pragnienia, do których zaspokojenia świadomie musi dążyć. Że zasada powyższa nie jest błędna, dowodzi codzienne doświadczenie: ile razy zastanawiamy się nad czyimś postępkiem, pytamy o jego powód. Czyn, nie dążący do zaspokojenia jakiegoś pragnienia, jest dla nas niezrozumiały, zagadkowy. Pragnienia są różne, jedne silniej narzucają się uwadze człowieka, niż drugie; jedne muszą być wprzód zaspokojone, aby człowiek pomyślał o drugich. Ale ta hierarchia pragnień to rzecz podrzędna. Główną sprawą jest fakt ich istnienia i dążność do ich zaspokojenia w sposóo możliwie ekonomiczny.

Że człowiek pragnie zaspokoić swoje pragnienia przy najmniejszym wydatku energii, to jest fakt, wypływający z innego, a mianowicie z uczucia zmęczenia, wywołanego pracą. Gdyby człowiek nie męczył się i nie pragnął unikać zmęczenia, toby i ekonomia tak ważnej roli nie odgrywała. Tu mamy nieuniknione prawo natury i zarazem fundamentalne prawo ekonomii politycznej, którą od czasów Adama Smitha opierano fałszywie na egoizmie ludzkim, jako na sprężynie wszelkiej działalności. Zasada egozimu atoli jest fałszywą, bo sympatya, współczucie człowieka dla człowieka jest jedną z zasadniczych stron natury ludzkiej i pobudek działalności. Egoizm należy więc odrzucić, jako podstawowe prawo ekonomii politycznej, gdyż zasada ta wcale nie zgadza się z prawdą.

Co się tycze metod, to ekonomia polityczna posługuje się zarówno metodą indukcyjną, jak dedukcyjną; obie są do stworzenia systemu równie potrzebne. Ostatecznie atoli nie tyle idzie o metodę, ile o umiejętne zaobserwowanie faktów, służących za punkt wyjścia dla całego rozumowania.

Zważywszy wszystko, co się wyżej powiedziało, należy jeszcze dać definicyę ekonomii politycznej. Otóż ekonomia polityczna jest nauką o naturze bogactwa, o prawach jego produkcyi i podziału. Konsumcya jest rzeczą obojętną. Tu George różni się od Ruskina, który uważa, że rozumna konsumcya jest równie ważna, jak uczciwa produkcya i sprawiedliwy podział. Między Ruskinem jednak a Georgem ta jest różnica, że pierwszy stara się wprowadzić do ekonomii pierwiastki etyczne, gdy drugi ignoruje stronę etyczną i stara się tylko poznać prawa natury, które nie są ani złe, ani dobre, lecz tylko są prawami natury.

Celem ekonomii politycznej jest zbadanie praw produkcyi i podziału bogactwa; rzecz więc jasna, że badanie to należy zacząć od ścisłego określenia natury oraz istoty bogactwa. Lecz definicya bogactwa jest trudna z powodu, że słowa tego w pojęciu wcale nie

naukowem używamy ustawicznie w mowie potocznej. Mówiąc zazwyczaj o bogactwie, rozumiemy dobrze, co to jest; ale gdy od ekonomii jednostki przejdziemy do ekonomii społeczeństwa, musimy słowu „bogactwo" nadać zupełne inne znaczenie. Jak bowiem zdrowie lub siła społeczna odmienne są od zdrowia lub siły indywidualnej, tak samo i bogactwo społeczne różni się od indywidualnego. W potocznem pojęciu bogactwo jest to obfitość i dostatek przedmiotów, dających zadowolenie pożądań i pragnień jednostki. Rzeczą jednak jest jasną, że ktoś może posiąść bogactwo drogą rabunku, kradzieży i t. d.; wówczas, jakkolwiek jednostka nabywa bogactwo, to suma jego nie powiększa się w społeczeństwie, które obejmuje zarówno krzywdzącego, jak i pokrzywdzonego. Bogactwo zaś w społecznem pojęciu wymaga przyrostu ogólnej sumy, a nie przechodzenia bogactwa z rąk do rąk.

To nie łatwe do uniknienia pomieszanie sprawia, że ludzie, na ogół biorąc, nie mogą sobie wyrobić jasnego pojęcia o bogactwie społecznem. Można to darować profanom, lecz nie specyalistom. Nie możemy tu przytaczać określeń najwybitniejszych ekonomistów; wystarczy jednak powiedzieć, że z całego szeregu ekonomistów nie ma dwu, którzyby się na jedno zgadzali.

Wielu wybitnych ekonomistów, jak np. Ricardo, nie starali się nawet dać definicyi bogactwa. Z tego zamieszania asumpt biorąc, prof. Perry w książce swej p. t. „*Element of Political Economy*" dochodzi do przekonania, że bogactwa, jako ścisłego pojęcia ekonomicznego, określić nie można, że więc najlepiej będzie dla nauki porzucić chęć zdefiniowania bogactwa. Nie lepszy pod tym względem jest Alfred Marschall, słynny profesor ekonomii politycznej w Cambridge, który w dziele swem „*Principles of Economies*" nie dał nam wcale definicyi bogactwa.

Zachodzi pytanie, czy definicya bogactwa jest tak niesłychanie trudna do postawienia, czyli też może na przeszkodzie stoją inne sprawy, nic z nauką nie mające do czynienia.

Oficyalni ekonomiści twierdzą, że ekonomia nie mogła się rozwinąć w świecie klasycznym z powodu instytucyi niewolnictwa. Rzecz jasna. Ludzie, których dobrobyt opierał się na krzywdzie innych, powiedzmy wprost, na rabunku, nie chcieli nic wiedzieć o rzetelnej istocie bogactwa w społecznem pojęciu tego wyrazu. Posiadacze niewolników byli klasą potężną, wpływową, i jedni z obawy przed nimi, drudzy przez poczucie wspólności interesów unikali zbadania i określenia istotnego bogactwa. Dzisiaj niewolnictwo już nie istnieje, ale za to wytworzyły się w nowożytnem społeczeństwie inne warunki, powodujące fałszowanie ekonomii politycznej w inte-

resach klasowych. Dzisiaj, według twierdzenia H. George'a, posiadaczy niewolników zastąpili właściciele ziemscy, którzy z krzywdą mas dzierżą w swych rękach całą ziemię, będącą niezaprzeczonem tychże mas dziedzictwem. Właściciele ziemscy nie chcą, zdaniem amerykańskiego ekonomisty, wyjaśnienia faktu, że, jakkolwiek oni niezawodnie się bogacą, to się bogacą krzywdą innych, i że jakkolwiek oni majątek swój pomnażają, majątek społeczny wcale się nie zwiększa. Jak w świecie klasycznym, powiada H. George, posiadacze niewolników, tak dzisiaj właściciele ziemscy są tą klasą społeczną, która ma znaczenie i wpływ przemożny, która dyktuje wygodne sobie zasady ekonomiczne nie tylko nieuświadomionym tłumom, ale i uczonym, idącym bezkrytycznie z prądem czasu.

Ile razy mieliśmy w historyi podobny objaw, tyle razy poza oficyalną nauką i zbałamuconymi tłumami stała świadoma swych interesów klasa ludzi, która fałszowała naukę dla celów osobistych. Jeżeli nie posiadamy do tej pory racyonalnej definicyi bogactwa, to dlatego, zdaniem George'a, że istnienie jej nie byłoby dogodne klasie właścicieli ziemskich. A że ci opłacają profesorów ekonomii politycznej, że ci mają na swoje usługi potężną prasę, przeto nie dziw, że udało im się tak uformować opinię publiczną, jak im dogodnie. Ogólnie panujący prąd objął nawet istotnie potężne umysły i czyste charaktery, jak Mill, którego pojęcia o stosunku ludu do ziemi są niejasne i niekonsekwentne. Bankructwo oficyalnej ekonomii politycznej, która się do upadku przyznała, ułatwi drogę do poznania prawdziwej istoty bogactwa narodowego.

Bankructwo to nie byłoby zupełnie potrzebne, gdyby ekonomiści zechcieli w swoim czasie zrozumieć intencye pomnikowego dzieła Smitha, który dał wyraźną wskazówkę, co rozumie przez bogactwo. Wskazówka ta mieści się już w artykule pracy, który opiewa tak: „Dociekanie natury i przyczyn b o g a c t w a n a r o d ó w". Nie godzi się twierdzić, że Smith miał na myśli nie bogactwo społeczne w przeciwstawieniu do bogactwa indywidualnego, lecz zasoby materyalne różnych grup narodowo-politycznych. A nie godzi się tak twierdzić, bo Smith kilkakrotnie zaznacza, że przez bogactwo rozumie rezultat z pracy i ziemi. Rezultat z pracy i ziemi, a nie suma rezultatów z pracy i ziemi, co byłoby czemś zupełnie odmiennem. Byli ekonomiści, którzy twierdzili, że Smith nie mógł tak rozumieć bogactwa, ponieważ, gdy nurek wydobędzie perłę z dna morskiego, to zarówno perła, jak i bezużyteczna dla poławiacza skorupa, jest rezultatem z pracy i ziemi. Zarzut ten jest śmieszny, bo Smith mógł mieć na myśli jedynie zamierzony rezultat,

a nigdy przypadkowy, o który człowiek się nie ubiega. Inna sprawa, że Smith nie określił stosunku bogactwa do innych kategoryi ekonomicznych, że do bogactwa zaliczył także przymioty osobiste i długi. Ale zasadniczo traktował w swem dziele nie bogactwo w ogólności i nie bogactwo indywidualne, lecz bogactwo społeczne czyli narodowe.

Ponieważ George zostaje w duchowem oraz ideowem pokrewieństwie z Adamem Smithem, a przez niego z fizyokratami, przeto nic dziwnego, że poświęca i pierwszemu, i drugim dosyć sporo miejsca w swej książce. Odsyłając czytelnika do dzieła samego lub do innych źródeł wiadomości o poprzednikach George'a, tu zaznaczymy tylko razem z naszym autorem, że, według niego, Smith miał pomysł do swej pracy przed podróżą na kontynent i poznaniem fizyokratów, o których odzywał się z wielkiem uznaniem, i że George sam nic nie zawdzięcza fizyokratom, jakkolwiek uważa ich za twórców teoryi wolnego handlu i pierwszych w ekonomii zwolenników pojedyńczego podatku, *impôt unique*, (ang. *single tax*). Jednym z najbardziej uderzających rysów, charakteryzujących fizyokratów, było zrozumienie natury renty gruntowej, określonej przez Ricarda, którą nazywali *produit net*, a którą Smith nazwał „niezapracowanym wzrostem wartości ziemi". Spostrzeżenie tego *produit net*, jako kategoryi ekonomicznej, sprawiło, że fizyokraci uważali rolnictwo, jako jedyne produkcyjne zajęcie, i dlatego też wymagali nałożenia i popierania swego *impôt unique*. Pomijając bliższe rozpatrzenia stosunku pomiędzy Adamem Smithem a fizyokratami, spojrzyjmy na wpływ, jaki angielski myśliciel wywarł na rozwój ekonomii politycznej.

Podczas gdy fizyokraci byli w swych zasadach mocno radykalni, Adam Smith postąpił sobie rozważniej, gdyż stanął na łagodniejszem stanowisku. Walka jego z tak zwanym systemem merkantylnym, to znaczy z systemem protekcyjnym, była pozornie skierowana przeciwko rozwijającemu się przemysłowi i handlowi. To powód, dla którego potężni l a n d l o r d o w i e nie tylko przeciwko nauce Smitha nic nie mieli, ale nawet przychylne względem niej zajęli stanowisko. Gdy atoli wskutek pominięcia jedynie rzetelnej definicyi bogactwa okazało się, że system Smitha służy do usprawiedliwienia procesu bogacenia się jednych kosztem drugich, jako procesu przyrodzonego i nieuniknionego, merkantyliści nie tylko nic przeciwko nowym hasłom wolnego handlu nie mieli, ale przeciwnie chwycili się ich oburącz, jako teoryi, bardzo dla siebie dogodnej, i skierowali jej ostrze właśnie przeciwko landlordom, spowodowując odwoła-

nie praw zbożowych, jako protekcyjnych. Wkrótce klasy posiadające ukuły z nauki Smitha potężną broń, którą zasłaniały się przed atakami krzywdzonych i wydziedziczonych. Broni dostarczył Smith merkantylistom wskutek nieokreślenia bogactwa, co wreszcie doprowadziło do tego, że ekonomia polityczna wyrodziła się z nauki o bogactwie w naukę o jakościach zamiennych czyli ekonomikę. Wskutek braku podstawy zapanowało w ekonomii ogólne zamieszanie, wyrodził się chaos, który uniemożliwia porozumienie się już nie w sprawach drugorzędnych, ale wprost podstawowych.

Mimo to nie brakowało usiłowań, dążących do zreformowania ekonomii politycznej z jednej strony i do wprowadzenia gospodarki światowej na racyonalne tory z drugiej. Wcześniej i później ukazali się autorowie, którzy usiłowali wykazać, że prywatne władanie ziemi jest bezprawiem, że przyszłość ludzkości leży jedynie i wyłącznie w uznaniu ziemi za wspólne dziedzictwo rodzaju ludzkiego, w zniesieniu wszelkich podatków z wyjątkiem podatku od ziemi. George krytykuje różne teorye w tym kierunku, a zwłaszcza szkołę socyalistyczną, bo socyaliści, nie starając się poznać przyrodzonych praw, będących podstawą rzetelnej ekonomii politycznej, proponują reformy, oparte na sztucznej i konwencyonalnej organizacyi ekonomiczno-społecznej, nie mogącej liczyć na to, aby się jej udało istotne zło usunąć i poprawić byt klas upośledzonych.

George zaznacza kilkakrotnie z wielkim naciskiem, że wymienionych przez siebie prac nie znał przed wydaniem swojej głośnej książki p. t. „*Progress and Poverty*". Chodzi mu tu oczywiście o podkreślenie faktu, że teorya bogactwa i pojedyńczego podatku jest oryginalnym tworem jego rozmyślań nad obecnym stanem ekonomicznym społeczeństw. O wielu pracach, zdradzających ten sam kierunek myślenia, dowiedział się Henry George dopiero po napisaniu „*Progress and Poverty*", gdy praca ta zyskała mu rozgłos i zaczęto zwracać jego uwagę na innych, pokrewnych mu zasadami autorów. Fakt ten nie zdziwi nikogo, kto się dowie, że George nie miał uniwersyteckiego wykształcenia i że nie znał obcych języków.

Pomijając cały rożdział książki, poświęcony wrażeniu, jakie w świecie ekonomicznym uczyniło pojawienie się pracy p. t. „*Progress and Poverty*", przystąpimy teraz do pozytywnej części dzieła Henryka George'a.

Uderzająca niezgodność ekonomistów na punkcie natury bogactwa, panująca dziś powszechnie, doprowadziła do przyjęcia za

pewnik, że wszelkie bogactwo posiada wartość. Ale co do tego, czy wszystko, co posiada wartość, jest bogactwem w ekonomicznem znaczeniu tego pojęcia, lub też, czy tylko pewne formy wartości są bogactwem, a inne nie, na to niema zgody. A niepewność ta odnośnie do natury bogactwa zdaje się wynikać z niepewności na puncie natury wartości w ogóle. Stąd będzie rzeczą właściwą w systematycznym rozbiorze prawd ekonomii politycznej rozpocząć od ścisłego określenia natury wartości, a potem dopiero przejść do określenia istoty i natury bogactwa. To usprawiedliwia w zupełności przyjęty porządek i nadpis drugiego roździału całej pracy, noszącego właśnie tytuł: *Istota bogactwa.* Pojęcie wartości ma w ekonomii tak podstawowe znaczenie, że wielu uczonych dało tej gałęzi wiedzy nazwę nauki o wartości. Mimo to pojęcie to do dziś dnia jeszcze nie jest ściśle określone.

Pierwotnie słowo „wartość" oznacza wszelką własność, wywołującą uczucie szacunku i oceny, ale my cenimy rzeczy już to wskutek użytku, jakie one nam same w sobie przynoszą, już też wskutek tego, co nam mogą dać wzamian. W mowie potocznej nie uwzględniamy różnicy pomiędzy dwoma rodzajami wartości, bo istotę jej oznacza nam już natura rzeczy, o której mówimy. Ale słowo „wartość" posiada podwójne znaczenie, bo z jednej strony oznacza cechy rzeczy, przedstawiających dla nas użytek (wartość równa się użyteczności — wartość kompasu, metody antiseptycznej w chirurgii, wartość książki); z drugiej zaś — cechy przedmiotów, posiadających własność zamienności czyli kupowania (np. większa wartość złota, niż srebra) i w tem pojęciu słowo „wartość" jest właśnie terminem naukowym; własność użyteczności nazwał Smith „wartością użytkową", a własnoość nabywania innych przedmiotów „wartością zamienną". Obydwa terminy, jako wyrażające dość szczęśliwie ekonomiczną istotę rzeczy, utrwaliły się w nauce.

W dosłownym przekładzie odnośny ustęp z książki Adama Smitha brzmi, jak następuje:

„Słowo „wartość" posiada, jak możemy zauważyć, dwa różne znaczenia i już to wyraża użyteczność jakiegoś pojedyńczego przedmiotu, już też możność nabywania innych towarów, wywołaną posiadaniem danego przedmiotu. W pierwszym wypadku mówimy o „wartości użytkowej"; w drugiej o „wartości zamiennej". Przedmioty, posiadające największą wartość użytkową, posiadają często tylko małą wartość zamienną lub nawet nie mają żadnej; przeciwnie zaś te, co mają najwyższą wartość zamienną, posiadają częstokroć małą wartość użytkową lub nie ma ją

żadnej. Niema nic użyteczniejszego nad wodę; ale rzadko kiedy coś za nią kupić nie można. Dyament, przeciwnie, rzadko kiedy posiada prawie wartość użytkową, ale częstokroć można otrzymać w zamian wielką ilość towarów".

Proponowane przez Smitha terminy różniczkowe zostały powszechnie przyjęte, ale wyrażoną przez nie różnicę zaraz zakwestyonowano. Ekonomiści oświadczyli bowiem, że nic nie może mieć wartości zamiennej, na co niema popytu; popyt zaś wskazuje na jakąś użyteczność; wskutek tego, co posiada wartość zamienną, musi też mieć wartość użytkową; pogląd ten panował powszechnie, i wszyscy ekonomiści potwierdzali go. Tak np. Mill pisze w swych „Principles of Political Economy", co następuje: „Musimy rozpocząć od ustalenia naszej frazeologii; Adam Smith dotknął w często cytowanym ustępie najbardziej rzucającej się w oczy dwuznaczności wyrazu „wartość"; słowo to w jednem znaczeniu określa użyteczność, w drugiem własność nabywania czyli, mówiąc jego własnemi słowy, wartość użytkową i wartość zamienną. Lecz (jak zauważył Mr. de Quincy) w ilustrowaniu tego podwójnego znaczenia Adam Smith popadł sam w dwuznaczność. Przedmioty (powiada on), posiadające największą wartość użytkową, mają częstokroć małą wartość zamienną lub żadną; i to jest prawdą: to, co można uzyskać bez pracy lub poświęcenia, nie będzie miało żadnej ceny, chociażby było nie wiedzieć jak użyteczne lub potrzebne. Ale w dalszym ciągu dodaje, że przedmioty, posiadające najwyższą wartość zamienną, jak np. dyament, mają małą wartość użytkową lub żadną. Tutaj słowo „użytek" zostało zastosowane nie w pojęciu ekonomii politycznej, ale w tem drugiem, w którem użytek przeciwstawia się przyjemności. Ekonomia polityczna nie zajmuje się porównawczą oceną różnych użyteczności w rozumieniu myśliciela lub moralisty. Użyteczność przedmiotu w ekonomii politycznej oznacza jego zdolność zaspokojenia pragnienia lub osiągnięcia celu. Dyamenty posiadają tę własność w wysokim stopniu, inaczej bowiem nie posiadałyby ceny. Wartość użytkowa, czyli, jak ją Mr. de Quincy nazywa, wartość „teleologiczna", jest ostateczną granicą wartości zamiennej. Wartości zamienna może się okazać o wiele mniejsza od wartości użytkowej; ale przypuszczenie, żeby mogła kiedykolwiek przekroczyć wartość użytkową, zawiera w sobie sprzeczność; przypuszczenie to bowiem przyjmuje, że ludzie w celu posiadania jakiegoś przedmiotu daliby więcej od najwyższej wartości, jaką ów przedmiot dla zaspokojenia ich skłonności posiada".

Słowo „wartość", użyte bez dodatku, oznacza zawsze w ekonomii politycznej wartość zamienną. Jeżeli Adam Smith popełnił pomyłkę, twierdząc, że wartość zamienna danego przedmiotu może być wyższa od jego wartości użytkowej, to dlaczegóż nie popełnił pomyłki, twierdząc, że wartość zamienna może być wyższa od wartości użytkowej? Według określenia Milla obie wartości, użytkowa i zamienna, są wprost identyczne; a jeżeli tak, to pocóż Mill czyni różnicę między użytecznością a siłą kupną danego przedmiotu? I poco mówi nam, że słowo „wartość", użyte bez dodatku, oznacza w ekonomii politycznej zawsze wartość zamienną? Po co podtrzymywać różnicę tam, gdzieś jej faktycznie wcale niema?

To pomieszanie użyteczności z „pożądanością" jest początkiem teoryi wartości, reprezentowanej przez tak zwaną austryacką czyli psychologiczną szkołę ekonomistów. Szkoła ta, zniósłszy całkowicie różnicę pomiędzy wartością użytkową a zamienną, uważa wartość za wyraz natężenia pragnienia, sprowadzając wszystko do tego czysto subjektywnego źródła.

Błąd, jaki Mill popełnił, polega na wzięciu za jedno użytku i użyteczności; tymczasem pojęcia te są bardzo różne i identyfikować ich nie wolno. Tak np. tortury były w średnich wiekach używane; jako takie, posiadały pewną wartość i cenę, ale mimo to użytecznymi przedmiotami nazwać ich nie można.

Adam Smith, mówiąc o wartości użytkowej, miał oczywiście na myśli przedmioty, służące do zaspakajania naturalnych, normalnych i ogólnych potrzeb oraz pragnień ludzkich, a nie sztucznych i nadnaturalnych i chwilowo tylko panujących.

Różnica ta nie jest dowolną, lecz bardzo istotną i łatwą do określenia. Wartość zamienną posiada każdy przedmiot, zaspakajający jakiekolwiek, bodajby najbłahsze, pragnienie; aby jednak przedmiot posiadał wartość użytkową, potrzeba czegoś więcej; musi on zaspakajać nie jakiekolwiek pragnienie, lecz jedno z tych, które stanowią potrzebę, odczuwaną zarówno przez wszystkich ludzi.

Oczywiście, że wartość użytkowa i zamienna występują w największej ilości wypadków razem, to znaczy, że przedmioty, posiadające jedną wartość, posiadają równocześnie i drugą. Ale mimo to obie wartości nie pozostają z sobą w żadnym istotnym związku. Przedmioty o wysokiej wartości użytkowej, jak np. powietrze, nie mają wcale wartości zamiennej; naodwrót pamiątki historyczne, relikwie, i t. d., nie przedstawiając żadnej wartości użytkowej, posia-

dają w danym razie wysoką wartość zamienną. Obie wartości są zasadniczo różne i wzajemnie wcale nie ustosunkowane. Wartość użytkowa jest wewnętrzną, bo polega na własności zaspakajania potrzeb ludzkich, i wartość zamienna wcale na nią nie wpływa; przeciwnie, wartość zamienna wcale nie jest wewnętrzną i nie zaspakaja istotnych potrzeb człowieka. Wartość w pojęciu ekonomicznem, to znaczy wartość zamienna, dlatego nie jest wewnętrzną, ponieważ nie opiera się nigdy na własności danego przedmiotu, ale na względnem oszacowaniu przez człowieka. Stosownie też do tego, co się wyżej powiedziało, niema w umyśle ludzkim wspólnego miernika obu wartości; przełożenie jednej nad drugą zależy od różnych, nie dających się z góry określić warunków. Adam Smith miał więc zupełną słuszność: pomiędzy wartością użytkową a zamienną istnieje istotna różnica. Terminy, jakkolwiek nie najszczęśliwsze, utarły się w ekonomii i spełnią swoje zadanie, byle znaczenie ich zostało ściśle określone; w dziele swojem Henry George używa stale „wartości zamiennej", jako pojęcia ekonomicznego, z którem nauka ścisła ma do czynienia, w przeciwstawieniu do „wartości użytkowej", która nie jest ścisłem pojęciem naukowem i ekonomii politycznej zgoła nie obchodzi.

Pytanie zachodzi, jakie jest źródło wartości zamiennej i jaka jej miara?

Według oficyalnej ekonomii politycznej wartość zamienna jest stosunkiem pomiędzy każdą z osobna rzeczą zamienną a wszystkiemi rzeczami zamiennemi, razem wziętemi. Wskutek tego powiada się, że nie może być ogólnego przyrostu lub spadku wartości, ponieważ, o ile jeden przedmiot zyska na wartości zamiennej, o tyle drugi straci, o ile zaś jeden straci, o tyle znowu drugi zyska; czyli, innemi słowy, ponieważ stosunek wartości jest tylko stosunkiem różnych proporcyi, przeto jakakolwiek zmiana w jednym stosunku musi sprowadzić odpowiednią zmianę w innych stosunkach tak, aby ogólna suma nie uległa zmianie. Możemy mieć wzrost wartości jednej lub więcej rzeczy w stosunku do innych, ale nie możemy mieć wzrostu lub spadku ogólnej wartości, gdyż ta jest niezmienna.

Gdyby tak było istotnie, to pojęcie wartości byłoby nieokreślone, lecz bez możności porównania z czemś stałem nie możnaby wartości w żaden sposób mierzyć. Ale pytanie, czy dla wartości nie istnieje jakiś stały punkt wyjścia, któryby służył za jej miarę?

Na proste to pytanie możemy dać odpowiedź twierdzącą. Idea wartości wypływa nie ze stosunku jednej rzeczy, posiadającej war-

tość, lecz ze stosunku pomiędzy każdą rzeczą, posiadającą wartość, a czemś, co jest źródłem i miarą wszelkiej wartości—mianowicie wysiłkiem ludzkim, któremu towarzyszą nuda i znużenie.

Fakt ten doniosły nie uszedł też uwagi Adama Smitha, choć może nie wyciągnął on z niego wszystkich konsekwencyi. Od czasu, jak podział pracy zapanował, człowiek niewiele potrzeb lub przyjemności może sam sobie dostarczyć. Większej części dostarcza mu praca innych, i człowiek jest bogaty lub biedny stosownie do tego, czy może nabyć dużą czy też małą ilość pracy innych ludzi. Wartość więc każdego towaru, którego posiadacz sam nie chce zużyć, polega na ilości pracy ludzkiej, jaką zań nabyć można. Praca więc jest istotną miarą wartości zamiennej towarów.

Adam Smith używa wyrazu „praca" w znaczeniu wysiłku, któremu towarzyszą znój i kłopoty, stanowiące cenę towaru, podczas gdy bogactwo jest według niego produktem, to jest namacalnym rezultatem wysiłku. Wartość więc jest równoważnikiem tego znoju i tych kłopotów, nieodłącznych od wysiłku, których ilość, jaką sobie może oszczędzić, stanowi właśnie miernik wartości.

Praca, według Smitha, posiada zawsze i wszędzie wartość stałą i niezmienną, z tej też przyczyny może być miarą wartości wszelkich towarów. Praca jest prawdziwą, a pieniądz tylko nominalną wartością wszelkich towarów.

Pytanie więc, dlaczego Adam Smith pomimo jasnego pojęcia stosunku pomiędzy pracą a wartością nie starał się terminu „wartość zamienna" zastąpić innym odpowiedniejszym, w którym znajdowałoby się słowo „praca"?

Odpowiedź na to daje sam Smith, tłómacząc, że samą pracę trudno określić i zmierzyć, że trudno pracę sklasyfikować, że ludziom łatwiej dać sobie radę z jakimś towarem, jako miernikiem wartości zamiennej, niż z pracą. Z jednej strony termin „wartość zamienna" był już powszechnie zrozumiały, a z drugiej sam Smith nie był w stanie znaleźć i zdefiniować żadnego miernika wysiłku ludzkiego i dlatego pracy, jako wartości nie użył. Ustalenie tego terminu wprowadziło zamieszanie pojęć tak u Smitha, jak i u jego następców. Smith czasami widział wyraźnie różnicę pomiędzy towarami a pracą i rozumiał, że bogactwo jest produktem pracy. Ale innym razem opuszcza tę ścisłą różnicę, uważa pracę także za towar i powiada, iż zapłaty za pracę dostarcza kapitał przedsiębiorcy.

Po śmierci Smitha zamieszanie, zamiast zmniejszyć się, rosło jeszcze bardziej, cała więc rzecz wymaga ponownego rozstrząśnienia i wprowadzenia na ścisłe tory ekonomiczne.

Z przypuszczenia, że wartość jest nietylko tem, co dla wygody nazywamy wartością zamienną, ale już wprost samąże własnością zamienności, wynika twierdzenie, iż wartość wypływa z wartości, i że pomiędzy niemi istnieje stosunek zwykłej proporcyi. Stąd też pochodzi drugie twierdzenie, że, gdy wartość jednych przedmiotów wzrośnie, innych musi się zmniejszyć, lub odwrotnie, wskutek czego nie może być mowy o ogólnym przyroście lub zmniejszeniu się bogactwa.

Pytanie atoli zachodzi, czy mamy tu istotnie do czynienia ze stosunkiem proporcyi. Proporcya jest to stosunek części do całości, jakaż więc całość obejmuje sobą wszelkie rodzaje wartości? I za pomocą jakiego rachunku obliczamy wzajemny stosunek wartości nieskończonej liczby rzeczy?

Na szczęście cała ta niemożliwa do wykonania praca jest niepotrzebna, gdyż w ten sposób wartości naprawdę nikt nie rozumie, a wszystko, co się w tej materyi pisze, jest czystem kuglarstwem. Austryacka czyli psychologiczna szkoła ekonomistów sprowadza wartość do użyteczności, ignorując w ten sposób zasadniczą prawdę ekonomii politycznej, która opiewa, że człowiek usiłuje zaspokoić swoje pragnienia przy pomocy najmniejszego wysiłku. Niepowodzenie w dowiedzeniu tego wykazuje błędność twierdzenia, że wartość bierze początek w użyteczności i że jest względna do wszystkich wartości.

Po bliższem rozpatrzeniu rzeczy nie trudno przyjdzie nam zrozumieć, że wszystko jest wypływem bardzo prostego nieporozumienia, które polega na następującej operacyi. Chcąc udowodnić, że wartość jest stosunkiem zamienności różnych wartościowych przedmiotów, bierzemy kawałek złota, jako materyału, z którego robią się pieniądze, i pytamy, dlaczego to złoto posiada wartość? Dlatego, brzmi odpowiedź, że możemy za nie otrzymać pszenicę, żelazo, towary bawełniane oraz inne cenne przedmioty. Gdybyśmy złota wymienić nie mogli, nie posiadałoby wartości, której miarą jest wartość pszenicy, żelaza, towarów bawełnianych oraz innych cennych przedmiotów, na które można złoto wymienić. Jeżeli stosunek tak się zmieni, że za ten sam kawałek złota można otrzymać więcej towarów, to cena złota rośnie, a tych innych towarów spada. Gdy zaś, odwrotnie, za ten sam kawałek złota możemy dostać mniej towarów, to cena złota spada, a innych towarów rośnie. Potem odwracamy stosunek i porównywamy nie złoto z innymi cennymi przedmiotami, ale przeciwnie inne cenne przedmioty ze złotem i znajdujemy, że wartość ich polega tak samo na stosunku zamienności, wskutek

czego wnioskujemy, że wartość istotnie nie jest niczem innem, jak tylko stosunkiem zamienności, i na tem rzecz się kończy.

W rozumowaniu tem praca objęta jest owymi innymi cennymi przedmiotami, chociaż zwykle rozumie się przez nie głównie produkty pracy, a nie pracę samą, co więcej: inny jeszcze czynnik przyłącza się do zamieszania pojęć. Ekonomiści rozumują, że ilość cennych przedmiotów, których wartość z sobą porównywają, jest stałą, niezmienną, że więc nie może istnieć wymiana pomiędzy tymi, co posiadają cenne przedmioty, a tymi, którzy ich nie posiadają. Tymczasem zapatrywanie to, choć może niezupełnie jasno wyrażone, jest błędne: bogactwo nie tylko nabywało się, ale i obecnie nabywa się pracą. Wszak większość ludności każdego cywilizowanego społeczeństwa składa się z tak zwanej klasy pracującej, która nie posiada prawie wcale w swych rękach cennych przedmiotów, a jednak w ostateczności jest nabywcą bardzo wielu cennych przedmiotów. Cóż się odbywa w tym wypadku, jeżeli nie wymiana pracy na różne towary, i to pracy, obróconej już na wartości ekonomiczne?

Widzimy, że w tym wypadku następuje wymiana pomiędzy posiadaczami cennych przedmiotów a tymi, którzy rozporządzają rzeczą, nie posiadającą żadnej wartości, dopóki się jej wartości nie nada; czyż nie ma tu ogólnego przyrostu bogactwa? A zresztą czemże się zastępuje ubytek, powstający przez nieustanną destrukcyę wartości, i na jakiej drodze zyskuje się pomnożenie bogactw danego społeczeństwa?

Cały błędny system ekonomii politycznej polega na błędnej podwalinie, stawiającej pracę na równi z produktami pracy, od których zasadniczo się różni. Jest to znowu wynik luźnego i nieścisłego używania wyrazu *praca*, która w mowie potocznej ma inne znaczenie, a w ekonomii politycznej znowu inne. Praca we właściwem tego słowa znaczeniu, to jest możność wykonywania pracy, nie może być przedmiotem zamiany, bo nie da się od właściciela odłączyć i komu innemu przekazać. Zamieniać można tylko produkty pracy, która wartości w ekonomicznem pojęciu, to jest wartości zamiennej, nie posiada. Ponieważ atoli wielu ekonomistów przypisuje pracy wartość zamienną, przeto rzecz jasna, że za źródło tej wartości uważać jej nie może. My atoli, wiedząc, że praca, jako możność wykonywania pracy, nie posiada wartości, lecz stwarza ją dopiero, oblekając się w formy konkretne, wiemy, że wartość możemy określić w stosunku do wysiłku pracy.

Musimy sobie jeszcze odpowiedzieć na pytanie, czy stosunek wartości do pracy jest pozytywny, czy negatywny. Oczywiście ne-

gatywny. Gdy wymieniam złoto za srebro, to pozbywam się złota, ale srebro zyskuję. Gdy wymieniam złoto za pracę, to, jakkolwiek tracę złoto, nie zyskuję pracy, nie zyskuję trudu, bo tego nikt nabyć nie pragnie. Co atoli zyskuję, to oszczędzenie sobie pracy i trudu, potrzebnych dla zaspokojenia pragnień i pożądań. Wartość danej rzeczy polega na tej ilości wysiłku lub trudu, jakiej mi jej posiadanie oszczędzi. Gdy ludzkie pragnienia można zaspokoić tylko pracą, wszystko, czego posiadanie oszczędzi mi wysiłku, posiada dla mnie istotną wartość, i tu jest źródło wartości ekonomicznej czyli zamiennej.

Wartość rzeczy nie polega na ilości pracy, jakiej trzeba było do jej wyprodukowania, lecz na ilości pracy, którą mi jej posiadanie oszczędzić może. Czy dyament posiadłem po roku pracy, czy też wystarczyło mi tylko schylić się poń, przedstawia on dla mnie tę samą ilość trudu i pracy, jakie ludzie zechcą dla mnie ponieść, byle dyament odemnie otrzymać.

Na zakończenie przytoczymy jeszcze w dosłownym przekładzie ustęp, w którym George reasumuje swoje zapatrywania, a który tak opiewa: „Skoro pragnienie materyalnego zadowolenia jest powszechne wśród ludzi, a jedyną drogą do osiągnięcia tego zadowolenia od przyrody jest wysiłek, którego ludzie zawsze starają się uniknąć, przeto, cokolwiek zadowoli pragnienie bez wysiłku, jest pożądane samo przez się—nie dla swej użyteczności, lecz ponieważ dostarcza środków do zaspokojenia innych pragnień i w ten sposób staje się wymiennem, ile razy istnienie innych czyni zamianę możliwą. Normalna więc wartość i własność zamienna są zawsze połączone z sobą i pozornie identyczne. Ale w stosunku przyczynowym wartość zajmuje pierwsze miejsce. To znaczy, że nieprawdą jest, czego uczyli wszyscy ekonomiści od Adama Smitha, iż dany przedmiot ma wartość, ponieważ posiada własność zamienną. Przeciwnie, nadaje się do zamiany, ponieważ posiada wartość. Zamiana jest w istocie wzajemnem przeniesieniem wartości. Ze wszyskich własności przedmiotów wartość jest jedyną, którą wymiana bierze pod uwagę.

Wartość zatem w pojęciu ekonomicznem, to znaczy wartość zamienna, równa się największej ilości trudu, jaki może sobie posiadacz danej rzeczy oszczędzić. Z innej strony sprawę biorąc, możemy powiedzieć, że wartość zamienna jest najmniejszą ilością pracy, jakiej się ktoś dla posiadania danego przedmiotu podejmie, z tego jeszcze nie wynika, aby to właśnie, co się za pewien przedmiot otrzyma, było istotnie jego wartością, częstokroć bowiem w życiu prakty-

cznem zbywa się rzecz za więcej lub za mniej, niż warta. W pierwszym razie myślimy tak, bo kto inny dałby za nią mniej, w drugim razie, ponieważ kto inny dałby za nią więcej. To, co się wydaje rzetelną wartością, nazywamy ceną targową, którą też tylko targ określić może.

Widzimy więc, że wartość zamienna nie pozostaje w żadnym stosunku do jakichś istotnych, wewnętrznych właściwości towarów, zależy bowiem od pożądań i pragnień ludzkich. Podstawa jej jest subjektywna, a nie objektywna, a materyalny probierz wartości zgoła nie egzystuje.

Zrozumienie faktu, że wartość wypływa z wewnętrznego poczucia ludzkiego, a nie z jakichś stosunków w świecie zewnętrznym, sprowadziło na manowce szkołę austryacką czyli psychologiczną, która określa i mierzy wartość tem, co musi na zawsze pozostać subjektywnem, to jest pragnieniem jakiegoś indywidualnego *ja*. Błąd polega oczywiście na tem, że, co jest czysto subjektywne, nie może być nikomu udzielone, póki nie objawi się objektywnie w formie czynu, który dopiero możemy oceniać i mierzyć. Oczywiście, początkiem wartości jest uczucie pragnienia, ale wartości nie określa natężenia pragnienia, tylko to, ile kto jest gotów ofiarować za pewien przedmiot, zatem nie pragnienie samo, jako takie, lecz pragnienie posiadania, połączone ze zdolnością i ochotą dania czegoś wzamian za posiadanie przedmiotu. Wskutek tego niema innej miary wartości, jak współzawodnictwo, co winni dobrze rozważyć ci ekonomiści, którzy są za zniesieniem konkurencyi.

Wysokość wartości oznacza nie ilość pracy, zużytą na wyprodukowanie pewnej rzeczy, ale ilość pracy, jaka byłaby potrzebna na wyprodukowanie podobnego przedmiotu. Ludzie bowiem bardzo rzadko ubiegają się o identyczną rzecz, a zwykle tylko o podobną. Prawo popytu i podaży sprowadza wartość do kosztów produkcyi, to znaczy nie do ilości pracy, jakiej trzeba było do wyprodukowania podobnego przedmiotu, lecz do ilości pracy, jakiejby potrzeba dla wyprodukowania podobnego przedmiotu. Przy tem samem pragnieniu, cokolwiek zwiększa pracę, potrzebną do wykonania podobnych przedmiotów, podnosi wartość produktów, a cokolwiek zmniejsza ją, zniża równocześnie wartość i cenę towarów.

Są oczywiście wypadki, w których wartość zostaje określona w inny zupełnie sposób, a mianowicie wtedy, kiedy pragnienie odnosi się nie do podobnego przedmiotu, lecz do identycznego, jakim np. może być obraz zmarłego mistrza, któremu podobnego żadnym nakładem pracy uzyskać nie można. Wtedy wartość nie określa się

kosztem produkcyi, lecz siłą pragnienia. Ten ostatni wypadek zachodzi przy rozwoju cywilizacyi z ziemią, która nie została przez człowieka wyprodukowana, zatem wartości jej do kosztów produkcyi sprowadzić nie można.

Ziemia, jako ziemia (w ogólności), jako najtrwalszy element, niezbędnie potrzebny do ludzkiego życia, tak samo nie posiada wartości, jak powietrze. Ale specyalna ziemia, to znaczy specyalny gatunek ziemi lub ziemia w specyalnej okolicy, może posiadać taką samą wartość, jak specyalny obraz lub statua, zależna jedynie od siły pożądania.

To przywiązywanie wagi do ziemi w specyalnych właśnie miejscowościach jest nie tylko najbardziej uderzającym rysem współczesnej cywilizacyi, ale i konsekwencyą cywilizacyi, objętą najtrwalszym porządkiem rzeczy i dostarczającą najsilniejszego może dowodu na to, że istotą tegoż porządku jest równość ludzi. Pozostawione przez sprawiedliwe prawa municypalne swemu naturalnemu rozwojowi pragnienie używania specyalnej ziemi nie może nigdy stać się pragnieniem używania ziemi w ogólności i nie może nigdy sprowadzić obniżenia płac przez zniewolenie robotników do oddania za używanie ziemi jakiejkolwiek części tego, co stanowi naturalny i słuszny zarobek ich pracy. Ale, gdzie ziemia jest zmonopolizowana, a ucieczka ludności do ziemi nie zmonopolizowanej jest wykluczona już to prawnemi obostrzeniami, już też warunkami socyalnymi, owo pragnienie używania specyalnego kawałka ziemi może wynikać z pragnienia używania ziemi w ogólności, to jest ziemi, jako elementu przyrodzonego; a siła jego, mierzona w jedyny sposób, w jaki siłę pragnienia mierzyć możemy, to jest chęcią podjęcia trudu i kłopotów dla jego zaspokojenia, może stać się zwłaszcza, gdy doprowadzona do pełnego rozwoju, ni mniej ni więcej, niż siłą pragnienia samego życia, gdyż ziemia jest niezbędnym do życia warunkiem.

Po tych wszystkiem roztrząsaniach zastanawia się Henry George nad bardzo ważną kwestyą, przeoczaną zwykle przez ekonomistów, to jest nad dwoma źródłami wartości. Powszechnie ekonomiści przyjmują, że wartość ma tylko jedno źródło, to jest pracę, zamienioną drogą wysiłku na bogactwo. Tymczasem, ponieważ wartością danego przedmiotu jest nie koszt jego produkcyi, ale ta ilość pracy, jaką sobie przez jego posiadanie zaoszczędzić można, przeto wartość powstaje też przez proste zobowiązanie do wykonania pewnej ilości pracy w oznaczonym terminie albo przez nałożenie takich przeszkód zadowoleniu pragnienia, jakie zniewolą do zwiększonego wysiłku w celu zaspokojenia pożądania. W tym wypadku nie mamy

przyrostu bogactwa, jakkolwiek stwarzamy wartość, opartą na zobowiązaniu i oczekiwaniu przyszłych usług. W ekonomii indywidualnej, biorącej pod uwagę jedynie stosunek pewnej jednostki do innych jednostek, niema różnicy między tymi dwoma rodzajami wartości. Nie stanowi bowiem różnicy, czy jednostka ma władzę wymagania pracy od innych wskutek pomnożenia ogólnego zapasu, czy też wskutek prawa żądania pracy od innych; w obu razach bowiem jedna strona bierze, druga daje.

Ale w ekonomii politycznej, zajmującej się ogólnymi stosunkami społecznymi, wielka jest różnica pomiędzy wartością, która pomnaża ogólny zapas bogactwa, a wartością, która, nie zwiększając ogólnego bogactwa, wpływa tylko na rozdział istniejącego już zapasu, wskutek czego w pojęciu ekonomicznem wcale wartością nie jest.

Pierwotnie nawet Adam Smith uważał za wartość ten tylko jej gatunek, który przyczynia się do powiększenia ogólnego bogactwa; potem dopiero dzięki nieścisłości uwzględnił i tę wartość, która, pomnażając zasoby jednostki, nie pomnaża zasobów społeczeństwa. Tu jest źródło faktu, że ekonomia polityczna nie mogła osiągnąć celu. Niepodobna zbudować systemu ekonomii bez ścisłego określenia bogactwa, a to znowu jest wprost niemożliwe bez dokładnego zdefiniowania wartości. Najprostszą drogą do tego jest przyjęcie dwu gatunków wartości: jednej, która bierze źródło w pracy w taki sposób, że oszczędza przyszłego wysiłku w zadowoleniu pragnienia, i drugiej, wynikającej z nabycia przez jednych ludzi prawa wymagania pracy od drugich, czyli, co na jedno wyjdzie, wynikającej z nałożenia takich przeszkód w zaspokojeniu pragnienia, które wymagają więcej wysiłku dla osiągnięcia tegoż samego zadowolenia.

Pierwszy rodzaj wartości można nazwać „wartością z produkcyi", drugi zaś „wartością z zobowiązania". Oczywiście, że wartość w jedynie naukowem znaczeniu wartości zamiennej posiada to samo znaczenie bez względu na swe źródło; ale uznanie dwu gatunków wartości, zależnie od źródła powstania, wprowadza ścisłość do ekonomii i usuwa panujące zamieszanie.

Wartość, wynikającą z zobowiązania, a więc nie zwiększającą ogólnego zapasu bogactwa, można podnieść w różny sposób. Najwybitniejszy przykład tego daje nam wartość ziemi, ta forma wartości z zobowiązania jedynie, która w pochodzie ludzkości ku cywilizacyi dąży szybkim krokiem do wzrostu, a w świecie współczesnym zyskała, być może, więcej, niż względne znaczenie, jakie niewolnictwo posiadało ongi w świecie klasycznym. W Anglii, w Stanach Zjednoczonych lub w innym wysoko cywilizowanym kraju znaczenie to

tak już jest wielkie, że sprzedażna wartość ziemi staje się wartością sprzedażną wszelkiej „wartości z produkcyi"; a pierwszą właśnie naturalny postęp ludzkości ustawicznie powiększa. Ziemia jednakże nie jest bogactwem w pojęciu ekonomicznem. Ziemia w odniesieniu do jednostki nie posiada moralnej sankcyi własności, nie powinna bowiem należeć do jednostek, lecz do całej społeczności. Uważana przez ogół za najwyższą formę i typ bogactwa ziemia w rzeczywistości nie jest dla ekonomisty żadnem bogactwem.

To właśnie spowodowało, że ani Adam Smith, ani też jego następcy nie mogli uznać dwu gatunków wartości, bo takie uznanie sprowadziłoby rewolucyę, jakiej ludzkość jeszcze nie widziała.

A jednak przyjęcie tej prostej teoryi wartości pozwoli nam wyjaśnić z łatwością i pewnością wiele punktów, wprawiających w kłopot ekonomistów, którzy ją ignorowali, i każących wątpić, czy rzetelna wiedza ekonomii politycznej jest możliwa. W świetle tej teoryi wszystkie powikłane objawy wartości i zamiany stają się jasne i okazują się jedynie ilustracyami tego fundamentalnego prawa umysłu ludzkiego, które zniewala ludzi do zadowolenia pragnień na drodze najmniejszego wysiłku.

Cokolwiek zwiększa przyrodzone lub sztuczne przeszkody na drodze do zaspokojenia pożądania, odczuwanego przez ostatecznych konsumentów, towarów, zmuszając ich do zużycia większej ilości wysiłku lub zniesienia większej miary znoju w celu osiągnięcia tych towarów, podnosi wartość. Tak więc wojny, taryfy, piraci, brak spokoju, monopole, podatki i obostrzenia wszelkiego gatunku, utrudniające zadowolenie pożądania pewnych rzecry, podnoszą ich wartość, podczas gdy odkrycia, wynalazki i udoskonalenia, zmniejszające wysiłek, potrzebny do zaspokojenia pragnienia, zmniejszają wartość.

To nam daje również jasne rozwiązanie pytania, które zajmowało i jeszcze zajmuje wiele umysłów—mianowicie pytania, czy sztuczne podniesienie wartości przez rządowe restrykcye leży lub nie leży w interesie społeczeństwa. Jeżelibyśmy uważali wartość, jako prosty stosunek wymienności między rzeczami zamiennemi, to mogłoby się znaleźć miejsce na debaty. Ale jeżeli widzimy, że wartość zostaje w stosunku do znoju i kłopotów, jakim muszą się konsumenci poddać w celu zadowolenia pożądania, dyskusya wszelka ustaje. Niedostatek może być czasami względnie dobry dla niewielu; obfitość jednak leży zawsze w interesie ogółu.

Tak ważną jest rzeczą znajomość bogactwa, tego głównego czynnika ekonomii politycznej, abyśmy w przyszłości nie mieli pod

tym względem żadnych wątpliwości, lecz abyśmy mogli z całem zaufaniem znajomość jego natury uważać jako punkt wyjścia w rozumowaniu, że nie od rzeczy będzie zastanowić się nad tem, jak bogactwo powstaje i jaka jest jego istota.

Bogactwo jest owocem ludzkiego wysiłku. Ale wszelki ludzki wysiłek nie stwarza bogactwa. Nie tylko bowiem mamy niepowodzenie i przypadki w zastosowaniu wysiłku do wyprodukowania bogactwa, ale nadto produkcya bogactwa nie jest jedynym celem ludzkiego wysiłku.

Wszystkie czyny człowieka biorą źródło w pragnieniu i wszystkie zmierzają do zaspokojenia tegoż pragnienia. Ale gdy weźmiemy pod rozwagę te czyny ludzkie, które dążą do materyalnego zadowolenia, widzimy, że istnieje znaczna różnica co do sposobu, w jaki następuje zaspokojenie pragnienia. W jednych wypadkach chodzi o bezpośrednie i natychmiastowe zadowolenie, w innych zaś o pośrednie i opóźnione.

Gdy człowiek wykonywa szereg czynności w celu bezpośredniego zaspokojenia własnego lub też czyjegoś głodu, to, jakkolwiek mamy tu wysiłek, dążący do zadowolenia pożądania, nie mamy wcale bogactwa. Gdy zaś człowiek, jako istota, rozumująca i przewidująca powrót pożądania, zrobi sobie zapas pożywienia lub przedsięweźmie środki jego pomnożenia i zapewnienia na dalszą przyszłość, to wtedy wysiłek jego nie zmierza do bezpośredniego, lecz do pośredniego i oddalonego, zaspokojenia potrzeby. W tym wypadku powstaje coś nowego, co przedtem nie istniało, i to właśnie nazywamy bogactwem, które składa się z naturalnych substancyi lub produktów, tak zmienionych co do miejsca, kształtu lub kombinacyi pod wpływem pracy ludzkiej, aby mogły lepiej zaspokoić pragnienia człowieka. Istotną cechą bogactwa jest ucieleśnienie czyli nagromadzenie w materyalnej formie czynności, dążącej do zaspokojenia pożądania, tak, że owa czynność nabiera cechy trwałości.

Idei bogactwa nie można sprowadzić do zadowolenia jedynie, ponieważ wtedy nawet, gdy celem i rezultatem wysiłku jest zadowolenie pragnienia ze strony czyniącego ów wysiłek, istnieje koniecznie stan przejściowy, w którym zużyty wysiłek pauzuje i zostaje na czas jakiś zamknięty w konkretnej formie, z której może być uwolniony nie tylko dla zaspokojenia potrzeby tego, kto uczynił ów wysiłek, ale i każdego innego człowieka. Gdy zrywam dzisiaj owoc dla zaspokojenia jutrzejszego głodu, to zadowolenie, jakiego doznaję podczas jedzenia owocu, nie jest bezpośrednim wynikiem

wysiłku, lecz rezultatem usługi, z której ja sam korzystam bezpośrednio, przez co nie traci cechy przysługi, jakąby miała niezawodnie, gdyby naprzykład żona moja użyła tego samego owocu do zaspokojenia uczucia głodu.

Tak więc, jeżeli pragniemy uogólnić ideę bogactwa, to najodpowiedniejszem i najwięcej obejmującem byłoby słowo, wyrażające ideę usługi bez względu na jej formę. Istotną ideą bogactwa jest idea usługi, ujętej w materyalne formy, i używanie bogactwa, wymiana bogactwa, jego dawanie lub otrzymywanie jest w gruncie niczem innem, jak używaniem, wymianą, dawaniem lub otrzymywaniem usług.

Lecz pierwsza i najprostsza forma usługi, w której korzystający z niej doznaje wprost zadowolenia potrzeby, płynącego z czynu (i do której dla ścisłości termin „usługa" powinien być ograniczony), chociaż podlega procesowi dawania, otrzymywania i wymieniania, to jednak podlega temu procesowi w ciasnych tylko granicach, ponieważ siła zużywa się w takiej bezpośredniej usłudze i ginie, podczas gdy w czynności, wydającej bogactwo, siła nie jest ostatecznie jeszcze zużyta, lecz nagromadza się w formie materyalnej, dającej się zużyć w czasie dowolnym.

W usłudze bezpośredniej zdolność ludzkiego wysiłku do zaspokojenia potrzeby równa się elektryczności, wyładowanej w piorunie. Ale w usłudze pośredniej drogą nagromadzonego bogactwa siła zostaje przez czas jakiś niezużyta w łatwo zamiennej postaci, z której może być powołana do użycia każdej chwili.

Gdy zasadniczą ideą bogactwa jest możność wykonania usługi, przechowana w materyalnej formie, mówić o bogactwie niemateryalnem, jak to czynią niektórzy ekonomiści, znaczy to samo, co mówić o kwadratowych kołach lub trójkątnych kwadratach. Nie może być przedmiotem bogactwa, co nie podpada pod zmysły. W ścisłem pojęciu bogactwo nie może obejmować żadnych naturalnych substancyi lub sił, nie zmienionych pod wpływem wysiłku ludzkiego. Mówić o bogactwie naturalnem, chrzcić mianem bogactwa ludzką zdolność, wiedzę czy energię znaczy popełniać *contradictio in re.*

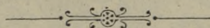
Na zakończenie księgi, traktującej o teoryi wartości i bogactwie, mówi nam jeszcze Henry George o tem, co to jest kapitał. O ile bogactwo jest pracą, podniesioną do drugiej potęgi, to jest pracą, skrystalizowaną w formy materyalne w celu zaspokojenia potrzeb ludzkich pośrednio w dowolnym terminie,—kapitał jest pracą, podniesioną do trzeciej potęgi, to jest tą częścią bogactwa, które nie

ma służyć do bezpośredniego zaspokojenia potrzeb ludzkich, lecz do pośredniego tylko przez to, że pomaga pracy do wytworzenia nowego bogactwa. Zatem każdy kapitał jest *eo ipso* bogactwem, ale nie każde bogactwo jest kapitałem. Definicya jest jasna i nie wymaga bodaj wcale dłuższego roztrząsania. Na tem zamyka się księga trzecia całego dzieła, księga najobszerniejsza, bo mająca na celu postawienie i uzasadnienie nowych pojęć z zakresu ekonomii politycznej.

Dok. nast. *Wojciech Szukiewicz.*



Nowa historya literatury polskiej.



Piotr Chmielowski: Historya literatury polskiej. Warszawa, 1899, tom I i II (do końca w. XVIII).

Pół wieku upłynęło od pojawienia się roku 1851 ostatniej na większą miarę podjętej, lecz niefortunnie uplanowanej i niedokończonej, historyi literatury polskiej, jaką miało być „Piśmiennictwo polskie" W. A. Maciejowskiego.

W pięć lat później, pojawia się w Poznaniu mała rozmiarami, lecz bogata w szczegóły biograficzne, monografia, poświęcona Kochanowskiemu, którą można uważać za pierwszy wybitniejszy pojaw nowego zwrotu w pracy nad historyą naszej literatury.

Ruina wieży Babel, wytworzonej przez nieudolne przedsięwzięcie Maciejowskiego, odstraszy na długo wszystkich poważniejszych pracowników od ponownych prób tego rodzaju, a życzliwe przyjęcie pracy Przyborowskiego o Kochanowskim wraz z budzącą się powoli świadomością potrzeby częściowego opracowywania materyału, nagromadzonego do wzniesienia wielkiego gmachu dziejów literatury polskiej, wywoływać będą coraz żywszą działalność w tym kierunku.

Półwiekowa praca licznego zastępu monografistów rozszerzyła i pogłębiła naszą wiedzę o literaturze, wydobyła z zapomnienia mnóstwo postaci i utworów zatraconych.

Im trudniej jednak na podstawie tych licznych, rozproszonych, często niedostępnych ogółowi opracowań wytworzyć sobie obraz całości procesu dziejowego, tem więcej czuć się dawała potrzeba pracy, któraby zsumowała, a raczej zespoliła organicznie, rezultaty tych częściowych poszukiwań i rozbiorów.

Na początku obecnego stulecia Bentkowski skupił i rozklasyfikował w swej książce całą sumę danych, zgromadzonych w licznych monografiach bibliografów wieku XVIII, i szczupły zasób powierzchownych, ogólnikowych sądów krytycznych, rozproszonych po pismach współczesnych powag literackich. Chcąc zadość uczynić rozlicznym potrzebom społeczeństwa ówczesnego, ułożył on, jako młody wtedy nauczyciel liceum warszawskiego, swą: „Historyę literatury w spisie dzieł, drukiem ogłoszonych", tak, iżby mogła służyć, jako podręcznik szkolny przy wykładzie stylistyki, a zarazem informować bibliomanów i wszystkich szukających dat i danych z zakresu literatury, a wreszcie więcej rozwiniętym umysłowo czytelnikom dał we wstępie obszernym zarys rozwoju dziejowego, polegający na rozpatrywaniu kolejnem czynników, sprzyjających rozkwitowi piśmiennictwa, i warunków, nieprzyjaznych dla jego wzrostu. Na przewadze pierwszych lub drugich czynników oparł Bentkowski podział historyi literatury na okresy, zaprojektowany, ale nie przeprowadzony w samem dziele.

Zbliżający się koniec stulecia zwraca obecnie myśl ludzką ku przeszłości, pobudza do skupiania i uogólniania porozpraszanych w częściowych badaniach rezultatów pracy umysłowej. Człowiek chciałby ogarnąć całość dotychczasowego swego dorobku, a w ciaśniejszym zakresie uświadomić sobie przynajmniej rezultaty działalności społeczeństwa, którego jest cząstką. Obok wyspecyalizowania pracy umysłowej do ostatecznych granic, występuje lekceważona przez goniących za szczegółami poszukiwaczy i erudytów, lecz żywo odczuwana przez miliony umysłów, potrzeba koncentracyi i syntezy.

W zakresie badań nad literaturą polską też same spotykamy zjawisko. Najpoważniejsi monografiści unikają lękliwie uogólnień i sceptycznie zapatrują się na wszelkie usiłowania w tym kierunku, zaś ogół, spragniony wiedzy w rzeczach najbliżej go obchodzących, wyczekuje niecierpliwie ujęcia całego zasobu danych, zdobytych przez dotychczasową pracę nad literaturą ojczystą, w jeden

niezbyt rozległy, bogaty w treść, trafnie ugrupowany obraz dziejowy.

Jeden z najzasłużeńszych i najpracowitszych monografistów na polu badań nad literaturą polską, Piotr Chmielowski, odczuwając żywo potrzeby ogółu, podjął to trudne wielce, a doniosłe ze względów społecznych i naukowych, zadanie.

Praca jego, zostaje w podobnym stosunku do półwiekowych badań monografistów, co dzieło Bentkowskiego do poszukiwań bibliografów wieku XVIII.

Autor pierwszej „Historyi literatury polskiej" był nauczycielem szkół warszawskich i pomocnikiem Lindego w pracy nad słownikiem, Chmielowski jest jednocześnie pedagogiem i krytykiem. Jako pedagog, nie mając do rozporządzenia katedry uniwersyteckiej, zajmował się nauczaniem literatury w średnich zakładach naukowych żeńskich i kołach prywatnych, a więc musiał w wykładzie stosować się do skromnych potrzeb umysłowych i stopnia rozwoju uczniów i uczennic. Jako krytyk, nawykł do ścisłej, drobiazgowej analizy utworów ze stanowiska myślowego przeważnie, odpowiednio do swego uzdolnienia i wykształcenia, opartego na studyach filozoficznych i naukowych.

Jak dzieło Bentkowskiego powstało przez rozszerzenie ram zamierzonego pierwotnie podręcznika szkolnego do wykładu stylistyki, tak i pracę Chmielowskiego cechują przyzwyczajenia i względy pedagogiczne, którymi kieruje się autor, przemawiając do szerokiego koła czytelników popularnego wydawnictwa „Biblioteki dzieł wyborowych".

Świadomość potrzeby szerszego, a zarazem popularnego zarysu dziejów literatury, — wobec braku odpowiednich podręczników, sposobność rozpowszechnienia wiedzy w tym zakresie za pomocą wydawnictwa, liczącego dziesiątki tysięcy czytelników, a więc czysto społecznej natury pobudki, skłoniły Chmielowskiego, tak ostrożnego w syntezie, tak stroniącego z natury umysłu, a więcej może z zasady, od uogólnień i nierozłącznych z niemi hypotez, że pomimo to zdecydował się wykonać pracę, w której musiał wystąpić z własną syntezą dziejów literatury, wprowadzić nowe uogólnienia i ugrupowania faktów.

Zamknąwszy w dwu wydanych dotąd tomach dzieje literatury po koniec wieku XVIII, przeznaczył Chmielowski wiekowi dziewiętnastemu aż cztery tomy. Już w tym ustosunkowaniu materyału przebija się wzgląd na użyteczność społeczną i pedagogiczną, jakim głównie kierować się będzie autor. W całej swej do-

tychczasowej działalności jest on właściwie historykiem literatury wieku XIX, któremu poświęcił około 12 tomów specyalnych studyów obok licznych rozproszonych po czasopismach i encyklopedyach ocen, rozpraw i biografii. Ogrom trudu, włożonego w te wszystkie dzieła, budzi cześć i podziw dla badacza i pozwala umieścić Chmiełowskiego w szeregu najzasłużeńszych pracowników w zakresie społeczno-naukowym, może zaraz po Lelewelu i Kraszewskim, których przypomina kontrastem wątłego, podkopanego przez chroniczną chorobę organizmu z niewyczerpaną energią władz duchowych. Przeczytał on i ocenił całą produkcyę umysłową wieku XIX z zakresu beletrystyki. Nikt z pewnością u nas nie posiada w swej wiedzy tak bogatego materyału do napisania historyi literatury obecnego stulecia, jak autor znanych i cenionych powszechnie prac o Mickiewiczu, Kraszewskim, autorkach polskich i tylu innych.

Literaturą wieków poprzednich zajmował się Chmielowski tylko dorywczo. Wobec tego w dwu pierwszych tomach „Historyi literatury" nie mógł dać nam rezultatów własnych poszukiwań, lecz streszczał przeważnie wyniki różnorodnych opracowań monograficznych.

Że zadanie swe pojmował należycie, świadczy wstęp do dzieła, w którym powiada: „Nie mając bynajmniej pretensyi do odtworzenia całej duszy narodu, postaram się przynajmniej wskazać, jakim przemianom ulegały jej objawy w ciągu dziewięciowiekowego ich odźwierciadlania się w dziejach literatury, pojętej w ściślejszem znaczeniu, to jest tak zwanej literatury pięknej — od pierwszego szczebiotu dziecinnego aż do wspaniałych przejawów namiętnego uczucia, wzniosłej fantazyi i wzmożonego na siłach rozumu".

Czy jednak zdołał historyk zrealizować w dwu ogłoszonych tomach tak trafnie pojęty i jasno sformułowany program?

Ponieważ „respekt prawdzie nie może przeszkadzać" i „chwalić defekta, to więcej niż zdradzać", jak o tem nas poucza Krasicki, przeto, wstrzymując się zarówno od twierdzącej odpowiedzi na powyższe pytanie, jak i od wyszukiwania drobnych usterek, których część zwalić należy na rachunek wydawców, zwrócę uwagę jedynie na doniosłe, i to w zasadniczych kwestyach, odstępstwa od wytkniętego na czele dzieła zadania, odstępstwa, które częściowo można usprawiedliwić nieprzyjaznymi warunkami, w jakich znajdował się Chmielowski w czasie pośpiesznego pisania tego dzieła, ale pominąć ich milczeniem nie pozwala zarówno wzgląd na dobro nauki, jak i szacunek dla zasłużonego tak na tem polu autora.

Podzielając najzupełniej przytoczone powyżej określenie zadania historyi literatury, z którem zgodnie stara się Chmielowski w ciągu pracy wysuwać na pierwszy plan same utwory, jako zjawiska, stanowiące główny przedmiot nauki, nie mogę zrozumieć, dlaczego, jako zasadę podziału, przyjął przekształcenia, cechujące inną dziedzinę pojawów życia społecznego, i dopatrzył w rozwoju literatury trzy epoki: kościelną (do r. 1400), szlachecką (do końca XVIII wieku) i narodową, obejmującą obecne stulecie.

Uogólnienia te, zwłaszcza w granicach czasowych, przyjętych przez historyka, zostając w bardzo luźnym, odległym nawet związku ze zjawiskami literackiemi, które mają jednoczyć i określać, nietylko, że nie objaśniają nam w licznych wypadkach ich natury, lecz przeciwnie zacierają często cechy charakterystyczne ważnych pomników piśmiennictwa. Jeżeli np. w kronice Janka z Czarnkowa zechcemy doszukać się znamion kościelności, a w historyi Długosza dopatrywać tendencyi szlacheckich, to czyż analiza tych zabytków potwierdzi trafność przyczepionej do nich etykiety? Czyż można piętnem szlacheckości cechować dążenia i pisma takich ludzi, jak: Modrzewski, Skarga, Klonowicz, Szymonowicz tudzież wszyscy reformatorzy wieku XVIII?

Czyż nawet Rejowi i Kochanowskiemu nie będzie za ciasno w tej wązkiej opasce, przysłaniającej ich ogólno ludzkie dążenia, cele, poglądy, tak wybitne w najważniejszych utworach? Nietylko Modrzewski, Skarga i Staszyc, ale tak dobrze Kochanowski, jak i Karpiński, zaprotestowaliby z pewnością, zapytani, przeciw takiemu zacieśnieniu i zabarwieniu ich uczuć i przekonań.

Ponieważ, w miarę wzrastającej intensywności życia duchowego i rozszerzania się oświaty w różnych warstwach społeczeństwa, wzmaga się rozmaitość utworów piśmiennych, różniących się wielce treścią i formą, w związku z mnożeniem się potrzeb coraz to liczniejszych czytelników, stopniem uzdolnienia piszących i zależnością ich od rozlicznych dążeń kościelnych, politycznych, społecznych, przeto ścisłe odzielenie czasowe, zwłaszcza drobniejszych okresów, staje się niemożliwem i musi być zastąpione grupowaniem zjawisk literackich wedle ich cech charakterystycznych, na podstawie zależności od pewnego prądu pojęć, uczuć, dążeń, występujących w jakiejś warstwie czy grupie społecznej, lub też na podstawie wpływu, wywartego przez pewien doniosły pojaw literacki, wreszcie i z pomocą pokrewieństwa formalnego.

Jeżeli jeden pisarz podlega nieraz różnym prądom i czyni za-

dość rozmaitym potrzebom umysłowym, przeto utwory jego trzeba rozmieszczać w różnych grupach.

Dzieląc okresy na drobniejsze podziały (doby), Chmielowski napotyka tu jeszcze większą trudność w określeniu granic i dlatego nie podaje wcale dat. Podział taki, nie posiadający zalet ścisłości i stałości oznaczeń czasowych i nie dający korzyści, jakie przedstawia ugrupowanie, oparte na wewnętrznym związku utworów, zarówno nie odpowiada wymaganiom naukowym, jak i względom praktycznym, wynikającym z popularnego charakteru dzieła. Rozrywając naturalne związki między pojawami literackimi, utrudnia ich ocenę i zrozumienie, a wytwarzając sztuczne połączenia obcych duchem i treścią utworów, sprowadza zamęt w dziele i w umyśle czytelnika, zmuszonego do przeskakiwania z jednej sfery pojęciowej do drugiej. Zadaniem każdej klasyfikacyi naukowej jest przedewszystkiem uwydatnianie, obok cech, wyróżniających dany szczegół, związku i pokrewieństwa przedstawianych pojawów i faktów.

Zapewne, że nauki historyczne nie łatwo i nie prędko osięgną, choć w przybliżonym stopniu, tę ścisłość i stałość w klasyfikacyi, jaka cechuje nauki przyrodnicze, ale muszą dążyć do niej stopniowo i wraz z rozwojem socyologii i psychologii zdobędą sobie zapewne stałe zasady dla swych uogólnień. Jeżeli porównamy metodę gdańskiego bibliografa Brauna, który w swej pracy łacińskiej „O zaletach i wadach pisarzów polskich" użył za podstawę klasyfikacyi formatu książek, z grupowaniem pisarzów we współczesnych lepszych podręcznikach historyi literatury, to uwidoczni się nam postęp, dokonany u nas w ciągu niecałych dwu wieków. Mimo to daleko jeszcze nam nietylko do możliwego kresu, ale choćby do tego stopnia, jaki osiągnęli w swych pracach historycy literatury na Zachodzie. Wobec obojętności, jaką okazują nasi pracownicy na tem polu dla kwestyi metodycznych, sądziłem, że ocena poważnej pracy Chmielowskiego musi przedewszystkiem mieć na względzie podstawowe zagadnienia i sposoby, jakimi je rozwiązał zasłużony historyk.

Że przyjęte przez niego zasady podziałów i uogólnień nie odpowiadają wymaganiom ścisłości naukowej i potrzebom pedagogicznym, to stwierdzają liczne niewłaściwości, wynikające ze stosowania tych zasad przy grupowaniu pomników literackich. Tak np. skutkiem roździału pierwszej epoki dziejów literatury na dwa okresy na podstawie stosunku kościoła do władzy państwowej kroniki Galla i Kadłubka dostały się do I okresu, a Kronika wielkopolska i Janka z Czarnkowa do II zatytułowanego: „Potęga kościoła". Tymczasem właśnie kronika Kadłubka jest wyrazem najwybitniejszym prze-

wagi idei kościelnej i religijnej, a Janko z Czarnkowa to świecki całkiem polityk pod szatą księżą.

Kronice wielkopolskiej wyznaczył autor miejsce w wieku XIV obok Janka, przedzielając te dwa zabytki od dzieła Kadłubka granicą przełomu okresowego.

Gdyby nawet hypoteza Kętrzyńskiego, który, wbrew przyjętej i potwierdzonej przez poważne studya opinii, widzi w Kronice wielkopolskiej zabytek nie XIII, lecz XIV wieku, okazała się słuszną, na co zamało podano dowodów, to i wtedy nawet postawienie tego zabytku obok pracy podkanclerzego Kazimierza W. nie przestałoby nas razić, podczas gdy pomieszczenie wszystkich pomników dziejopisarstwa z epoki piastowskiej w jednej grupie, ułatwiłoby uwydatnienie zarówno związku, zachodzącego między tymi zabytkami, jak różnic charakterystycznych i postępu, jakiego pojawem jest praca Janka z Czarnkowa. Roździał o szkole wyższej, założonej w Krakowie przez Kazimierza W., umieszczony w części, poświęconej zabytkom wieku XIII, prosi się również o połączenie z charakterystyką uniwersytetu jagiellońskiego.

Epokę drugą, „szlachecką", dzieli Chmielowski na okresy, którym nadaje nazwy, oparte wprawdzie już na samych zjawiskach życia duchowego, ale cechujące zwykle pewne tylko grupy zjawisk, z pominięciem najważniejszych i najliczniejszych. To też cały szereg faktów, objętych danym okresem, przeczy zwykle podanemu na czele uogólnieniu.

Spotkawszy na początku pierwszego okresu epoki szlacheckiej nadpis: „Budzenie się żywiołu świeckiego—świt humanizmu", czytelnik nadaremnie będzie szukał tych świeckich pisarzów, a choćby nawet świeckich poglądów na świat w dziełach ludzi, noszących suknię duchowną, jak to bywa rzeczą zwykłą w literaturze wieku XVIII. Pominąwszy niesłusznie Kallimacha, może historyk usprawiedliwić swe określenie jedynie postacią Ostroroga. Czyż jednak to przecenione z pewnością „Monumentum" może przeważyć, a choćby zrównoważyć tylko doniosłość wielkich dzieł Długosza, najpoważniejszego niewątpliwie przedstawiciela życia kościelnego, narodowego i umysłowego w wieku XV?

Okres od r. 1505 do 1625 nazywa Chmielowski: „Rozkwitem humanizmu i reformacyi". W historyi życia umysłowego w Polsce możnaby z pewną modyfikacyą dat zgodzić się na to określenie, lecz w dziejach literatury jest ono za szerokiem, jest nieodpowiedniem z tego względu, że zakrywa ważne cechy pojawów literackich, a nadewszystko ich związek z nurtami życia narodowego, które, choć

ulegało wpływom humanizmu i reformacyi, miało przecie swe odrębne potrzeby i cele. Określenie to charakteryzuje nie cechy i istotę samych pomników literatury, lecz tylko dwa doniosłe czynniki — a było ich więcej—rozwoju ówczesnej literatury.

Pierwszą dobę tego okresu, obejmującą czasy Aleksandra i Zygmunta I, określił Chmielowski wyliczeniem trzech wybitnych pojawów, jakimi są: „Kopernik, Poeci humaniści. Pierwsze druki polskie".

Zapewne, że niemożna pominąć Kopernika w „Historyi literatury polskiej", ale względy metodyczne nie pozwalają umieszczać na miejscu naczelnem zjawiska świetnego wprawdzie, jednak do innej należącego dziedziny. Jako poprzednik szeregu poetów i historyków, jako marszałek, otwierający pochód humanistów, jest on nie na miejscu. Takiego potentanta właściwiej było ukazać w głębi, po nad tłumem wierszopisów i dziejopisów, górującego nad nimi potęgą umysłu genialnego, a jednocześnie zespolonego pokrewieństwem kultury umysłowej, a nadewszystko rozbudzonego przez tę kulturę indywidualizmu, który w Koperniku znalazł swój najświetniejszy i najpodnioślejszy wyraz.

W poczcie poetów i historyków łacińskich nie spotykamy Bernarda Wapowskiego, który, jako autor poważnej rozmiarami i wartością Historyi polskiej, jako kolega Kopernika, zasługuje więcej na pomieszczenie, w każdej choćby i szczuplejszych jeszcze rozmiarów Historyi literatury polskiej, niż Przyłuski lub Decyusz, dla których znalazło się miejsce.

Pierwsze druki polskie mają znaczenie przeważnie tylko pomników języka, jako przekłady lub przeróbki obcych utworów. Należałoby tę odrębność silniej uwydatnić i omówić te zabytki w specyalnym roździale, poświęconym zarysowi rozwoju języka literackiego, pod wpływem różnych czynników.

Tu znalazłoby się miejsce właściwe na scharakteryzowanie ruchu piśmienniczego (przekłady i polemika), wywołanego przez reformacyę, a za to w przedstawieniu wpływu tej ostatniej na rozkwit życia umysłowego i piśmiennictwa historyk troszczyćby się powinien więcej o wykazanie siły i natury tego czynnika na oryginalnych, doniośłejszej wartości dziełach, jakiemi są przedewszystkiem pisma Modrzewskiego.

Tymczasem z niemałem zdziwieniem czytelnik spotyka w dziele Chmielowskiego—tego pisarza, tak podniosłego, głębokiego, autora dzieła, przynoszącego zaszczyt naszej literaturze, na jednej ławie z Marcinem Czechowiczem, zdolnym, ciętym i fanatycznym polemi-

stą. Czyż jednak można widzieć w Modrzewskim tylko znakomitego przedstawiciela „aryanizmu" polskiego? Czyż godzi się tak niezwykłej postaci i tak doniosłej książce poświęcić tyle akuratnie miejsca, ile zajmuje nie kwalifikujący się właściwie do figurowania w Historyi literatury ruchliwy sekciarz?

Pomieszczenie Orzechowskiego w grupie obrońców katolicyzmu, po Hozyuszu i Kromerze, wysuwa na pierwszy plan końcowy okres jego działalności, w którym ten świetny trybun szlachecki, ognisty publicysta, mówca i agitator zmienia się w zajadłego polemistę i obrońcę idei teokratycznych.

Jak historycy polityczni w wyprowadzaniu na widownię wybitnych postaci nie zwracają uwagi na datę urodzenia, ale moment wystąpienia z doniośléjszym czynem, tak i historycy literatury powinniby, bez względu na datę metryki, brać pod uwagę, jedynie chwilę pojawienia się pierwszej oryginalnej, doniośléjszej pracy i wpływ, jaki ona wywarła. Przy takiej zasadzie Bielski, pomimo starszeństwa wieku i pierwszeństwa w występie literackim, musi ustąpić miejsca Rejowi, który w swej „Krótkiej rozprawie" stworzył oryginalny—jeśli nie w pomyśle, to w treści i obrobieniu obraz, skupiający, w grupo zarysowanych szkicach, wszystkie właściwości życia współczesnego. Zamiast więc, sprzecznie z przyjętą w całem dziele zasadą, roździelać zarys działalności Bielskiego na dwie połowy, tworzące jakby ramy, w które zamknięty został twórca „Zwierciadła", było właściwiej postawić Reja na czele grupy pokrewnych mu pojęciami, formą utworów, dydaktyzmem i stopniem artyzmu, pisarzów, jakimi są, oprócz obu Bielskich, Stryjkowski i Paprocki. „Panosza" tego ostatniego to dalszy ciąg drugiej księgi „Zwierzyńca", a „Gniazdo cnoty" i „Herby rycerstwa" to znowu dalsze przekształcenia i uzupełnienia „Panoszy".

Niedogodności i niewłaściwości, wynikające z grupowania pisarzów, nie zaś dzieł samych, spotyka się na każdym kroku. Nietylko takim pisarzom, którzy się posługiwali dwoma językami, jak Kromer, Orzechowski, Szymonowicz, trudno wybrać odpowiednie miejsce w obrazie dziejowym, ale jeszcze trudniej uwzględnić i uwydatnić różne kierunki działalności zarówno u Bielskiego i Stryjkowskiego, jak i u Górnickiego, który w dziele Chmielowskiego znalazł się między Bielskim (satyrykiem) a Kochanowskim, odłączony od pokrewnych mu zasługami i uzdolnieniem prozaików, jak Kromer (jako autor „Mnicha") i Orzechowski, a przytem zbyty bardzo pobieżną wzmianką.

Gdyby historyk zamknął postaciami Kochanowskiego i Szarzyńskiego „dobę rozkwitu poezyi polskiej”, to uczyniłby zadość i prawdzie dziejowej, i wymaganiom sztuki historycznej, której reguły nie stracą swej doniosłości nawet i wtedy, gdy historya jeszcze więcej, niż dziś, zbliży się metodą swą do nauk ścisłych. Tymczasem umieszczenie po Szarzyńskim takich pisarzów, jak Stryjkowski i Paprocki, razi nasze uczucia estetyczne i sprzeciwia się wymaganiom metody naukowej. Jeszcze niewłaściwszem jest zespolenie w jednej grupie z dwoma powyższymi pisarzami znakomitego historyka łacińskiego Heidensztejna, który nie ma z nimi nic pokrewnego; poglądami swymi należy do szeregu przedstawicieli reakcyi katolickiej, a wysoką wartością dzieł zasłużył na szersze traktowanie. Niesłusznie także pominięty został drugi historyk łaciński tej epoki Świętosław Orzelski.

W dobie trzeciej, zatytułowanej: „Początki reakcyi katolickiej”, po Skardze, wysuniętym bardzo właściwie na pierwsze miejsce, ale mimo to zbytym bardzo pobieżnie, idzie Piotr Kochanowski, jako tłómacz „Jerozolimy”, z kolei zaś wysuwają się, w obszerniejszych znacznie zarysach przedstawieni, tak mierni wierszopisowie, jak: Klonowicz, Miaskowski i Grochowski, przedzieleni przez jedynego, niczem z nimi nie związanego artystę-poetę: Szymonowicza.

Na końcu szeregu znalazł się nadspodziewanie Joachim Bielski, któremu najwłaściwiej byłoby przytulić się pod skrzydła opiekuńcze ojca.

W okresie trzecim („Czasy reakcyi katolickiej i swywoli szlacheckiej”) pierwsza doba jest scharakteryzowana: „Początki przyćmienia światła i psującego się smaku”. Jako wybitne zjawisko wysuwa tu historyk ciekawe wielce i nieznane ogółowi pismo Olizarowskiego, profesora prawa w akademii wileńskiej „*De politica hominum societate*”. Dzieło to jednak swą treścią i poglądami społecznymi autora przeczy charakterystyce doby owej, jako pojaw światła i myśli postępowej. Obok tego wysunięcie na pierwszy plan całego szeregu polemistów, polihistorów, historyków i polityków, przy cofnięciu w tył licznego grona poetów, sprzeciwia się założeniu pracy, która przedstawiać ma rozwój dziejowy literatury w ściślejszem znaczeniu, t. j. literatury pięknej.

Rozdzielenie między dwie po sobie idące doby pisarzów, współczesnych i tak mało różniących się datą urodzenia i datami utworów, jak Twardowski, Morsztyn, Opaliński (zaliczeni do pierwszej doby), a z drugiej strony Potocki, Kochowski, Gawiński (włączeni do na-

stępnej, mającej się wyróżniać „Przeciwieństwem talentu i poczytności"), nie da się niczem usprawiedliwić.

Przyczyną tej niepoczytności utworów Potockiego i Gawińskiego był nie talent, wynoszący pisarzów po nad poziom ówczesnych umysłów, ale poprostu ruina ekonomiczna kraju całego, utrudniająca druk i rozchodzenie się książek, nie mających doniosłości praktycznej. Była tu więc sprzeczność między dość obfitą produkcyą w zakresie poezyi a słabą zdolnością konsumcyjną ogółu. Stąd pozostałości tej nadprodukcyi stopniowo wchodzą w obieg w wiekach następnych. Współczesny francuski krytyk i historyk literatury, Brunetière w ogłoszonym niedawno treściwym zarysie literatury francuskiej posuwa ścisłość metodyczną tak daleko, iż utwory wieku XVII, nieogłoszone współcześnie drukiem, jak pamiętniki Saint Simona i listy pani de Sévigné, wyłącza z liczby pomników literatury tego wieku, uważając za właściwe wyznaczyć im miejsce w epoce, w jakiej ukazały się na świat i wywarły wpływ na czytelników i piszących. Rzecz niewątpliwa, że zarówno „Wojna chocimska", jak „Pamiętniki Paska", zostają w ściślejszym związku z literaturą wieku XIX, na którą pewien wpływ wywarły, niż z życiem umysłowem wieku XVII, któremu były nieznane i obojętne. Bogatą spuścizną po Potockim obdzieliły się dwa stulecia; wiek XVIII wziął romanse i swawolne żarty, wiek XIX ocenił i odczuł piękności „Wojny chocimskiej".

Metoda, jak słusznie powiada wspomniany tu historyk francuski, jest regułą, której trzeba się poddać, jeżeli chcemy z niej odnieść wszelkie możliwe korzyści i otrzymać należyte usługi. Brak tych korzyści w pracy Chmielowskiego, uwydatniony na licznych wskazanych tu przykładach, a z drugiej chwiejność, z jaką historyk stosuje swą metodę, świadczą najwymowniej o jej wadach. Umieszczając Staszyca, choć młodszego, przed Kołłątajem, wskazując Trembeckiemu, mimo starszeństwa wieku, miejsce po Naruszewiczu i Krasickim, przyznaje sam dacie urodzenia podrzędną rolę w sprawie grupowania pisarzów. Nadanie samym utworów pierwszorzędnego znaczenia nasuwało, jako konieczne następstwo, swobodne grupowanie utworów na podstawie ich stosunku chronologicznego, treściowego i formalnego, bez względu na daty biograficzne. Najważniejszym dowodem niewłaściwości, z punktu widzenia naukowego, metody, używanej przez historyka, jest wynikająca stąd niemożność organicznego powiązania szczegółów w jeden obraz dziejowy, są te ciągłe przeskoki, to sztuczne, dyalektyczne zwykle, nawiązywanie wątku opowieści z początkiem każdegu rożdziału.

W charakteryzowaniu autorów i utworów spotykamy w pracy Chmielowskiego dość często, i to właśnie w ocenie najwybitniejszych pisarzów, ważne odstępstwa od postawionej na czele dzieła obietnicy, iż postara się wykazać w swej Historyi literatury proces odźwierciadlania się duszy narodu w pomnikach piśmiennych „od pierwszego szczebiotu dziecinnego do wspaniałych przejawów namiętnego uczucia". Odstępstwo to polega na uwzględnianiu w charakterystykach jednego przeważnie czynnika—myśli i ocenianiu pisarza na podstawie jego pojęć i poglądów, czynniki uczuciowe zaś brane są pod uwagę tam tylko, gdzie liryczny charakter utworów lub formy zniewalają historyka do szukania w nich właściwości pisarza.

Tymczasem życie duchowe naszego młodego społeczeństwa odznaczało się stałą przewagą czynników uczuciowych nad myślowymi, przodownictwem serca przy słabości rozumu. Liryków, marzycieli, mówców gorących wydaliśmy niemało, w myślicieli byliśmy zawsze ubodzy.

Nowych, oryginalnych idei i poglądów nie doszukamy się u naszych pisarzów wieku XVI ni XVIII, o ile więc tą skalą wyłącznie zechcemy mierzyć i na tej podstawie charakteryzować pisarzów i pomniki literatury, to wydadzą nam się bardzo ubogie i blade. Z wyjątkiem Kopernika, najznakomitsi pisarze nasi wygłaszają w kwestyach religijnych, politycznych, obyczajowych czy naukowych poglądy, przejęte od obcych. Czy to Ostroróg, czy Modrzewski, Orzechowski lub Rej, jako myśliciele, nie przysporzyli światu ni jednej nowej, ważniejszej idei.

Ażeby ocenić doniosłość i piękność pism Modrzewskiego czy Staszyca, trzeba brać pod uwagę nie tyle ich kombinacye pojęciowe, rezultaty ich rozumowań, wartość teoretyczną czy praktyczną podawanych projektów, ile moralne pobudki i pierwiastki, potęgę uczucia, nadającego tym rozprawom, projektom, mowom, broszurom piękność i siłę, zniewalającą słuchaczów i czytelników.

Rozbierając pisma Kochanowskiego, Szarzyńskiego czy Karpińskiego, zajmuje się Chmielowski ich uczuciami i w nich szuka źródła piękności i wartości utworów. Czyż jednak Modrzewski w swych mowach przeciw prawu na mężobójstwo lub gorących ustępach dzieła „O poprawie rzeczypospolitej", Skarga w „Kazaniach sejmowych" lub Staszyc w „Uwagach" nie zawdzięczają wylewom potężnego uczucia swej siły i piękności, czyż nie wznoszą się w swym dydaktyzmie do tego podniosłego liryzmu, jaki przyobleka taką powagą ewangeliczną nauki „Ksiąg pielgrzymstwa"?

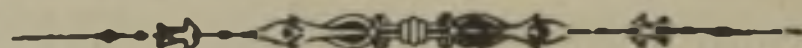
Pomijając w rozbiorze pism Modrzewskiego, Skargi czy Staszyca czynniki uczuciowe, pozbawił Chmielowski te postaci właściwego im majestatu i blasku, ukrył przed czytelnikiem ich wielkie, gorące serca, a ukazał tylko umysły, nie wiele przekraczające średnią miarę rozwoju i uzdolnienia. To też sucho i krótko wypadły oceny tych ludzi. Modrzewskiemu dostało się mniej miejsca, niż Bielskiemu, a Skarga zajął akuratnie tyle stron, co Herakliusz Lubomirski; Staszyc znowu postawiony został na równi ze Stanisławem Leszczyńskim, którego „Głos wolny" przebrzmiał bez echa, podczas gdy „Uwagi nad życiem Zamoyskiego" pobudziły tysiące dusz do czynu i wywołały całą literaturę polityczną.

Jestto niewątpliwie najpoważniejszy zarzut, jaki można uczynić pracy Chmielowskiego. Wadliwość uogólnień i grupowania może ujść uwagi czytelników, przyzwyczajonych do dowolności i braku planu poważnego w większej części dotychczasowych podręczników, z którymi nie można porównywać nawet pracy Chmielowskiego, noszącej w każdym szczególe piętno znajomości faktów, trzeźwego i samodzielnego o nich sądu.

Po książce Spasowicza jestto pierwsza Historya literatury polskiej, którą daje się czytać z korzyścią i przyjemnością, podczas gdy wszystkie inne podręczniki czy obszerniejsze opracowania służyły tylko, jako źródła informacyi biograficznych i bibliograficznych. Pomieszczane w nich oceny, przeważnie ogólnikowe, często najnietrafniejsze, nie mogły nikogo oświecić ni zainteresować.

Choć więc Chmielowski nie zdołał, mojem zdaniem, szczęśliwie rozwiązać trudnego wielce zadania, jakiem jest trafne ugrupowanie utworów czy pisarzów i oznaczenie czasowe zwrotnych momentów rozwoju, choć w charakterystykach kilku wydatnych postaci okazał się jednostronnym, to jednak dwa wydane dotąd tomy jego dzieła stanowią najlepszy, jaki dotąd posiadamy, podręcznik dziejów dawniejszej literatury i podają nam jasny, treściwy, rozumny, bogaty w trafnie wybrane szczegóły zarys, nadający się, jako kształcąca i zajmująca lektura dla szerokich kół publiczności.

Bronisław Chlebowski.



RUCH ARTYSTYCZNY.

Obraz Rochegross'a. — Gdzie dramat? — Realizm połowiczny. — Reklama.— Sztuka teatralna.—Naturalizm na scenie.—Pegaz szkapą.—„Karykatury" p. Kisielewskiego. — Dziennik reportera w akcyi. — Język mówiony.— Drobne rysy. — Zagadka psychologiczna.

W chwili obecnej nie zbywa publiczności warszawskiej na wrażeniach artystycznych.

„Zabójstwo cezara Gety" p. Rochegross'a, głośnego malarza francuskiego, „Bajka" i studya impresyonistyczno-symbolistyczne p. Okunia w „Salonie" p. Krywulta, „Cyrk Nerona" p. Styki w gmachu panoramy, malowidła tak zwanej „Szkoły Krakowskiej" na wystawie stałej Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych — oto wyraz naszego ruchu artystycznego w zakresie plastyki.

Przedstawienia sceniczne „Karykatur" p. Kisielewskiego, „Romantycznych" Rostand'a i „Rothhornówny" panów: Graybnera i Prażmowskiego w Teatrze Rozmaitości, a „Zazy" panów: Berton'a i Simon'a w Teatrze Małym — oto znamię życia w zakresie sztuki dramatycznej.

Powodzenie względne trupy włoskiej i koncertów symfonicznych w sali naszej „Opery", a bezwzględne wirtuozów i śpiewaków w Salach Redutowych — oto charakterystyka naszego ruchu w zakresie muzyki.

Właściwie, należałoby sprawozdanie z „Ruchu artystycznego" rozpocząć od dzieł swojskich, gdyż te tylko świadczą o naszem życiu artystycznem. Z uwagi jednak, iż obraz p. Rochegross'a: „Zabójstwo Cezara Gety" wkrótce zniknie z wystawy, pozwolę sobie jego charakterystykę umieścić na wstępie.

Pan Jerzy Antoni Rochegrosse (ur. w Wersalu 2 sierp. r. 1859) jest niezawodnie malarzem z wielu względów interesującym. Mimo to jego obraz, przedstawiający dramat krwawy w pałacu cesarskim w Rzymie starożytnym, nie wywiera wrażenia silnego. I nie dziw temu. Przedmiot nie pobudza wyobraźni do lotu w krainę fantazyi; wykonanie nie olśniewa oka, a indywidualność twórcy nie przemawia do duszy widza.

Przedmiot w obrazie jest rzeczą drugorzędną. Można, jak Henryk Regnault, namalować portret jenerała Prima na koniu, można, jak Matejko, umieścić figurę pojedyńczą Stańczyka w krześle, a mimo to stworzyć arcydzieło sztuki malarskiej z podkładem psychologii w obrazie. W danym jednak wypadku przedmiot obrazu jest czemś więcej, niż motywem koloru, bryły, czy linii: jest obrazem samym.

„Zabójstwo cezara Gety"... Kogo to obchodzi? W czyjej wyobraźni pamięć tego wypadku nabiera kształtów żywych? Kto to był Geta?

Po Komodusie, pod koniec II wieku ery chrześcijańskiej, nastąpił cały szereg tak zwanych cesarzów żołnierskich, obieranych i zrzucanych przez pretoryanów. Pod ich rządami okrutnymi, lecz bezsilnymi, państwo rzymskie szybko dążyło do upadku. Jednym z tych cesarzów był Lucyusz Septymiusz Severus (183 — 211), administrator znakomity i żołnierz dzielny, a mąż rozrzutnej żony, Julii Domny, która mu urodziła dwu synów: Getę i Karakalę. Obaj bracia nienawidzili się wzajem. Po śmierci ojca rządzili przez rok państwem, jako współregenci: Geta, lubiony dla swej dobroci i uprzejmości, Karakala, nienawidzony z powodu okrucieństwa, rozpusty i wybryków szalonych. Obaj, żywiąc ku sobie nienawiść wzajemną, otaczali się strażą zbrojną. Karakala wielokrotnie godził na życie Gety, lecz matka udaremniała zamachy. Wreszcie, aby uśpić podejrzenia Gety, Karakala zaproponował podział państwa i sprawił, iż matka powołała obu do swojej komnaty na naradę. Zaledwie jednak Geta wszedł, centuryonowie, znajdujący się pod rozkazami Karakali, rzucili się na niego i, powalonego u stóp matki, w której objęciach szukał ratunku, zakłuli mieczami (r. 212). Rów-

nocześnie wymordowano z rozkazu Karakali wszystkich stronników i przyjaciół Gety w liczbie 20,000 osób.

Imię Karakali, właściwie Marka Aureliusza Antoniusza Bassianusa, przeszło do historyi dzięki jego okrucieństwom i rozrzutności, Rzym zawdzięcza mu budowlę wspaniałą, łaźnie Karakali (*thermae Caracallae*) i modę długiej sukni galijskiej (*caracalla*), skąd też i jego przezwisko szydercze.

A Geta?.. Geta, młodzieniec sympatyczny, żyje we wspomnieniach historyków, jako ofiara nieszczęśliwa dzikich instynktów brata.

Zaiste, tytuł do nieśmiertelności marny, a i przedmiot do obrazu błahy. Śmierć Gety nawet na razie nie miała znaczenia wielkiego i niczem też nie wpłynęła na losy ludzkości. To też dziś, po siedemnastu wiekach zapomnienia, widz zdolny jest odczuć w niej zaledwie zwykły dramat rodzinny – i nic więcej. Ale i dramat rodzinny jest interesujący w wyrazie psychologicznym i w objawach zewnętrznych, jeżeli, uplastyczniony na płótnie, działa na wyobraźnię, wzrusza widza napięciem energii wewnętrznej lub wypukłością kształtów.

Obraz p. Rochegross'a na pierwszy rzut oka nie wywołuje wrażenia wcale. Przedewszystkiem niewiadomo, z jakiego punktu i na co w nim patrzeć należy. Co tu stanowi przedmiot obrazu? Julia Domna, Geta, Karakala, czy centuryonowie? Całość dekoratywna czy szczegóły malownicze? Doskonałość brył czy też wyraz uczuć? Plastyka czy psychologia? Ani jedno, ani drugie, ani trzecie, lecz potrosze wszystko razem, bo „Zabójstwo Gety" — to mieszanina konwencyonalności w pomyśle, rutyny akademickiej w kompozycyi, a realizmu połowicznego w odtworzeniu szczegółów materyalnych.

Obraz przedstawia wnętrze komnaty, oświetlonej górnem światłem z ukosa.

U wejścia, w pełnem świetle, stoi zwrócony, tyłem do widza, centuryon na czatach. Jedną ręką obejmuje kolumnę, drugą trzyma zdala od siebie. Stoi pochylony naprzód, z nogą, lekko opartą o posadzkę mozaikową — gotów w jednej chwili ostrzedz o niebezpieczeństwie. Ruch jego tłómaczy się jasno; bryła modelowana jest dokładnie. Nie należy jednak sądzić, że to postać główna w dramacie. Bynajmniej. Dramat rozgrywa się z boku, po lewej stronie obrazu, w cieniu, gdzie światło, ukośnie padając z góry, drobne tylko płaszczyzny brył oświetla wyraźnie. Tu tłum zwarty działaczów sceny miota się gwałtownie i ruchami, wzrokiem, myślą

mierzy w jakiś jeden punkt, znajdujący się niejako przed obrazem. Tu linie są tak powikłane, a postacie tak skłębione, iż na pierwszy rzut oka niewiadomo, o co chodzi. Zdaje się, że ci wszyscy ludzie lada chwila wylecą z obrazu, i na płótnie zostanie się tylko postać niewieścia, Julia Domna, z oczami wytrzeszczonemi okropnie, z ustami otwartemi do krzyku namiętnego, z ręką prawą, pomiernie a bez wysiłku wyciągniętą naprzód, oparta mocno głową o ścianę.

Na środku komnaty, a więc i obrazu, znajduje się druga postać, dobrze wyindywidualizowana w kształtach i bryle, żywa w ruchu. To drugi centuryon, opancerzony, w hełmie z pióropuszem, z mieczem krótkim w prawej ręce, z palcami, krogulczo zagiętymi, u lewej, zachodzi spiesznie, lecz chyłkiem od tyłu, by co rychlej dobiedz celu i ugodzić jakąś ofiarę.

W obrazie, w ruchach, czuć dramat; lecz gdzie cel, gdzie ofiara? W grupie zwartej z boku widać kilka postaci, pochylonych nizko ku ziemi, prawie klęczących, a nad ich głowami i tułowiami miecze połyskujące, zwrócone ostrzami to w górę, to ku dołowi. Z kierunku rąk, uzbrojonych w narzędzia mordercze, widać, iż ciosy nie są wymierzone przeciw Julii Domnie. Zresztą ta, prócz wyrazu przerażenia w oczach, nie zdradza akcyi żywej w ruchu postawy. Stoi sztywno, prawie bezwładnie, jakgdyby w oczekiwaniu ciosu z przodu wprost w piersi obnażone, w które jednak nikt nie godzi.

Więc może to bydlę z łbem kudłatym, z karkiem byka, oparte czołem o łono Julii Domny, jest celem walki? A może chodzi o jedną z tych postaci atletycznych, pełzających przy ziemi, nad któremi stoi centuryon z czaszką, prawie doszczętnie wyłysiałą, przechylony bokiem, z prawą ręką, wzniesioną gwałtownie w górę, by tem pewniej wpakować miecz po rękojeść w pierś ofiary?

Nie. Widać to z kierunku wzroku jednego z najmniej czynnych, lecz najbardziej wyrazistych, działaczy dramatu. Znajduje się on w środku grupy. Głowę ma nadmiernie wielką, ciężko osadzonę na krótkim karku, oczy przysłonięte powiekami miąszemi, a usta skrzywione szkaradnie, jak u zwierzęcia złego, jak u tygrysa, z namarszczonemi brwiami, bez blasku w oczach, lecz gotującego się do skoku. Na twarzy maluje się zmysłowość. Zdaje się, że to zwierzę dyszy pomrukiem namiętności, wydobywającej się chrapliwie z pod trzewów. Od barku jego, po tułowiu, spływa w pięknych fałdach szata purpurowa. To Karakala — trzymający w prawicy, wyciągniętej w górę, miecz odchylony

ostrzem za siebie, by tem pewniej, gdy chwila będzie sposobna, ruchem podwójnym się złożyć i zadać cios odrazu.

Lecz gdzie ofiara? Niema co; trzeba, jak w rebusach, przejść wzrokiem wszystkie figury i przedmioty po kolei i następnie drogą rozumowania rozwiązać zagadkę.

Na przodzie obrazu, z prawej strony, znajdują się dwa krzesła drewniane, ze wsporami kobielistemi, z nogami wygiętemi nazewnątrz. Jedno leży przewrócone, drugie stoi, jak stało — poduszka tylko spadła z niego na ziemię. Acha! Tu niezawodnie Karakala rozmawiał przed chwilą z matką o potrzebie rozdziału państwa pomiędzy obu braci. Gdy Geta ukazał się w komnacie, a za nim wtargnęli centuryonowie, oboje rozmówcy porwali się nagle z krzeseł i pospieszyli na drugą stronę komnaty. Tak, tak — niezawodnie. Wszakże na środku sceny leży stolik okrągły, pięknie rzeźbiony, a przed nim tarzają się po ziemi róże wspaniałe i kawałki rozbitego wazonu kryształowego.

Więc to stanowi dramat? Cierpliwości. Ponieważ w obrazie niema ani punktu zbieżnego linii, ani przedmiotu, uwydatnionego silnie za pomocą tła, ani osoby, opromienionej sztucznie światłem,ześrodkowanem w jednem miejscu, jak w teatrze, należy zatem rozwikłać uważnie gmatwaninę kolorów i plątaninę linii, a wtedy cel dramatu, zwłaszcza po wyłączeniu znamion pobocznych lub drugorzędnych, ukaże się oczom widza sam. Tak. W grupie morderców postać, najdziwaczniej przekręcona i najnamiętniej działająca, to centuryon, pochylony nadmiernie ku ziemi, z ręką gwałtownie wyciągniętą przed siebie, a zachodzącą ruchem półokrągłym za kolana Julii Domny. Ta ręka to drogowskaz dramatu: tędy do celu! Istotnie — oko po chwili zaczyna odnajdywać nowe szczegóły, nowe przedmioty, którym uprzednio nie poświęciło żadnej uwagi. Najpierw widać nogę, wyciągniętą silnie naprzód, obnażoną od kolana po kostkę, a przybraną w obuwie ze skóry czerwonej, jakie tylko patrycyuszowie nosić mieli prawo. To lewa noga w świetle. Potem z cieniu wyłania się nieznacznie kolano nogi prawej, podwiniętej pod siebie, kolano, nie dotykające jednak ziemi, nie opierające się o nic. Dalej widać rękę, palcami uczepioną górnego skraju stoli purpurowej Julii Domny. Ręka ta nie trzyma się konwulsyjnie szaty. Po jej linii jednak można już z łatwością trafić do ramienia i tułowia postaci, ukrytej w cieniu. Poszukiwanie jest owocne, bo oto po kilku chwilach wyłania się z mroku twarz blada, ziemisto-szara, z okiem szklanem prawie trupa, a następnie tułów zgrabny młodzieńca, odziany obcisłą szatą szkarłatną, przewiązany pasem jedwabnym. Tak—to Geta,

współzawodnik Karakali, raniony śmiertelnie w brzuch. Miecz centuryona z ręką, wygiętą półkręgiem około kolana Julii Domny, ugodził go w sam środek pasa i tkwi po rękojeść w ciele.

Zagadka rozwikłana. Obraz staje się nareszcie zrozumiałym— zrozumiałym, lecz nie odczutym, gdyż, mimo wszystko, dramatu w nim niema. Skomponowany nie na wyraz uczuć, nie na plastykę brył, nie na malowniczość dekoratywną barw, lecz na linie, przecinające się lub zbiegające w danem miejscu, jest właśnie chybiony w liniach. Oko widza instynktownie szuka akcyi z prawej strony obrazu — w świetle. Tymczasem dramat rozgrywa się z lewej strony — w mroku. Tu znowu ruchy rąk, niepomiarkowane w rozmachu, tak dalece godzą w jakiś punkt odległy, iż oko instynktownie szuka dramatu przed płótnem.

Jakto? Więc dramat nie może odbywać się w mroku? Owszem, ale malarz powinienby za pomocą zbieżności efektów nie tylko uwypuklić scenę, ale i podkreślić punkt kulminacyjny akcyi. Tymczasem śmierć Gety w obrazie Rochegross'a w przeciwstawieniu do znaczenia innych postaci, a nawet w przeciwstawieniu do wypukłości przedmiotów martwych, jest drobiazgiem, szczegółem błahym — cząstką dekoracyi, której piękność, dekoratywną właśnie, stanowi strona świetlna obrazu, głąb perystylu. Gdyby chodziło o zabójstwo zwykłe, dokonane przez żołnierzy dzisiejszych na człowieku dzisiejszym, a więc bez strojów archeologicznie ciekawych, nikt nie zadałby sobie tyle trudu, by rozwiązać bodaj powierzchownie ten rebus, bądź jak bądź malowniczy. Obraz nie robi wrażenia — i na tem koniec. Lecz z obrazem historycznym czy *quasi-historycznym* rzecz się ma inaczej. Mało kto uważa się za kompetentnego w rzeczy całości. Każdy więc przypatruje się szczegółom materyalnym i, sądząc co raz to z innego punktu widzenia, przyznaje obrazowi wielkie zalety, wyraża jakąś pochwałę odrębną. Naturalnie każda pochwała, czy to krzesła, czy to kwiatów, czy to buta, czy to kolana, czy to ręki, czy to czaszki oprzałej, czy wreszcie sprzączek, napierśników, pancerzów, mieczów — godzi w samo serce artysty-twórcy, który chciał przedstawić walkę wręczną, dramat uczuć, gdy tymczasem widzowie zachwycają się przyborami materyalnymi życia i sztuki malarskiej.

Lecz kto temu winien? Oko niewykształcone widza, szukającego wrażeń silnych—czy też ręka zmanierowana twórcy, indywidualizującego zanadto w stosunku do myśli przewodniej szczegóły materyalne? Odpowiedź łatwa i prosta. Obraz musi najprzód być obrazem całości, a więc bądź jakiegoś krajobrazu, wnętrza, osoby

portretowanej, konia, wołu, osła, bądź sceny ożywionej, miłości, tańca, pijatyki, bitwy, bądź też jakiegoś wyrazu duszy, uczucia, spokoju, walki—a następnie dopiero obrazem szczegółów, charakteryzujących rzecz, osobę, chwilę. Szczegóły materyalne, krzesła, sprzączki, pancerze, miecze, buty muszą być podporządkowane celowi głównemu obrazu, jak w tym wypadku: wyrazowi walki — namiętności zwierzęcej napadającego z jednej strony, a oporowi bohaterskiemu lub omdleniu rozpacznemu napadniętego z drugiej. Tego podporządkowania cech drugorzędnych wyrazowi czy nastrojowi chwili w obrazie p. Rochegross'a niema, i dlatego „Zabójstwo Cezara Gety" wrażenia nie robi. To nie obraz chwili, lecz szkatułka z przyborami materyalnymi życia domowego i żołnierskiego starożytnych Rzymian.

Perspektywa komnaty, *tablinum* wspaniałego, wdzięcznemi malowidłami ściennemi zdobionego, z widokiem w głębi na perystyl świetlny, jest nie tylko doskonale wykreślona, ale nadto i wybornie utrzymana w tonie. Na pierwszy rzut oka widać mistrza, który potrafi na palecie odnaleźć farby jasne światła i przeciwstawić im czerwień głęboką ściany. I powietrza w komnacie też nie brak. Bryły mają w czem się kąpać. Ale brył tych mało. Zaledwie czaszka i lewa ręka centuryona łysego, plecy opancerzone i lewa noga Gety, wreszcie krzesło, poduszka i róże, rozrzucone po posadzce, mają wypukłość dostateczną. Lecz ani postaci żywe, ani przedmioty martwe nie są wytrzymane w światłocieniu. Modelowanie dokładne od strony świetlnej nie wyłącza potrzeby modelowania od strony ciemnej. Tymczasem wszystkie powierzchnie brył w mroku malowane są płasko i przez to giną dla oka zupełnie. A przytem czerwień ściany, żywa i gorąca, użyta zręcznie przez malarza, jako przeciwwaga światła sinawego i zimnego z boku, zabija barwność ludzi i przedmiotów w obrazie. Obraz nie przedstawia się dość kolorowo w szczegółach, ani dość dekoratywnie w całości. Oko widza odbywa wciąż wycieczki nagłe i niespodziane to ku perystylowi świetlnemu, to znów ku ścianie karmazynowej -- i zgoła nie chce zatrzymywać się dłużej na działaczach dramatu. Co najwyżej, niepokoi je postać dziwna Julii Domny.

Kobieta to żywa czy posąg wykolorowany? Co znaczy ta postawa skamieniała w ruchu? Obie ręce, i ta, osłaniająca głowę Gety w dole, i ta, odpierająca tułów Karakali w górze, wyciągnięte spokojnie, nie uzmysławiają zgoła napięcia energii wewnętrznej. Głowa, modelowana ogólnikowo, przypomina jakiś wizerunek gipsowy, z oczami nadmiernie wysadzonemi na wierzch, które jednak nie

lśnią się w świetle, i z ustami nadmiernie rozwartemi do krzyku, przez które jednak krzyk przedostaćby się nie mógł, gdyż wargi nie posiadają sprężystości mięśni żywych. Geta, padając w omdleniu śmiertelnem na ziemię, zawisł ręką u skraju górnego jej szaty wełnianej. Szata pod naporem tego ruchu, jeżeli nie powinna, to mogłaby się rozerwać. Tymczasem w obrazie p. Rochegross'a lekko zaledwie zsunęła się z barku Julii Domny i pięknie układa się w fałdy. Karakala, z mieczem gotowym do ciosu w prawicy swojej, rzuca się naprzód gwałtownie, jak zwierzę, niczem nieposkromione, lecz rękę matki, odpierającej jego ruch, trzyma tak łagodnie w dłoni lewicy, jak gdyby chodziło mu o wyznanie uczuć łagodnych.

A przytem obraz nie jest skończony technicznie. Kolumny, obramowywujące oścież komnaty z boków, tylko od dołu są kuliste; od połowy ku górze przechodzą w deski płaskie, czerwonawe, obrzeżone listwami światła. Róże malowane są tak barwnie, iż widać je zaraz na wstępie, jak gdyby tu była waga obrazu. Natomiast stolik, choć rzeźbiony misternie, jest tak nikły w kolorze, iż niewiadomo co stanowi jego materyał pierwotny: drzewo, żelazo czy brąz zaśniedziały? Światło, wpadające ukośnie do komnaty, doskonale przepływa po siedzisku krzesła, lecz brązy, sprzączki, zapinki, hełmy, miecze nie lśnią się w świetle. Żadnych blasków na oczach. W całym obrazie zaledwie jedno oko, i to nie żywe, porcelanowe, Julii Domny świeci blaskiem odbitym od białka.

Słowem, obraz quasi-historyczny p. Rochegross'a jest całkiem chybiony w pomyśle i niedociągnięty w technice. Zbywa mu na powadze i jasności klasyków, na dekoratywności i wyrazie psychologicznym romantyków, wreszcie na barwności i plastyce w światłocieniu realistów. A indywidualność artysty? To zdolność ubrania modelów dzisiejszych w odzież rzymską, dokładnie skopiowaną w muzeach; sztuka, którą lepiej i piękniej potrafił Gérôme, która też przysporzyła sławy Alma Tademie i Siemiradzkiemu.

Niema w tem nic złego, iż p. Krywult sprowadził obraz Rochegross'a do Warszawy, gdzie z płótnami, nawet tak połowicznie skończonemi, spotkać się trudno. Obraz nie zrobił wrażenia. Niepowodzenie jednak nie powinno p. Krywulta zrażać. Na przyszłość jednak należy unikać niedorzeczności w reklamach. Entuzyazm bezwzględny, wyrażony w objaśnieniu do obrazu Rochegross'a, wydanem przez p. Krywulta, jest usprawiedliwiony warunkami handlu. Lecz czem usprawiedliwić „zachwyt słynnego powieściopisarza francuskiego, Flaubert'a, który, widząc studya starożytności egipskich i asyryjskich Rochegross'a, powierzył mu ilustrowanie swej powieści *Salammbo?*“ Kiedy bowiem Rochegross'e, jako

dwudziesto-dwuletni młodzieniec, wystawił pierwszy swój obraz: „Witeliusz, włóczony po ulicach Rzymu przez tłum uliczny” w „Salonie paryskim” w r. 1882, Flaubert od trzech lat bez mała (r. 1880) był już w grobie i przez to nie mógł stalować ilustracyi do „Salammbo”, zwłaszcza, iż w powieści jego nie o egipskie i asyryjskie starożytności chodzi, lecz o odtworzenie życia Kartagińczyków. Ale u nas tak wszystko. I reklamy pisze się bez zastrzeżeń.

Od dramatu w obrazie do dramatu na scenie krok tylko — i to niewielki. Te same prawa obowiązują malarza, co i dramaturga. Obaj wzorują się na rzeźbie, z tą jedynie różnicą, iż pierwszy zręcznie światłocieniem uwypukla figury na płaszczyźnie, drugi zaś misternie, za pomocą sznurków i nici akcyi, wprowadza je w ruch. Obaj w sztuce uzupełniają rzeźbiarza.

Cały świat cywilizowany szczyci się swoją literaturą dramatyczną: Anglicy Shakespear'em, Hiszpani Calderon'em, Niemcy Goethe'm i Schiller'em, Skandynawi Ibsen'em, Słowianie swojemi znakomitościami partykularnemi. Lecz dramat, jako sztuka teatralna, uwarunkowana przestrzenią i czasem, istnieje tylko we Francyi, gdzie poczucie rzeźby ani na jedną chwilę od wieku XVI-go nie przestało rodzić arcydzieł, mimo iż pojęcia, zarówno co do istoty, jak i co do charakteru zewnętrznego sztuki, zmieniały się ustawicznie i przekształcały z gruntu.

Przeprowadzenie porównania pomiędzy sztuką dramatyczną a rzeźbą, jak one się równolegle rozwijały, przekroczyłoby nad miarę zakres sprawozdania z „Ruchu artystycznego”. Na razie jednak należy, choć pokrótce, scharakteryzować budowę architektoniczną sztuki teatralnej w dobie dzisiejszej.

Krytyka dawniejsza rozróżniała trzy typy komedyi: komedyę charakterów, komedyę obyczajów i komedyę intryg. Autor rozwijał charakter danego osobnika w ciągu całego dzieła, a scena była rozwinięciem sytuacyi. Scribe na wzór Shakespear'a i romantyków wprowadził intrygę równoległą. Jeżeli pierwsza była ponura, ta druga musiała mieć nastrój wesoły: obie dążyły do swojego celu, do rozwiązania w końcu sztuki, w obrazie ostatnim. Augier i Dumas, ci dwaj, bądź jak bądź, malarze swojej epoki przejęli od Scrib'a architektonikę utworu scenicznego. I słusznie. Intryga z jednej strony podniecа uwagę publiczności, z drugiej zaś jest podłożem, na którem rozwija się charakter. „Charakterów nie można badać, jak owady, pod mikroskopem” — w odosobnieniu od życia. Aby dramat mógł powstać, charakter dany musi się zetknąć z innymi charakterami i przejść przez ogień wypadków. Dopóki jakaś istota nie walczy

z miłością lub zdradą, dopóki nie obwinia lub nie przebacza, dopóki nie gubi lub nie ocala kogoś, dopóki nie występuje w roli kata lub ofiary, dopóty jej charakter jest tylko białą ćwiartką papieru. Dopiero intryga daje jej możność ujawnienia rysów psychologicznych charakteru. To też zarówno Augier, jak i Dumas, korzystali z niej w pełni, z tem jednak zastrzeżeniem, że co u Scrib'a było dodatkiem, przyborem sztuki, to u Augier'a i Dumas'a stało się istotą, celem. Scribe płodził z głowy charaktery i obyczaje, aby tworzyć sztuki, Augier i Dumas płodzili sztuki, aby odtwarzać charaktery i obyczaje z życia. Augier przytem bronił miłości małżeńskiej, Dumas uniewinniał kobietę upadłą. Obrona miłości małżeńskiej to morał w ostatnim akcie, uniewinnianie zaś kobiety upadłej to teza na początku, a paradoks na końcu sztuki. I morał i teza wraz z paradoksem w teatrze przejadły się publiczności. Wiktoryn Sardou udoskonalnemi, sztuczkami wirtuozowskiemi, w których przewyższył mistrza swojego, Scrib'a, dobił komedyę mieszczańską. Intryga przestała bawić. Wszyscy, idąc do teatru, wiedzieli już z góry, co i jak będzie. Zażądano czegoś nowego, czegoś innego:

Naturalizm, przerobiony z powieści (bracia Goncourt, Zola, Daudet), wprowadził na scenę rzeczywistość. Chodziło o malowanie już nie „poczciwego ludu", jak u pani Sand, ale o malowanie „ludu prawdziwego", jak u Zoli. „*Assomoir* — pisze Zola o sobie — to pierwsza książka, którą czuć ludem". Tak, lecz słuchacze wytworni na przedstawieniu rzeczywistości, przykrojonej do ram teatru a na starą modłę melodramatu, zatykali sobie nosy. Dramaturgowie zawodowi zaczęli wołać ze wszystkich stron: „Realizm w urządzeniu sceny — i owszem! Niech ogień prawdziwy pali się na kominku, a kobierzec strzyżony leży na podłodze! Niech scena będzie umeblowana pięknie, a stół zastawiony butelkami szampana prawdziwego i półmiskami kurcząt pieczonych! Niech stroje kosztowne nadają aktorkom pozór kobiet z wielkiego świata, a nawet dyalog niech przypomina rozmowę z życia!" Lecz rzeczywistość, jako odtworzenie w teatrze temperamentu, dziedziczności, instynktu, otoczenia żywego i przyczyn akcyi, to koniec sztuki. Należy się liczyć z konwenansami i pamiętać przytem, iż pesymizm prowadzi zawsze do mistycyzmu, a mistycyzm jest rodzajem obłędu umysłowego.

„Rzeczywistość — według Dumas'a — to materyał surowy dla dramaturga, punkt wyjścia, nie zaś cel. Teatr jest sztuką przygotowania rzeczy i wyjaśnienia przyczyn; tymczasem naturaliści nic nie przygotowywują, nic nie wyjaśniają: wszystkie dane psychologiczne

zostają się poza sztuką. Osobistość z dramatu naturalistycznego nie poddaje swej duszy analizie psychologicznej wobec publiczności. Zresztą jakże mogłaby dokonać tego, skoro nie jest świadoma stanu swej duszy? Jest z jednego kloca: taka sama w pierwszej scenie, jak i w ostatniej: gdzież więc rozwój sztuki, czy charakteru, gdzie niespodzianka, gdzie interes? Sztuka kończy się źle lub nie kończy się wcale. Francuz może być pesymistą u siebie w domu, przy ogniu kominkowym; lecz Francuzi, zebrani razem w liczbie 2000 osób na przedstawieniu teatralnem, są optymistami, którzy dopóty nie zasną spokojnie, dopóki się nie dowiedzą, że miłość i cnota wybrnęły szczęśliwie z kłopotu, lub przynajmniej że ktoś rzucił kwiatek na ich trumnę. Anglicy nazywają to „sprawiedliwością poetycką": nic ona nie kosztuje, a sprawia przyjemność".

„Ostatecznie w dramacie naturalistycznym niema budowy i niema celu. Nie jest to ani dzieło sztuki, ani demonstracya moralna. Jeżeli naturalizm wtargnie do teatru, teatr przestanie istnieć."

I naturalizm, lecz już nie przerobiony z książki, wtargnął do teatru, jako *comédie rosse*.

Wyraz rosse pochodzi z niemieckiego i oznacza pogardliwie konia w lichym gatunku, szkapę. Być może, iż Rosynant Don Kiszota przyczynił się też do rozpowszechnienia tej nazwy. Bądź jak bądź, *pegaz*, koń skrzydlaty poetów, stał się we Francyi szkapą — najprzód piosnkarzy gminnych, a następnie dramaturgów. Na tej szkapie Henryk Becque ze swoimi „Krukami" i „Paryżanką" wjechał do „Komedyi francuskiej" i Odeonu. Antoine, aktor-reformator, postawił ją na stajni w swoim „Teatrze wyzwolonym" (*Théâtre libre*).

Należałoby w tem miejscu podać charakterystykę teatru ogólno europejskiego i wykazać ślady wpływu, jaki na dramat francuski, a więc na sztukę czysto teatralnę, wywarli pisarze tej miary, co: Ibsen, Björnson, Strindberg, Tołstoj, Turgieniew, Gerhart Hauptmann, i t. d., a zwłaszcza Ibsen ze swoim paradoksem, że scena jest izbą, w której wyjęto ścianę od strony widzów, aby publiczność mogła swobodnie przyglądać się temu, co się w izbie dzieje. Lecz na to będzie czas. Narazie zaznaczyć należy, iż żądaniu publiczności, spieszącej się niewiadomo dokąd i po co, stało się zadość. W teatrze jest, jeżeli nie coś nowego, to przynajmniej coś innego.

Ale co?..

Przedewszystkiem przewrót w tradycyi układu scenicznego i gry aktorskiej. Jeżeli aktorowi wypada z roli przez całą scenę stać tyłem do publiczności, to aktor stoi tyłem do publiczności przez

całą scenę. Dla wielu Paryżan plecy Antoin'a stały się synonimem „Teatru wyzwolonego”. Dalej, zadanie aktora polega już nie na deklamowaniu frazesów, lecz na uwydatnianiu jakiejś cechy znamiennej temperamentu, jakiegoś rysu stałego w objawach charakteru. Precz z indywidualnością aktora. Aktor to tylko narzędzie muzyczne, na którem gra autor.

Następnie ideał „sztuki szkapiej” (*comédie rosse*). Pod tym względem dramat „Kruki” Henryka Becqu'a, który jest już dziś „przywódzcą szkoły”, nie pozostawia żadnej wątpliwości.

„Nie znać swojej epoki, obyczajów, jakie w tym czasie panują, języka, jakim się mówi, sztuki, jaką się uprawia i uwielbia, wszystkiego tego, co stanowi prawo i przepis zarówno w społeczeństwie, jak i w literaturze, to też niekiedy wielka siła. Taką siłę właśnie — pisze Augustyn Filon w swojej krytyce dzisiejszego dramatu francuskiego — posiada Henryk Becque”. Zamiast przyswoić sobie od Scrib'a sztukę „budowy” lub nauczyć się od Dumas'a, jak się pisze komedyę na zadany temat (t e z ę) a z zakończeniem optymistycznem, Henryk Becque zajrzał do Molièr'a i oddał się obserwacyi form zewnętrznych życia. Z tej szkoły wyniósł pewnik, iż „największą zdolność śmieszenia i wzruszania ludzi posiadają istoty, działające nieświadomie, ci, którzy ślepo idą, choćby najdalej, za popędem swojej namiętności lub interesu własnego, ci, którzy bezwiednie, niechcący, malują się w słowach dosadnych”. Żadnych wyjaśnień, żadnej intrygi, pojedyńczej czy podwójnej, żadnego kompromisu z etyką czy sztuką, choćby teatralną! Precz z wdrożeniem (*ekspozycyą*) dramatu! Precz z rozwinięciem rysów charakteru! Precz z tezą! Precz z morałem na zakończenie! Nic — tylko rzeczywistość, urozmaicona czy zagmatowana przypadkowością scen, obrazów, wydarzeń. Osoby wchodzą i wychodzą, kiedy i jak im się podoba. Ani Opatrzność, ani bogowie teatralni nie wdają się w sprawę, a bohaterowie dramatu tak samo, jak w życiu, radzą sobie, jak mogą. Alboż to trudno? Komizm łączy się bezpośrednio z tragizmem. To, co jest początkiem rzeczy, może też być końcem, i naodwrót. Cnota nie obowiązuje i nikt jej nie broni. Tam, gdzie niema świadomości czynu, występek nie istnieje. To też zdrożność panuje tu wszechwładnie. Wszystkim osobnikom dramatu brak zmysłu moralnego. Ludzie nurzają się w nieczystościach i nieprawościach, jak ryby w wodzie. Niema zbrodni, którąby była zdolna zamącić spokój dziecięcy tych dusz, przejętych do dna zgnilizną. „W tem społeczeństwie dziesięcioro Bożego przykazania nie przestało być ko-

deksem, lecz ludzie — mówi w innem miejscu Augustyn Filon — rządzą się prawami siedmiu grzechów głównych.“

Tu przychodzi na myśl dowcipna charakterystyka nihilizmu, jaką podał któryś z humorystów rosyjskich. — „Dusza?“ — „Komórka“. — „Bóg?“ — „Niema“. — „Rodzonego ojca w twarz?“ — „Można.“

Język, jakim ci ludzie w teatrze mówią, to herezya. Nic nie obowiązuje: ani styl, ani składnia, ani gramatyka, ani znaczenie wyrazów, ani interpunkcya; trzebaby zdwoić, potroić ilość znaków pisarskich i stworzyć nowy system. Aktorowie mówią na scenie gwarą własną, a sztuka żyje podrygami przypadkowości. Żadnego węzła, żadnej wynikliwości faktów, żadnego rozwiązania! „Po czem poznać, że sztuka się skończyła? — Po tem, że zasłona spadła. — A kiedy zasłona spada? — Gdy autor wycisnął z charakterów wszystko, co one w sobie w danej sytuacyi zawierały.”

Oto charakterystyka ogólnikowa dzisiejszej „szkoły szkapiej“ w teatrze francuskim. Jakie owoce ta szkoła wydała w Niemczech, dośćbędzie przyjrzeć się „Miłostce“ Schnitzler'a, granej z powodzeniem na naszej scenie, a pokrewnej duchem i formą „Karykaturom“ p. Kisielewskiego. Na zakończenie jednak tego wstępu, przydługiego może, drobna uwaga. Pegaz grecki stał się rossynantem hiszpańskim, rossynant rossem niemieckim, ross szkapą francuską, a szkapa hetką-pętelką polską. Polska pętelka to nazwa pogardliwa uprzęży ze sznurków na hetkę. To też kto wie, czy naturalizmu, jaki i u nas zaczyna wdzierać się na scenę, nie należałoby przezwać *„sztuką pętelkową?“*

„Karykatury“ p. Kisielewskiego, które czytelnicy „Ateneum“ znają już z czytania, to utwór czysto-sceniczny — dramat czy komedya w dzisiejszem rozumieniu sztuki teatralnej. Krytyk literacki nie wiele ma tu do powiedzenia. Czyta się to, jak dziennik reportera, jak kronikę wiadomości drobnych i wydarzeń nieco skandalicznych, jak raptularz obserwatora, odzwierciadlający wiernie każdy rys temperamentu, każde słówko pochwycone mimochodem, nieledwie każdy odcień głosu, każdy ruch, a nawet odruch nerwowy. O jakiejś wynikliwości psychologicznej charakterów, o jakiemśześrodkowaniu rysów znamiennych duszy, o jakiejś wypukłości artystycznej cech — mowy tu nawet niema. Ludzie charakteryzują się sami, czynami przygodnymi, słowami powszedniemi, nałogami mowy, okrzykami i drgawkami nerwowemi. Artysta nie poprawia rysunku, nie uwypukla znamion oświetleniem sztucznem, nie nagina kształtów postaci do linii kompozycyi. Jeżeli jakaś postać ginie

w tle — tem ci gorzej dla niej; jeżeli kształtami kanciastymi i wypukłością nadmierną rysów rozrywa obraz czy scenę — tem ci lepiej dla autora: wywołał efekt prawdy, jak w życiu, i to go cieszy, gdyż rys, zaobserwowany wiernie w naturze, powinien być wiernie oddany w sztuce — i nic więcej. Zauważyć jakieś znamię w naturze i pokazać je na scenie w formie pierwotnej, zjawiskowej — to rzecz autora; sądzić i wnioskować — to rzecz widza. Autor przenosi salon, komnatę, pokój, izbę, kawiarnię, szynk do teatru i — „wyjmuje ścianę od strony publiczności". Publiczność może sobie patrzeć i słuchać, jak jej się podoba; autor nie wdaje się ani w klasyfikowanie uczuć na dodatnie i ujemne, ani w rozwiązywanie zagadek psychologicznych, ani w oświetlanie rysów znamiennych charakteru. Po co? Prawda mówi sama za siebie. A czy jakieś uwiedzenie dziewczyny, jakieś porzucenie dziecka, jakieś poświęcenie czyjegoś życia swoim zachciankom jest rzeczą karygodną lub nie — to już sprawa sumienia widzów. Autor nie zaprząta sobie głowy kodeksem moralności czy konwenansu towarzyskiego i nie chce nawet być przedstawicielem „sprawiedliwości poetyckiej". Zresztą ten objektywizm właśnie stanowi podstawę i siłę dzisiejszego dramatu modernistycznego, dzisiejszej sztuki pętelkowej, onustej na siatce drobnych i przygodnych wydarzeń, a bez wyraźnego wątku dramatycznego, któryby fakty grupował, rysy podkreślał, cechy ześrodkowywał. Nie postanowienie autora, lecz przygoda kieruje akcyą. Stąd słów siła — wątku mało!

Co za ruch i gwar zaraz na wstępie! Izdebka Relskiego pełna jest studentów. Słowa, frazesy, strzępki myśli i pojęć, paradoksy i ucinki krążą w powietrzu, jak ćmy nocne koło lampy: coraz to która zwali się na ziemię lub wpadnie w ogień; lecz to nic. Epitety i aforyzmy mieszają się z imionami własnemi filozofów i twórców; gwara cygańska pracowni artystycznych krzyżuje się z językiem napuszonym auli uniwersyteckich lub rozpraw doktorskich — i jazda dalej! Ba! — ale jaka jazda? Nic pyszniejszego nad to objaśnienie, jakie autor w tem miejscu daje reżyserowi: „koliste, lśniące kieliszki szampańskie zapełniają się wrzącym płynem kawowym. Lotne słowa wirują po komnacie w lekkich tunikach z dymu sinego". Czy to żart, piętnujący szyderstwem styl dzisiejszych pisarzy-dekadentów, czy też obserwacya prawdziwa, wyrażona językiem napuszonym? Mądry, kto odgadnie. Na interwencyę autora liczyć nie można.

„Precz z autorytetami i logiką! Przyszłość należy do kultury kobiecej! Trzeba być osłem, aby nie widzieć, iż u k ł a d żeński jest

piękniejszy, niż układ mężki! Ibsen, Gladstone, Munch, Kowalewska, Maeterlinck, Nietzsche, Björnson, Tołstoj, Boecklin, Dostojewski, Bebel, Strindberg, posłowie, dyabolicy, redaktorowie, mistycy, piąta kurya, feministki, ośmiogodzinny dzień pracy, dramat parlamentarny, akustyka teatralna, barykada z pulpitów, wotum nieufności, pięć absolutów (jeden dymisyonowany), artysta kapłanem — cognac arcykapłanem, jeżeli to wszystko nie skończy się na kobiecie, to jestem gips!"

A to co? To charakterystyka umysłowości ruchliwej studentów, zaznaczona pospiesznie, bezładnie, w skróceniu. Scena ta nie ma najmniejszego związku z przebiegiem akcyi, nie jest wcale częścią składową sztuki, która zresztą obywa się bez wdrożenia (ekspozycyi) należytego akcyi. Studenci weszli, wygadali się, wyszli — i na tem koniec. Zdaje się, że istotnie chodziło im o „szczepienie bakcyla dekadencyi na kwestyach społecznych". Lecz czy to nie jest równocześnie szczepieniem bakcyla dekadencyi na literaturze?

Bardzo dobrze — powiadają moderniści i dekadenci krakowscy — ale czy autor jest z nami, czy przeciw nam? Ani tak, ani siak. Pan Kisielewski zauważył pewne rysy w życiu, a raczej w sposobie mówienia młodzieży, i podał je wiernie, nie troszcząc się zgoła o oświetlenie. Scena ta, wyborna sama dla siebie, żywa i barwna, nie jest nawet tłem obrazu, przygotowaniem akcyi, podkładem dramatu. Bohater sztuki, Antoś Relski, wchodzi znacznie później — i, choć mówi więcej, niż wszyscy jego koledzy razem, nie zarysowuje się wyraźnie. Nic dziwnego. Drobnymi rysami można szkicować sylwetki. Nie dość jednak konturu, aby zbudować postać litą, posiadającą wszystkie wymiary, miąższość rzeźby. Dlatego to postaci drugorzędne „Karykatur" wrażają się doskonale w pamięć, jak zwykłe karykatury, w których rysownik uwidocznił przesadnie jedną jakąś cechę charakterystyczną danego osobnika, a kontur zaznaczył ogólnikowo, lecz śmiało — od jednego zawodu ołówka. Sam autor oznajmia w informacyi reżyserskiej, trącącej znów parodyą stylu, że to są, „głośno krzyczące cienie, które słowami skaczą sobie przez ramiona myśli". Każdy taki „głośno krzyczący cień" ma swój odruch warg, który go charakteryzuje dosadnie. Jesz, prawdopodobnie z Żydów, posługuje się wciąż niemczyzną, i co chwila krasi ją przysłówkiem: wstrętnie! Czuć w tem duszę cierpką. Radowskiemu kłębią się w ustach słowa bezładnie i ratuje się wciąż przysłówkiem: właśnie, wymawianym dziwacznie: właśnje. Czuć w tem umysł tępy i usposobienie dobroduszne. Wchodzi Relski. Powstaje gwar nieznośny. Wszyscy żądają kawy czarnej. „Czarna

w cienkiej raz!" Wyborna to parodya czy charakterystyka języka, jakim chłopcy w cukierniach i kawiarniach stalują kawę dla gości. Na przód sceny wysuwa się Radowski, zatrącający akcentem litewskim i przemawia do Antosia Relskiego:

„Otóż, prosz' ja ciebie, dzisiaj na poufnem zebraniu komitetu naszej paczki, na mój wniosek zdecydowano się na decyzyą właśnje, i ja właśnje imieniem radykalnej paczki, jako właśnje mnie, z uwagi na osobisty nasz stósunek i żebyś ty jutro stanął, jako kandydat naszej paczki. Na prezesa".

Co prawda, łatwiej jest mówić i pisać bezładnie, niż poprawnie, lecz cała ta przemowa, napisana poprawnie, nie zrobiłaby najmniejszego wrażenia w teatrze. Bezład składni ożywia ją, a odruch warg (właśnje) nadaje jej wyraz. Zwykłe nic w myśli staje się czemś na scenie. Autor wyzyskał tu zręcznie obserwacyę formy zewnętrznej życia i nie tylko scharakteryzował jakiegoś głuptasa jego własnym językiem, lecz nadto zaznaczył stanowisko Relskiego wśród kolegów, jakąś jego wyższość umysłową czy duchową. Lecz zaznaczyć coś ubocznie to jeszcze nie wszystko w teatrze. I tu, jak w rzeźbie litej, postać nie może żyć jednym rysem, i to zaznaczonym zzewnątrz, niby cień padający od innej bryły, od innej postaci. To też Antoś Relski nie zarysowuje się na wstępie wyraźnie, a i potem nie nabiera kształtów pełnych, nie zyskuje nic na miąszości. Koledzy, przeświadczeni o jego wyższości umysłowej, chcą wmówić weń, iż jego obowiązkiem jest stanąć na czele stronnictwa, „paczki" radykalnej. Relski odpowiada: „Obowiązek? A, moi drodzy! Dlatego właśnie nie przyjmę. Nie znoszę żadnych kajdan, nie potrafię. Wolność, nadewszystko wolność mi zostawcie!" Ta chęć zachowania „wolności właśnie osobistej" to jedyny rys charakteru Relskiego, jedyny wyraz rzetelny jego duszy. Wszystko poza tem jest niejasne, bałamutne, rozwiane w frazeologii... autora. Postać lita, wypełniająca osobą swoją cały dramat, nie może żyć jednym rysem — i rys ten w dodatku nie jest wyzyskany dostatecznie. Żadnej dosadności kształtów, żadnej wynikliwości czynów, żadnegoześrodkowania cech duszy, bo nawet chwiejność charakteru nie jest przeprowadzona ściśle. Na słowa odpowiada on słowami, stosownie do sytuacyi, a każda sytuacya go pognębia, bo nie potrafi właśnie być sobą, bronić swej wolności osobistej. Jest to postać pozbawiona kręgosłupa, a rys charakterystyczny, chęć korzystania z wolności osobistej, uchybiania jakiemuś obowiązkowi, nie jest zgoła rysem wewnętrznym jego duszy, lecz cechą przylepioną, przyczepioną od

zewnątrz; jest cieniem frazeologicznym, rzuconym przez autora — na bryłę? nie — na szablon jakiejś zagadki psychologicznej, maniaka chwiejnego.

Relski, wezwany przez Borkowskiego, ziemianina zamożnego, na nauczyciela, pokochał odrazu jego córkę Stefanię i poczuł, że „dziś dopiero zrodził się w nim mężczyzna!” Być może. „Zagrzebany dotąd w bibule, jak mól, żył drukiem. A tu — mówi, wskazując palcem na serce — tu harfa drzemała nieczynna, wielka harfa życia! Dziś ma ją.... ma tę złotą!... I wierzy w nią silnie — a ona zahuczy orgią tonów! Jej echem pieśń będzie, pieśń rytmiczna. H u r r a h!” To h u r r a h w ustach Relskiego jest śmieszne, a cały frazes, wzorowany pewnie na jakimś sonecie zmysłowym któregoś z dzisiejszych poetów, nie ma najmniejszego wyrazu. Słowa są puste, niczem nie usprawiedliwione, niczem nie podznaczone, choćby piosnką Kratzera: „Ujrzałem raz i kocham już”. To też słuchacz wnet ich zapomina. A szkoda dla autora, dla jego sztuki, bo one właśnie miały wywołać efekt wysoce dramatyczny, spotkanie się dwu.... pociągów na kolei życia. Lecz to są skutki przedmiotowości rzekomej autora, który z zasady nie interweniuje w dramacie. I, jak z powodu charakterystyki młodzieży dzisiejszej, moderniści krakowscy mogli pytać, czy autor jest za nami czy przeciw nam, tak krytyk-psycholog musi tu zapytać, czy autor jest za Relskim czy przeciw Relskiemu? Pod jego słowami nic nie śpiewa czule. Ale bo też miłość Relskiego nie powstała w sercu autora. Cały ten frazes, gorący w tonie, jest przyczepiony sztucznie do duszy nikłej bohatera, teatralnego i dlatego chybia celu. Naturalizm, zarówno w książce, jak i na scenie, jeżeli ma wywołać wrażenie odpowiednie, musi być szczery, odczuty głęboko i artystycznie oddany. Inaczej zawiedzie w efekcie i tu też p. Kisielewskiego, w miejscu niezmiernie dla jego sztuki ważnem, zawiódł zupełnie. Gdy, w chwilę potem, Zosia, biedna szwaczka, wpadła niespodzianie do izdebki Relskiego, widzom na myśl nawet nie przychodzi, że Relski kocha inną: zapomnieli o tem, jak o drobnostce, i dramat dla nich rozpoczyna się dopiero w końcu aktu.

Rysy Zosi, dziewczyny prostej i szczerej, uchwycone są trafnie, a i dusza, z wyjątkiem drobnych odchyleń w stronę czułostkowości konwencyonalnej, uzmysłowiona jest w pełni.

Matka jej, wdowa, wydała się powtórnie za mąż; mąż katuje żonę i pasierbicę. To też ona wyrwała się z domu matczynego i po dwu dniach tułaczki po Krakowie, ścigana przez policyę, zziębnięta i zgłodzona, zdecydowała się nagle przyjść do „Antosia”, do

„pana Antosia" i oddać się pod jego opiekę. Pan Antoś stał ongi na stancyi u jej matki i nie domyślał się, nie przeczuwał wcale, że to biedne stworzenie może go kochać. Nawet teraz, lekko zdziwiony temi odwiedzinami niewczesnemi, zaledwie współczuje jej losowi. I nie dziw! Myśl jego przebywa gdzieindziej. Ona nie wie o tem; to mniejsza; lecz publiczność zapomniała całkiem o miłości Relskiego, i dlatego opowiadanie Zosi o sobie, o swojem uczuciu, nie wywołuje wrażenia jakiegoś przeciwieństwa. Obraz malowany na światłocień, w którym figury, w skutek przeciwstawienia barw, mają nabrać wypukłości złudnej, przedstawia się płasko. A jednak opowiadanie jest niezmiernie charakterystyczne i dosadne. „Pięcioro dzieci i stary wdowiec". — „K. to" — pyta Relski. — „O... on — odpowiada Zosia. — Co ja się miałam za niego wydać? Ten w ä c h t e r od złodziejów. I dom ma swój; to myślał, że mnie s e kupi? To Antoś nic nie wiedział? A... nie wie Antoś, chacha, jak się to dziwił nieraz, że mu nie braknie tytoniu w tytoniercie. — To ja. Coś się tam zrobiło, a musiało być. Ale potem.... pan Antoś od nas poszedł.... A ja, to jak do domu od roboty wracałam, to zawsze w okno patrzyłam, czy się u pana Antosia świeci, czy nie. Pan Antoś do nas nigdy nie przychodził... a mnie się działo już nie wiem co! Ja już całkiem jestem waryatka. A dziś, to jak mnie ojczym chciał bić, to mnie tak gnało, aż tu.... i jak ślepa leciałam tu, i n o tu... Antoś mnie nie wypędzi, prawda, panie Antosiu? Antosiu, prawda? Niech pan Antoś o mnie s e myśli, co chce, ale ja nie mogłam. Chciałam s e zrobić śmierć, ale jeszcze choć widzieć chciałam Antosia. Nie wypędzi..!?"

Najprzód kilka zastrzeżeń. Że Zosia formułuje swe myśli chaotycznie, to dobrze: składnia nie obowiązuje biednej szwaczki, zwłaszcza w chwili wynurzeń miłosnych. Ale z jakiego powodu mówi ona ino, zamiast tylko, i se zamiast s i e b i e? Toż to nie dziewczyna wiejska, lecz mieszczka i to „nie z podłej familii... thakże coś!" I s e i i n o to forma gwary ludowej i nie należy jej mieszać z gwarą miejską. Przeoczenie to może i niekonsekwencya drobna; lecz kto na scenę wprowadza naturalizm drobiazgowy, ten powinien i musi pamiętać o wszystkich szczegółach. W takiej sztuce każda rzecz zmyślona, zapożyczona z książki, z drugiej ręki, razi fałszem. A przytem po co ten germanizm: „Chciałam se z r o b i ć śmierć (*Ich wollte mich Tod machen ?*) Jeżeli to szczegół u m y ś l n i e dla charakterystyki użyty, to i tak tego p. Kisielewskiemu pochwalić nie można, gdyż język nasz, a jego w szczególności, jest zanieczyszczony nad miarę chwastami przygodnymi. Toć zaraz w scenie pierwszej,

co zdanie, to nieprawidłowość rażąca lub błąd. „Kobieta jest szatana kochanka i dlatego jest wspaniałą w swej moralnej ohydzie“ — mówi Jesz. — „Ależ to jest szczytem kretynizmu literackim łokciem mierzyć każdy rodzaj sztuki“ — mówi Lassota. „Można gardzić logiką,“ jak Witoldyński, ale należy szanować gramatykę, zwłaszcza, jeżeli w celach charakterystyki rzekomej nie zachodzi tego potrzeba konieczna. Pan Kisielewski nie stara się i nie jest owym stylistą świetnym, który barwnością słowa okupuje powszedniość myśli lub brzmieniem frazesu całego uwypukla jakieś znamię duszy. Przeciwnie. Język jego grzeszy brakiem ścisłości, a niekiedy nawet rozwlekłością, graniczącą z gadulstwem bezpożytecznem. Natomiast w języku tym czuć dźwięki słowa mówionego, akcenty żywe temperamentu i namiętności: stąd dosadność w charakterystyce drobnych rysów. Składnia języka Zosi jest okropna, lecz co słowo, to rys jej wychowania zaniedbanego to znamię jej duszy naiwnej, to cecha jej myślenia bezładnego, to wyraz jej uczucia prostego a szerokiego.

Bo też cały talent p. Kisielewskiego polega na umiejętności, obserwowania drobnych szczegółów, najczęściej odruchów nerwowych czucia, które inni zresztą obserwatorowie odrzucają, i na zdolności odtwarzania życia w sztuce zapomocą luźno związanych, lecz niezmiernie licznych szczegółów. Gdyby przytem p. Kisielewski był mistrzem-cyzelerem języka i potrafił świadomie nadać frazesowi danemu czy też obrazowi całemu wypukłość niezwykłą, efekty dramatyczne nie chybiałyby celu. Dość byłoby zabarwić silnie słowa Relskiego, gdy on przed chwilą przyznawał się sam przed sobą, że teraz dopiero „budzi się w nim mężczyzna,“ bo pokochał Stefanię, aby zakończenie aktu prostotą swoją wywołało wrażenie niezmierne. Sztuka teatralna musi polegać albo na skończeniu drobiazgowem szczegółów i wynikliwości faktów, albo na przeciwstawności efektów. Zakończenie aktu pierwszego jest wyborne. Relski myśli o tamtej; nie słucha szczebiotu Zosi; w miarę, jednak jak jej słowa zaczynają przenikać do jego duszy, budzi się z odrętwienia i mówi niby od rzeczy: „Płonę... goreję!..“ Współczucie ludzkie przemieniło się w uczucie zmysłowe :cognac dopełnił miary. Zosia wypiła kieliszek. Cognac ją rozmarzył, pozbawił woli, rzucił w objęcia Relskiego. To też mówi bezładnie, ale jak istota opanowana jedną myślą. Jeszcze chwila, a zacznie szeptać sennie i w końcu powtarzać bezmyślnie, odruchowo, jeden wyraz, jakiś dźwięk zgłoski: „Ale teraz tak ciepło się robi i w głowie tak dziwnie... I tak jest dobrze... tak dobrze... ach! tak dobrze...“

Ten dźwięk pusty „dobrze, tak dobrze,“ to jakby nuta charakterystyczna symfonii muzycznej, która, po skończeniu danej części, zostaje się jeszcze w uchu słuchacza i zniewala go do wyczekiwania niecierpliwego części następnych utworu. W „Karykaturach“ p. Kisielewskiego nie działa on tak silnie. Zostaje się w uchu słuchacza i zniewala go do wyczekiwania aktu następnego, to prawda, ale nie przenika do duszy, nie wywołuje wstrząśnienia dramatycznego, gdyż cały akt to szereg obrazów luźnych, a psychologia Relskiego jest zaledwie zaznaczona jednym frazesem, i to zaczerpniętym z retoryki szumnej w doborze słów, pustej wewnątrz, bo nie płynącej z serca czy z silnie podrażnionych zmysłów Relskiego. W życiu, w naturze tak bywa. Lecz, czy dość jest odzwierciedlić prawdę, skopiować naturę wiernie, aby stworzyć dzieło sztuki — to pytanie. Bądźcobądź z ostatniemi słowami Zosi dramat dla słuchaczów się zaczął. Serce nie biło nikomu gwałtownie z niecierpliwości, choć każdy domyślał się a nawet był pewien, iż na początku aktu drugiego usłyszy ze sceny miłą melodyę kołysanki:

A! a! kotki dwa,
Szare, bure obydwa!“

Bez życia na wiarę, bez wiarołomstwa i bez dzieci nieprawych niema dziś dramatu, nawet w operze — niema teatru.

Akt drugi „Karykatur“ to obraz stosunków nieuregulowanych towarzysko. To też życie gamrackie znajduje się tu w równowadze niestałej. Lada podmuch wiatru, lada pragnienie zniweczy je, wywoła przewrót gwałtowny. Ona wróci z dzieckiem do matki, a może pójdzie na ulicę, na żebraninę lub do więzienia — on zostanie doktorem obojga praw, ożeni się z bogatą i wykształconą panną Stefanią, zostanie profesorem akademii, a może prokuratorem.

Jakoż zaraz na początku aktu, gdy Relski poszedł składać egzamin doktorski, zjawia się matka Zosi, wyborny typ mieszczki, która, owdowiawszy po raz drugi, przebacza błąd córce, przychodzi do niej pierwsza i chce ją wraz z dzieckiem zabrać do siebie. „Bo to widzisz—powiada—chociaż ty mnie nie uczyniłaś jako dobra córka, ale ta zawsze matka matką. Ja ci odpuszczam, bo ta i mój trochę winien. Zawsze to przy matce inaczej, a nie tak na wiarę żyć, boska obraza...“ Zosia odmawia wręcz. „Thakże coś!... Mamo, mamo!.. co mama plecie!! Moje prawo przy dziecku i przy Antosiu!.. Cz.. czy mama wie, że on dzisiaj egzamina zdaje? Czy mama wie, że on się ze mną

ożeni?.. Pomyśl se mama, że ja profesorową będę—pro, fe, so, ro, wą!". Scena to niezmiernie żywa i odtwarzająca doskonale w słowach psychologię obu kobiet, matki, która przestała już, i córki, która zaczyna dopiero łudzić się pozorami życia. Do uwypuklenia sceny przyczynia się niepomiernie sąsiadka Zosi, pani Walentowa, choć rysy jej są nazbyt karykaturalne. „Dziecko miałabyś przy sobie — powiada matka — a on niech płaci. A jakby nie chciał to do sądu podać!" Słowa te wybornie trafiają do przekonania pani Walentowej, która też zwraca się do Zosi: „Bo choć pani edukowana, o, jej!.. i śliczna na psa urok, ale żeby tak coś, niby ślub... ha, no!.. wiele się rzeczy..." I tak każda myśl, niewiadomo kiedy się zaczyna, kiedy się kończy, czem zazębia się z następną. Ale na scenie wszystko to uchodzi, bo scena żyje językiem żywym, mówionym, niedomówionym. Matka też nie domówiła, że, niezależnie od uczuć macierzyńskich, ma też i pewien interes. Wynalazła wśród swoich Wojtka Migdała, rzemieślnika, który, byle dostał 500 reńskich posagu, to z Zosią się ożeni. „Znajdzie się tam—powiada matka—w skrzyni do pięciuset guldenów, to mi na stare lata dacie łóżko i w święconej ziemi pochowanie."

Ten Wojtek Migdał to arcydzieło charakterystyki. W każdem jego słowie czuć człowieka żywego i umysłowość warstwy społecznej, do jakiej należy. — „Jezdem Migdoł, hohehe — mówi na wstępie. — „Thakże coś! Hahaha! Jak się pan Wojtuś ma — odpowiada Zosia." — „Wojtuś Migdał? Alealeé... Będzie szopa, ale — wtrąca pani Walentowa. I przed oczyma zdumionych widzów staje szopa w całej pełni kształtów. „Towarzyszka mama mówiła pannie Zofii?" — Jeszcze nie mówiłam — odpowiada matka. Migdał, „towarzysz" nie traci rezonu i zaczyna: „Ano, to wskoczyłem z przeproszeniem, jak komisarz na paragraf drugi"!... Hrrm! Szanowne zbiegowisko! Towarzyszko Zofio i wy, mama dobrodziko. Wicie, jakom jest krakoskie dziecko, przez urazy, w durch. Żem jest chłopiec i towarzysz, jak się przynależy. Niechno majster nademną sobie psuje gębę, to mu się zrobi ciepło. Ja sie tam nie bede chwalił. Ino rezolucyj tako: nie chcieli, ale musieli, wyzwolili mnie, a tu mama dobrodzika (ukłon) nasuwa się na mnie i mówi o pannie Zofii, niby że my oddawna kamraty... i że jako i mnie chyba casz, a niby wedle opierunku. Ja się zamyślił, jako głosować, a mama dobrodzika prawi deklaracyi, jako, niby, z przeproszyniem, nie wymawiając, (patrzy w stronę kołyski) tee, wedle tego, za honor... (Zosia oburzona)... Z kim.że, z kim.że, panno Zofijo? Z kim.że w tany? Z kim.że wysuwa!?! To ja pannie serce niese

czyrwone, panna nie chcesz gadać?! Z kim.że w dyrdy, z kim.że okoliczność?... A cóż panna Zofija na taki artykuł? — Dwa tygodnie nima, jak zleciała na mnie kamienica po stryjciu, w Psi Wólce, he? —. Ja chamów skieruje na towarzyszy, zgromadzynie po zgromadzyniu, szopa po szopie, aż mię z urny wyciągną. Potem do Widnia wyliwę — bede i towarzysz i burżuj, hohehehe. No, panno Zofijo, jakże będzie, jakże będzie z nami, no —? — „Panie towarzyszu -- odpowiada Zosia — kiedy pan tumiałeś iść, ile razy piłeś siarowe z mocną?" — „Takie sprawozdanie?!... Takaś mi panna za moje ochfiarowanie, takie buty?"...

Jakże to wszystko charakterystyczne, dosadne, trafne! Jakże ten język jest obrazowy. Toż w nim mieści się cały człowiek, dziecko krakowskie, andrus, „towarzysz"-rzemieślnik, cynik, jako narzędzie polityczne, i indyferent w rzeczach konwenansów obyczajowych, byle złapać 500 reńskich i założyć warsztat, a mieć żonę „wedle opierunku!" Dalej chyba w odtwarzaniu rysów prawdy, gwary iść już nie można. Zdaje się, że te wyrazy to nie symbole pojęć, ale materyał żywy kształtów, barw, smaku, woni, uczuć, a nawet myśli. Co prawda, nie o takim języku myślał Słowacki, gdy w „Beniowskim" pisał:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga Nimfy, miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa.
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem".

Nie! To nie „aniołów mowa", ani „ducha skrzydło"—ale śpiż z miedzi, cyny, z przeróżnych metali wytopiony, śpiż, z którego ani posągów bohaterskich, ani nawet armat czy dzwonów odlaćby nie można było, śpiż to jednak, w którego dźwięku, podgłosem gwary, mieni się dusza człowieka żywego, nowoczesnego. Lecz! Słowacki nie myślał o takim języku, gdy się sam pocieszał:

„I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w głowie nad lipami szumiał,
Słyszy ubrany w dawny rym krolewski
Mową, którą sam przed wiekami umiał,
Potemby, cicho mrząc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie!"

Nie, wielki wieszczu z Czarnolasu! Odkąd Twój wielbiciel genjalny, zstąpił do grobu, lepiej Ci z mogiły nie wstawać! Minęła doba poematów, ubranych mową w dawny rym królewski. Tybyś, mocarzu słowa, tego języka już nie zrozumiał, choć nim ludzie żywi, Twoi potomkowie, się porozumiewają, a pieśniarze dzisiejsi, Twoi następcy, pomniki sztuki i literatury tworzą lub przynajmniej usiłują stworzyć!

Niech tam! Wojtek Migdał mówi językiem barbarzyńcy, gwarą, ale taką, że z niej ani jednego słowa usunąć, że w niej ani jednego wyrazu zastąpić, że do niej ani jednej zgłoski, ani jednego znaku pisarskiego dodać nie można.

Lecz gwara, tak wyindywidualizowana, tę jednak ma złą stronę że zanadto silnie działa na wyobraźnię słuchaczów. Obcując w teatrze z takim „towarzyszem", zapomina się o teatrze, o dramacie na scenie. Postać Migdała kształtami swemi rozrywa obraz. Jego wypukłość nadmierna zagłusza, zabija drobne rysy innych postaci, traktowanych sylwetkowo. Akcya też w tem miejscu staje. I poco ta postać w „karykaturach?" Aby pokazać cnotę, stałość uczuć, „psią wierność" Zosi? Pewnie — ale publiczność tego nie widzi.

Jeszcze mniej uzasadniona przebiegiem intrygi jest scena następna, gdy banda kolegów Antosia Relskiego, ni stąd ni zowąd, wpada do jego izdebki i, korzystając ze sposobności, urządza „żywy obraz". Kołyska z dzieckiem stoi na środku sceny. Jeden z kolegów, odziany w płaszcz z peleryną, postaciuje śmierć ze skrzydłami rozpostartemi u wezgłowia kołyski; drugi, niby ojciec zrozpaczony, klęczy, z głową utopioną w pościeli dziecka, i łka rozpacznie; Zosia, jako matka, leży pozornie w omdleniu na ziemi, a malarz-symbolista szkicuje kontur. „Taka s z o p a dla dobra sztuki!" Obraz ten doskonale odźwierciadla cyganerye rozwydrzoną artystów, prawdziwych czy udanych; lecz, jako przygodnie wpleciony w bieg akcyi, zanadto odrywa się od całości. Autorowi chodziło o pokazanie dwu rysów: z jednej strony—naiwności Zosi, z drugiej zaś — zmienności przyjaźni. Zosia podsunęła Relskiemu myśl, aby zaprosił przyjaciela swego, Stachowskiego, na ojca chrzestnego. „A cóż—powiada Relski—gdybym cię prosił—odmówiłbyś. Oczywiście... przyjaciel—ale w podobnych warunkach..." Stachowski wykręcił się sianem. Rys to wyborny, doskonale zaobserwowany, ale tak drobny, iż ledwie go widać w natłoku cech karykaturalnych całej sceny. Zaiste nie warto było zataczać armaty, aby strzelić do wróbla! Ale to już taka dziś moda sztuki teatralnej: przekładanie scen dramatycznych komicznemi i, ponieważ wątku niema, wiązanie obrazów pętelkami!...

Relski, zniechęcony niepowodzeniem, gdyż przepadł przy egzaminie, i oburzony lekkomyślnością kolegów, że wtargnęli do jego mieszkania, wyrzuca wszystkich za drzwi. Jeden z nich, Jesz, rzuca mu w twarz wyzwanie: „*Satansbrut*!... Ty wrócisz do nas!... Na czarną kawę!” Ta „czarna kawa”—to symbol modernizmu, i zdaje się, że pod nim czuć uśmiech ironiczny autora. Inaczej ‘byłoby to zbyt śmieszne. Ale kto wie?..

Tymczasem dramat dobiega punktu kulminacyjnego. Relski wobec kolegów i wobec Zosi wypowiedział się ze swoich uczuć. „Braliście ślub, co? Ależ to byłoby więcej, aniżeli nierozsądne—zagabuje Stachowski. „A tak — odpowiada Relski — nierozsądne, hehehe. Ale było, ale już stało się, i teraz następstwa, miłe, cudowne następstwa! A! a! czekałem tej chwili, czekałem. Pomijałem rozkosz kupną, by stworzyć sobie „symfonię” czystą, chłonąć wszystkie tony, upajać się, szaleć!... Mam teraz, mam to wszystko. Ona i ja, hehehe—„w białych szatach neofitów” zasiedliśmy do „uczty miłości”—„orgia szczęścia”!... Przeżarty brudem duszę się w tej norze, a powietrza zaczerpnąć nie można, bo „dziecko się zaziębi”. Dziecko. Karykatura życia—karykatura miłości”...

Okrzyk ten nie mówi nic—nie tłómaczy tytułu, nie oświetla rzeczy, i ostatecznie nie wiadomo nawet, co to są „Karykatury”? Potwory życia, istniejące w rzeczywistości w swych kształtach, przesadnie pokręconych, czy też portrety, wzięte z natury, lecz przeinaczone z umysłu przez autora, upotwornione w zwierciadle wklęsłem lub wypukłem jego wyobraźni? Niewiadomo.

Sam Relski jednak to karykatura charakteru, zagadka psychologiczna. Być może, iż autor zauważył podobnie chwiejną istotę w życiu. Lecz nie dość jest zauważyć c o ś w życiu lub w naturze, aby módz odtworzyć to w sztuce. Trzeba widzieć *wszystko*, gdyż inaczej rzecz, postać nie będzie miała kształtów. Relski niema w sobie ani jednej kropli krwi człowieka żywego. Używa wciąż słów szumnych i frazesów dźwięcznych. Lecz nie czuć w nim energii człowieka, działającego świadomie czy nieświadomie pod wpływem takich lub innych pobudek. Nauka, wiedza, praca, sława? Ależ on kołysze się tylko na fali rozkoszy wymarzonej pomiędzy Zosią a panną Stefanią! Zosia—to nie rozkosz. „Ach,—powiada, gdybym mógł ją wyrzucić! Gdyby nie ufała mi tak ślepo; gdybym wiedział przynajmniej, że ona to z wyrachowania robi, że udaje... Gdyby była kokotką, dziewczyną uliczną - jakże byłbym jej wdzięczny! A tak—litość zdejmuje! Jak pies, przywiązana patrzy mi w oczy, całuje ręce—gdy przed chwilą szydziłem, wyrazami kopałem. Wszystko robię, by

mnie znienawidziła — a ona nic, tylko miłość i uwielbienie, to bezmyślne, wstrętne, głupie uwielbienie!"

Więc może miłość panny Stefanii będzie przystanią bezpieczną łodzi jego życia, miotanej burzami, poszczerbionej kłami jakiegoś niczem nieusprawiedliwionego pesymizmu, gdyż człowiek ten poza pragnieniem miłości czy rozkoszy zmysłowej, nie dąży do żadnego celu odległego, idealnego—o nic nie walczy. I cóż go trzyma przy Zosi?... Litość?... Ogrom jej uczucia, ogrom przywiązania pognębia go i obezwładnia, ale on nie oszczędza nawet jej miłości własnej. „To nie to, Antoś, nie to! Ja nie wymawiam, bo tobie wolno—uspakaja go Zosia czule.—Tobie wolno mówić. To nie to, że ty mówiłeś mi przy nich „głupia", ale że ty myślałeś, że myślisz „o n a j e s t g ł u p i a". Ależ ten retor napuszony ani razu nie wyraził się tak subtelnie, jak ta dziewczyna prosta, formułująca myśli bezładnie, lecz posiadająca ład w duszy. Więc dlaczego jej nie porzuci? Byłżeby to jakiś nakaz wewnętrzny na dnie sumienia? Miałażby to być ambicya szczątkowa rycerskości jakiejś? Autor ani jednym rysem nie podkreśla przyczyny. Więc może dziecko trzyma go przy niej?...

W tej chwili pod oknem jego izdebki przechodzi ulicą panna Stefania w towarzystwie jakiegoś adonisa natrętnego.

„Ten k r e t y n jest przy niej, znowu jest przy niej"—woła Relski oburzony, i w tym okrzyku czuć zazdrość. Zazdrość to odwrotna strona medalu uczucia gwałtownego, i ona z pewnością pchnie go na drogę czynu. Słuchacze domyślają się, przeczuwają, iż na początku aktu trzeciego Relski oświadczy się o rękę panny Stefanii lub przynajmniej wyzna jej swoją miłość.

Zosia, usłyszawszy, że ta panna to uczennica Antosia, podsuwa myśl, iż byłoby dobrze, aby ona dla niej robiła suknie.

„Chachachacha!! To przecież piekielnie wspaniałe! Ssłuchaj, ty chcesz koniecznie robić suknie tej pannie?... To ja, ja, wiesz, z nią się ożenię, a tobie będziemy dawali suknie do roboty, cóż, Zosiu, cóż — !?"

I teraz zawiązuje się węzeł istotny dramatu. Tu dusza Zosi uwypukla się doskonale, a Relski, jak był, tak jest postacią ulepioną sztucznie z frazesów i mgły.

— Ciszej, bo śpi—mówi Zosia, pokazując mu kołyskę.

— Co, co, co? Ty — !! myślisz dlatego, że dziecko, to ty mnie już zmusisz?

— An...toś—! Co tobie jest? Ależ ja nic nie myślę. Tylko tak głośno wołałeś, a malutki śpi.

— A, a!... Ty nie myślisz, ty, Zosiu, nie myślisz?

— Ależ nie. W imię Ojca i Syna.... co też ty...

— To źle, Zosiu, to bardzo źle, że ty nie myślisz. Zosiu, to jest strasznie źle, że ty mi tak ufasz.

Nagle woła z oburzeniem: „Ten kretyn, bezczelny kretyn" — i wybiega z domu.

I Zosia, nieświadoma zresztą drugiej miłości Antosia, zaczyna na raz śnić na jawie:—Jak on to dziwnie powiedział: — „to bardzo źle" —. Co to za dzień! co to za dzień! (Walentowa, stojąc we drzwiach, dopowiedziała: Dzisiaj jest wtorek). — Aha — , wtorek... Co to za dzień! „To bardzo źle"... Aha, wtorek — wtorek... wtorek... wtorek...

Nic dramatyczniejszego nad to bezmyślne powtarzanie słów. Cała ta scena, szkicowana drobnymi rysami, niby od niechcenia, jest dziwnie żywa. Język z umysłu powszedni, bałamutny w składni, wybornie odźwierciadla prawdę życia codziennego, pod którą nurtuje dramat, a drobne słówko „źle", „to bardzo źle", powtarzane bezwiednie, wargami tylko, lecz dźwięcznie, stanowi znów nutę charakterystyczną, zniewalającą słuchaczów do przeczuwania i oczekiwania zmiany nagłej dramatu. Lecz efekt to w części chybiony. — Pan Kisielewski nie buduje sztuki na dawną modłę, gdzie każdy szczegół jest przygotowany. Wszystko u niego, jak w życiu, wiąże się przygodnie, może w myśl zasady, iż porządek powstaje z działania przypadku na chaos.—To też nuta charakterystyczna, jakkolwiek dobrze pomyślana, dobrze umieszczona, nie dźwięczy dość silnie. Jak kwiat piękny, lecz nikły, ginie dla oka w otoczeniu zielska i chwastów, nadmiernie wybujałych, tak i scena ta, przygłuszona kształtami karykaturalnymi postaci i barwami jaskrawemi epizodów poprzednich, nie przenika do duszy słuchaczów. Czują oni, że coś złego się święci, ale w czasie antraktu spokojnie jedzą cukierki i jeszcze spokojniej palą papierosy. Brak umiaru w budowie, w architektonice dramatu zabija ideę.

Akt trzeci to obrazek rodzajowy, przedstawiający salon pana Borkowskiego, byłego ziemianina, obecnie może radcy miejskiego, może członka jakiegoś komitetu, a nawet wielu komitetów. Liczmany konceptów na temat pedagogiki, polityki, emancypacyi kobiet, dekadentyzmu, nie zastępią złota obserwacyi bystrych. Widać, iż autor posługuje się tu materyałem z drugiej ręki. Ale obrazek ten tak dobrze oddaje banalność salonu mieszczańsko-szlacheckiego, tak wyraźnie charakteryzuje wzajemny stosunek osób, tak zręcznie wysuwa naprzód sylwetkę panny Stefanii, empancypantki sympatycz-

nej, która się udała rodzicom, bo i jest wykształcona i nie zatraciła głównej cechy kobiecości—uczucia szczerego, iż nie można mieć za złe autorowi, że nazbyt rozszerzył jego ramy. Jedna wszelako figura, postać Laury, młodej wdowy, „dekadentki złamanej i zniszczonej", jako zbyt silnie wyindywidualizowana i karykaturalnie w rysach przesadzona, wyrywa się zanadto z tła. Jest niesmaczna i całkiem niepotrzebna — nietylko w sztuce, ale i w tym obrazku.

Niepotrzebna? Ach, prawda! Sztuka dzisiejsza to rzeczywistość, przeniesiona na scenę. „Gardzę logiką"—powiada Witoldyński. Wynikliwość przyczyn i faktów nie obowiązuje dramaturga-naturalisty. Jego rzeczą jest tylko widzieć i notować. To też, jeżeli gdzie pozwala sobie na oświetlenie subjektywne, to w uwagach reżyserskich. Ignaś, brat Stefanii, łobuz i próżniak, nie chce się uczyć. A po czem to poznać? Naturalnie po tem, że „nogą książczynę kopnął, ta w drgawkach i męce kartek uciekła pod kanapę (!!!)". Z pewnością w tem miejscu na rękopisie musi być plama okrągła. To ślad łzy, jaką autor nad duszą zrozpaczoną „książczyny" uronił. A pierwsza to jego łza, więc tem gorętsza pewnie.

Dodać należy, iż w obrazku tym ukazuje się na chwilę adonis panny Stefanii, ów „kretyn, bezczelny kretyn", który przed chwilą wzbudził zazdrość w sercu Relskiego. Sylwetka to karykaturalna, naszkicowana od jednego zamachu, ale żywa, jak owe postaci studentów. Powtarza wciąż jeden tylko frazes: „Ca...je rączki pańdzice—'n do nóg padam pańdziejowi!" I karykatura ta ma swój kształt, i publiczność ją widzi i śmieje się do rozpuku.

W końcu aktu zjawia się Relski, nie, jak zwykle, w charakterze nauczyciela panny Stefanii, lecz jako młodzieniec światowy, który przyszedł pożegnać się z nią, pożegnać na zawsze. Panna Stefania nie rozumie jego aluzyi do „ostatniej lekcyi" i oświadcza mu się pierwsza. Relski przez chwilę napawa się jej pocałunkiem, lecz, „za dumny, by kłamać", wybiega pędem z domu państwa Borkowskich. Publiczność rozumie doskonale, jakie pobudki skłoniły Relskiego do tej ucieczki nagłej, i to w chwili szczęścia zupełnego, gdyż Stefania poszła tylko zawiadomić ojca o tem, co zaszło, a ojciec już poprzednio się był zgodził na wszystko. Lecz ani ojciec, ani córka o stosunku Relskiego z Zosią nie wiedzą—więc nie rozumieją. „Tato pewnie go czemś obraził"— ? — „Co obraził!!! Waryat!" Tu następuje rozwiązanie niespodziane. Panna Stefania traci głowę. Chce pisać. „Nie, to napróżno. Przeklęta duma —! Tato niech sam, koniecznie osobiście, mój najdroższy—niech do niego — . Osobiście — tato...

— „Czy ty także, łaskawco, — zmysły postradałaś? Ja żebym prosił takiego chłystka?!

— „Ojciec wie... że ja tatę bardzo kocham, że ja... że... ale, jeżeli ojciec zaraz nie pójdzie za nim — — to ja pójdę sama, i ten wieczór zostanę u niego — !!!

— ... Byleś ty tylko tego nie żałowała — odpowiada ojciec dobrodusznie i idzie.

Wygląda to na operetkę, ale ponieważ w życiu tak zdarzyćby się mogło, więc autor z całym spokojem naturalisty wstrząsa gmachem konwenansu w posadach i z miną tryumfującą pyta publiczności: A co? — A publiczność nic: czeka końca stosunku Relskiego z Zosią — bo w całym tym dramacie jedynie Zosia jest istotą, dobrze zaobserwowaną i dobrze odtworzoną—i nie słucha nawet jęków panny Stefanii, wyśpiewującej swoją nutę charakterystyczną w finale aktu patetycznie, na wzór bohaterek z dramatów norweskich. „On nie kłamał, mój Boże, nie kłamał —. A jeżeli?... To pójdę przez życie — sama — sama — sa — — — — ". Czytelnik domyśla się, że dusza zrozpaczonej panny Stefanii wyraża się tu przedewszystkiem w onomatopejach i okrzykach, czego dowodem znaki pisarskie najprzeróżnorodniejszej formy i w najdziwaczniejszym układzie.

W akcie czwartym autor załatwia się z dramatem szybko. Zresztą akcya tu na krótkiem toporzysku. Wszystkiego dwie sceny: jedna z Zosią, druga z ojcem panny Stefanii. Najpierw z Zosią: „To tak nie może być: tak dłużej nie może być! Ja nie mogę konać całymi miesiącami — ja oszaleję — — — !

— Jezu, Jezu!

— He! he! Rano kartoflanka, a wieczór nektar. Robi się taka mieszaninka. — Ciągle pijany, pijany szczęściem. Wściekłość!!! Zosiu, tyś mi skradła pół mojego życia; tyś mnie pchnęła w bagno nie, w to małe, ohydne bajoro — Błoto cieknie mi uszami, błoto pcha się do ust, lezie do oczu, lepi się po twarzy, ciele — błoto, błoto — !!! Ja oszaleję, ja oszaleję!"

To energiczne, nieprawdaż? Lecz co po tem? Może zerwanie z Zosią? Może powrót do panny Stefanii? Może ukojenie duszy pod skrzydłem pracy, nauki? Gdzież tam! Melodramat, zwykły melodramat mieszczańsko-teatralny — i to w słowach. „Słuchaj: ja, ja jutro idę — dam na zapowiedzi... (Jezu!— krzyk szczęścia)... i weźmiemy ślub. Ale za kościołem, pod progiem, palnę sobie w łeb!" Albo nie, nie! „Widzisz, Zosiu, ty jesteś młoda i ładna, gdy wrócisz do matki, wyjdziesz potem za mąż...

I Zosia, ta istota nawskroś dobra, odpowiada: „Antoś, no to ja... mój Boże, mój Boże... to ja się do mamy wrócę, co? — Ja jutro pójdę. Wiem, że nazawsze".

Ta dobroć pobija go i znów obezwładnia: „Oszaleć! I ani słowa wymówki — ! Ta okropna dobroć — !

Cała ta scena odbywa się prawie po ciemku, przy blasku ognia, dogasającego na kominku. Naraz do izdebki wchodzi pan Borkowski. Zosia chowa się za piec. Relski nie zapala światła, tłómacząc się, iż w lampie niema nafty. Borkowski, jak zawsze dobroduszny, uprzedza, iż nie będzie „konferował długo. Zresztą, co tu owijać w bawełnę; ja o wszystkiem wiem, łaskawco, oddawna, i to nie jest zbrodnią. — Jesteście oboje młodzi, moja córka pana kocha...

— *Jezus !!!*

To krzyk Zosi. Borkowski sam zapala świecę i wszystko się wydaje. Scena wzrusza dramatycznością faktów, zestawionych razem. Lecz dramat to sytuacyi, nie zaś konieczności psychologicznej. Usunąć na chwilę Borkowskiego ze sceny, a nic w życiu tych ludzi się nie zmieni. Lecz i sytuacya wywołuje akcyę.

Borkowski mówi: — „A od mojego domu wara!!... Do mojej córki, żebyś się pan nie zbliżył — — I ja... panu powiadam, że to jest podłość... ja panu..."

Zosia mówi: — „Ty... ty... To taką ty prawdę gadałeś — ?? — Żeby inną mieć — !!? — Dziecko jest moje. Otula je. A centa od pana nie potrzebuję — ! — To wszystko jest panowe — ! — Aby ci tego — Bóg w niebie nie zapomniał — !"

Dotąd wszystko w porządku. W chwili największego napięcia energii ci ludzie na dnie duszy znaleźli słowa, dostatecznie silne, i dramat temi słowy zakończyli doskonale. Słuchacze rozumieją wyraz ich bólu i bólowi ich, nawskroś ludzkiemu, współczują. Lecz nie tu jest koniec dramatu p. Kisielewskiego. Dla niego dramat to zagadka psychologiczna, to dusza Relskiego, ta dusza, skąpana w frazesach, miotająca się w okrzykach i jękach pustych, chwiejna w pragnieniach. I tacy bywają na świecie. Lecz czego chce ten człowiek? Skąd on rodem? I waryat ma jakąś cechę znamienną duszy, jakieś pragnienie, dokoła którego krąży lub do którego dąży. A czy to przypadkiem nie odblask zorzy północnej? Ej, czuć w tem promień, naturalnie nie słońca, lecz księżyca teatru norweskiego. Bo i z czemże Relski występuje w końcu dramatu, jako rys charakteru swoistego? Ze świtem nowego podkładu duszy.

..... „Powiedział—podły!—i ja... nie dałem mu... w twarz—??!!—.

. . . .

Kropki powyższe to rozwiązanie zagadki. Nikt w ciągu czterech aktów nie domyślał się w Relskim „rycerza czasów feudalnych”, człowieka nadmiernie wrażliwego na obelgi, jakkolwiek epitety wymieniane między kolegami mogły wielokrotnie nawet nastręczyć mu powód do rozprawy honorowej. Tymczasem w końcu, po tylu czynach niecnych, obudził się w nim *rycerz*. Dobrze, lecz ostatni jego frazes nie robi żadnego wrażenia. Może to początek jakiegoś nowego dramatu psychologicznego? Gorzej. To efekt czysto teatralny w nowym stylu, albo raczej parodya efektu. A przytem chybia on zupełnie celu. Nikt po wyjściu z teatru nie interesuje się duszą Relskiego. W umyśle słuchaczów, czy widzów zostaje się tylko obraz ogólny sztuki całej. I nic dziwnego, gdyż cała sztuka oparta jest, nie na rozwiązywaniu zagadek psychologicznych, nie na stopniowaniu efektów, choćby teatralnych czy melodramatycznych, ale na nagromadzeniu drobnych i ścisłych obserwacyi życia powszedniego w zamkniętem kole studentów rozwydrzonych teoryjkami krzykliwemi i rzemieślników jaskrawo charakterystycznych. To p. Kisielewski zna dobrze. Jego komedya czy dramat kręci się żywo, acz w podskokach, koło swojej osi, którą jest psia wierność biednej szwaczki, dziewczyny, kochającej szczerze i bezinteresownie. Czuć, iż autor przypatrywał się zblizka istocie tego rodzaju, prostej a czułej. To też charakterystyka jej, mimo drobne usterki w gwarze, zadziwia wyrazem duszy i dosadnością rysów. Lecz świat zagadek psychologicznych to jeszcze dla niego księga zamknięta. Czyta on z cudzych kartek, i dlatego słowa układają mu się, nie w wyraz uczuć i myśli, lecz w frazesy puste. Jego Relski to manekin gutaperkowy z duszą sztucznie rozdmuchaną. „Moc jego — mówiąc językiem Skargi — jest jako wór rzemienny, nadęty wiatrem, który, lada dziurkę uczyniwszy, sklęśnie”.

Po za Zosią, która i jako typ, i jako charakter, żyje życiem pełnem, wszystkiemi właściwościwościami duchowemi, umysłowemi i fizycznemi — swojemi i swojego otoczenia, sztuka p. Kisielewskiego obfituje jedynie w sylwetki charakterystyczne, komiczne, często karykaturalne, ale żywe. Czuć w tem oko obserwatora bystrego i rękę rysownika, może rysownika-humorysty, przesadzającego zazwyczaj cechy duszy i rysy kształtów zewnętrznych, lecz bądź jakbądź rysownika utalentowanego. To też wszystkie jego postaci, z wyjątkiem bohatera głównego, Antosia Relskiego żyją, jakkolwiek są szkicowane tylko zewnętrznie, nie zaś modelowane po rzeźbiarsku w bryłach litych.

Co do akcyi, to ta wciąż staje, albo raczej niema jej wcale. Wynik to budowy, metody, *sztuki pętelkowej*, która pozbawia dramat ciągłości interesu, rozwoju intrygi, a przez to i charakterów. A przytem zarówno figury pojedyńcze, jak i sceny całe, grzeszą brakiem umiaru artystycznego, równowagi czynników, ustosunkowania wypukłości do znaczenia chwili, i to pozbawia sztukę mocy pewnej. Patrzy się na to, jak na zlepek obrazów luźnych, pomyślanych i wykonanych dorywczo, jak na kramik z przeróżnemi figurami gipsowemi, fajansowemi, porcelanowemi czy nawet brązowemi, jak na wystawę scen charakterystycznych za szybą lustrzaną fotografa. Ująć to w jakąś całość? — Można. Lecz cóż z tego, kiedy ta całość niema cechy swoistej twórcy. Ścisnąć ją?... Nie poleje się ani jedna łza poety-liryka. — Przedmuchnąć ją?... Nie wyleci w przestworza ani jedna myśl filozofa, doszukującego się w objawach życia przyczyny przyczyn. — Rozbić cząstki pojedyńcze na kawałki?... Tu co innego. Tyle krwi ciepłej i czerwonej płynie w żyłach postaci, tyle temperamentu drga w ich słowach, że pod obuchem każda cząstka, choć niekompletna, jęknęłaby głosem ludzkim.

Tak się przedstawia sztuka.

A autor? To nie poeta, wzbijający się wysoko ponad padół życia powszedniego na skrzydłach uczucia. Nie psycholog, wnikający w duszę ludzką do głębi i odnajdujący na jej dnie pobudki nowe i nieznane czynów. Nie myśliciel, wskazujący drogi nowe i odsłaniający widnokręgi dalekie działania jednostronnego lub społecznego. Bądź jakbądź jednak, jest to obserwator, dopatrujący się rysów charakterystycznych, acz drobnych na ruchliwej i złożonej fizyognomi człowieka dzisiejszego, zwłaszcza w sferze mieszczańsko-rzemieślniczej — i dramaturg urodzony. Talent jego nie jest jeszcze poparty masą obserwacyi z pierwszej ręki, nie jest jeszcze wyindywidualizowany w sposobie odczuwania świata i ludzi; nie jest jeszcze zrównoważony w formie przedstawienia rzeczy; lecz czuć już w nim ową cechę dramaturga prawdziwego, który widzi dusze ludzkie w kształtach, czuje rysy w ruchu na scenie i pisząc słyszy, dźwięki słowa mówionego. Jego „studyum sceniczne”, przelane na papier, nie jest dziełem sztuki: zbywa mu na formie artystycznej, zwartej, wysubtylizowanej w szczegółach języka; przeniesione jednak na scenę, żyje rysami dosadnymi kształtów i mową naturalną, doskonale charakteryzującą dusze, umysłowość, namiętności, wreszcie ułomności osób wprowadzonych w grę. Nie zbywa mu też na dowcipie, zarówno w igraszkach słów, jak i w zestawieniach sytuacyi.

Wykonanie na scenie warszawskiej nie odznaczało się staranością szczególną. Panna Tekla Trapszówna, wyborna w scenach komicznych, nie podołała, jako Zosia czuła, zadaniu w chwilach nastroju lirycznego, a tem mniej dramatycznego. Pan Żelazowski, w roli Antosia Relskiego, przez całe cztery akty ani razu nie rozchmurzył czoła i wciąż mówił głosem nienaturalnym, falsetowym, jak lunatyk, rozmawiający z majakami własnej wyobraźni. Pan Wojdałowicz dobrze uzmysłowił dobroduszność pana Borkowskiego, ale w ostatnim akcie nie umiał rzucić dość energicznie obelgi słownej w twarz Relskiemu. Pan Frenkiel znakomicie odworzył typ rzemieślnika-andrusa, lecz nie mieścił się w ramach obrazka rodzajowego. Pani Borkowska traktowała rolę matki sucho, a pani Micińska zanadto przesadziła rysy karykaturalne Walentowej. Panowie: Śliwicki, Roland, Nowicki, Grubiński, Wolski, Owerło, Prażmowski, Paliński i Tatarkiewicz przedstawiali się żywo w ruchach, lecz nie zawsze pomiarkowanie w tonie. Dodać jednak należy, iż p. Wolski, w roli Stachowskiego, doskonale uzmysłowił chwilę niepokoju wewnętrznego — na wieść, iż ma zostać ojcem chrzestnym dziecka biednej Zosi.

Ta Zosia udała się panu Kisielewskiemu: w istocie, to biedna istota...

Antoni Sygietyński.



KRONIKA EKONOMICZNA.

Sytuacya na rynku pieniężnym.—Przykłady zależności pomiędzy stanem przedsiębiorstw produkcyjnych a stanem rynku pieniężnego. — Przesilenie w produkcyi bicyklów.—Nieco o syndykatach.

Jakkolwiek nie rozporządzamy jeszcze cyframi statystycznemi o produkcyi i handlu za rok ubiegły, nie ulega przecie kwestyi, że można go zaliczyć do najbardziej pomyślnych—stan rynku wszechświatowego był świetnym. Jednakże mnożą się coraz zjawiska niepokojące, kóre powinny przypomnieć starą maksymę o latach chudych, idących za laty tłustemi. Najważniejszymi faktami tego rodzaju w grudniu było podwyższenie stopy dyskontowej w Berlinie i Paryżu oraz panika na giełdzie w Nowym Yorku. Dwa wspomniane, najważniejsze z kontynentalnych, banki musiały chwycić się tego środka, aby zapobiedz odpływowi złota z kas swoich do Anglii, lecz cel ten został tylko częściowo osiągniętym, gdyż zarówno z Niemiec, jak i z Paryża, pokaźne, bądźcobądź, sumy wysłano po części wprost do Anglii, po części do Ameryki południowej i Australii, gdzie wypadło płacić za zboże i wełnę, podczas gdy w normalnych warunkach sumy te płaci z łatwością bank angielski. Już to podrożenie kredytu stanowi poważne utrudnienie dla producentów, o czem niżej, lecz groźniejszym niemal symptomem była panika amerykańska. Zażegnano ją wprawdzie tym razem, lecz świadczy

ona, że na owym rynku amerykańskim, tak niezmiernie chwiejnym w swoich koniunkturach, mogą nagle zajść komplikacye, wskutek których dowóz towarów może uledz gwałtownej redukcyi, co oczywiście byłoby klęską dla producentów zachodniej Europy, którzy, ufni w pomyślny stan interesów, rozszerzali swoją produkcyę, obliczoną specyalnie na ten rynek. Panika ta została spowodowana kilku upadłościami, które pozostają, o ile się zdaje, w ścisłym ze sobą związku, dotyczą wielkiego towarzystwa wyrobu konserw mięsnych i trzech banków. Właściwie straty nie są wielkie, lecz napięcie na rynku pieniężnym było tak wielkie, że kontrmina mogła skutecznie zaalarmować publiczność, która pozbywała się swoich papierów z ogromnemi stratami. Zażegnała burzę interwencya banku oraz pana Rockeffeler, króla naftowego, który z łatwością mógł stawić do dyspozycyi dziesiątki milionów dolarów, a uczynił to, gdyż oczywiście jest najmocniej zainteresowany w podtrzymaniu wysokich kursów akcyi kolejowych, któremi operuje oddawna. Jeżeli już sama panika jest symptomatem groźnym, to jeszcze bardziej niepokojącymi są objawy niezdrowej spekulacyi, jakie wyszły na jaw z powodu owych upadłości: „Squire Porkpacking Company" w Bostonie ogłosiła upadłość, i natychmiast musiał uczynić to samo bank bostoński „Broadway Bank". Wiceprezydentem zaś tego banku jest tenże pan Squire, stojący na czele wymienionej kompanii! Jasną jest rzeczą, że pan prezydent musiał gospodarzyć dobrze na swoją korzyść, a na niekorzyść banku. Trzecia upadłość dotycze „Produce Exchange Trust Company", i tu okazało się, że towarzystwo to wbrew wyraźnemu paragrafowi statutu lombardowało akcye przemysłowe. Przykłady te świadczą nader wymownie, do jakiego stopnia rozhuśtali się znów panowie finansiści, licząc na pomyślną koniunkturę, i dlatego aż nadto są uzasadnione obawy, że, kiedy nastąpi znów zwrot w koniunkturze, będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Żeby uwydatnić dla czytelników niefachowych związek pomiędzy utrudnionym kredytem — co wypowiada się w podwyższeniu stopy dyskontowej — a stanem przedsiębiorstw przemysłowych, wybieramy dwa przykłady dobitne: 1) Ze wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych najobficiéj muszą korzystać z kredytu zarówno hypotecznego, jak krótkoterminowego, wekslowego, przedsiębiorstwa budowlane. Budownictwo stało się, jak wiadomo, gałęzią wielkiego przemysłu: rzadko już dziś zdarza się, że ktoś buduje kamienicę z celem zamieszkania w niej; przedsiębiorstwa budowlane albo sta-

wiają domy na własny rachunek w celu sprzedania ich jaknajprędzej, albo z polecenia spekulantów, właścicieli placów. Przytem przedsiębiorstwo takie może być prowadzone z zyskiem tylko wtedy, jeżeli stawia się odrazu kilka lub nawet kilkanaście kamienic, gdyż trzeba utrzymać cały sztab budowlanych, rysowników, majsrtów, trzeba zakontraktować całe gromady robotników, a często zdarza się, że przedsiębiorca jest zarazem właścicielem cegielni, którą opłaci się prowadzić tylko przy znacznem własnem zapotrzebowaniu cegły. Oczywiście tylko posiadacz milionowych kapitałów mógłby obyć się tu bez kredytu. Łatwość wszakże, z jaką udzielają się hypoteki, spowodowała, że właśnie w tej gałęzi produkcyi przodsiębiorcy są stosunkowo mało zasobni. Zanim jeszcze rozpoczęto budowę, pobrano hypotekę na plac, a potem, co piętro, to nowa hypoteka; w dodadatku gwałtowna konkurencya zmusza rzemieślników—stolarzy, zdunów, szklarzy i t. d. — pracować na kredyt. Dopóki o kredyt łatwo, wszystko odbywa się bez zawikłań. Jak wiemy, obecnie zapotrzebowanie olbrzymich sum dla wznoszenia nowych lub rozszerzenia dawnych przedsiębiorstw przemysłowych przedewszystkiem w przemyśle żelaznym — spowodowało utrudnienie kredytu, i budownictwo, które natychmiast po nastaniu pomyślniejszej koniunktury rozwinęło się w sposób niepomierny (przyczem pobudką najważniejszą jest przypływ ogromnych mas robotniczych do miast), nagle natrafia na ten szkopuł utrudnionego kredytu. I oto zarówno w Anglii, jak w Niemczech, pisma fachowe już na jesieni zwracały uwagę na fakt, że, o ile rok ubiegły w budownictwie był pomyślnym, o tyle ruch budowlany na wiosnę przyszłą zmniejszy się, jeżeli się stosunki kredytowe nie polepszą. Pomijając, że w ten sposób setki tysięcy robotników zajętych przy budownictwie, natrafiwszy na gorsze warunki zarobkowe, przestaje być wypłacalnymi konsumentami, należy pamiętać, że dzisiejsze budownictwo, używając olbrzymich ilości żelaza (belkę drewnianą oraz słup kamienny zastąpiono żelazem, dachy kryte blachą i t. d., i t. d.), jest jednym z najpoważniejszych odbiorców przemysłu żelaznego. Stagnacya więc w budownictwie musi się odbić zarówno w tym przemyśle. 2) Powszechnie przyznano, że jednym z doniosłych czynników obecnego ożywienia przemysłowego, był szybki rozwój elektrotechniki. W rzeczy samej: nie mówiąc o wielkiej ilości materyałów surowych i pomocniczych, jakich zapotrzebowały wielkie zakłady elektrotechniczne — druty miedziane, kauczuk etc., i o maszynach, które musiały zaprowadzać, budowa tramwajów elektrycznych spowodowała olbrzymie obstalunki relsów i wagonów. Prym w tej gałęzi przemysłu trzymają Niemcy,

i tu powstało mnóstwo mniejszych przedsiębiorstw, a wielkie renomowane firmy, jak Simens i Halskie w Berlinie, Schuckert w Norymberdze, Kummer w Dreznie, rozszerzały znacznie w ostatnich latach produkcyę. I oto okazało się, że dyrektorowie towarzystw akcyjnych w tej gałęzi produkcyi obstawali za tem, aby za rok ubiegły wyznaczono nizkie dywidendy, a pamiętano natomiast o funduszach rezerwowych, co spowodowało nawet znaczne obniżenie kursu akcyi w ostatnich miesiącach. A przyczyna? Brak kredytu! Wiele miast chętnie zaprowadziłoby u siebie tramwaje elektryczne i zastąpiło oświetlenie gazowe elektrycznem, lecz na to trzeba pieniędzy, pieniądze zwykle w takich razach bywają pobrane przez emisye nowych pożyczek miejskich, a przy dzisiejszym stanie rynku pieniężnego każdy magistrat, który zdecydowałby się na taki krok, zasługiwałby na najsurowszą naganę. Wskutek więc tego fabryki elektrotechniczne mają wprawdzie jeszcze znaczne zamówienia, lecz mogą znaleźć się w położeniu bardzo krytycznem, jeżeli stosunki pieniężne nie ulegną radykalnej zmianie.

Przykładu znów tego, z jaką bajeczną szybkością przy dzisiejszym stanie techniki i stosunków przemysłowych wzrasta produkcya, przewyższając w nader szybkim czasie popyt, dostarcza jedna z najmłodszych gałęzi przemysłu — wyrób bicyklów. Bicykl na Zachodzie stał się dziś rzeczywiście popularny. W wielkich miastach fabrycznych Niemiec i Francyi codziennie spotyka się setki i tysiące ludzi, bynajmniej nie sportsmenów, używających tego wehikułu: urzędnicy poczty i telegrafu, woźni, posługacze sklepów używają bicyklu; piekarze, rzeźnicy na trycyklu z małą platformą rozwożą pieczywo i mięso swoim kundmanom; tysiące nawet robotników jeździ na bicyklu do pracy, gdyż w ten sposób łatwiej im zamieszkać na odległych przedmieściach lub zgoła na wsi i oszczędzić na komornem. Oczywiście popyt na te maszyny wzrosnąć musiał w sposób ogromny. Pomimo to w tej gałęzi produkcyi wybuchło już rzeczywiste przesilenie, kurs akcyi nawet renomowanych zakładów spada szybko, a i upadłości zdarzyła się spora ilość. Powodem jest tu najoczywiściej nadprodukcya. W tej gałęzi mamy też przykład tego, że wychwalane tak gorąco, ogłoszone przez niektórych ekonomistów nawet za panaceum syndykaty nie zawsze są w stanie zapobiedz kryzysowi: fabryki bicyklów w Niemczech zawarły syndykat i zmusiły kupców, handlujących nimi, do trzymania cen na wysokim poziomie. Otóż ci kupcy radzą sobie, jak mogą. Na

sprzedaży po cenie, oznaczonej przez fabrykę, zysk jest znaczny, jednakże kupiec, detalista woli sprzedać 10 sztuk z zyskiem mniejszym, aniżeli jedną przy zysku wielkim. Rozszerzono tedy kredyt do możliwych granic, tak, że dziś sprzedają bicykle na spłaty śmiesznie małe; a powtóre chwycono się rozmaitych wybiegów. Np.: nowy bicykl kosztuje 200 marek, taniej sprzedać nie wolno; przychodzi ktoś ze starą zużytą machiną, wartującą tyle, co stare żelastwo, i kupiec nabywa je, 50, 60 marek, jeżeli sprzedawca nabędzie nowy bicykl. W ten sposób cena syndykalna staje się zgoła fikcyjną. Z drugiej zaś strony nadmierne udzielanie kredytu ze strony przekupniów ludziom prywatnym musiało powodować liczne, acz drobne niewypłacalności, i to stało się przyczyną główną kryzysu w tej gałęzi.

W danym wypadku chodzi o syndykat, w którym przedsiębiorcy mają do czynienia z całą falangą detalistów, a interes tych detalistów jest do pewnego stopnia sprzeczny z interesem członków syndykatu, i w tem leży po części źródło niepowodzenia. Prócz tego konkurencya na tem polu musiała być znaczna, gdyż fabryka bicyklów niezbyt wielkiego potrzebuje kapitału zakładowego. Gdzie zaś ilość odbiorców jest mniejszą, a produkcya może być zyskowną tylko przy bardzo wielkim nakładzie, oraz tam, gdzie producenci posiadają do pewnego stopnia monopol — przemysł kopalniany — tam syndykaty dotąd okazały tendencyę wyraźną wyzyskiwania sytuacyi aż do ostatnich granic przez podwyższenie cen, czy wszakże będą one w stanie rzeczywiście powstrzymać lub nawet tylko złagodzić kryzys, to przyszłość dopiero wykaże. Najbardziej bujnie wyrastają oczywiście syndykaty w tych krajach przemysłowych, w których obwarowane są wysokiemi cłami przywozowemi, jak np. w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. Co do ostatniego kraju, to sprawa przybrała tam tak ciekawy obrót, że pragniemy jej poświęcić więcej nieco miejsca i uczynimy to w jednej z przyszłych kronik. W Niemczech ilość syndykatów w jednej z najnowszych rozpraw, poświęconych tej kwestyi, obliczono w roku 1898 na 260, za rok ubiegły naliczyliśmy nie mniej, jak 49 nowo-utworzonych syndykatów, przyczem rzeczywista cyfra może być znacznie większą, gdyż nie wszystkie bywają podawane do wiadomości publicznej. Wszystkie te syndykaty niemieckie systematycznie podwyższały ceny w latach ostatnich do ostatecznych granic, to jest do granic,

na jakie dozwala cło ochronne. Prym zaś pomiędzy nimi trzyma najdoskonalej zorganizowany syndykat węglowy westfalsko-nadreński, który naznacza ceny tak wygórowane, że bez przesady można tu mówić o nowej formie lichwy. W jaki terrorystyczny sposób postępują przytem te związki przedsiębiorców, na to z licznych przykładów, jakie zdołaliśmy zebrać, podajemy następujący. Utworzono syndykat fabrykantów drutu oraz syndykat fabryk, wyrabiających gwoździe z drutu. Odbiorcom postawiono warunki w cyrkularzu, który brzmi dosłownie: „Przez nabycie towaru u nas zobowiązuje się Pan nie sprzedawać krajowego walcowanego drutu grubości 3,8 milimetru i wyżej, inaczej, jak po cenie najmniej o 10 marek na tonie wyższej od tej, jaką naznacza Panu syndykat. Za druty cieńsze naznaczymy normę cen, skoro zostanie zorganizowany syndykat producentów drutów ciągniętych. Prócz tego zobowiązuje się Pan nie dostarczać pod żadnym warunkiem pośrednio lub bezpośrednio drutu tym niżej wymienionym firmom, które odmówiły udziału w syndykacie niemieckich fabryk gwoździ, z drutu wyrabianych (Drahtstifte). Za każde przekroczenie tych przepisów zobowiązuje się Pan zapłacić kary konwencyonalnej 10 marek od tony zakontraktowanego towaru; prócz tego zastrzegamy sobie prawo przerwania dalszych dostaw, to jest unieważnia się w razie przekroczenia wyżej wymienionych warunków kontrakt dostawy".—Względem syndykatu fabrykantów gwoździ musi jednocześnie hurtownik zobowiązać sią nabywać towar li tylko od firm syndykalnych. W ten sposób rzeczywiście uniemożliwia się wszelką konkurencyę: fabrykanci gwoździ nie otrzymują drutu, mogą więc produkować li tylko, jeżeli posiadają własne walcownie drutu. Jeżeli więc ktokolwiek zechce podjąć się konkurencyi przeciw syndykatowi, musi szukać nowych źródeł zbytu, gdyż hurtownicy już związali się kontraktem powyższym, a nie podpisać go nie mogli dla tej prostej przyczyny, że po za syndykatem pozostało tylko kilka firm mniejszych, które nie są w stanie dostarczyć wszystkich gatunków towaru, podczas gdy hurtownik musi mieć skład dobrze zaopatrzony.

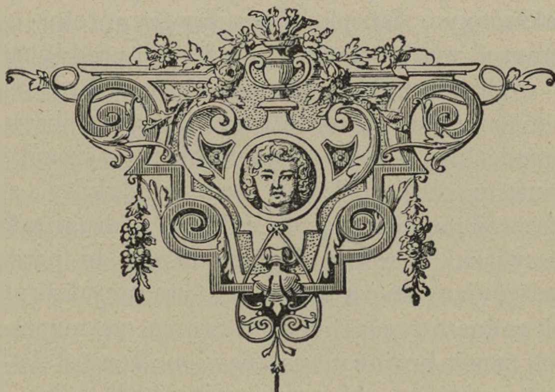
Tak więc obecne ożywienie przemysłowe dostarczyło aż nadto dowodów ujemnego wpływu syndykatów, o ile zaś słusznem jest twierdzenie, że syndykaty mogą przyczynić się do zażegnania klęsk kryzysu, to okaże się dopiero w przyszłości. Tymczasem wiemy tyle tylko, że nawet najlepiej zorganizowane związki przedsiębiorców nie były w stanie okiełznać gorączki produkcyjnej.

Najbardziej ujawnia się charakter drapieżny związków przedsiębiorców tam, gdzie wadliwe prawodawstwo stworzyło monopol dla przedsiębiorców, a zaniedbało ochronić konsumentów od zbytniego wyzysku. Przykładu takiego dostarcza kartel fabrykantów cukru w Niemczech. Jak wiadomo, rządy otoczyły produkcyę cukru szczególną opieką celem podniesienia produkcyi rolniczej za pomocą plantacyi buraków. W tym celu zaprowadzono w Niemczech, Francyi, Rosyi i Austro-Węgrzech premie wywozowe, usiłując w ten sposób ułatwić producentom krajowym konkurencyę na rynku międzynarodowym. Środek ten wszakże okazał się nader niebezpiecznym, gdyż nie tylko przez ciągłe podwyższanie tych premii powstało zgubne dla skarbu wszystkich tych państw współzawodnictwo, lecz zarazem wytworzono ogromną nadprodukcyę cukru, a prócz tego w niektórych krajach — np. w prowincyi saskiej w Prusiech — nadmierne, nieracyonalne rozszerzenie plantacyi cukrowych dziś już nie pożytek, lecz szkodę przynosi rolnictwu, jak twierdzą kompetentni znawcy agronomii. W Niemczech ostatnim krokiem prawodawczym w tej sprawie było zaprowadzenie „kontyngentu" w roku 1896. Na mocy tego prawa wyznacza się istniejącym fabrykom ilość produktu, jeżeli zaś produkują więcej, płacą od każdych 100 kilogramów podatek dodatkowy w wysokości 2,5 marek; nowo zakładanym fabrykom w pierwszym roku nie przyznaje się „kontyngentu" wcale, płacą więc od całej produkcyi podwyższony podatek, w drugim roku tylko połowa produkcyi zostaje im zaliczona do kontyngentu. Powstawanie nowych fabryk jest zatem faktycznie niemożliwe. Taki monopol nie wystarczył wszakże panom fabrykantom: utworzyli oni dwa syndykaty, z których jeden obejmuje producentów mączki cukrowej, drugi rafinady, i dwa te szanowne związki w roku ubiegłym doszły do porozumienia na zasadach następujących: za mączkę, użytą przy fabrykacyi na eksport, związek rafinerów płaci ceny targowe, za mączkę, użytą do fabrykacyi na rynek krajowy, ustanowiono cenę stałą — 12,75 marek za 100 cetnarów mączki, zawierającej 88% cukru. Przy obecnych cenach targowych, wynoszących około 9,75 marek, fabryki mączki otrzymują zatem 3 marki nadwyżki na cetnarze, a nadwyżkę tę rafinerye oczywiście odbijają na konsumentach krajowych. Konsumentom cukru w ten sposób nałożono nowy podatek konsumcyjny w wysokości 60 mniej więcej milionów marek, lecz podatek nie zostaje użytym na cele publiczne, a płynie do kieszeni producentów. Ci zaś mogą wskutek tego obniżyć jeszcze bardziej cenę na rynku międzynarodowym i pobić w ten sposób

konkurentów. Tu już doprowadzono system protekcyjny do ostatnich konsekwencyi i do absurdu. Państwo najwyraźniej dopomaga garści producentów drzeć tylko z konsumentów. Korzyści z całego systemu ciągną tylko konsumenci w tych krajach, w których cukier nie jest produkowany. W Anglii i Stanach Zjednoczonych, dokąd zwożą cukier z Francyi, Niemiec i Rosyi, jest on znacznie tańszym, niż w krajach produkujących. To też konsumcya w krajach importujących jest znacznie większą i wzrasta szybciej, niż w krajach eksportujących:

Konsumcya na głowę wynosiła kilogramów	w okresie 1870/74	w okresie 1885/89
Anglia	22,6	32,6
Stany Zjednoczone	17,6	24,5
Francya	7,8	10,7
Niemcy	6,7	7,8

J. B. M.



Dwie kwestye.

W drugiej połowie ubiegłego roku dwie kwestye ważną odegrały rolę w życiu naszem ekonomicznem i szerokie w prasie i w innych kołach wywołały rozprawy; były niemi: brak pieniędzy i brak węgla. Który z tych dwu braków dotkliwiej dał się uczuć—przesądzać trudno. Do silniejszego odczucia przesilenia pieniężnego, a raczej braku gotówki, na który przez drugie półrocze cierpieliśmy, przyczyniła się ta okoliczność, że wystąpił w chwili, gdy w wielu kierunkach przedsiębiorczości na polu ekonomicznem kraju naszego panował ruch niezmiernie ożywiony. Ta sama okoliczność spowodowała w pewnej części brak węgla, który znów bardzo dotkliwie dał się odczuć najszerszym kołom społeczeństwa ze względu na niższą znacznie, niżeli w latach ostatnich, temperaturę podczas zimy obecnej.

Wogóle dwie sprawy, którym ze względu na ich doniosłość kilka uwag poświęcić pragniemy, mają dużo cech wspólnych. Zarówno jedna, jak i druga, wyłoniły się po części z przyczyn natury międzynarodowej, po części z przyczyn natury lokalnej. Ożywienie przemysłu zaznaczyło się nietylko u nas, lecz i w kilku wielkich państwach zachodniej Europy, mianowicie w Anglii i w Niemczech. Rozwój całego przemysłu metalurgicznego, olbrzymi rozrost zasto-

sowania elektryczności powiększyły znacznie potrzebę środków obiegowych, a zarówno peryodyczne sprawozdania Banku angielskiego, jak i niemieckiego banku Rzeszy, stwierdzają, że w ciągu ubiegłego roku wymagania kredytowe u wielkich instytucyi finansowych były daleko znaczniejsze, niżeli w latach poprzednich. Zaznacza się to w dwu pozycyach sprawozdań. W miarę większych potrzeb pieniężnych wzrasta portfel wekslowy banków, i zwiększa się obieg banknotów. Otóż niemiecki Bank Rzeszy d. 30 września r. 1899 miał w portfelu weksli za 1,127,360,000 marek, gdy tymczasem w r. 1898 najwyższy stan portfelu wekslowego także d. 39 września wykazywał weksli za 916,916,000 m.

W chwili tak silnego naprężenia rynku pieniężnego wybuchła wojna pomiędzy Anglią a Transvaalem, a jakkolwiek toczy się ona w odległych krainach południowej Afryki i dotąd niema wielkiego niebezpieczeństwa, aby wojna ta wywołała jakie komplikacye międzynarodowe,—na stosunki rynku pieniężnego oddziałała niepomyślnie, przedewszystkiem dlatego, że Anglia w wojnie tej jest zaangażowana, więc bezpośrednio na tem cierpi, a potem dlatego, że wojna przerwała dowóz złota z Transvaalu, który najwięcej dostarczał żółtego kruszczu, tak potrzebnego dziś, kiedy wszystkie państwa stopniowo przeszły lub przechodzą do waluty złotej.

Niemały udział w podrożeniu pieniędzy i przesileniu pieniężnem ma spekulacya giełdowa, która dzięki chwilowemu powodzeniu przemysłu podnosi kurs wszystkich akcyi przedsiębiorstw przemysłowych, co oczywiście znacznie zwiększa potrzeby gotówki.

Potrąciliśmy pobieżnie o stosunki niemieckie, rynek pieniężny berliński bowiem dla Warszawy i Królestwa Polskiego wogóle ma doniosłe znaczenie. Liczne przedsiębiorstwa przemysłowe, mianowicie fabryki, sprowadzające surowy materyał z zagranicy, posługuje się kredytem zagranicznym, którego im głównie Berlin dostarcza, nadto i większe instytucye finansowe w Warszawie często korzystają z kredytu w Berlinie, jako najbliższym placu zagranicznym, gdzie kredyt jest znacznie tańszy, aniżeli u nas. Czynią to zresztą i dlatego, że pewnych kategoryi weksli, wystawionych właśnie naznaczniejsze sumy, bo wynikających ze stosunku pieniężnego z zakładami przemysłowymi, kantory rosyjskiego Banku Państwa brać nie chcą.

Z tych to względów berliński rynek pieniężny do pewnego stopnia wpływa na tutejsze stosunki pieniężne. A trudności pieniężne w Berlinie, które z jednej strony wywołały znaczne podwyższenie stopy procentowej, a z drugiej strony wielkie ograniczenie kredytu,

przypadły właśnie na czas, kiedy lokalne przyczyny spotęgowały zapotrzebowanie gotówki.

Za przykładem zagranicy od kilku lat także w Petersburgu i w Warszawie rozwielmożniła się spekulacya. Zaopiekowała się ona przedewszystkiem akcyami różnych przedsiębiorstw przemysłowych, których kurs niesłychanie z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień, nawet z dnia na dzień robił skoki. Wiadomo powszechnie, że już kilka lat temu, po orgiach spekulacyjnych nastąpiło smutne rozczarowanie w formie spadku kursów i licznych bankructw, które pokryły pole spekulacyi.

Ofiary te jednakże nie powstrzymały ażyotażu; spekulowano w dalszym ciągu, a gdy walory, zmieniające u nas często właściciela, są stosunkowo nieliczne, bo akcye wszelkie zwykle nabywane są na lokacyę procentową, więc szukano innych przedmiotów spekulacyi i odkryto — domy i place.

Stosunkowo szybki wzrost Warszawy w ostatnich dziesiątkach lat zwiększył oczywiście popyt na mieszkania, i bywały chwile, kiedy się zdawało, że mieszkań tych zbraknie. Właściciele kamienic skorzystali z tego położenia rzeczy, aby z posesyi swoich większe wyciągać zyski, i znacznie podwyższyli komorne. W obec znacznej renty, jaką skutkiem tego dawały domy, nieruchomości miejskie stały się bardzo poszukiwane, a cena ich szybko się podwoiła. Skutkiem tego i budowa domów stała się dobrem przedsiębiorstwem, gdy zaś w Warszawie, jakkolwiek stosunkowo mniej ma ogrodów i placów publicznych, niżeli inne miasta, placów do stawiania domów jeszcze wcale nie braknie i olbrzymia liczba jest ruder, które przewrócić należy, aby w to miejsce postawić domy, odpowiadające znacznie podniesionemu poziomowi potrzeb obecnych, — rozpoczęła się spekulacya na place i domy.

Życie ekonomiczne naszego społeczeństwa różni się w jednym ważnym punkcie od rozwoju ekonomicznego innych społeczeństw. Gdy bowiem gdzieindziej przedsiębiorczość objawia się też w przemysłowości, i każdy człowiek przedsiębiorczy stara się wyszukać sobie pole, przez innych jeszcze nie zajęte, u nas, widocznie, i u ludzi przedsiębiorczych umysł pracuje z większą ociężałością, aniżeli gdzieindziej. Skutkiem tego u nas, gdy ktoś dozna z nowem przedsiębiorstwem powodzenia, może być pewnym, że znajdzie licznych naśladowców, którzy bardzo rychło wywołają nadmierną podaż i obniżenie ceny danego wyrobu. Tak proste zakłady przemysłowe, jak cegielnie, przynajmniej w formie udoskonalonej u nas stawiano najpierw kapitałem obcym. Rozumie się, że gdy jeden przedsiębiorca na ce-

gielni zrobił dobry interes, powstawały zaraz dziesiątki cegielni. Natomiast na rzeczy nowe, u nas nie wyzyskane, nie rzucają się nigdy krajowi przedsiębiorcy, najlepsze te pozycye zajmują cudzoziemcy. Tramwaje budują Belgijczycy, a dopiero w parę dziesiątków lat potem znajduje się konsorcyum krajowych kapitalistów, gotowe je przejąć. Na pierwszą fabrykę sztucznych nawozów trzeba kapitały sprowadzić z Belgii, dopiero na drugą można szukać kapitałów na miejscu, a fakt, że się je znajduje, bądźcobądź dowodzi, że one istnieją.

Te okoliczności przyczyniły się też zapewne do wywołania gorączkowej spekulacyi domami i placami w Warszawie. Gdy jedni zarobili na domach i placach, rzuciły się natychmiast setki kapitalistów i gołych spekulantów w tym kierunku, a tracąc wszelką miarę, wyśrubowano ceny domów, a mianowicie placów, do niesłychanej wysokości.

Pierwsi kupowali po niższych cenach, za gotówkę; drudzy i trzeci już nabywali place na kredyt, zaczęli budować domy na kredyt, a skutkiem tego zapotrzebowanie gotówki ogromnie wzrosło. Przez czas pewien nie zbrakło spekulantom pieniędzy; dostarczali ich kapitaliści prywatni, a nawet instytucye finansowe, przekonane, że spekulanci dobre porobili interesa.

Nagle jednakże zaczęło braknąć gotówki z przyczyn, o których co dopiero mówiliśmy. Berlin zaczął utrudniać udzielanie kredytu, kapitaliści prywatni wyczerpali swoje fundusze lub też z obawy krachu zaczęli je wycofywać, a gdy w instytucyach finansowych zaczęto odczuwać brak gotówki, postanowiono przedewszystkiem skutki tego dać odczuć spekulantom budowlanym, których do pewnego stopnia słusznie uważano za sprawców wszystkiego złego. Odmawiano nagle nie tylko dyskontowania, lecz i prolongowania wszystkich weksli, t. z. budowlanych, t. j. mających źródło w spekulacyi budowlanej, a skutkiem tej procedury nie tylko spekulanci stracili grunt pod nogami, lecz w fatalnem położeniu znaleźli się i rzemieślnicy, którzy się podjęli robót przy stawianiu domów, a w miejsce gotówki otrzymywali weksle przedsiębiorców, często nawet ludzi odpowiedzialnych, których weksli jednakże nikt nie chciał eskontować.

Ten stan rzeczy wywołał w najrozmaitszych stosunkach pewne zamieszanie. Przedewszystkiem ofiarą jego padły listy zastawne Towarzystwa kredytowego ziemskiego i miejskiego. Wobec możności daleko korzystniejszego ulokowania pieniędzy lub skutkiem

braku gotówki sprzedawano listy zastawne, których kurs z dnia na dzień się obniżał.

Wśród poważniejszych finansistów odezwały się głosy, wyrażające mniemanie, że przesilenie finansowe, które objęło także Petersburg i Moskwę, a zaznaczyło się kilku większemi na dwu tych placach bankructwami, jest rezultatem wprowadzenia waluty złotej i zmniejszenia skutkiem tego znaków obiegowych, a walutą poważnie zachwiać może skutkiem odpływu złota zagranicę.

Mniemanie takie jednakże okazało się zupełnie błędnem. Minister skarbu ogłosił komunikat, wykazujący, że ilość znaków obiegowych nie tylko się nie zmniejszyła, lecz przeciwnie została zwiększoną. O zachwianiu waluty zaś nie mogło być mowy wobec tego, że w rosyjskim Banku Państwa pokrycie obiegu papierów złotem wynosiło w początku 163 za sto, gdy np. w niemieckim Banku Rzeszy wynosiło przeciętnie w r. 1899: $75\frac{1}{3}\%$; w r. 1898: $75\frac{2}{3}$ na sto i t. d. Rosyjski Bank Państwa miał 5 grudnia 863,675,000 rubli złotem.

Jeżeli wogóle jeszcze 10 lat temu można było wyrażać pewne obawy co do niedostatecznej ilości złota na potrzeby monetarne, to dziś stanowczo obawę tę należy uważać za usuniętą. Objaśnią nas o tem cyfry o produkcyi złota w ostatnich 8-u latach. Wyprodukowano tedy złota w cyfrach okrągłych:

W r. 1891:	192,216	kilogr.	wartości	536,280,000	mil. marek
„ 1892:	220,133	„	„	644,170,000	„
„ 1893:	237,117	„	„	666,150,000	„
„ 1894:	273,111	„	„	762,000,000	„
„ 1895:	301,540	„	„	841,000,000	„
„ 1896:	322,000	„	„	897,600,000	„
„ 1897:	384,275	„	„	1,072,000,000	„
„ 1898:	435,075	„	„	1,218,000,000	„
przypuszczalnie będzie					
„ 1899:	460,000	„	„	1,238,000,000	„

Cyfry powyższe wykazują bezustanny i to znaczny wzrost produkcyi złota, który w przeciągu 7-u lat podwoił się. Wzrost ten jeszcze bardziej się uwidoczni, gdy mimochodem zaznaczymy, że cała produkcya złota wynosiła: od r. 1493 — 1600 za 2,106 mil. marek, od r. 1601 — 1700 za 2,547 mil. mar., od r. 1701 — 1800 za 5,234 mil. mar., od r. 1801—1860 za 8,908 mil. mar., od 1861—1870 za 5,285 mil. mar., od 1871—1880 za 4,834 mil. mar., od 1881—1890 za 4,452 mil. mar, zaś od r. 1891 — 1899 za 7,845 mil. marek.

W ostatnich ośmiu latach tedy wyprodukowano prawie tyle złota, co przez pierwszych 60 lat bieżącego wieku.

Skądby wobec tych cyfr miała się brać obawa braku żółtego kruszczu? Raczej przypuszczać należy, iż dosyć powszechne podrożenie wszystkich produktów jest rezultatem wielkiej produkcyi złota. Istotnie też dziś walka emisyjnych banków europejskich i amerykańskich o złoto osłabła w ostatnich czasach znacznie, a jeżeli w ostatnie miesiące dyskonto od weksli w Banku angielskim doszło do 6%, w niemieckim Banku Rzeszy do 7%, przyczyniła się do tego niewątpliwie znacznie więcej spekulacya i ruch w przemyśle, niżeli potrzeba obrony zapasów złota.

Rosyjski Bank Państwa można krytykować z jednego punktu widzenia, mianowicie, iż jego system kredytowy nie jest dostatecznie rozwinięty. Skutkiem tego olbrzymie sumy spoczywają w Banku, braknie zaś pieniędzy w obiegu. Nie możnaby nic powiedzieć przeciwko temu, gdyby już szerokie zastosowanie znalazły te środki, które zastępują obieg pieniędzy, mianowicie system przekazowy, czekowy, asygnacye pocztowe i t. p. Obecne przesilenie pieniężne przyczyni się niewątpliwie do wskazania niejednej drogi w systemie kredytowem, którą w przyszłości pójść należy.

Oby też zdołano znaleźć drogi, któremi doszlibyśmy ostatecznie do właściwego unormowania cen węgla, które od kilku miesięcy zmieniają się z dnia na dzień w sposób wprost niedozwolony dla przedmiotu codziennej potrzeby nie tylko zamożniejszych, lecz i najmniej zamożnych.

Wspomnieliśmy już, że obecne przesilenie węglowe, a raczej brak węgla nie jest objawem miejscowym, lecz pokazał się w całej Europie. Jedną ma przyczynę wspólną z brakiem pieniędzy, mianowicie niezwykły rozrost przemysłu i handlu, które przyczyniły się do znacznego, a dosyć nagłego, zwiększenia konsumcyi węgla. Skutkiem zmniejszania się obszarów leśnych i rozwoju komunikacyi parowych, a nareszcie rozwinięcia się przemysłu, zapotrzebowania węgla, a za nim i produkcye, znacznie wzrosły w ostatnich dziesiątkach lat. „Dwa są bieguny, około których w naszych czasach obraca się cały rozwój materyalny, są nimi żelazo i węgiel" — tak mówił w r. 1875 w parlamencie Bismarck, a kto się przypatrzy rozrostowi komunikacyi i handlu i środkom, przy których pomocy on miał

miejsce, słowom powyższym nie odmówi słuszności. W r. 1829 powstała pierwsza kolej pomiędzy Londynem a Manchesterem. W r. 1862 w Europie było 120,000 kilometrów kolei, w początku r. 1898 długość ich wynosiła 732,255 kilometrów czyli 18 razy objętość kuli ziemskiej. Do początku r. 1898 w przedsiębiorstwach kolejowych całego świata umieszczono 144 miliardy marek. Było to tylko możliwe dzięki eksploatacyi pokładów węgla. W r. 1850 w Anglii wydobyto 64, 600,000 ton węgla, na całym świecie około 130 mil. ton. W r. 1898 wydobyto na całym świecie przeszło 660 mil. ton węgla, a pomimo to węgle drożeją. Żelaza wyprodukowano w r. 1840 na całym świecie około 3 milionów ton, w r. 1898 przeszło 35 milionów ton. Oto drogowskazy naszego rozwoju ekonomicznego.

Dziś opalają się węglem nie tylko koleje żelazne, lecz i chaty robotników, a ztąd każde podrożenie nietylko na różne gałęzie przemysłu ma wpływ, lecz bardzo się daje uczuć najbiedniejszym.

Jeszcze bardzo niedawno płacono w Warszawie za węgiel około 90 kop. za korzec sześciopudowy, a więc 15 kop. za pud. Od listopada cena w sprzedaży detalicznej nie była niższą od 1 rb. 20 kop. za korzec, dochodziła zaś do 2 rb. 40 kop., nie wspominając o paru dniach w końcu grudnia, kiedy składnicy niektórzy żądali i kazali sobie płacić po 50 kop. za pud.

Na szczęście drożyzna ta nie dała się uczuć wszystkim najbiedniejszym w Warszawie; skutkiem podrożenia bowiem węgla w ostatnich latach magistrat podjął się sprzedaży najbiedniejszym, a zakupiwszy znaczną ilość od kopalni, przy interwencyi najwyższej władzy krajowej, sprzedaje ze swoich składów węgiel po 17 kop. za pud. Z ulgi tej jednakże korzysta tylko najbiedniejsza część mieszkańców, reszta, dla których różnica w cenie węgla jest też nadmiernem obciążeniem budżetu wydatków domowych, płacić musi wymienione powyżej ceny.

Podrożenie węgla w czasach ostatnich jest ogólne. Podniesiono ceny w kopalniach w Anglii, w Niemczech, w Austro-Węgrzech i we Francyi, podniosły je też i nasze kopalnie w zagłębiu dąbrowieckiem. Ale to podwyższenie cen, usprawiedliwione zwiększeniem kosztów produkcyi, nie tłómaczy jeszcze tej różnicy cen, jaką ponosić muszą konsumenci, mianowicie w Warszawie. Nic też dziwnego, że odezwały się głośne skargi, które się zwróciły przedewszystkiem i słusznie przeciwko właścicielom kopalń.

Pierwszy zarzut słuszny, jaki im czyniono, odnosi się do rozmiarów produkcyi węgla. I w Królestwie Polskiem rozwinął się przemysł w ostatnich latach bardzo znacznie. Tymczasem właściciele kopalń nie tylko nie powiększyli produkcyi, lecz rozmyślnie ją ograniczyli. Tłómaczą się oni brakiem robotnika i ograniczeniami, wprowadzonemi co do normalnego dnia pracy robotników, a organ ministeryum skarbu „Torg.-Promysz. Gaz." skargi te do pewnego stopnia uznaje za słuszne, ale wiadomem jest, że ograniczenie jest rezultatem porozumienia pomiędzy właścicielami kopalń; ponieważ zaś kopalnie u nas nie są urządzone tak, aby produkcyę węgla można szybko powiększyć, więc nie rychło się można spodziewać usunięcia obecnego stanu rzeczy. Ale stan ten, jak już powiedzieliśmy, nie usprawiedliwia obecnych cen. W grudniu odbył się w Warszawie zjazd górniczy, na którym kwestya cen węgla też była przedmiotem rozpraw. Referat w tej sprawie na zasadzie najautentyczniejszych chyba danych obliczył, że cena węgla w handlu detalicznym w Warszawie, z dostawą do domu, uwzględniając zarobek składnika, powinna wynosić 111 — 119½ kop. za korzec. Składa się ona z następujących części: cena sprzedażna w kopalni 45—50 k. za korzec, przewóz koleją 35 — 36 kop., wyładowanie ½ kop., przewóz do składu 4 — 6 kop., strata i kradzieże 4 — 4½ kop., koszta ogólne 5 kop., zysk 10 kop. Zaznaczyć możemy, że wszystkie te pozycye są obliczone ponad normalne ceny, i że węgiel po 105 kop. za korzec z korzyścią może być sprzedawany przez składnika, kupującego wprost z kopalni. Niestety, z jednej strony pomiędzy składnikami a kopalnią stoi hurtownik, któremu kopalnie rzekomo sprzedają całoroczną produkcyę, a on dopiero sprzedaje je dalej. Ci hurtownicy są głównymi sprawcami drożyzny węgla w Warszawie, za którą jednakże odpowiedzialność spada także na kopalnie, które hurtowników powinny mieć w ręku i nie pozwolić na zdzierstwo i wyzysk, praktykowane przez hurtowników.

Prawie wszędzie hurtownicy zakupują od kopalni albo całą produkcyę, albo znaczną jej część, ale nigdzie z takiem zdzierstwem spotkać się nie można. W Prusach przy obecnych podwyższonych cenach węgiel w większej odległości od kopalni, kosztuje 100—160 fenigów za cetnar, co się równa rublowi za korzec. W wyzysku tutejszym zaś i kopalnie bezpośrednio biorą udział, bo one nie sprzedają całej produkcyi hurtownikom, lecz część niesprzedaną przysyłają do Warszawy i na kolei z licytacyi wagony takie zbywają. Nazywa się to giełdą węglową.

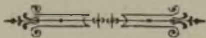
Praktyki te odbijają się na samych kopalniach. Węgiel ma cło ochronne 1 1/2 kop. na pudzie czyli 9 kop. na korcu. Otóż wobec wyzysku kopalni powszechny podniósł się głos, domagający się zniesienia zupełnie cła od węgla. Jakoż początek już uczyniono. Reskryptem, który uzyskał już sankcyę Najwyższą, minister skarbu pozwolił na sprowadzanie bez cła tej ilości węgla, którą magistrat potrzebuje dla mieszkańców Warszawy w r. 1900. Ponieważ ilość, którą kopalnie magistratowi sprzedały, starczy mu tylko do końca lutego, więc przypuszczać należy, iż magistrat wcześnie sobie zapewni węgiel szląski i w większej go sprowadzi ilości, aby szersze koła z dobrodziejstwa kupienia węgla po cenach normalnych korzystać mogły. Wszystkie koła interesowane powinny dołożyć starań, aby cło zupełnie zostało zniesione.

Na tem jednakże poprzestać nie można. Powinna nastąpić reorganizacya handlu węglem, który się znajduje w Warszawie w rękach słabych, niezdolnych zwalczyć wyzysk hurtowników. Należy tedy założyć wielkie stowarzyszenie spożywcze, które, rozporządzając większymi środkami, węgle w znacznych ilościach nabywać i odbiorcom swoim z normalnym zarobkiem, bez zdzierstwa, sprzedawać powinno. Środka tego wymaga samoobrona, a stowarzyszenie spożywcze mogłoby też wziąć w rękę handel naftą, której cena w ostatnich czasach też po nad normę podnosić się zaczyna.

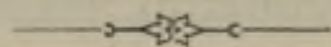
Brak materyałów opałowych i ich drożyzna powinna nareszcie skłonić do silniejszej eksploatacyi torfu, którego znaczne pokłady, dotąd nie wyzyskane, w naszym kraju się znajdują.

Niepodobna zakładać rąk wobec tego, co się dzieje, lecz zabrać się energicznie do rozwiązania dokuczliwej kwestyi węglowej w interesie konsumentów, a wtedy różnego autoramentu wyzyskiwacze, którzy dziś liczą na ociężałość i lenistwo ogółu, uważając go za *misera contribuens plebs*, przekonają się na własnej skórze, iż struny przeciągać nie można.

A. Donimirski.



Rozbiory i Sprawozdania.



WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE.

Tegoroczny plon gwiazdkowy charakteryzuje wiele powtórnych wydań oraz większa dbałość o zewnętrzną szatę; prawie wszystkie ilustracye wykonane bardzo starannie, czasem nawet z wyższym polotem, i to przez pierwszorzędne nasze siły rysownicze

Inną cechą wielce dodatnią jest rozwój opisów podróży po kraju własnym, gdzie geografia, historya, etnografia, a częstokroć i popopularne wiadomości z przyrody, tworzą splot wielce harmonijny, przyozdobiony kwiatami baśni i podań. Od lat paru wytworzona w naszej literaturze powieść fantastyczno-przyrodnicza, w guście Verne'a, również pomyślnie się rozwija. Można nawet powiedzieć, iż pod niektórymi względami przechodzi swój pierwowzór. Balast naukowy nie jest w niej tak ciężki, a nieprawdopodobieństwa mniej liczne, niż u francuskiego autora.

W dziale powieści historycznej swojskiej, jeżeli wyłączymy powtórne wydania, cisza w tym roku prawie zupełna, zato sporo jest przeróbek i tłómaczeń, a nawet oryginalnych powieści, na tle obcych dziejów osnutych. Powieść obyczajowa dla starszej młodzieży także nie dopisała. Do turnieju tegorocznego stanęło paru

zaledwie autorów. A szkoda! bo młodzież, chciwa beletrystyki, karmi się literaturą, przeznaczoną dla dorosłych—nieraz ze szkodą swego moralnego organizmu.

W poezyi króluje Deotyma. Czar prawdziwy wieje z jej poematu: „Gonitwy w dolinie Prądnika". Treścią jego: dzieje pierwszych Leszków, i, jakkolwiek sam w sobie artystyczną całość stanowi, jest jednakże ułamkiem potężnego cyklu, objętego nazwą: „Polska w pieśni".

Mistrzyni formy, Deotyma osnuła podanie dziejowe, niby w przędzę najcieńszą, w mgłę baśni ludowych; zespoliła rzeczywistość z cudownością, tworząc arcydzieło wdzięku, prostoty i głębokiej erudycyi zarazem. Liczne przypiski na końcu książki wskazują źródła, z których czerpała autorka. A źródła to poważne: Długosz, Kromer, Bielski, Lelewel i inni polscy i cudzy dziejopisarze. Poemat składa się z czterech części. Pierwsza—to opowieść o wdowie i trzech jej synach. Wdowa umiera, a synowie idą szukać źródła życia, by zaczerpnąć z niego odżywiającej wody. Ale źródła nie znajduje Junak, nie znajduje Mądral, tylko najmłodszy Dobrotko. Dobroć święci swój tryumf nad siłą i mądrością.

W drugiej części odbywają się gonitwy w dolinie Prądnika według znanego podania dziejowego. Jeździec, który pierwszy dobieży do mety, otrzyma purpurę królewską. Dobiegł jeden, ale chytrością i podstępem, ukrył bowiem w piasku pełno gwoździ, które boleśnie kłuły nogi rumaków. Podstęp zostaje odkryty, i królem ogłaszają Dobrotka.

Opisowi mądrych jego rządów poświęcone są dwie drugie części. Występuje w nich smok olbrzymi, Didko na słomianych nóżkach, Wielkoludy, pług Samo-orek i miecz Samo-siecz, który, skoro zaczął rąbać w prawo i w lewo: „Padł na Niemce popłoch srogi, miecz za nimi, oni w nogi". Naiwny ton baśni ludowej utrzymany jest z przedziwną jednolitością od początku do końca poematu, a wszystkie owe cuda i czasy, jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika plastycznie,—wyraźne—niemal żywe.

Gonitwy w dolinie Prądnika—to prawdziwy klejnot wśród tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych.

Tryumf miłości głosi: „Baśń o dobrym synu" Bełzy. Piękna ta baśń, opowiedziana ślicznym językiem, przypomina niezmiernie swą treścią „Walka" Jadwigi Chrząszczewskiej.

Nie pomawiamy autora o plagiat; zapewnie Walka nie czytał nawet, a sięgnął po wątek do najczystszej krynicy w dziedzinie fantazyi, bo do podania ludowego, jak to zresztą sam w tytule zaznacza.

I tu syn poświęca się dla ukochanej i ubóstwianej matki. Nie szuka jej, jak Walek, bo jest ciągle przy niej i otacza ją najtroskliwszem staraniem; lecz gdy leciwa rodzicielka zasłabła niebezpiecznie, pragnie ją od śmierci uratować i za radą cudownego starca idzie szukać zdroju uzdrawiającej wody. Ile on w tej wędrówce nacierpiał, ile się nabiedował, ile pokus zwyciężył! Pokonał jednak wszystkie trudności, a co najważniejsza — sam siebie pokonał. Nieskalany na duszy, zdobył zdrój żywej wody i przyniósł go do rodzinnej zagrody. W usiłowaniach tych stracił całe życie; wrócił, jako starzec, matkę już zastał w grobie, lecz za radą opiekującego się nim starca odkopał grób i cudowną wodą najdroższą matkę wskrzesił. I stał się drugi cud: łza wdzięcznej matki odmłodziła zgrzybiałego syna, a wieść o tem zdarzeniu roznoszono szeroko i daleko, aby w całej krainie ludzie się dowiedzieli, co wielka miłość zdziałać może.

Trzeba mieć wiele poczucia artystycznego, aby tak pięknie przełożyć: „Bajki Andersena”, jak to uczyniła p. Niewiadomska. Rozbierać Andersena nie będziemy; bo któż go nie zna? któż nie zachwycał się wysubtelnioną formą i przedziwnie głęboką treścią jego utworów? Powiemy tylko, że wybór bajek dokonany wzorowo, a opracowanie stoi na wysokości oryginału. O jednem tylko pamiętać trzeba: nie są to bajki dla dzieci, tylko dla młodzieży.

Stary poczciwy Guliwer przypomniał się znowu dziatwie nowem wydaniem, bo kraj olbrzymów i liliputów zawsze dla niej ponętny.

Być może, że obrachunek powieści fantastycznych nie jest ścisłym; szczupłe ramy tego artykułu zmuszają nas niemal liczyć się z wyrazami. Obszerniejsze sprawozdanie obowiązkowo dać musimy o utworach większej wartości, oraz tych, które do redakcyi przysłane zostały.

Het, het, daleko, bo aż do Indyi Wschodnich, Egiptu i Meksyku prowadzi pan Gębarski młodych czytelników w książce, zatytułowanej: „Z szerokiego świata”. Opowiadań jest dziesięć. Każde na dnie kryje jakąś prawdę etyczną, nieraz nawet, jak w legendzie: „Talizman” bardzo głęboką. Za wielką zasługę poczytać można autorowi, że potrafił zachować miarę w opisach potyczek i bitew, o czem nie każdy z autorów, piszących dla młodzieży, pamięta. Groza — to wynik depresyjnie działający, pocóż zatem ją wywoływać, a do zapachu krwi dzieci zbyt wcześnie przyzwyczajać nie trzeba. Całość jest bardzo sympatyczna i zajmująca; kształci moralnie, a nie moralizuje, wzbogaca umysł wiadomościami z dzie-

dziny geografii, historyi i przyrody, a daleką jest od mentorskiego tonu.

Podobne zalety cechują drugą powieść tego autora pod tytułem: „Napoleon w Egipcie". Powiew szalonej odwagi i bohaterstwa płynie z jej kart ku młodemu czytelnikowi, który obok tego znajdzie przykłady poświęcenia oraz miłości bliźniego w tem zajmującam opowiadaniu. Ze sławą wojenną Napoleona ściśle się łączą imiona bohaterów polskich, to też i w tej powieści obok osób wysnutych z fantazyi, występują postacie historyczne księcia Sułkowskiego i Zajączka, a swojskość ta, chociaż na tle obcem — potęguje wartość książki!

Dla starszej młodzieży przeznaczono dwie powieści: „Olimpijczyk" i „Przebojem".

W pierwszej (spolszczonej podług Höckera) przeniesie się czytelnik na ziemię walecznych Hellenów, a głównie do Aten, i to w chwili największej sławy i potęgi tego drobnego państwa, bo za czasów Peryklesa. Obok wypadków historycznych przedstawiono w opowiadaniu życie prywatne Greków, ich obyczaje, uroczystości, pojęcia religijne, zamiłowanie do sztuki i poezyi. Książka zajmująca i pożyteczna.

Autorem powieści: „Przebojem" jest pan Szyller-Backi. Przenosi on czytelnika na ziemię żmudzką.

Piotr Zemajtys zostaje sierotą. Przy pomocy poczciwych, ale ubogich ludzi toruje sobie drogę życia. Nie przychodzi mu to łatwo, lecz dzielny i energiczny chłopiec idzie „na przebój", pracuje, cierpi, walczy niejednokrotnie z pokusami, zwycięża jednak wszystkie trudności i zdobywa sobie nakoniec byt—chociaż skromny — ale zapewniony.

Wielką prostotą i wdziękiem odznacza się maleńka książeczka Z. Morawskiej: „Z opowiadań małego chłopca". Czytelnik znajdzie w niej naukę i rozrywkę; w pierwszem opowiadaniu będzie wraz z bohaterem Bolkiem słuchał opowiadania starego Jerrasa o puszczy Białowieskiej, błądził wśród dzikich ostępów, potykał się z żubrem; w drugiem—zwiedzi starożytne gniazdo krzyżackie Malborg i dowie się o niem, jak również o zwiedzanych po drodze miejscowościach, wielu ciekawych szczegółów. Rożnorodność treści, plastyczność opowiadania trzyma uwagę czytelnika w naprężeniu od pierwszej do ostatniej karty!

Powtórnego wydania doczekała się też powieść historyczna tejże autorki, p t.: „Giermek książęcy". Język barwny, obrazy peł-

ne swojskości charakteryzują to opowiadanie, i to stanowi większą jego zaletę, niż pełne fantazyi tło historyczne z XIII-go wieku.

Notujemy również przedruk trzech powiastek historycznych: „Nad wodami Baltyku”, „Panna Marychna z Oporowa” i „Wojewodzic spiski”, pióra wielce zasłużonej na polu piśmiennictwa dla młodzieży ś. p. Aleksandry Borkowskiej.

„Opowiadania historyczne” Chęcińskiego oraz przez niego tłómaczony „Robinson Szwajcarski”, jak również „Obrazki znakomitych ludzi” Wacława Szymanowskiego, ukazały się także w nowem wydanin; utwory te cieszą się od tak dawna wyrobioną opinią, że zbytecznem byłoby nowe sprawozdanie z tych pożytecznych książek.

„Obrazy wojen Krzyżowych” Józefa Grajnerta mają nieco podręcznikowy charakter i nadają się do czytania przy nauce odpowiedniego działu z historyi.

Opisać „Podróż naokoło świata”, a jej nie odbyć, to bardzo trudne zadanie! Podjął się tego p. Umiński, znany popularyzator wiedzy przyrodniczej—i wywiązał się nieźle. Młodzież z opowiadania tego może się dużo nauczyć, a nawet pewne ustępy owej zaimprowizowanej podróży mogą bardzo zainteresować. Ujemną stronę książki stanowią niektóre błędy naukowe i brak słownika, wyjaśniającego rozmaite techniczne wyrażenia, z tego powodu opisy mogą być miejscami niezrozumiałe dla młodego czytelnika.

Tenże p. Umiński dał zajmujący opis podróży Nansena do bieguna północnego w streszczeniu, p. t.: „Wśród lodów i nocy”; zapoznał on młodzież z trzyletnimi trudami i bezprzykładną wytrwałością norweskiego podróżnika. Pomysł dobry.

Udatną przeróbkę powieści Barfusa przygotował w opowiadadaniu: „W kraju Boerów” p. Topór. Książeczka ta, wydana w chwili, w której na ziemiach Transvaalu rozgrywa się walka dwu narodów, znajdzie zapewne licznych czytelników, na co zresztą tak treścią ciekawą, jak i ujmującą formą opowiadania, najzupełniej zasługuje.

„Polowanie na słonie” przenosi nas także do Afryki. Najprzód czytelnik musi podążyć z młodym Warszawianinem do domu handlowego w Antwerpii, a potem na wybrzeże zachodniej Afryki. Bohater opowiadania, podróżując w celach handlowych wśród dzikich plemion, napotyka przygód bez liku, czasem nieprawdopodobnych, wśród których walka ze słoniami ważne zajmuje miejsce. Młodzieniec ze wszystkich terminów wychodzi jednak zwycięsko i wraca do rodzinnego miasta.

Styl barwny, treść zajmująca.

Tak korzystnego sądu nie możemy wydać o przetłómaczonej przez B. Londyńskiego powieści Mayne-Reid'a „Jaskinia widma”. Treścią książki: pastwienie się plantatorów nad Murzynami i pokątny handel niewolnikami, lecz do fabuły powieściowej tyle wprowadzono kłamstw, intryg, zbrodni, tyle obrazów, rozdrażniających tylko nerwy, a nie przynoszących korzyści żadnej, że książki tej polecać nie możemy. Rzecz dzieje się na Jamajce, ale o samej wyspie, jej faunie, florze, jakoteż o życiu tamtejszych mieszkańców, dowie się czytelnik bardzo mało. Pod względem naukowym książka ta bez żadnego pożytku, a pod względem moralnym — szkodliwa.

Z pośród wydawnictw dla młodszych dzieci wyróżnia się ślicznymi chromolitograficznymi obrazkami książeczka S. Morzkowskiej: „Bądźcie dobremi”, obejmująca zbiór powiastek, których treść przeważnie zaczerpnięta z życia dziatwy.

Marya Weryho obdarzyła dziatwę sympatyczną powiastką: „Wróble” oraz dzienniczkiem małej pensyonarki, zatytułowanym: „Nacia na pensyi”. Ów dziennik Naci treścią i formą przypomina trochę „Pamiętnik chłopca” Amicisa; pozostaje jednak daleko za pierwowzorem, za co nie we wszystkiem należy obwiniać autorkę. Nie mogła ona rozsnuć przed czytelnikiem tak bogatego wątku, ani przedstawić różnych pięknych obrazów, którymi Amicis swe opowiadanie ubarwił...

Bardzo to jednak pożyteczna i pouczająca książeczka. Czytając ją, dzieci się ubawią z figlów pensyonarskich i dowiedzą dużo ciekawych rzeczy z botaniki. Strona etyczna uwydatniona zręcznie przy każdej sposobności. Serdecznie przedstawiony stosunek koleżeński dzieci z różnych sfer.

Najwięcej stosunkowo wyszło książek obrazkowych dla najmłodszych czytelników i tych, którzy jeszcze czytać nie umieją, a tylko patrzeniem się bawią. Aż ćmi się w oczach, gdy spojrzymy na porozkładane w wystawach księgarskich wydawnictwa obrazkowe. Wszystkie kolory tęczy, całe gamy barw łączą się tam z sobą.

Nie sposób pisać o wszystkich książeczkach, bo tego drobiazgu są całe tuziny; jedne lepsze, drugie gorsze; tu treść, a tam obrazki chybiły, jak zwykle w tego rodzaju elukubracyach. „Dzieciątko Jezus”, wydawnictwo Gebethnera, prym trzyma w tegorocznym obrazkowym turnieju, ale nie brak i innych wartościowych książeczek. Są pomiędzy niemi prawdziwe kwiaty barwne i wonne. „Śliczne obrazki Kazia” rzeczywiście na tę nazwę zasługują. Sceny z życia

dziecięcego pełne humoru, a malowane twarzyczki mają taki wesoły wyraz, że żywe dzieciaki z pewnością śmiać się będą. Jestto wydawnictwo Arcta. „Wiejskie uciechy Władzia i Zosi“ zajmą, poucza małych czytelników i przemówią do ich serduszek. Szkoda, że ilustracye nie stoją na równym poziomie z treścią.

A o reszcie co powiedzieć? Zapewne znalazłoby się i to i owo. Niektóre książeczki nie odpowiadają koniecznym warunkom pedagogiki tak co do treści, jak i formy. Wogóle jednak nie schodzimy w dół, lecz idziemy w górę; może wolno, może żółwim krokiem, ale naprzód. A wszakże i to pociecha! Tym poglądem, może nieco optymistycznym, kończymy nasze sprawozdanie. *Ch. i W.*

„Wycieczki po kraju“. (Aleksander Janowski. Warszawa Nakład autora. 1900 r.).

Jak nie chwalić książki, której brak, doprawdy, wstydem nas dotąd okrywał? I jak nie wyrażać słów uznania i wdzięczności p. Al. Janowskiemu, że nam podróżowanie po własnym kraju stara się ułatwić? Turystyka, dziś tak ogromnie rozwinięta zagranicą, nie można zaprzeczyć, zrodziła i u nas chęć zapoznania się z własnym krajem. Zwłaszcza młodzież, mniej licząca się z niewygodami naszych dróg i zajazdów, a może właśnie dla tych niewygód, coraz liczniej na takie wycieczki się puszcza. Ale sam się naocznie przekonałem, w jakim nieraz ta młodzież bywała kłopocie, nie wiedząc, dokąd i po co jechać, co oglądać, na co zwrócić uwagę, jak układać marszrutę i jak się w podróży urządzać. Ani dokładnego a treściwego opisu, ani nawet uczciwej mapki dróg nigdzie znaleźć nie było sposobu. To też szczerze podziękować można p. Janowskiemu za podjętą pracę, która na początek wypadła bardzo dodatnio. Właściwie możnaby jej, tak jak jest, żadnych zarzutów nie robić. Że jednak autor pozwala nam się spodziewać dalszego ciągu swej pracy, a omawiana książeczka jest jakby pierwszym tylko etapem w tej podróży po naszej ziemi, przeto pozwalamy sobie na kilka uwag, które może w dalszych zeszytach znajdą przychylne uwzględnienie.

P. Janowski, widzę, kładzie w swym przewodniku duży nacisk na historyę. Bezsprzecznie, jest ona na miejscu, jest nawet nieodzownie potrzebną, ale przewodnik praktyczny powinien jej zawie-

rać w dozie umiarkowanej, kontentując się dużymi, szerokimi rysami, poglądami ogólnymi. Szczegóły zaś tylko bardzo charakterystyczne powinny tu znaleźć uwzględnienie. Pragnący poznać historyę może się jej doskonale nauczyć w domu, w czterech ścianach pokoju. Na wycieczce zaś niech pozna i zrozumie to, czego mu w domu właśnie niedostaje, po co trzeba nieraz tłuc się całe dziesiątki mil po naszych polskich drogach, ażeby należytego nabrać o danej rzeczy pojęcia. Mówię o zabytkach naszego budownictwa i wogóle sztuki. Stajemy np. wobec katedry w Kielcach. Jakie są jej daty historyczne, kto ją fundował, a kto burzył, kiedy się paliła i kto ją znów odbudowywał, o tem możemy się w każdym czasie i miejscu dowiedzieć, zajrzawszy do odpowiedniej encyklopedyi i monografii specyalnej. Poznać zaś, co to jest styl romański, a co gotyk lub renesans, a zwłaszcza na czem polegały nasze specyficzne polskie cechy każdego z tych stylów, można tylko na miejscu, oglądając w naturze architektoniczne zabytki naszej przeszłości. Zwłaszcza u nas, gdzie nawet z elementarnemi wiadomościami z dziedziny architektury spotkać się niełatwo, dobrzeby było, ażeby choćby za pośrednictwem rozmaitych przewodników popularyzować w szerszych masach tę najwznioślejszą, a u nas najbardziej zaniedbaną, sztukę. Nie byłoby też nie na miejscu, gdyby autor we wstępie do swych „Wycieczek" podał nawet krótki rys dziejów architektury wraz ze wskazówkami, jak należy rozmaite style rozróżniać.

Pod tym względem mógłby p. Janowski wziąć sobie za wzór „Przewodnik po Krakowie" Rostafińskiego, wydawnictwo w swoim rodzaju doskonałe.

Autor potrzebę nacisku na architekturę czuł, widać, skoro np. z okazyi klasztoru w Wąchocku powiedział bardzo ładnie kilka słów o stylu, przechodzącym z romańskiego w gotyk. Nie mający jednak choćby ogólnikowych wiadomości z zakresu architektury (a takich podróżników będzie ogromna większość) nie zrozumie znaczenia tych uwag zupełnie. W wielu zaś miejscach autor wcale nie zaznaczał porządku architektonicznego opisywanej budowli, jak np. przy opisie klasztoru na Karczówce z jego ślicznymi schodami bocznymi, tego iście włoskiego pod polskiem niebem zakątka, kościoła Świętokrzyskiego, ratusza i fary w Radomiu i wielu innych. Wspominając o obrazach Smuglewicza w kościele na Łysej Górze, należało zaznaczyć datę urodzin naszego malarza, ażeby przeciętny widz mógł się oryentować, do jakiej epoki odnieść owe malowidła. Nie wspomina też autor o wcale niezłych malowidłach ściennych Rejchana (r. 1782) w kaplicy Oleśnickich przy tymże kościele.

Następnie, co do tryptyku w kościele Bodzentyńskim daje autor błędną informacyę, jakoby obraz ten był dziełem malarza krajowego z XV w., „gdyż — powiada autor — żywot i cuda św. Stanisława tylko znający kraj i w nim mieszkający artysta mógł odtworzyć tak wiernie". Dowód słaby. Obraz mógł być zamówiony zagranicą, przyczem zamawiający Polak mógł udzielić potrzebnych malarzowi informacyi. Tymczasem koloryt, układ, rysy osób, przedstawionych w obrazie, sposób wykreślenia perspektywy, brak wreszcie plastyki — wszystko świadczy, że to pędzel niemiecki.

Nakoniec, niech też autor na przyszłość nie skąpi podróżnikowi wskazówek praktycznych. Tak np. puszczających się od Słupi przez szczyty aż do Św. Katarzyny ostrzedz należało, że u krańca swej wycieczki nie znajdą żadnej gospody, gdzieby zanocować i posilić się można było; że, jeśli ich noc zaskoczy, najlepiej prosić o gościnę tamtejszego młynarza; że, jako przewodnika na taką wycieczkę, zalecić można Wojciecha Ubę, o którego dowiedzieć się najłatwiej w Słupi w zajeździe Maasa i t. d. Są to drobiazgi, ale od takich właściwie drobiazgów zależy użyteczność książki. Dlatego też upominamy się o nie w następnych zeszytach „Wycieczek", których ukazania się z niecierpliwością oczekiwać będziemy.

Wacław Kloss.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *W. Heinrich.* **O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofii.** Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego", str. 42 in 8-o.

Wykazując braki i słabe strony pojęć i zasad mechaniki, polegające z jednej strony na niejasności, z drugiej zaś na nieodpowiedniości ich do otaczającego wszechświata, stara się autor, przeciwko Boltzmanowi, dowieść, „iż źródłem niejasności było zbyt pochopne posiłkowanie się obrazami (pojęciami), nie zaczerpniętymi ze zjawisk, zbyt łatwe rozszerzanie pojęć i nadawanie im znaczenia, wychodzącego poza bezpośrednie doświadczenie, oparte na naiwnie realnym światopoglądzie". Chcąc uniknąć tej właśnie niejasności i nieodpowiedniości, trzeba się zwrócić do innej metody; wszelkie trudności powstają, zdaniem autora, „tam, gdzie oddalano się od opisowej metody przedstawiania zjawisk". To też stara się autor wykazać, że tylko opisowa metoda może zadowolnić wszystkie teoretyczno-rozpoznawcze postulaty. Broszurka niniejsza jest, jak widać z zakończenia, częścią pracy obszerniejszej, w której obiecuje autor dalej odpowiednie filozoficzne wnioski wyprowadzać z rozpatrzenia pojęć fizycznych.

— *Wiktor Doležan.* **Czy będzie koniec świata w r. 1899?!** Urywek z kosmografii. Kraków. Nakład własny. 1899, (16-o str. 37).

Mała ta broszurka, stanowiąca odbitkę z artykułu „Biesiady Literackiej", ma na celu popularny wykład zjawisk astronomicznych, wywołany, jak łatwo domyśleć się można, zeszłorocznemi przepowiedniami Falba. Pomimo, iż obawy, które wywołały pojawienie się tej popularyzacyi, już minęły, nie straciła ona, jak wszelkie przystępne i umiejętnie przeprowadzone wykłady naukowe, swego aktualnego znaczenia. Obejmuje ona treść szerszą, niż zapowiada tytuł, gdyż uwzględnia także różne hypotezy, dotyczące końca świata wogóle w najodleglejszej przyszłości, nie wykraczając jednak za bardzo poza granice, dozwolone przez naukę w książkach popularnych, i odpowiada w ogólności wymaganiom, jakie książeczkom takim stawiać można. Broszurka ta przeto zasługiwałaby na szersze rozpowszechnienie; szkoda jednak, iż wkradło się do niej kilka błędów naukowych, np.: Jowisz ma 4 księżyce (str. 5) (dziś liczymy ich pięć); ciało roślin wytwarza pod wpływem promieni słonecznych

z kwasu węglowego i wody błonniki (cellulozy), węglowodory (?) i cukier, a tlen się wydziela (str. 31; autor miał na myśli pewnie wodany węgla, do których zresztą błonnik i cukier również zaliczamy); koniec świata kiedyś nastąpić musi (str. 36—37; autor ma tu na myśli widocznie koniec ziemi lub tylko życia na ziemi, chyba nie całej materyi i energii świata, które końca mieć nie mogą) i t. d.

M. Hn.

— *Stanisław Jakubowicz*, inżynier. **Samoprząśnica.** (Selfactor). Studyum teoretyczno-praktyczne. (Biblioteka Przemysłowa). Warszawa. Nakładem Hipolita Wawelberga. 1899. (16-o, str. XII—86). Cena 85 kop.

Przedmiotem tej książeczki jest opis dla użytku praktyków nader zawiłej maszyny przędzalniczej, której ustroju i przebiegu działania nie rozumieją często nawet ludzie, mający z nią ciągłą, bezpośrednią styczność. To też, wyjaśniając zasadę jej budowy i działania, podając praktyczne wskazówki obchodzenia się z nią, opisując różne jej systemy, oddał autor prawdziwą przysługę tym wszystkim, których sfera działalności jest z maszyną tą związana, a dla których podobne dzieła, w obcych pisane językach, są niedostępne. Zaznaczyć należy, iż p. Jakubowicz, znany już w naszem piśmiennictwie technicznem, jako autor „Zarysu przędzenia wełny czesankowej", opracowanego również sumiennie, jak dziełko wymienione w nagłówku, oparł nową swoją pracę na najlepszych źródłach zagranicznych, dopełniając je badaniami samodzielnemi. Szereg starannie opracowanych, a zmudnych tablic, jak i doskonałe rysunki, a przedewszystkiem sumienne opracowanie swojskiej terminologii, tak mało jeszcze w tym zwłaszcza dziale naszego przemysłu wyrobionej, nadaje dziełku temu szczególną wartość. Pod tym względem wogóle dobrze piśmiennictwu naszemu przysługuje się „Biblioteka Przemysłowa", wydawana nakładem p. Hipolita Wawelberga, mająca na celu przyjście z pomocą swojskim pracownikom na polu pracy przemysłowo-technicznej, zwłaszcza niższym technikom, mechanikom, nadzorcom robót, rysownikom, majstrom, rzemieślnikom, a w części i robotnikom fabrycznym, nie znajdującym w kraju odpowiednich szkół, w którychby mogli nabyć niezbędne dla siebie wykształcenie zawodowe, i z tego powodu wypieranym często przez obcokrajowców ze swych stanowisk. Może przeto na miejscu będzie zaznaczyć, iż w szeregu tych wydawnictw, mających na celu dobro publiczne, a tak mało dotąd głośnych, wyszły już dziełka następujące: 1) „Podręcznik dla palaczy kotłowych" P. Braussera i A. Spennratha w opracowaniu D-ra Fel. Łaszczyńskiego; 2) „Mechanika doś-

wiadczalna" Rob. S. Balla, w przekładzie St. Kramsztyka; 3) „Zarys przędzenia wełny czesankowej" St. Jakubowicza; 4) „Słownik polsko-rosyjsko-niemiecki terminów garbarskich" Fel. Przyszychowskiego; 5) „Przewodnik dla maszynistów" E. F. Scholla, w przekładzie Al. Podworskiego (2 części); 6) „Podręcznik mechaniki" M. Lauensteina, w przekładzie Józ. Hofmana; 6) „Zasady magnetyzmu i elektryczności" A. Jamiessona, uzup. przez d-ra J. Kollerta, w opracowaniu St. Stetkiewicza (2 części); 8) „Nauka rysunków" Ed. Wawrykiewicza; 9) „Światło elektryczne" Zygm. Straszewicza; 10) „Wiadomości praktyczne o motorach gazowych" G. Lieckfelda, przekład pod redakcyą inż. Schoenfelda. *M. Hn.*

— **XXVII-me Sprawozdanie związku polskich spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich za rok 1898.**—Poznań 1899.

Obejmuje bardzo szczegółowy i gruntownie opracowany obraz działalności tych spółek za okres sprawozdawczy. Program i protokół zjazdu polskiego 27 września ubiegłego roku, sprawozdanie z czynności i pieniężnych obrotów kasy związku, wykaz spółek z podziałem ich geograficznym i chronologicznym, sprawozdanie Banku Zwięzkowego, krótkie wzmianki o każdej ze 114 istniejących i należących do związku spółek; w końcu zestawienie najważniejszych cyfr ich bilansów i sprawozdań na czterech tablicach — oto treść wzorowo ułożonej broszury. Nie możemy tu nie zaznaczyć, że spółki te miały w d. 31 grudnia 1890 r. 41,950 członków, z których 22,429 rolników (682 właściciele ziemskich, 21,162 włościan, 585 dzierżawców), czystego zysku osiągnęły 477,492 marki, przy kapitale własnym zakładowym 5,781,453 marki i rezerwowym 2,263,451 m., miały w swych kasach 26,749,760 marek kapitałów obcych. Portfel wekslowy wynosił 30,866,931 marki. *St. P.*

— **Upadłość i bankructwo dla handlujących i ich wierzycieli** napisał *Fr. Podlewski*, adw. przys. Warszawa 1899 str. 144. — Podręczniki prawa dla użytku nieprawników należą u nas do rzadkości; a jednak dobra książka w przedmiocie prawa obowiązującego ma nieraz doniosłe znaczenie: zapobiega pieniactwu, tłómacząc interesowanym, do czego mają i do czego nie mają prawa. Praca niniejsza zawiera treściwy, jasny i bardzo przystępny wykład części kodeksu handlowego, traktującej o upadłościach i bankructwach. Obrobieniem całej sfery prawa cywilnego w niewielkich, a przystępnych książeczkach byłoby prawdziwą zasługą. Może przykład p. Podlewskiego stanie się dla jego kolegów pobudką do pracy w tym kierunku. *St. P.*

= *John Ruskin.* **Wybór Pism.** I. Malarstwo i Poezya. Przełożył z angielskiego A. Lange. Warszawa 1900. Wydawnictwo Władysława Okręta.

Wątpić należy, aby książka, w tytule wymieniona, mogła osiągnąć cel, przez nakładcę zamierzony. Ruskin, jako pisarz na wskroś oryginalny i wysoce indywidualny, dał nam szereg nowych pojęć o sztuce, ekonomii politycznej i sprawach społecznych, pojęć, łączących się z sobą bardzo ściśle i wypływających jedno z drugiego, a więc stanowiących jednolitą budowę, o której wyobrażenia dać nie mogą nawet troskliwie dobrane wyjątki, jak nie dałyby wyobrażenia o jakimkolwiek ogromnym budynku postawione obok siebie okna, drzwi, wieże i kolumny. Podobny wybór pism mógłby spełnić ewentualnie tylko jedną rolę, a mianowicie rolę zachęty do odczytania i przestudyowania całości dzieł Ruskina, a to w naszych warunkach jest niemożliwe, gdyż, na ogół biorąc, znajomość języka angielskiego jest w naszem społeczeństwie mała, a na przekład wszystkich ważniejszych bodaj prac Ruskina wcale się nie zanosi. Wobec tego ważniejszym, według nas, byłby przekład jakiejkolwiek z prac Ruskina w całości, gdyż to dałoby możność zupełnego zapoznania się bodaj z jedną częścią jego obszernej nauki. Ponadto, powiedzmy otwarcie, że przekład nie jest tak dobrym, jakby się tego od znanego w naszej literaturze tłómacza, jako poety, spodziewać należało. Zbyt niewolnicze trzymanie się składni i stylu oryginału sprawia, że przekład jest ciężki i grzeszy prawie ustawicznie przeciwko składni języka polskiego, okoliczność ta może w znacznym stopniu utrudnić rozejście się książki w szerszych kołach naszej inteligencyi. Ufajmy, że język następnych tomików będzie lepszy, że przekład stanie się dla polskich czytelników ponętniejszy i że całość przyczyni się do spopularyzowania idei angielskiego myśliciela, chociaż podanych w formie bardzo ułamkowej i bardzo niewystarczającej. *W. Sz.*

Dnia 23 listopada r. 1899 odbyło się posiedzenie Komisyi historyi sztuki pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący przedłożył najprzód świeżo z druku wyszły zeszyt 4 tomu VI Sprawozdań z posiedzeń Komisyi.

Następnie prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał pracę swą o „Romańskim kościele św. Andrzeja w Krakowie“ na podstawie własnych zdjęć architektonicznych.

Prof. dr. Maryan Sokołowski przedstawił z kolei szereg interesujących komunikatów wraz z planami i rysunkami, nadesłanych przez p. Grzegorza Worobjewa z Łomży, oraz kilka fotografii, otrzymanych za pośrednictwem p. Woj-

ciecha Gersona z Warszawy, które uzupełniają powyższe komunikaty, wszystko zaś dotyczy kościołów gotyckich Mazowsza, t, zw. budowli krzyżackich. Sam dodał objaśnienia, odnoszące się do stosunków ekonomicznych i kulturalnych zakonu z Mazowszem w w. XIV i XV, oparte na niedawno wydanych rachunkach Krzyżaków.

Komunikat p. Mathiasa Bersohna z Warszawy podaje znów przyczynek do historyi starych polskich kafli, pochodzących z Gąbina. P. A. Janowski z Warszawy nadesłał nowe fotografie pomników z Bodzentyna i z Łowicza, jako to chrzcielnicy z r. 1480, nagrobka podkanclerzego i biskupa krakowskiego Franciszka Krasińskiego, pięknego obrazu flandryjskiego na drzewie z końca wieku XVI i t. d. W końcu p. major A. Heidecki ze Lwowa przedstawił fotografię zajmującego polskiego obrazu z połowy w. XVII, przedstawiającego scenę, dotyczącą stosunków krzyżackich, a jak się zdaje, o prawdziwej wartości artystycznej Z kolei dr. Stanisław Tomkowicz w uzupełnieniu dawniejszego referatu o dzwonie kościoła parafialnego w Otpinach w Jasielskiem, ozdobnym odlewie krakowskiego gisera Oswalda Baldtnera z r. 1569, przedstawił odcisk gipsowy plakiety z płaskorzeźbionym „Sądem Parysa", która niewątpliwie służyła za model płaskorzeźbionego medalionu na rzeczonym dzwonie.

W końcu p. Karol Potkański udzielił fotografii z kamiennego, cudownego dziś posągu Najśw. Panny z Dzieciątkiem z kościoła farnego w Wiślicy, co do którego Długosz podaje piękną legendę o rozmowie figury tej z Władysławem Łokietkiem, co w każdym razie kazałoby jej powstanie odnieść do drugiej połowy XIII wieku.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

TREŚĆ: Wspomnienia. — Adolf Pawiński, Piotr Chmielowski, Stosław Łaguna.— Ludzie o trzeźwych głowach i gorących sercach. — Rozum i serce. — Nasza nierówność. — Upływający wiek XIX. — „Głos“. — Ludzie połowiczni. — „Strumień“, „Oświata“ i „Oświata“.

Redakcya „Ateneum” zwróciła się do mnie z propozycyą pisywania „Kronik miesięcznych”, które pisywałem tu już dawniej od maja 1891 r. do kwietnia 1895 r. z pewnemi przerwami. To przywodzi pewne wspomnienia. Z dawnego kolegium redakcyjnego, które składali: Adolf Pawiński, Piotr Chmielowski i Stosław Łaguna, ostatni tylko, o ile mu zdrowie pozwala, bierze na siebie część zmudnej pracy redakcyjnej, — Pawiński umarł, Chmielowski przeniósł się do Zakepanego.

Była to trójca pracowników o niepospolitym poziomie umysłowym, oraz tak czystym i krzepkim duchu obywatelskim, że trudno się oprzeć dobremu wspomnieniu. Mieli oni z pewnością zdolność do kierowania nie tylko pismem naukowo-literackiem, lecz instytucyą o rozległych atrybucyach. Służyli za wzór rozumnej solidarności i mogliby byli zostać szkołą, jak wspólnie działać należy.

Jest to niewątpliwie jedną z najtrudniejszych szkół dla naszych usposobień. Pawiński, Chmielowski i Łaguna posiadali i posiadają zbyt wybitne indywidualności, rozmaitemi, nie różami wysłanemi,

drogami zdobywali swoje przekonania społeczne i polityczne, ażeby z łatwością mogli się ściągać do wspólnego mianownika i w sprawach zasadniczych, i we wrażeniach dnia bieżącego. Różnili się, mimo to wszakże potrafili działać wspólnie w danym zakresie

I to właśnie nazywam wzorem rozumnej solidarności. To znaczy, że częstokroć ludzie odmiennych przekonań i poglądów, jeśli ich zagrzewa wspólna idea dobra publicznego, potrafią pracować razem na jednem polu, w jednej sprawie. Powodzenie sprawy publicznej nie polega też bynajmniej na bezwarunkowej jednomyślności, nie polega na tem, aby wszyscy pracownicy jednakowo czuli i mówili; ono zależy od ożywiającego ich ducha obywatelskiego, od znajomości warunków i potrzeb rozwoju społecznego. Różnorodność opinii i wielostronność kryteryów jest zarówno pożyteczną, jak nieuniknioną, w każdej sprawie złożonej.

O dawnem gronie redakcyjnem „Ateneum" wspominam bynajmniej nie w chęci schlebiania. Nie wiem, czy na stronicach tego miesięcznika zostały wyrażone teorye lub poglądy błędne, lecz wiem, że nie zostały one splamione nigdy ani panegiryzmem, ani pochlebstwem. Literaci i dziennikarze nie zawsze dobre zachowują wspomnienia po stosunkach redakcyjnych i wydawniczych. Najczęściej dzieje się przeciwnie. W danym zaś wypadku, myślę, że każdy lub prawie każdy, kto pisywał w „Ateneum", pamięta rozumnego i łagodnego Adolfa Pawińskiego, w którym mozolne i wytrwałe studya naukowe nad przeszłością, nie osłabiły woli działacza społecznego, umiejącego się przenosić z niesłychaną łatwością z katedry i archiwów historycznych na posiedzenie instytucyi filantropijnych i społecznych, gdzie celował zdaniem dojrzałem i kompetentnem i niepospolitym zmysłem praktycznym. Szczęśliwa organizacya, w której uczony i człowiek czynu zamiast przeszkadzania pomagali sobie wzajemnie!

Każdy pamięta Piotra Chmielowskiego, z jego zawsze czujnym krytycyzmem i ścisłością naukowego sądu, który jednakże nie wyziębił w nim ciepłego, kochającego ludzi i społeczeństwo serca. Chmielowski bez zaprzeczenia góruje po dziś dzień nad większością krytyków literackich w Warszawie tem, że wykształcenie i studya literackie umiał połączyć z wykształceniem i zmysłem społecznym i politycznym. To zaś stanowi niezbędny warunek prawdziwego i głębszego krytyka. Krytyk, nie znający i nie rozumiejący historyi politycznej, nie interesujący się rozwojem społecznym, może zostać tylko krytykiem od siedmiu boleści. Wśród młodszej generacyi naszych estetyków posiadamy kilku, przynajmniej, niepospolicie uta

lentowanych, niektórym z nich wszakże zbywa właśnie na zmyśle politycznym, ponieważ studyów nad literaturą piękną nie uzupełniają równoległemi studyami z dziedziny historyi i polityki.

Chmielowski przez swoją metodę naukową i wspomnienia młodości należy do szkoły pozytywnej. Lecz człowiek żywotny i dobry, poruszany uczuciami i przekonaniami, nigdy nie stanie się doktrynerem i bałwochwalcą tej lub innej szkoły filozoficznej lub przyrodniczej. Po nad szkołami i metodami bowiem panuje w nim pragnienie rozwoju tego społeczeństwa, za którego syna się uważa Reformatorowie i bohaterowie, ci wszyscy, którzy rozsiewają dobro i ciepło, nie byli i nie są doktrynerami. W galeryi umysłów polskich—mówię o tych, którzy pracą, talentem i nadewszystko wzniosłością ducha wznieśli się ponad efemeryczne wytwory chwili — nie wielu też posiadamy doktrynerów. Chmielowski zajmuje miejsce w tej galeryi, jako niezmordowany pracownik, jako umysł rozległy i prawdziwie naukowy, który potrafi rozróżniać, klasyfikować i w umiejętny układać porządek chaotyczną rozmaitość zjawisk literackich, jako indywiduum nareszcie, w którem człowiek czynny, dobry i czujący rozwijał się równolegle z erudytą i niejednokrotnie nad nim panował. W epoce blagi dziennikarskiej, dyletantyzmu artystycznego i flirtu salonowego szarlatanizm przebierał się nieraz w szatę naukową. Otóż wówczas tacy Chmielowscy, wytrwali-sumienni i niezmordowani w usiłowaniach, są przedstawicielami ciągłości naukowej i historycznej, podają oni z rąk jednego do rąk drugiego pokolenia myśl żywotną i czujność społeczną. Książki i monografie Chmielowskiego pozostaną na bardzo długo wskaźnikami, pozostaną dla naszej literatury tymi słupami przy traktach, według których podróżny dowiaduje się o przebytych odległościach i o kierunku drogi.

Nareszcie każdy, jak myślę, ze współpracowników „Ateneum", pamięta profesora Stosława Łagunę, który jest jednym z głębszych umysłów politycznych i naukowych. Ten, kto z nim obcował, kto słuchał jego uwag i wywodów świetnych i gruntownych, żywi uczucie ciepłego uznania dla tego człowieka, tak niepospolitego przez swoją prawość, rozwagę, wiedzę, doświadczenie i inteligencyę. Profesor Łaguna podpisuje „Ateneum", jako jeden z wydawców — nie mogę więc o nim więcej tutaj pisać. Jednocześnie wszakże nie mogłem i zamilczeć o nim, jako o członku dawniejszego grona redakcyjnego, złożonego z trzech uczonych—obywateli. Panowała w tej redakcyi atmosfera szlachetna, czysta i prawa, pojmowanie intere-

sów i dążeń społecznych wynikało z doświadczenia i przewidywania, opartego na prawdziwym krytycyzmie i humanizmie. Ci redaktorowie „Ateneum“ z przed lat kilku rozproszyli się lub zniknęli z widowni. Czas mija niesłychanie szybko! i obecnie oto mowa o nich, jako o fakcie historycznym, o tem, co się już stało i minęło.

W cichych i skromnych warunkach naszego życia publicznego byli oni istotnie szkołą nie tylko naukową i literacką, lecz i obywatelską. Byli erudytami bez pedantyzmu, publicystami o szczerych przekonaniach, gdzie wszakże rozwaga górowała nad namiętnością, uczonymi, w których mozolne studya nad przeszłością nie wyziębiły żywego odczuwania prądów dnia bieżącego, ludźmi o trzeźwych głowach i gorąco jednocześnie bijących sercach.

Tacy są najpotrzebniejsi każdemu społeczeństwu, żadne zaś nie posiada ich mniej od naszego. Wszelkie programy, reformy i dążenia, których bieg życia wymaga, najlepsze uczucia i najszlachetniejsze poczucia powinien regulować rozum dojrzały, wyćwiczony w sądach, i doświadczony w kryteryach; przenikać zaś je powinno serce, czujące i współczujące. Oba dopiero te czynniki w harmonijnem połączeniu tworzą ludzi w rozległem znaczeniu wyrazu i wydają owoce godne tych ludzi. Według Krasińskiego, prawdziwa godność człowieka składa się z dwu na pozór sprzeczności, połączonych razem i zlanych z sobą: z dumy i z pokory, bo kto tylko dumnym bez pokory, ten próżnym jest, kto zaś pokornym bez dumy, ten podłym jest. Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej chwili życia.“

Dobrym i pożytecznym swego kraju obywatelem zostaje również ten tylko, w kim dar rozwagi przenikliwej i chłodnej łączy się z sercem, które umie łzy wylewać, kochać i poświęcać się. Na progu dwudziestego stulecia, które przekraczamy, najgoręcej życzyłbym też społeczeństwu polskiemu ludzi o trzeźwych i silnych głowach i gorąco jednocześnie bijących sercach. Serce bez asystencyi rozumu popełnia wielokrotnie ciężkie błędy; on musi być pocieszycielem zasmuconego i zapłakanego serca. Rozum znów, nie zasilany krwią serdeczną, nie przenikany ciepłem serca, nie żywiący się jego szlachetnemi uczuciami, dochodzi albo do twardego egoizmu, albo do przewrotnej obłudy. Natchnienia serca, wzloty wyobraźni i wzruszenia duszy, jakkolwiek wzniosłe i zdobiące szarą prozę życia złocistymi symbolami, nie wydadzą owoców trwałych, jeśli im równolegle nie towarzyszy akcya systematycznego i przewidującego rozumu; obliczenia rozumu nie wznoszą się nad poziom samolubstwa, nie obejmują kręgów dalszych,

nie zdobędą powszechności, jeśli im nie towarzyszy odwaga serca i przekonanie sumienia. Natchnienia serca bez podpory rozumu zajaśnieją wspaniałem światłem, ogrzeją na czas pewien dobroczynnem ciepłem, ażeby zgasnąć i pozostawić po sobie żal i tęsknotę; obliczenia rozumu bez współudziału serca nie zdolne są do przelewania życia, do zapłodnienia innych.

Rozum jest najlepszym zapewne przewodnikiem; on koi bolejące uczucie, potrafi być współpracownikiem sumienia i mądrym regulatorem stosunków; serce jest rozsadnikiem ciepła, niezbędnego dla utrzymania wyższej temperatury, bez którego rozwijaćby się nie mogły idee i czyny, ludzie i obywatele.

W dziejach naszych, w naszej psychologii narodowej, w naszych temperamentach rzadko te dwa czynniki występowały zgodnie. Jesteśmy też zapewne najnierówniejszem społeczeństwem w Europie, nerwowem i przecywilizowanem w pewnych sferach, cofniętem i nieokrzesanem w masach. Niema drugiego ogółu z takiemi sprzecznościami, z tak małem poczuciem karności, z taką ilością luzem krążących, nie związanych żadną nicią egoizmów. Nieład myśli, chaos wrażeń, upajanie się słowami i hasłami, których znaczenia często nie rozumiemy i których istoty nie sprawdzamy, to przyrodzone prawie cechy naszej organizacyi. Umysł polski, łatwy i zapalny, wrażliwy i kosmopolityczny, nie posiada tej dyscypliny wewnętrznej, tego daru dokładnych definicyi, tego porządku w postrzeganiu i rozumowaniu, które są niezbędne do wykształcenia rozumów i charakterów, do działania, sądzenia i wnioskowania. Nasz temperament wydaje poetów, powieściopisarzów i artystów; brakuje nam myślicieli, analityków i uczonych. Entuzyazmowi naszej duszy towarzyszy lenistwo naszego umysłu. Jesteśmy najwrażliwszą i najpowierzchowniejszą rasą w Europie.

Narody zaś zarówno, jak i jednostki, przedstawiają całość wykończoną, będącą wytworem długich wieków, o ustalonych cechach gatunkowych, i zmiana rysów głównych dokonywa się dopiero przez usiłowania pokoleń. Życie nasze jest bowiem dalszym ciągiem poprzedniego, wyobrażenia tradycyi przenikają nasze własne pojęcia, walczymy z osiadłym u nas duchem ojców lub mu ulegamy, posiadamy nowoczesne pojęcia, lecz stare zwyczaje i potrzeby. To nieskończona wojna pokoleń: ci, których popioły spoczywają dawno w grobach, żyją i działają w nas i przez nas. Żywi grają bezustannie benefis na rzecz umarłych.

Jedno z pism poznańskich („Orędownik“), czyniąc polityczny i społeczny rachunek z XIX stulecia, dochodzi do wniosku, że pomimo wszystkich nauk, otrzymanych od historyi, nie potrafiliśmy wszakże wykształcić zmysłu polityczno-praktycznego. Zarzut ten był tak często, raz słusznie, drugi raz niesłusznie powtarzany, że stał się już niemal komunałem, choć ze swojej prawdziwości nie wiele stracił.

Wstępując w nowe stulecie, pracujmy też gorliwie nad wytworzeniem i rozwinięciem tych wszystkich cnót społecznych, których nie zdążyliśmy nabyć dotąd, zaczynajmy nowe stulecie z hasłem pracy i solidarności, czujności i nieustannego rozwoju.

* *

Czy rok obecny należy jeszcze do wieku XIX-go, czy już zaczyna XX-sty, w każdym razie zamyka się nazywane „wielkiem” stulecie. Historya i polityka, sztuka i filozofia odbywają już swoje z niem rachunki. W dziejach ludzkości zapisało się ono dwoma, nadewszystko, wielkiemi faktami: ujarzmieniem sił przyrody dzięki nadzwyczajnym odkryciom i wynalazkom, jak para i elektryczność, oraz wielkim ruchem społecznym, który powołał do życia obywatelskiego masy ludności miejskiej i wiejskiej, pogrążone przy dawnej organizacyi stanowej w nieświadomości swoich praw i obowiązków, w towarzyszącej im zwykle ciemnocie i nędzy. Wielkie odkrycia i wynalazki techniki pozwoliły wyrość i rozwinąć się do olbrzymich rozmiarów przemysłowi, który znów na całem życiu społecznem wycisnął swoje znamię, i epoka historyczna, którą przeżywamy, jest epoką przemysłową. Wytworzyła ona ogromne miasta i ogromne środowiska z ich ruchem fabrycznym i handlowym, z masami robotników i proletaryuszów. Na tle tej epoki przemysłowej, na tle antagonizmu między kapitałem a pracą wyrosła też złożona kwestya społeczna, górująca nad zagadnieniami czasu, poruszająca wszystkie umysły żywotne i wszystkie sumienia czułe, pochłaniająca uwagę ministrów, polityków i myślicieli.

Rzućmy okiem na zachód stulecia. Wiek XIX robi swój bilans filozoficzny i społeczny, dopisuje z pośpiechem ostatniej karty swoich dziejów, odchodzi, jak pielgrzym, posępny i zrezygnowany w tę wieczność, która chłonie światy i cywilizacye, idee i narody. Niewiele ziściło się z marzeń, któremi karmił ludzkość w swoich początkach.

W ostatnich latach wieku XVIII szalał orkan rewolucyi francuskiej; i dziś widzimy obozy zapaśników. Nowe siły społeczne w postaci tłumów pchają się coraz liczniej na widownię świata zachodnio-europejskiego, zorganizowane i wyćwiczone. Z jednej strony korporacye, syndykaty i związki kapitalistów, z drugiej stowarzyszenia i związki robotników. Praca demokracyi nowoczesnej regularnej, jak morze, i strasznej, jak morze, przeistoczyła w ciągu naszego stulecia sposób życia i pojmowanie życia wszystkich społeczeństw ucywilizowanych. Kultura techniczna dokonała cudów, rozwój materyalny, przemysłowy i finansowy całą siłą pary pędzi naprzód.

Pomimo to tylko arogancya materyalistów upaja się bez wątpień i zastrzeżeń postępem i zdobyczami naszej epoki. W łonie owej demokracyi nowoczesnej, tak dumnej ze swojej energii i zwycięstw nad starym światem, powstały dwa obozy: kapitalistyczne mieszczaństwo, posługujące się tą siłą bezwzględną, którą nazywamy pieniądzem, i proletaryat pracowniczy, dobijający się o coraz lepsze prawa, o przekształcenie stosunków. Od chwili tej przemiany niema już demokracyi w dawnem znaczeniu wyrazu.

* * *

W okresie noworocznym zaszły pewne zmiany w wydawnictwach peryodycznych, i niektóre pisma zmieniły swoich kierowników, przybyło także kilka nowych.

Kierownikiem literackim „Głosu", którym w ostatnich kilku latach był p. Zygmunt Wasilewski, został obecnie p. J. Władysław Dawid, niegdyś redaktor „Przeglądu Pedagogicznego" i pisarz naukowy. Nowa redakcya zapowiedziała, że utrzymuje dawny kierunek pisma.

„Głos" w kilku fazach swego dotychczasowego istnienia był wiernym swemu pierwotnemu programowi demokratycznemu. Jak wiadomo, program ten w chwili swego narodzenia się polegał na „podporządkowaniu interesów innych warstw społecznych warstwie ludowej". „Głos" — trzeba mu to przyznać — wyrażał ten program konsekwentnie, w ekonomiczno-społecznym i w politycznym kierunku. Zalecał systematyczną parcelacyę większej własności ziemskiej, dowodził, nauczał i przekonywał, jak korzystać należy z samorządu gminnego; usiłował być kierownikiem włościaństwa na polu ekonomicznego i obywatelskiego rozwoju. Bądź co

bądź, w długim procesie naszych przeobrażeń zbiorowych „Głos" odegrał pewną rolę, i, jakkolwiek zasady i barwa tego tygodnika podlegaćby mogły sporom, nie można im odmówić żywotności, nie można wątpić, że ten program wynikał z szczerych przekonań ludzi, pragnących przyspieszyć przemianę społeczną w duchu demokratycznym. Nie będę się wdawał w rozbiór powstającego pytania, czego „Głos" na tem polu dokonał i jak się zasłużył swemu ogółowi? Dla odpowiedzi konieczną byłaby pewna odległość, konieczną — perspektywa czasu, ponieważ wtedy dopiero układają się rzeczy w stosunku proporcyonalnym, wtedy dopiero zbieramy z posiewu dobre lub złe plony.

Prasa — jak tego oczywiście dowodzić nie potrzeba — jest jednym z głównych przewodników prądów społecznych i umysłowych tej epoki. Dzieje ruchu społecznego w XVIII i XIX stuleciu, zwłaszcza w ostatniem, wskazują na każdym kroku ogromne znaczenie prasy w sprawie rozpowszechniania się i szczepienia nowych idei, systemów i reform. Naturalnie, że i prasa przeciwnych kierunków, prasa reakcyjna, której zadaniem jest tamowanie rozwoju, również swoje zadanie pełni, że jest jeszcze trzeci gatunek, najwięcej rozpowszechniony i częstokroć najpopularniejszy, mianowicie prasa oportunistyczna, miłująca nadewszystko własne swoje widoki i unikająca wszystkiego, co nazywa skrajnością.

Lecz wśród tych krzyżujących się nieprzyjaznych czynników ludzie dobrych przekonań, godni w istocie nazwy przyjaciół ludzkości, dokonają zawsze, w mniejszej lub większej mierze, swego przeznaczenia.

Dlatego pismo, które na prawdę zasługuje na nazwę niezależnego organu opinii, jest niepospolitym czynnikiem w społeczeństwie. Cóż to wszakże znaczy być niezależnym? Zdaje mi się, że niezależnym jest nie tylko ten, kto nie zostaje na żołdzie danej koteryi lub kliki. To jeszcze nie wystarcza do zupełnej niezależności to dopiero jeden z jej materyalnych warunków. Niezależnym jest taki organ i taki publicysta, który posiada tyle odwagi cywilnej, że nie waha się w chwili bardziej stanowczej rzucić na szalę uczucia swego, serca i przekonania swego umysłu.

Kleską społeczeństw są ludzi połowiczni. Nie są oni ani źli, ani dobrzy, i największą wadą, a najgroźniejszem dla współobywateli nieszczęściem jest w nich brak wyrobionych przekonań, a przynajmniej jasnych poglądów na górujące sprawy życia i otaczającej rzeczywistości. Otóż ten gatunek nie wydaje z siebie nigdy niezależnych działaczów społecznych, niezależnych publicystów, nieza-

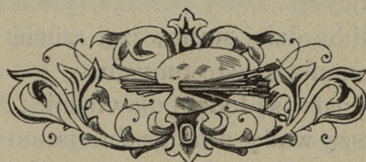
leżnych przedstawicieli opinii. Błąkają się oni w lesie półśrodków i półsłówek, i nie dojrzewa w nich kategoryczna świadomość słów, czynów i poglądów. Samolubstwo, ciasnota myśli, nicość uczuć skazują ich na zawieranie wiekuistych, a jałowych kompromisów z rzeczywistością. Pojmując więc znaczenie prasy, publicystyki i dziennikarstwa, dążmy do tego, ażeby one się stały w nowem stuleciu istotnemi przedstawicielkami wyższych popędów i interesów społecznych!

Powstał nowy tygodnik „Strumień", „poświęcony literaturze, sztuce i sprawom życiowym". Redakcya ogłosiła śmiały i radykalny program estetyczny, rzuciła rękawicę panującym hasłom i metodom artystycznym. W następnym zeszycie, kiedy już będzie większy materyał do czynienia spostrzeżeń, zatrzymamy się przy „Strumieniu" i jego dążnościach i pragnieniach.

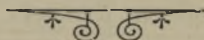
Pod kierunkiem literackim p. W. M. Kozłowskiego wychodzi w Krakowie od października miesięcznik „Oświata", „poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa i samouctwa". „Oświata" ma debit u nas. Kozłowski jest głębokim i rozważnym, niezwykle utalentowanym publicystą zarówno, jak samoistnym, przenikniętym ideą reformy myślicielem. Pragnąłbym również o zadaniach i programie jego pisma w następnym zeszycie kilka wierszy napisać.

Od Nowego roku wychodzi w Warszawie tygodnik „Oświata", przeznaczony dla ludu polskiego i wydawany przy kancelaryi jenerał-gubernatora.

Bolesław Lutomski.



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (zeszyt grudniowy) „Ojciec Remigi", nowela przez M. Radziwiłła, „Przyczyny wielkiej wojny 1812 r." przez Sz. Askenazego, „Kronika Paryska" przez Sewerynę Duchińską", „Steinkeller" przez H. Radziszewskiego, „Kartki prowansalskie. I. Most św. Benezeta. II. W ulicy (poezye) przez M. Konopnicką, „Franciszek Smolka" przez Józefa Keniga, „Uwięzienie Kołłątaja" przez Wł. Smoleńskiego, „Nieznany wiersz Edmunda Chojeckiego: Pokuta Szafrańca (legenda)", „Do Warny i w Warnie, notatki z dziennika podróży" przez M. Wawrzenieckiego.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (zeszyt grudniowy): D. Zaleskiego „Korespondencya J. B. Zaleskiego", ks. J. Sygańskiego, „Nowy Sącz wepoce Wazów", J. Snitki „Zarys pojęć o narodzie".

= **Kwartalnik historyczny** w zeszycie IV roku 1899 drukuje: K. Krotoskiego: „Gall, scholastyk poznański", Adama Szelągowskiego: „Układy królewicza Władysława i dysydentów z Gustawem Adolfem w r. 1632", M. Schorra: „Organizacya Żydów w Polsce od najdawniejszych czasów aż po r. 1772" i in.

= **Rocznik Akademii Umiejętności** w Krakowie, rok 1888- 99, Kraków 1899.

= **Wiadomości Statystyczne** o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. dr. T. Pilata, t. XVII, zeszyt II, Lwów, 1899.

= **Wisły** tom XIII, zeszyt IX—X (wrzesień—październik) zawiera: Jana Witorta „Ślady ustroju matryarchalnego na Litwie (Nadomnictwo)", M. Wawrzenieckiego „Proces o czary r. 1721, II", R. Zawilińskiego „Drobiazgi ludoznawcze z powiatu Wielickiego", Wł. Brzezińskiego „Wesele u ludu wiejskiego około Sieradza", Z. Bitnera „Baśni z nad Srzeniawy", St. Zdziarskiego „Cztery odmianki Lenory", Szcz. Jakubowskiego „Do Króla Leara".

= W Nr. 1 **Życia** czytamy: St. Przybyszewskiego „Apostrofę do Króla-Ducha u progu nowego stulecia", St. Witkiewicza „Sztuka i życie", Wł. Orkana „Noc, w jednym akcie", oraz poezye: Włodz. Perzyńskiego, Miriama, W., St. i K. Brzozowskich, J. Żuławskiego.

= **Archiv für slavische Philologie**. Bd. XXI, Heft 1—2: „Beiträge zur ältesten Geschichte der Slaven und Litauer" von A. Brückner, „Randglossen zur Kaszubiszen Frage" von A. Brückner, „Wer war Pseudodemetrius I" von E. Ščepkin (c. d.), „Jan Kochanowski przez R. Plenkiewicza", angez. von A. Brückner, „Ad. Mickiewicz przez J. Kallenbacha" angez. von A. Jensen.

2. B. F i l o z o f i a. **Heinrich W.** O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofii, Warszawa, 1899.

= **Kant Immanuel**. Marzenia jasnowidzącego, objaśnione przez marzenia metafizyki, Warszawa, 1899.

= **Kozłowski Wł. M.** Co i jak czytać? wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne, Warszawa. 1900.

= **Kozłowski Wł. M.** Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody: Wstęp.—Prawa przyrody.—Pełnia i próżnia.—Trojaki charakter rozciągłości. (Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego"), Warszawa, 1899.

= **Oppenheim L. dr.** Sumienie. Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1900

C. S o c y o l o g i a. **Daszyńska Zofia Golińska dr.** Własność rolna w Galicyi, studyum statystyczno-społeczne, Warszawa, 1900.

= **Dwudzieste siódme sprawozdanie** związku polskich spółek zarobkowych, i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich za rok 1898, Poznań, 1899.

= **Gumplowicz Ludwik.** Socyologiczne pojmowanie historyi, Warszawa, 1999.

= **Podlewski Franciszek.** Upadłość i bankructwo, Warszawa, 1899.

= **Starowiejski Franciszek ks.** Wieczory nad Adryatykiem, pogadanka o sprawach kościelno-politycznych, Lwów, 1899.

D. H i s t o r y a. **Gumplowicz Ludwik.** Ibn-Haldun, socyolog arabski XIV wieku, Warszawa, 1897.

= **Höffding Horald.** Jan Jakób Rousseau, życie i dzieła z oryginalnego wydania niemieckiego przełożył Zygmunt Heryng, Warszawa, 1900.

= **Kochanowski J. K.** Kazimierz Wielki, zarys żywota i panowania. (Życiorysy znakomitych ludzi), Warszawa, 1900.

= **Klaczko Julian.** Rzym i Odrodzenie, szkice, Juliusz II, z 12 ilustracyami, przekład z upoważnienia autora, zeszyt I—II, Warszawa 1900.

= **Majewski Erazm.** Starożytni Słowianie na ziemiach dzisiejszej Germanii, Warszawa, 1899.

= **Niemojewski Stanisław.** Pamiętnik, 1606—1608, wydał Aleks. Hirschberg, Lwów, 1799.

= **Porębowicz Edward.** Św. Franciszek z Asyżu (Życiorysy znakomitych ludzi), Warszawa, 1900.

= **Radziwiłł Jerzy ks. kardynał.** Pamiętnik z lat 1556—1575, wydał Teodor Wierzbowski (Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich. zeszyt XIII), Warszawa, 1899

= **Szuman Henryk.** Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie z r. 1848 z przedmową Al. Kraushara (Biblioteka dzieł wyborowych № 116), Warszawa, 1900.

= **Wielewicki Jan ks. T. J.** Dziennik spraw domu zakonnego oo. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie, tom IV. od r. 1620 do r. 1629 włącznie, wydanie Akad. Umiej. z rękopisu ś. p. Stefana Muczkowskiego (wydał ks. dr. Wład. Chotkowski —Scriptores rerum polonicarum, XVII), Kraków, 1899.

= **Żmigrodzki Michał.** Krótki zarys historyi sztuki, Kraków, 1900.

E. Literatura. **Aktów** kilka i dokumentów, odnoszących się do działalności Andrzeja Towiańskiego, część II, Rzym—Kraków, 1899.

= **Chmielowski Piotr.** Historya literatury polskiej, tom III (dla prenumeratorów Biblioteki dzieł wyborowych), Warszawa, 1899.

= **Krček Franciszek dr.** Jasełka krośnienskie z roku 1661 (odbitka z Przeglądu Powszechnego), Kraków, 1900.

= **Kucharzewski Feliks.** Początek piśmiennictwa technicznego w Polsce, Warszawa, 1900.

= **Matuszewski Ignacy.** Dyabeł w poezyi, historya i psychologia postaci, uosabiających zło w literaturze pięknej wszystkich narodów i wieków, studyum literacko-porównawcze, wydanie II, znacznie powiększone i przerobione, Warszawa, 1900.

F. Sztuki piękne. **Domaniecki Czesław** i **Wawrzeniecki Maryan.** Rozróżnianie stylów w architekturze, dla poświęcających się sztuce stosowanej oraz do użytku ogółu, Warszawa, 1900.

= **Pilo Mario.** Psychologia piękna i sztuki, przekład Antoniny Morzkowskiej, Warszawa, 1900 (wydawnictwo „Głosu“).

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Ernst Marcin dr.** O przydzie planet („Wiedza i życie“, rok I, tom 9), Lwów—Warszawa, 1899.

= **Höffding Harald.** Karol Darwin, przełożył dr. M. F., Warszawa 1900.

H. Beletrystyka. **Bełza Stanisław.** Listy z Sycylii, Warszawa, 1900.

= **Dąbrowski Ignacy.** Pisma, III, Nowele, Warszawa, 1900.

= **Gawalewicz Maryan.** Znak zapytania, kartka z dziejów młodego serca, Warszawa, 1900.

= **Gliński Kazimierz.** Krzywda, powieść, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Godlewska Ludwika (Exterus).** Dobrane pary, powieść współczesna, Lwów, 1900.

= **Godlewska Ludwika (Exterus).** Kwiat Aleosu (dodatek do „Gazety Polskiej“), Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Dla miliona, powieść, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Hugo Wiktor.** Rzeczy widziane, 1848—1849, z niewydanych rękopisów, w przekładzie i z przedmową J. Ochorowicza (Biblioteka dzieł wyborowych № 115), Warszawa, 1900.

= **Kochanowski Jan.** Wybór pism, z portretem poety, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Kuczalska Helena.** Pół tuzina komedyjek, upominek świąteczny i wakacyjny dla moich przyjaciół z Rabki, Warszawa, 1900.

= **Lange Antoni.** Przekłady z poetów obcych, część II (Dodatek do Gazety Polskiej), Warszawa 1899.

= **Laskowski Kazimierz.** Licytanci, szkice z życia, Warszawa, 1900.

= **Niemojewski Andrzej.** Prometeusz.—Szalony bieg.—Ludzie z zawiązanemi oczyma.—Matka i dziecko, Warszawa, 1900.

= **Orsyd.** Za późno.—Idylla.—Wyzwolona.—Wikta.—Izmael.—Dwa listy, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Orzeszkowa Eliza.** Argonauci, powieść, tom I i II, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Rydel Lucyan.** Zaczarowane koło, baśń dramatyczna w pięciu aktach, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie dramatycznym Ign. Paderewskiego w Warszawie, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Rzewuski Henryk.** Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku (Dodatek do „Gazety Polskiej").

= **Żeromski Stefan.** Ludzie bezdomni, powieść, tom I i II, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Żuławski Jerzy.** Poezye, II, Warszawa—Kraków, 1900.

I. Różne. **Charszewski Ignacy ks.** Album katolickich uroczystości, szkice religijne z ilustracyami, Płock, 1900.

= **Reussner von Plato.** Amerykański przewodnik dla podróżujących za ocean Atlantycki i wogóle (!) do Ameryki z najpotrzebniejszemi rozmówkami angielskiemi, wydanie III, Warszawa, 1899.

= **Weryho Marya.** Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym, pogadanki, rozmowy, zabawy i robotki, Petersburg, 1900.

2 Obca. A. Filozofia. **Biese A.** Pädagogik und Poesie, vermischte Aufsätse, Leipzig, 1899.

= **Bruhl L.** History of modern philosophy in France, Chicago, 1899.

= **Kuntz W.** Beiträge zur Entstehungsgeschichte der neueren Aesthetik, Berlin, 1899.

= **Leo O.** Die Kausalität, als Grundlage der Weltantchauung, Berlin, 1899.

= **Martig E.** Lehrbuch der Pädagogik, Leipzig, 1899.

= **Petzoldt J.** Einführung in die Philosophie der reinen Erfahrung, 1 Bd. Die Bestimmtheit der Seele, Leipzig, 1899.

= **Ueberhorst K.** Das Komische, eine Untersuchung, 2 Bd. Das Fälschlich-Komische. Besondere Erscheinung des Komischen. Witz, Spott u. Scherz. Nachträge zur Lehre vom Wirklich-Komischen, Definitionen und Klassifikationen, Leipzig, 1899.

B. Socyologia. **Steinhauser A.** Neuestes aus Frankreich. Christliche Demokratie, Einsiedeln, 1899.

= **Zenker E.** Die Gesellschaft, I Bd. Natürliche Entwickelungsgeschichte der Gesellschaft, Berlin, 1899.

D. Historya. **Des Houx.** Joachim Pecci, Paris, 1899.

= **Durand.** Histoire complète de Jeanne d'Arc, Paris, 1899.

= **Kaufmann G.** Politische Geschichte Deutschlands im 19 Jahrh., Berlin, 1899.

D. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Fock A.** Ueber die Grundlagen der exacten Naturforschung, Berlin, 1899.

E. Literatura. **Arnold R.** Geschichte der deutschen Polenliteratur. 1 Bd.: Von den Anfängen bis 1800, Halle, 1899.

= **Betz L.** La littérature comparée. Essai bibliographique. Introduction par Jos. Texte, Strassburg, 1899.

= **Faguet E.** Politiques et moralistes du XIX siècle, 3-me série, Paris, 1899.

= **Karpeles G.** Heinrich Heine. Aus seinem Leben u. aus seiner Zeit. Leipzig, 1899.

= **Lorenz M.** Die Litteratur am Jahrhundert- Ende, Stuttgart, 1899.

— **Schmitt E.** Lessing. Geschichte seines Lebens u. seiner Schriften. 2 Bde. 2 Aufl.

F. Beletrystyka. **Heyse P:** Neue Märchen, Berlin 1899.

— **Kipling R.** Das Neue Dschungelbuch, Berlin. 1899.

h.

---

3. Przekłady z polskiego. W Göteborgu wyszedł szwedzki przekład **Pana Tadeusza**, dokonany przez A. Jensena, nakładem H. Bukowskiego.

Utwory **Orzeszkowej** „Argonauci", „Sylwek cmentarnik" i „Cham" ukazali się w tłom. rosyjskiem T. W. Dombrowskiego.

Sienkiewicza „Quo vadis" wyszło w Londynie w tłóm. angielskiem S. A. Biniona.

N. I. Pierieligin wydał w Moskwie tłóm. z **Klemensa-Junoszy** p. t. „W głuszi".

W Petersburgu ukazało się nakładem księgarni F. Johansona „Połnoje sobranje soczinienij" **Sienkiewicza**, (wyd. 2, tomów 6), tłóm. T. W. Dombrowskij.

P. H. Madjanska (pseudonim) wydała w Berlinie tłómaczenie noweli **Wł. Łozińskiego** p. t. „Madonna Bussowicka".

„Ojciec Zadżumionych" **J. Słowackiego** ukazał się w rosyjskiem tłóm. w felietonach listopadowych dziennika „Kijewskoje Słowo", w listopadowych numerach gazety „Podolskija Gubiernskija Wiedomosti" tłóm. noweli **Elizy Orzeszkowej** „Czy pamiętasz?" („Pomnisz-li?"), dokonane przez N. Ł.

„Rodzina Połanieckich" wyszła we włoskiem tłómaczeniu w Neapolu (La famiglia Polaniecki), a „Quo vadis" w autoryzowanym niemieckim przekładzie J. Bolińskiego, przerobionym przez H. Fedorowskiego.

4. Udział Polaków w obcych literaturach. Abhandlungen zur Geschichte der Mathematik", wydawane w Lipsku, przyniosły w r. 1899 na str. 65—70 rozprawę p. **S. Dicksteina** p. t. „Zur Geschichte der Prinzipien der Infinitesimalrechnung: Die Kritiker der „Théorie des finetions analytiques" von Lagrange.

G. H. Niewęgłowski wydał w Paryżu w „Annales photographiques" pracę p. t. „Impession artistique des éprenirs positives", a nadto „Chimie des manipulations photographiques".

Czeski miesięcznik **„Moderni Revue"** zamieścił w zeszycie 2-im pracę p. **Stanisława Lacka** o „Młodej Polsce".

Piękny artykuł p. t. „Ostatnie miesiące życia Szopena" napotykamy w listopadowym zeszycie francuskiego czasopisma „Revue bleue". Autorką jest p. Marya **Poradowska.**

Ignacy Daszyński zamieścił w 269-ym n-rze czasopisma wiedeńskiego „Die Zeit" artykuł o galicyjskiej korupcyi.

W listopadowym zeszycie czasopisma „Slovansky Přehled" znajdujemy rzecz prof. **Maryana Zdziechowshiego** p. n. „Po zjeździe dziennikarzy słowiańskich w Krakowie".

Czasopismo niemieckie **Deutsches Hein** rozpoczęło w listopadowych zeszytach druk szeregu artykułów o literaturze polskiej p. t. „Die polnische Litteratur des XIX. Jahrhunderts", napisanych przez Warszawianina p. Maurycego **Ursteina.** Pierwszy artykuł mówi o Trembeckim i Karpińskim.

5. W Petersburgu ukało się dzieło p. **A. S. Aksakowa** p. n. „Polskij wopros" i zapadno-ruskoje dieło w wydaniu drugiem, a równocześnie w Berlinie praca Borysa Cziczierina „Polskij i jewrejskij woprosy, otwiet na otkrytyja pisma N. K. Rennekampfa".

Anonimowy autor wydał w Petersburgu broszurę p. t. „Russko-polskija otnoszenija i czestwowanija Polakami Puszkina“.

Czasopismo angielskie **Pearsons Magazine** zamieściło w zeszycie wrześniowym artykuł o Siemiradzkim, a w październikowym o wynalazkach, dokonanych przez Szczepanika.

Wiedeński dwutygodnik **Allgemeines Litteraturblatt** zamieścił w n-rze 17-ym następujące oceny rzeczy polskich pióra d-ra Fr. A. Kaindla: Schnür-Pepłowskiego „Cudzoziemcy w Galicyi“, Oswalda Balzera „Rewizya teoryi o pierwotnem osadnictwie w Polsce“, prof. Fr. Piekosińskiego „Herold Polski“, jakoteż „Rocznika krakowskiego“ i „Biblioteki krakowskiej“, a w n-rze 19-tym: T. Korzona „Dola i niedola Jana Sobieskiego“, J. Wawel-Louisa „Okruszyny historyczne“, Podlasiaka J. K. „Janów biskupi czyli Podlaski“, T. Paszkowskiego „Książę Józef Poniatowski“, Sabiny Grzegorzewskiej „Dziesięć dni w Puławach w 1828 roku“ i anonimowego dzieła p. t. „Hrabia Łubieński, biskup sejneński“.

Nr. 8522 dziennika **Nowoje Wremia** przynosi w felietonie artykuł p. Kryżanowskiego p. n. „Nowe szczegóły w historyi powstania polskiego w r. 1794“. Jest to sprawozdanie z pamiętników L. Cieszkowskiego, wydanych we Lwowie.

W listopadowym zeszycie amerykańskiego miesięcznika **The social forum** napotykamy piękne studyum prof. Herrona p. t. „Pisma i idee Sienkiewicza“.

W Berlinie pojawiła się praca **F. Skowronka** p. t. „Masurenblut, Geschichte und Gestalten“.

I. D. Sobolewskij wydał w Petersburgu rozprawę p. t. „Skazanije ob ostrobramskoj ikonie Bożijej Matieri w Wilnie“.

Stanisław Zdziarski.

O popularyzacyi wiedzy *).

Kilka słów sprostowania „Kroniki końcowiekowej“.

Będąc wielkim zwolennikiem popularyzacyi wiedzy i dotkliwie odczuwając brak dążenia w tym kierunku w naszem piśmiennictwie, mogę tylko przyklasnąć inicyatywie „Ateneum“, której zawdzięczamy peryodyczne sprawozdania pod tytułem „Listki z pola wiedzy“.

Nie wystarczy jednak dobra myśl i ładny tytuł, jeśli z zadania nie umiemy wywiązać się należycie; przykład dobry znajdujemy zagranicą, zapoczątkowany w „Année scientifique“ nieodżałowanego Figuiera, i dobre sprawozdanie z licznych wydawnictw podobnego rodzaju przyniosłoby u nas czytającemu ogółowi znacznie więcej korzyści, niż kronika, najeżona błędami.

Pomijam zupełnie bezcelowość rozwodzenia się nad terminem rozpoczęcia nowego wieku i pochopność do obdarzenia jednego z zagadnień chemii mianem „największego ze współczesnych“, mogącą natrafić na opozycyę osób, lepiej z tym przedmiotem obeznanych —ale chodzi mi o ścisłość rzeczową, której w tych okruchach wiedzy, jakie dajemy do spożycia niewtajemniczonym, powinniśmy jeszcze bardziej przestrzegać, niż w nauce, która łatwiej odróżni plewy od ziarna czystego

---

*) List niniejszy, przesłany nam przez jednego z czytelników, drukujemy bez zmian. (Przyp. Red.)

Otóż, chcąc przedstawić zasady przenoszenia energii mechanicznej na odległość zapomocą elektryczności, należy wiedzieć o tem, że natężenie prądu mierzy się w amperach, a nie w woltach, że ilość wolt nie ma nic wspólnego z siłą prądu, lecz służy miarą napięcia czyli ciśnienia elektrycznego, gdyż napięcie może być olbrzymie, a siła prądu zero, tak, jak możemy z bardzo wysoko umieszczonego rezerwoaru wody otrzymać w rurze, sprowadzonej na dół, znaczne ciśnienie, a mimo to nie wypuścić nią ani kropelki; a że im większe ciśnienie, tem mniejsze natężenie prądu przedstawia pewien zasób energii, więc rezultat wręcz odwrotny: nie do zwiększania, lecz do zmniejszania natężenia, dążymy przy przenoszeniu energii i w tym właśnie celu zwiększamy napięcie i doprowadzamy je do 2, 10 a nawet i 22 tysięcy wolt; a więc, transformując prąd zmienny, używamy właśnie generatorów czyli dynamomaszyn o silnym prądzie, a nie słabym, jak mylnie twierdzi kronikarz, i zamieniamy go na prąd słaby, ale o wysokiem napięciu, bo tylko zmniejszenie siły prądu może nam zredukować straty przy danym przekroju i danej długości przewodników.

Pomijam drobne usterki, jak to, że wielkie dynamomaszyny, o których tu mowa, dają nam nie 80%, lecz 90% i więcej energii, dostarczonej im przez maszynę parową, a natomiast motory nie przeszło 90%, ale od 70% do 90%, i przechodzę wprost do poważnych błędów, których nie należy wpajać w łatwowierną, bo nie wiedzącą publiczność. Otóż nie można powiedzieć, że, gdyby wynaleziono dogodny motor do prądu zmiennego, jak dla stałego, który ma być podobno znacznie prostszy i tańszy, to system ten byłby obecnie dominującym: system ten jest obecnie dominującym właśnie dlatego, że motory dla prądu zmiennego są prostsze i tańsze, i prąd stały bywa stosowany tylko tam, gdzie światło przeważa w zapotrzebowaniu prądu nad siłą motoryczną lub gdzie zastosowanie akumulatorów jest zaleconem: niema co pod tym względem cytować kilku ślepym trafem wybranych firm amerykańskich i angielskich, bo olbrzymie zakłady żyrardowskie i warsztaty w Pruszkowie znacznie lepszy przedstawiają przykład, a co do zastosowania sił wodnych jest ono powszechniejsze w bliższej nam Szwajcaryi, choć naturalnie dla braku takich wodospadów, jak Niagara, nie może dosięgać tych rozmiarów.

Kończę dosłownem przytoczeniem ostatniego curiosum: str. 529 (zeszyt III T. IV): „Od roku przeszłego w Anglii przy przesyłaniu elektryczności na odległość zaczęto używać maszyn, których generatory nie są zaopatrzone w komulatory i szczotki, a tylko w niewielkie pierścienie dla puszczenia motoru w ruch. Zastosowanie tych motorów przedstawia pewne dogodności, a mianowicie, że można stosownie do życzenia zwiększać natężenie. W fabrykach, które zajmują niewielką przestrzeń, stosuje się siła prądu zazwyczaj nie większa od tej, jaka dopuszczalna jest w dynamomaszynach o prądzie stałym. I dlatego właśnie niema tam niebezpieczeństwa dla robotników. System ten zastosowany był najprzód na wielką skalę w fabryce maszyn Richardsona“ etc.

Otóż prawie, ile słów, tyle błędów, niektóre usuwają się wprost z pod wszelkiego sprostowania.

Najprzód ów „generator“, który bynajmniej nie jest częścią „maszyny“, jak możnaby wnioskować z powyższego ustępu, zaopatrzony w pierścienie, zamiast w kolektor, jest to właśnie motor dla prądu zmiennego: tylko że owe „niewielkie“ pierścienie nie służą do puszczenia w ruch, lecz są zaopatrzone w szczotki i służą do doprowadzenia prądu lub do włączenia oporu w obwód wirującego twornika. Można się wprawdzie zgodzić na to, że ten system przedstawia pewne dogodności, gdyż inaczej nie byłby się tak ogromnie rozpowszechnił (i to nie przed rokiem

i nie dzięki p. Richardsonowi); ale, o ile można zwiększać natężenie i stosownie do jakiego życzenia, tego nie będę objaśniał, bo sam tego nie rozumiem: przy danem bowiem napięciu natężenie prądu zależy wprost od żądanej sprawności i właściwie dla motorów wielofazowych o prądzie zmiennym bywa mniejsze, niż w motorach jednofazowych lub o prądzie stałym; co do przestrzeni fabryki i niebezpieczeństwie dla robotników, to panuje tu znów to samo pogmatwanie pojęć siły prądu i napięcia.

Nie! nie takiej popularyzacyi wiedzy, nie takiej kroniki końcowiekowej potrzebują nasi czytelnicy, a nawet takiej dawać się im nie godzi.

Solidaryzuję się w zupełności ze zdaniem, wypowiedzianem o 78 str. przed powyżej zacytowanym ustępem, że brak nam umysłów encyklopedycznych, ale właśnie dlatego powinniśmy dbać o to, aby każdy pisał tylko o tem, co sam rozumie — a pomimo, iż „wszyscy jesteśmy dyletantami“, jak nam często zarzucają, sądzę, że stać nas chyba na większą ścisłość w popularyzacyi wiedzy.

Maryan Lutosławski.

Komitet, zarządzający Kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez władzę rządową, przyznana zostanie w r. 1900 nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego w wysokości rs. 600 za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim, w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat t. j. 1897, 1898 i 1899 pracę, odnoszącą się do historyi polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materyałów, zebranych przez prof. Pawińskiego. Stosownie do Ustawy Kasy i do zastrzeżeń władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa zagranicą bez pozwolenia rządu, za dzieło, przez cenzurę dozwolone, choćby wydane zagranicą. Jakkolwiek Komitet, zarządzający Kasą, będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace, wydane w latach wymienionych, dla uniknięcia jednak przeoczeń prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała № 7) lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

Prezes Komitetu: *H. Struwe.*

Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*



Дозволено Цензурою Варшава, 3 Января 1900.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***